

Cox Josephine
ANIOLY TEŻ PŁACZA

Przełożył Jacek Majewski

Ta historia poświęcona jest każdej dziewczynie i kobiecie, która kiedykolwiek zaznała smutku i zgryzoty. Jest ona tylko dla ciebie - aby przynieść ci radość. To historia Marty, choć gdyby nie opatrność boska, mogłaby to być opowieść o tobie czy o mnie.

Johnowi, z podziękowaniem

Przedmowa autora

W chwili, gdy piszę te słowa, realizowany jest intensywny program restrukturyzacji i rozbudowy wielu najwcześniej uprzemysłowionych rejonów Anglii. Nie dalej jak w tym tygodniu sama obserwowałam, jak w położonym na północy mieście Blackburn, gdzie się urodziłam i wychowałam, wielki spychacz wyburza starą wiktoriańską przędzalnię. Wiele lat temu stałam w tym samym miejscu jako mała dziewczynka, czekając na dźwięk syreny fabrycznej, po którym z bram wylewały się setki robotników i robotnic, a wśród nich była również moja mama.

Brukowana alejka, na której bawiłam się jako dziewczynka i którą jeszcze tak niedawno przechadzałam się przed telewizyjnymi kamerami, też już nie istnieje. Ludzie często zastanawiają się, co jest powodem niezwykłej popularności, jaką cieszy się serial Ulica Coronation i jego bohaterowie. Czy przypadkiem nie przypomina on wielu z nas o przeszłości, która ostatnio tak szybko ustępuje przed nieubłaganym naporem postępu? Szczególnie na północy rzuca się w oczy smutna prawda, iż wiele ulic

Coronation już nie istnieje. I choć ulice są teraz szersze, domy jaśniejsze, a ludzie bardziej zamożni, faktem jest też, że wiele śladów naszej historii ginie bezpowrotnie.

Mam nadzieję, że dla wielu z was moje opowieści stanowią będą przypomnienie osób i zdarzeń, które na zawsze zajmą szczególne miejsce w naszych sercach.

CZEŚĆ PIERWSZA

1931 Pierwsza miłość Marty

Rozdział pierwszy

Babcia Fletcher wtargnęła do małej sypialni we właściwy sobie, hałaśliwy sposób, grożąc krótkim, pulchnym palcem ciemnowłosemu mężczyźnie siedzącemu na łóżku.

- Dalej, Curcie Ratheter! Jazda stąd! Już dosyć długo tu siedzisz. - Potrząsnęła siwą jak mleko głową i stanęła nad nim, biorąc się pod boki i mierząc go błyszczącymi niebieskimi oczyma, jakby sprawdzając, czy odważy się jej sprzeciwić. - To jest poród! Lada chwila dziewczyna będzie rodzić i nic tu po mężczyznach. Już cię nie ma!

Zdobywając się na odwagę, Curt spojrział starej kobiecie prosto w twarz swoimi pięknymi, ciemnymi oczyma i cichym głosem poprosił:

- Nie mógłbym zostać?

- Zostać! - babcia Fletcher nie wierzyła własnym uszom. - Zostać, mówisz? Coś takiego! W życiu nie słyszałam czegoś podobnego! - W jednej chwili przyskoczyła do niego i z wyrazem niedowierzania na twarzy chwyciła go mocno za ucho. - Już cię tu nie ma!

I to zaraz, bo jak nie, to tak cię kopnę w tyłek, że popamiętasz!

- Dobrze już, dobrze! Sam widzę, że jestem pokonany - zaprotestował Curt i rzuciwszy Marcie ostatni uśmiech, pozwolił się wyprowadzić bezceremonialnie z pokoju. Gdy znalazł się za drzwiami, które zatrzasnęły się za nim głośno, oparł się o ścianę w paroksyzmie bezgłośnego śmiechu. Och, ta babcia Fletcher, pomyślał. Była jedyna w swoim rodzaju. Przy niej czuł się, jakby miał osiem lat, a nie dwadzieścia osiem! A jednak przy całej swojej kłótniwości i apodyktyczności była naprawdę kochana, miała złote serce i nie traciła zimnej krwi w sytuacjach, w których wszyscy wokół wpadali w panikę.

Nagle drzwi sypialni otwarły się gwałtownie i babcia Fletcher ponownie utkwiała w nim swoje błękitne oczy.

- Hej! Nie stój tak, mój chłopcze! Jazda na dół - dołóż do ognia i zagotuj garnek wody! Lada chwila spodziewamy się dziecka! - Po czym znów zniknęła w pokoju, starannie zamykając za sobą drzwi.

- Wiesz, kochana, ten twój chłop jest jak wszyscy mężczyźni... do niczego!

- Mamo! Jesteś niesprawiedliwa! - Marta знаła dobrze sposób bycia matki, nawykła do niego i kochała ją taką, jaka była. Ciągnęłaby dalej sprzeczkę w obronie ukochanego męża, ale w tej właśnie chwili jęknęła z bólu.

- Jeszcze nie przyj, kochanie. Jeszcze nie.

Babcia Fletcher w pełni panowała nad sytuacją. Odbieranie porodów było w końcu jednym z jej stałych zajęć. Miała w tym wprawę - wszak połowa dzieci z tej ulicy przyszła na świat z jej pomocą.

- Powiem ci, kiedy przeć - oznajmiła Marcie, z troską wpatrując się w jej twarz. - Chyba nie jest jeszcze tak źle, co kochanie? - spytała, a jej oczy złagodniały, gdy zobaczyła wyraz bólu w ślicznych, orzechowych oczach córki i napięcie wokół jej delikatnych ust. Długie czarne włosy, zaczesane do tyłu, spięte były dwoma grzebieniami z macicy perłowej, ale niektóre luźne, ciemne kosmyki, wilgotne od potu wiły się w nieładzie wokół twarzy Marty. Widać było wyraźnie, że czuje się bardzo kiepsko.

- Już długo nie wytrzymam, mamó - odparła Marta, trzymając kurczowo zbielełymi dłońmi mosiężne oparcie łóżka nad sobą. Zaczęła rzucać głową na boki, tłukąc nią o mosiężne pręty, aż grzebienie wypadły i włosy, rozsypały jej się na ramiona. Coraz gwałtowniejsze skurcze wstrząsały jej ciałem, które wypychało dziecko w jego pierwszą podróż - w świat.

- Nie, kochanie, jeszcze nie! Nie przyj, bo się rozerwiesz! - Babcia Fletcher dostrzegła, jak ciemna główka toruje sobie drogę na świat, ale instynkt podpowiedział jej, że jeszcze jest za wcześnie.

- Oddychaj głęboko, kochanie - przekonywała. - Zaśpiewaj coś, jeśli chcesz! Ale nie pchaj jeszcze tego dziecka, dopóki nie nadejdzie właściwa chwila! Słyszysz?

Gdy Marta przytaknęła, babcia Fletcher podbiegła do drzwi i krzyknęła:

- No, Curcie Ratheter! Gdzie ten garnek z wodą? Garnek został wkrótce postawiony pod drzwiami na drewnianym krześle, skąd chwilę później, chwytając za dużą żelazną rączkę, owiniętą przez Curta ścierką, sprawnie odebrała go babcia Fletcher, po czym sapiąc z zadowolenia zamknęła nogą drzwi. Przemierzyła pokój i postawiła wielki, parujący gar na małym kominku. Palenisko w pokoju było zbyt małe na taki gar, ale było na nim dość miejsca, aby nieprędko tam wystygł.

Marta nie spuszczała spojrzenia ciemnych oczu z matki, w nadziei, że jeśli całą uwagę skupi na jej krzątaniu, łatwiej jej będzie nie ulec niecierpliwym usiłowaniom dziecka, pragnącego jak najszybciej wydostać się na świat.

Po paru minutach, gdy babcia Fletcher przygotowała już miednicę z ciepłą wodą i wszystkie niezbędne rzeczy, zarówno dla niej, jak i dla Marty nie ulegało już wątpliwości, że dziecko nie poczeka ani chwili dłużej.

Na dole Curt Ratheter był już u kresu wytrzymałości. Niezliczoną ilość razy wchodził i schodził ze stromych, wąskich schodów, to znów nerwowo

przemierzał dywan przed kominkiem, co jakiś czas zatrzymując się i nasłuchując, czy nie odzywa się kwilenie, na które tak czekał i które wypełniłoby radością każdy kąt tego małego domku. Tak właśnie było, gdy trzy lata temu, czwartego czerwca 1928 roku, urodziła się Polly.

Myśl o Polly wywołała uśmiech na jego twarzy, ale obudziła też obawy w sercu. Uśmiech płynął stąd, że swoimi jasnymi, niebieskimi oczyma, jasną główką i prostolinijnym usposobieniem Polly do złudzenia przypominała babcię Fletcher, która patrząc na małą często mawiała, że czuje się tak, jakby patrzyła na siebie samą, gdy była dzieckiem. Ale Polly z twarzyczką małego aniołka obdarzona była również pewną skazą, która zgodnie z przewidywaniami lekarzy mogła przerodzić się z czasem w coś poważnego. Na jej czole, tuż poniżej linii włosów, widniał pokaźny guz. Początkowo, nie przekraczając rozmiarów łebka od szpilki, nie zwracał niczyjej uwagi. Gdy jednak Polly miała dwa lata, zaczął jej coraz bardziej dokuczać, tak że co rusz drapała go i pocierała. Niepokojąc się jego powolnym, lecz stałym wzrostem, Curt i Marta wielokrotnie konsultowali się z lekarzem, który po bardzo dokładnym zbadaniu Polly oznajmił im, że nie ma najmniejszych powodów do obaw oraz że podobnie jak każda krostka czy otarcie skóry guz może dziecko irytować, nie sądzi jednak, żeby to było coś naprawdę poważnego. Dodatkowe badania wykazały, że narośl nie wniknęła w głębiej położone tkanki, co - jak wyjaśnił lekarz - było bardzo pomyślną okolicznością, gdyż próba usunięcia guza byłaby wówczas bardziej niebezpieczna niż pozostawienie go w spokoju. Curt i Marta nie mieli innego wyjścia, jak przyjąć tę fachową diagnozę i gorąco się modlić, aby nie nastąpiło pogorszenie. Nie było dnia, żeby nie dziękowali Bogu za to, że jak dotąd nie miało to wpływu na ogólny stan zdrowia Polly ani na jej zdolność rozjaśniania słonecznym, radosnym uśmiechem nawet najbardziej ponurego dnia. Wszystko wskazywało na to, że wyrasta ona na piękne, szczęśliwe dziecko.

Tego ranka, kiedy Curt zabrał ją do miasta Church, gdzie miała zostać pod opieką dziadka Fletchera aż do narodzin młodszego dziecka, z ożywieniem prosiła tatusia:

- Czy Polly może zobaczyć swoje nowe dziecko? Curt posadził ją sobie na kolanach, a gdy czule objęła go za szyję szczupłymi ramionkami, obiecał jej:

- Gdy tylko pojawi się „twoje” nowe dziecko, od razu po ciebie przyjadę, kochanie.

Dopiero gdy przypięczętował obietnicę pocałunkiem, mógł wrócić do pobliskiego Preston, na ulicę Stoneygate, gdzie u Marty zaczęły się bóle porodowe.

Gdy wreszcie rozległ się płacz dziecka, Curt przebiegł przez pokój, wpadł do przedpokoju i zatrzymując się na widok babci Fletcher stojącej na piętrze, zapytał:

- Marta?

- Z Martą wszystko w porządku, chłopcze - odparła z szerokim uśmiechem zadowolenia na pulchnej twarzy. - Z twoją drugą małą dziewczynką też.

Słyszając to, Curt wbiegł pędem na schody, przeskakując po trzy stopnie naraz i potrącając w pośpiechu babcię Fletcher.

- Uwważaj, niezdaro! - wykrzyknęła, opierając się o poręcz. - Przez ciebie o mało co nie zjechałam z tych cholernych schodów na tyłku!

Przepraszając w biegu, Curt gwałtownym ruchem otworzył drzwi sypialni, a później podszedł powoli do łóżka, gdzie przystanął w zakłopotaniu, z czułością wpatrując się w brązowe, śmiejące się oczy Marty. Jego żywe spojrzenie, skupione na jej pięknej twarzy, stanowiło oczywisty dowód miłości.

Otoczona takim głębokim, cudownym uczuciem Marta poczuła się dziwnie zmieszana i w jednej chwili ciepły rumieniec pokrył jej szyję, rozlewając się na twarz i wędrując dalej wzdłuż kręgosłupa. Uczucie to było równie nieznośne, co rozkoszne. Jestem stara, a głupia - pomyślała z lekkim zawstydzeniem Marta - niby dorosła, dwadzieścia cztery lata, a zachowuję się jak zakochana pensjonarka.

- Jesteś szczęśliwa, kochanie? - Curt zbliżył się, przenosząc wzrok na maleńkie, ciepłe zawiniątko, spoczywające w objęciach Marty.

- Och, Curt... zobacz, czy nie jest śliczna? - Marta tuliła córeczkę do piersi, z promiennym uśmiechem odwzajemniając przepelnione dumą spojrzenie Curta.

- Wiem, że chciałeś mieć syna - powiedziała półgłosem, przyciągając go do siebie wolną ręką. - Bardzo jesteś rozczarowany?

Curt usiadł obok niej, wsuwając jej dłoń w swoją, a drugą głaszcząc czule twarzyczkę dziecka.

- Rozczarowany? - odparł i pochylił się, aby ją pocałować. - Jak mógłbym być rozczarowany, kochanie? Przecież ona jest cudowna. - I z zawadiackim uśmiechem dodał: - Może następnym razem trafi się chłopak.

Marta zaśmiała się.

- Może! - powiedziała, wyswobadzając rękę z jego uścisku i mierzwiąc jego ciemne włosy. - Będziemy musieli to sprawdzić, co? - Znowu spoważniała i westchnęła: - Och, Curt... taka jestem szczęśliwa! Jeśli czeka nas w tym życiu jeszcze tylko nasza miłość i dzieci, i wspólna starość, gdy dzieci wyfruną z rodzinnego gniazda, to nic więcej nie trzeba mi do szczęścia. - Poczuła, że miłość, jaką żywi do niego, jest w tej chwili głębsza niż kiedykolwiek. Byli

małżeństwem od czterech lat. Od czterech cudownych lat, w których z każdym dniem rosła jej miłość do niego. - Ty i ja - starzy i siwi, i ciągle zakochani - zaśmiała się głośno. - Nigdy nie pozwolimy, żeby cokolwiek stanęło nam na drodze, prawda, najdroższy? Zapewniwszy ją szybko, że rzeczywiście nie pozwolą, aby cokolwiek im przeszkodziło, Curt w głębi serca poczuł jednak lęk. Zawsze był wobec Marty uczciwy i szczery - szczególnie gdy w grę wchodziła jego miłość, bowiem uwielbiał ją tak bezgranicznie, że obawiał się wręcz tego uczucia. Jednak przytakując w tej chwili Marcie, czuł się nieswojo. Pomimo prawdziwej uczciwości w ciągu tych czterech cudownych lat, od kiedy złożyli ślubowania małżeńskie, pewien okres swojego życia utrzymywał przed nią w tajemnicy. Ujawnienie całej jego przeszłości przekreśliłoby wszystko, co dotąd osiągnęli.

Przychodziły czasem takie chwile, w środku nocy, gdy Marta spała albo gdy pracował w przedzalni, że poczucie winy przyprawiało go niemal o mdłości. Ostatnio doznał uczucia, jakby jakaś okropna fala nieszczęść zmierzała w jego kierunku. Nie potrafiąc wytłumaczyć tego racjonalnie, przypisał to poczucie temu, iż miłość do Marty, do Polly i teraz również do najmłodszej córki była dla niego tak ważna, że całkiem naturalne były jego obawy o jej utratę.

Do sypialni wkroczyła teraz stanowczym krokiem babcia Fletcher i zażądała:

- Nie możesz tu siedzieć bez końca, Curcie Ratheter! Matka i dziecko nie zostały jeszcze umyte jak należy... zresztą chyba widzisz, że Marta musi odpocząć?

- Daj spokój, mamó. Nie złość się - zaprotestowała Marta. - Jeszcze chwileczkę, dobrze?

- Hm! - babcia Fletcher rzuciła okiem na błagalny wyraz ślicznej twarzy Marty, po czym już mniej przychylnie spojrzała na wysokiego, przystojnego mężczyznę, siedzącego przy niej na łóżku. Mimo najszczerszych wysiłków nie była w stanie wyzbyć się w ciągu ostatnich lat nieufności wobec Curta Rathetera. Zawsze był dla niej zagadką, bowiem nikt dobrze nie wiedział, co Curt robił, zanim przybył do Preston - tylko tyle, że w przedzalni Centenary przy New Hall szybko doceniono jego dobrą pracę, awansując go na brygadzystę. Właśnie tam poznała go Marta i wkrótce się pobrali. Zdaniem babci Fletcher sprawy przybrały zbyt szybki obrót. Ten wyjątkowo przystojny chłopak zawojował dziewczynę ze szczętem. Och, kochał ją bez dwóch zdań! Nawet ślepy by to zauważył. Zastanawiające jednak było, że z ręcznie zbywał wszelkie pytania, dotyczące swojej przeszłości, mówiąc tylko, że oboje jego rodzice zmarli, „jedno na gruźlicę, drugie z rozpacz”. Nie sposób było

wyciągnąć z niego więcej. Marcie zresztą nie zależało na tym, widziała bowiem wyraźnie, że rozmowy na ten temat są dla niego bolesne.

Babcia Fletcher była jednak przekonana, że on coś ukrywa, nawet jeśli nie było to nic strasznego! Niepokoiło ją to i podsycalo jej podejrzliwość.

Wspominała o tym mężowi, ale on nie chciał o niczym słyszeć, zauważył tylko:

- Daj spokój! Kochają się, prawda? Jest dla niej dobry... dba o nią i prowadzi się jak należy, tak? - Gdy zgodnie z prawdą musiała przyznać mu rację, podsumował: - Właśnie! Więc przestań w końcu tak się trząść nad nimi, kobieto, przestań sobie roić, że on ma coś do ukrycia. Jak już sobie wbijesz coś do głowy... z taką wyobraźnią... Już ci wiele razy mówiłem, Florencjo, że z takiego fantazjowania nic dobrego nigdy nie wynika! - I jeśli chodziło o dziadka Fletchera, sprawa była zamknięta. Może by ją nawet i przekonał, gdyby nie uporczywe, nie dające jej spokoju poczucie, że Curt Ratheter coś jednak ukrywa.

Teraz, gdy spojrział na nią ciemnymi oczyma i z uśmiechem obiecał, że posiedzi jeszcze tylko minutkę i zaraz rusza po Polly, babcia Fletcher stropiła się, jakby się obawiała, że zięć mógł wyczuć jej podejrzliwość.

- Niech będzie! Pięć minut i ani chwili dłużej! - zgodziła się. Zatrzymała się w drzwiach i odwracając się jeszcze, spytała Martę:

- Wybrałaś już imię, kochanie?

Marta rzuciła Curtowi ukradkowy uśmiech i promieniejąc oznajmiła matce:

- Gdyby to był chłopak, nazwalibyśmy go John - po tacie. Ale skoro to dziewczynka, oboje postanowiliśmy, mamó, nadać jej imię Florencja - jeśli oczywiście nie masz nic przeciwko temu.

Babcia Fletcher na chwilę zaniemówiła, po czym na jej dobrotliwym obliczu pojawił się rumieniec zadowolenia. Po chwili łzy napłynęły jej do oczu, podbiegła do Marty, zarzuciła jej ręce na szyję i wykrzyknęła:

- Och, kochanie! To cudownie, to naprawdę cudownie, Boże ty mój! - I nagle, spojrzawszy w uśmiechniętą twarz Curta, jakby się nieco zawstydzila. - No to posiedź jeszcze dziesięć minut. Tyle zajmie jeszcze zagotowanie wody - powiedziała zrywając się, żeby popędzić na dół. Gdy znalazła się sama w małym saloniku, opadła na twarde, pokryte końskim włosiem krzesło, uśmiechając się i płacząc jednocześnie. Po chwili znów zerwała się na nogi i ocierając łzy rąbkiem swej długiej, obszernej sukni, przywołała się do porządku: - No, dosyć, głupia. Nie czas się mazać. Jeszcze czego! Trzeba przecież przygotować kąpiel dla dziecka i jego mamy, potem wszystko posprzątać jak należy i zdążyć do domu, żeby podać staruszkowi kolację. Och!

I do tego jeszcze trzeba zacząć już myśleć o chrzcinach. No, no! Jakież to zamieszanie powoduje na tym świecie jedno dziecko!

- Żwawo zabrała się do gotowania wody, zaczęła szykować mydło karbolowe, świeże ręczniki i czystą koszulę dla Marty, ale jeszcze przez chwilę zastanowiła się:

- Mała Florencja, co?... Florencja jak jej stara babcia

- mruknęła. - Chyba pęknę z dumy, gdy odczytają imię nad chrzcielnicą. Bez dwóch zdań! O tak, bez dwóch zdań! - Zachichotała i ponownie zabrała się do pracy nucąc coś melodyjnie.

Florencja Marta Ratheter.

Ojciec O'Malley zanurzył palce w chrzcielnicy i delikatnie dotknął skroni niemowlęcia, a później półgłosem zmówił modlitwę za jego duszę i zakończył obrzęd, przekazując dziecko w ramiona ojca chrzestnego - dwudziestosześcioletniego młodzieńca o miłej powierzchowności, który z wierzącym się niemowlęciem na ręku wyglądał wielce nieporadnie.

- Proszę, Marto, może ty ją weź - powiedział, wyciągając do niej ręce z zawiniątkiem otulonym szalem, jakby w obawie, że może je nagle wypuścić.

- Och, Barty - przecież cię nie ugryzie! - zaśmiała się Marta.

Gdy odebrała od niego dziecko, Barty'emu mocniej zabiło serce. Uderzyło go, jak ponętnie wyglądała w jasnopopielatej sukni, opadającej swobodnie do bioder, gdzie tworzy szeroki, obcisły pas, i rozszerza się do kolan. Czarne pończochy podkreślały kształt jej nóg i drobnych stóp, obutych w dobrze dobrane, zapięte wokół kostek buciki na obcasach. Długie, czarne włosy, teraz rozpuszczone, przykrywał twarzowy, włożony na bakier, biały filcowy beret.

Chcąc przedłużyć tę chwilę, Barty trzymał dziecko pomiędzy sobą a Martą, a jego zielonkawe, cętkowane oczy z przyjemnością spoglądały na jej uśmiechniętą twarz.

- Prześlicznie wyglądasz, Marto - szepnął. - Naprawdę prześlicznie, moja droga.

Marta dostrzegła błysk pożądania w spojrzeniu Barty'ego Bendalla i zadrzała. Natychmiast jednak powiedziała sobie, że przecież Barty już zbyt wiele lat patrzył na nią w ten sposób, by miała się tym jeszcze przejmować. Jak daleko sięgała pamięcią, on i jego matka zawsze byli najbliższymi sąsiadami Fletcherów. Od najmłodszych lat Marta bawiła się razem z Barty'ym, razem chodzili do szkoły i razem dorastali. Marta zawsze miała mgliste podejrzenia, że Barty żywi do niej jakieś uczucie, chociaż z jej strony nic takiego nie było. W sumie był jednak dość sympatyczny i Marta na swój sposób nawet go lubiła. Podobnie jak Barty nie miała rodzeństwa i chyba ich zażyłość w naturalny

sposób wypełniała tę lukę. W dzieciństwie przyjemnie było mieć w sąsiedztwie rówieśnika. Marta sądziła, że się już ożenił albo przynajmniej zaręczył, ale okazało się, że Barty, jak powiedziała jej mama, „zmienia dziewczyny jak rękawiczki”.

Marta przypuszczała, że jest po prostu flirciarzem. Sądząc choćby po tym, w jaki sposób teraz na nią patrzył, nietrudno było uwierzyć, że robi z tymi biednymi kobietami, co zechce. Musiała przyznać, że te zielone, cętkowane oczy i bujna, falująca, kasztanowata czupryna czyniły go dość atrakcyjnym. Nie był wprawdzie wysoki ani szczególnie postawny, ale trzymał się prosto, niemal po żołniersku, a pojawiający się czasem w jego przejrzysto-zielonych oczach błysk i zawadiacki uśmiech z pewnością dodawały mu uroku. Dzisiaj, z okazji niedzieli wielkanocnej i chrzcina małej Florencji, miał na sobie swój najlepszy, ciemny, prążkowany garnitur oraz olśniewająco białą koszulę, której wąski kołnierzyk został tak mocno nakrochmalony przez oddaną mu bez reszty matkę, że teraz wpijał mu się bezlitośnie w szyję niczym garota.

Postanawiając nie traktować poważnie jego obcesowych zalotów, Marta delikatnie odebrała od niego dziecko i szepnęła figlarnie:

- Gdybym była na twoim miejscu, Barty... odpięłabym ten najwyższy guzik. Inaczej zadusisz się na śmierć!

Widząc, że jego szczere komplementy zostały zlekceważone, Barty mruknął coś rozdrażniony i odwrócił się nadąsany.

Później, gdy po chrzcinach całe towarzystwo zebrało się w saloniku przytulnego domku przy ulicy Stonegate, Curt objął Martę i wyszeptał jej do ucha:

- Coś ty takiego powiedziała Barty'emu? Od tamtej chwili biedak jest w okropnym nastroju!

- Nic, co mogłoby go urazić - zaprotestowała Marta - po prostu co jakiś czas trzeba mu delikatnie przypominać, że jestem mężatką!

Curt wyprostował się i utkwiał ciemny wzrok w Barty, który wyglądał już na nieźle podchmielonego. Przez jakiś czas przyglądał się jego drobnej postaci, wyobrażając sobie, co Barty może przeżywać i współczując mu trochę. Później ponownie nachylił się ku Marcie i szepnął jej do ucha:

- Wiesz, jakoś mi go żal. Biedak jest w tobie najwyraźniej zadurzony!

- Nonsens! - odparła Marta. - Mama mówi, że ma taką masę dziewczyn, że nie zawracałby sobie mną głowy. - Jednak w duchu przyznała Curtowi rację i przebiegł ją dziwny dreszcz.

W tej chwili obiekt ich rozmowy podniósł wzrok znad kieliszka i na widok utkwionych w nim ciemnobrązowych oczu Marty posłał jej swój najbardziej

ujmujący uśmiech, po czym odgarnął z czoła kosmyk miękkich, kasztanowatych włosów i unosząc w górę kieliszek, oznajmił dziarskim głosem:

- Za zdrowie małej Florencji! Niech cieszy się długim, po bożemu przeżytym życiem! - Co powiedziawszy, osunął się bezwładnie na ziemię, przewracając przy tym krzesło i stół - i tak zakończyła się uroczystość.

Tego wieczoru, gdy Polly i Florencja ułożone zostały już do snu, Curt pociągnął Martę na stojącą obok sofę, śmiejąc się głośno, gdy pisnęła, że obicie z końskiego włosia kłuje ją w nogi.

- Nie przejmuj się, kochanie - pocieszył ją - teraz, kiedy chrzciny mamy już za sobą, może wkrótce będzie nas stać na wygodniejszą kanapę, co?

Marta przytuliła się do niego i zamruczała, jak wspaniale byłoby, gdyby udało im się przekonać gospodarza, aby wymienił te wszystkie ciężkie, ciemne meble na lżejsze i ładniejsze. - Tylko że on nigdy tego nie robi - stwierdziła na zakończenie. - Bo po co? Może tu wstawić najgorsze graty, a komorne i tak będzie dostawał! - Nie przepadała za gospodarzem, który kupił parę domów na ulicy Stonegate i nieustannie szukał powodów, żeby podnosić czynsz. Poza tym znany był z tego, że nie dbał zbytnio o lokatorów i gotów był bez żadnych skrupułów, pod byle pretekstem wyrzucić ludzi na bruk. Nigdy bowiem nie brakowało biedaków czekających tylko na to, aby móc się wprowadzić.

- Nie psujmy sobie takiego miłego dnia rozmowami o tej kutwie - poprosił Curt z tak komiczną miną, że Marta dostała napadu śmiechu.

Parę chwil później spoczywała w objęciach męża, który objął ją opiekuńczo i głaskał czule jej smukłe palce. Pomyślała wtedy, że większego szczęścia trudno już chyba w tym życiu oczekiwać. Gdy poczuła na głowie dotyk jego warg, a po chwili jego twarz zanurzyła się w jej ciemnych, rozpuszczonych włosach, serce Marty przepełniła tak nieopisana radość, że trudno jej było powstrzymać okrzyk szczęścia. Podnosząc głowę, utkwiała w nim rozmarzone spojrzenie i przez długą, błogą chwilę patrzyli sobie w oczy, spleceni w uścisku i całkowicie szczęśliwi.

- Kocham cię, Marto - szepnął Curt przy jej ustach. - Zawsze będę cię kochał.

- I ja ciebie, najdroższy - zamruczała Marta, podając usta do cudownego, zapierającego dech w piersiach pocałunku. Minęły już trzy miesiące od urodzenia Florencji, a nie kochali się jeszcze od tamtego czasu. Wreszcie nadeszła ta chwila i... och, jakże ona go pragnęła.

Na razie jednak trwali w czułym uścisku, patrząc na płonący przed nimi ogień, w którego krzepiącym blasku siedzieli zadumani - Marta delektując się

tą chwilą, a Curt w bardziej melancholijnym nastroju, pogrążony w myślach o przeszłości, która nadal zagrażała jego szczęściu.

Po chwili powrócił myślami do chrzcin córeczki i, siłą rzeczy, do człowieka, z którego głębokiej miłości do Marty boleśnie zdawał sobie sprawę. Coś skłoniło go nagle, aby o tym wspomnieć:

- Ależ Barty Bendall się upił! Nie wiedziałem, że ma pociąg do kieliszka.

- Och, wcale nie ma! - Marta wzięła Barty'ego w obronę. - Nie pamiętam, żebym kiedykolwiek widziała go choć trochę podchmielonego! - Uśmiechnęła się czule: - Wiesz, Curt, Barty jest w gruncie rzeczy łagodny jak baranek. Zobaczysz! Przyjdzie tu jutro zawstydzony i pełen skruchy.

- Płaszczyc się przed kobietą! Co za pomysł! - uśmiechnął się Curt.

Marta żartobliwie chwyciła go za ucho i napomniała:

- Ja nie jestem byle kobietą, mój panie! Więc uważaj, co mówisz - w twoim własnym interesie!

- Och, dobrze wiem, co leży w moim interesie - powiedział cicho Curt i przyciągnął ją do siebie.

Marta spoważniała i pomyślała o tym, w jakim stanie był Barty, gdy odprowadzono go do domu. Coś musi go trapić, skoro aż tak się spił. Miała nadzieję, że nie chodziło o nią!

- W sumie jednak chrzciny się udały - stwierdził Curt, uwalniając żonę z objęć. Podszedł do kominka, poruszył pogrzebaczem węgle i ustawił osłonę z metalowej siatki.

Tymczasem Marta podniosła ze stolika lokalną gazetę i zaczęła przeglądać jedną z rubryk.

- Wiesz, Curt, to był naprawdę miły gest ze strony mamy, że zamieściła w gazecie wzmiankę o chrzcinach. Zupełnie nie mogę zrozumieć, dlaczego zrobiłaś taką awanturę, kiedyś się o tym dowiedział. To miała być dla nas niespodzianka. Mama nie chciała nas rozzłościć i było jej przykro, żeś się tym tak przejął.

Mamrocząc, że nie przepada za niespodziankami, Curt zręcznie ominął śliski temat. Wyciągnął ręce do Marty, by podnieść ją z kanapy, i zaproponował miękko:

- Chodźmy do łóżka, dobrze? Może tam będziemy mieli bardziej pasjonujące tematy do rozmowy. - Trudno było nie domyślić się, o co mu chodzi, gdy przyciągnął ją do siebie i łagodnie skierował w stronę schodów. Przez cały czas nie dawała mu jednak spokoju myśl o tej drobnej, zdawałoby się nieszkodliwej notatce w gazecie, którą babcia Fletcher w triumfalnym geście podetknęła mu pod nos. Och, dobrze wiedział, że miała najlepsze

intencje. Ale ta wzmianka mogła być właśnie czubkiem klina, który był w stanie w okrutny sposób zniszczyć ich szczęście. Curt miał nadzieję, że tak się nie stanie! Na Boga, naprawdę miał taką nadzieję!

Rozdział drugi

Zarówno z charakteru, jak i z wyglądu Fran Ratheter była ponura i zawzięta. Była drobną kobietą o krótko przyszyżonych włosach i bystrych piwnych oczach. Miała dwadzieścia siedem lat, choć sprawiała wrażenie o dziesięć lat starszej.

Rozgoryczona niedawnym rozpadem swojego ostatniego związku, wiedzioną zachłannością i wyrachowaniem, wróciła do hrabstwa Lancashire, gdzie z właściwą sobie przebiegłością zamierzała oprzeć podstawy swego bytu na jednym z dawniejszych związków. Obiecywała sobie całkiem dostatnie życie, jeśli połów okaże się udany.

Po trzech tygodniach poszukiwań w okolicy straciła już prawie nadzieję na odnalezienie Curta. I wtedy, wertując lokalną gazetę, natrafiła na pewien artykuł. Donosił on o chrzcinach drugiej córki Marty i Curta Ratheterów z Preston. Zachowując wszelkie środki ostrożności, Fran Ratheter skontaktowała się zarówno z redakcją gazety, jak i z kościołem, o którym była mowa. Starając się sprawić wrażenie grzecznej i układnej, zdobyła wreszcie potrzebne informacje: dowiedziała się adresu rodziny Ratheterów. Stamtąd dwukrotnie udała się za Curtem do jego pracy w przedzalni Centenary przy ulicy New Hall - pierwszy raz, aby dowiedzieć się, gdzie pracuje, a drugi - już z zamiarem zagadnięcia go. Jednak w ostatniej chwili jak na złość opuściła ją odwaga.

Ale dzisiaj, tego pogodnego kwietniowego poranka, nie pozwoli już sobie na taką słabość. Nazywa się przecież Fran Ratheter!

O piątej rano opuściła nędzny pokój hotelowy, wsiadła do tramwaju na bulwarze i usadowiła się na niewygodnym siedzeniu zbitym z listewek. Po pół godzinie wysiadła i weszła w ulicę Puffin. Dokładnie w chwili, gdy syrena w przedzalni oznajmiła rozpoczęcie dnia pracy, wypatrzyła wysoką, zgrabną postać Curta, zmierzającego ku bramie.

Nie zważając na zaciekawione spojrzenia robotników śpieszących do pracy, Fran Ratheter stanęła pod lampą, gdzie Curt nie mógł jej nie zauważyć, i

wpatrywała się w znajomą, zbliżającą się szybko postać. Długo czekała na tę chwilę i już zaczęła się nią delectować, w nadziei, że wreszcie karta odwróci się i znów dopisze jej szczęście.

Podniecała ją jeszcze inna myśl - o tym, jak wstrząśnięty i zaskoczony będzie Curt, gdy ją zobaczy. Ale nawet ona nie była w stanie wyobrazić sobie, jakie druzgocące wrażenie wywrze na wyłaniającym się z płynącego tłumu Curcie widok jej drobnej postaci i wypatrujących go oczu, wyzierających z wynędzniałej twarzy, wyrażającej nie ukrywaną niechęć.

Curt Ratheter poczuł, że cały jego świat wali się w gruzy. Gdy tak stał, wstrząśnięty i sparaliżowany widokiem tej postaci z jego najgorszych sennych koszmarów, bez większego trudu można by go było namówić do uduszenia jej za to, co mu wyrządziła w przeszłości i za to, co jeszcze mogła zrobić.

Teraz, gdy Fran Ratheter była już pewna, że Curt ją dostrzegł, podeszła bliżej, ani na chwilę nie odrywając oczu od jego twarzy, która teraz pokryła się kredową bladością. Gdy Fran stanęła tuż przed nim z butną miną i chytrym spojrzeniem, Curt poczuł, że całe jego ciało drży. Nie wiedział - ze strachu czy z wściekłości.

- Czego, do diabła, chcesz? - warknął.

Jakąż odrazę i nienawiść budziła w nim ta kreatura. Gdy ożenił się z nią przed ośmiu laty, był zaślepionym, porywczym dwudziestojedynolatkiem, a ona - choć o rok od niego młodsza - była już kobietą doświadczoną i sprytną. Po paru zaledwie miesiącach małżeństwa zaczęła rozglądać się za innymi, lecz on - młody i zbyt wtedy wyrozumiały - wierzył w jej obietnice poprawy. Kiedy poroniła dziecko, którego tak gorąco pragnął, współczuł jej - dopiero znacznie później dowiedział się, że nie było to jego dziecko i że poronienie nie było naturalne, lecz zostało wywołane sztucznie przez jakąś jej zaufaną przyjaciółkę. Potem było jeszcze jedno dziecko, które przyszło na świat martwe. Tatusiem okazał się własny ojciec Curta. Gdy wyszło to na jaw, uciekła z teściem i zamieszkali razem, a straszny skandal, który się rozpętał, spowodował, że matka Curta doznała ciężkiego zawału. Ta dobra, łagodna kobieta, którą tak bardzo kochał, w wieku trzydziestu dziewięciu lat odeszła z tego świata. A za wszystko ponosiła odpowiedzialność stojąca teraz przed nim podła i bezwstydną kreatura - Fran Ratheter! Nie mógł stłumić w sobie nienawiści do niej!

- A! Widzę, że nie bardzo cieszysz się na mój widok, co? - z triumfem oznajmiła Fran i szybko przeszła do rzeczy. Potrzebowała pieniędzy! Curt może opłacić jej milczenie lub zostanie aresztowany za bigamię. - I nie wyobrażaj sobie, że się wykręcisz! - zagroziła. - Nie będziesz miał szans, gdy

im powiem, jak bardzo cię kochałam i potrzebowałam. A kiedy im opowiem, jak cię błagałam, żebyś mnie nie zostawiał po poronieniu... A co z pobiciami? Był z ciebie niezły drań! I nie licz na to, że twój stary cię z tego wyciągnie. Znalazł sobie jakąś lafiryndę, która natychmiast puściłaby go kantem, gdyby miała być przez niego zamieszana w jakiś skandal! - Triumfalnie odchyliła do tyłu głowę. - A poza nim nie masz już nikogo, co? Żywej duszy, która chciałaby się wychylić, żeby ci w czymś pomóc! O tak, twoja mamusia poruszyłaby niebo i ziemię, żeby cię obronić. Ale jej już nie ma, prawda? Biedaczka gryzie już ziemię!

Słuchając tej lawiny kłamstw i obelg, Curt stał wyprostowany, patrząc na nią z odrazą, panując jednak nad odruchem, by chwycić ją za gardło i skręcić jej kark. Ale gdy wyrzuciła z siebie te ostatnie, okrutne słowa, coś w nim pękło. Rzucił się naprzód, złapał ją i potrząsnął jak szmacianą lalkę.

- Na pomoc! Na pomoc! - krzyknęła w obawie o własne życie.

Nagle odciągnęli go od niej dwaj krzepcy mężczyźni, z których jeden wykrzyknął:

- Jezu, on naprawdę chce ją zabić!

Curt nie był pewien, czy tak właśnie by się nie stało, gdyby nie ich interwencja. Przeraził się, że naprawdę mogło się tak skończyć.

- Widzieliście wszystko, nie? Widzieliście, jak się na mnie rzucił, jak mnie chciał zadusić na śmierć?

Jesteście świadkami, prawda? - Fran Ratheter zaniósł się nieszczerym szlochom, a obaj mężczyźni zapewnili ją, że z całą pewnością wszystko dokładnie widzieli.

- Czy nie moglibyście pójść do domu i tam, w spokoju, załatwić swoich spraw? - spytali, patrząc na wstrząśniętego, drżącego Curta Rathetera. Dobrze wiedzieli, że z powodu kobiety mężczyzna może czasem posunąć się do ostateczności.

Gdy świadkowie odeszli, Fran Ratheter zbliżyła się do Curta i zgrzytliwym głosem spytała:

- No więc jak? Zapłacisz mi za milczenie?

- Prędzej się w piekle spotkamy! - krzyknął, odwrócił się na pięcie i ruszył z powrotem tam, skąd przyszedł, podczas gdy ona pobięła za dwiema oddalającymi się postaciami - swoimi świadkami. Ach, tak! Spotkają się w piekle, co? No, już ona się postara, żeby znalazł się tam o wiele wcześniej od niej!

Następne dwie godziny były chyba najdłuższymi godzinami w życiu Curta. Rozwidniało się, a on błędził gdzieś po ulicach Preston, cierpiąc katusze i

pierwszy raz w życiu doświadczając tak dojmującego lęku. Dręczony okrutnym poczuciem winy, zastanawiał się, dlaczego zaniedbał sprawę rozwodu, o który błagał ją już parę lat temu? Dlaczego nie stawiał jej czoła z większą energią? Rozwód byłby zupełnie niezgodny z całym jego katolickim wychowaniem, ale jakie właściwie pocieszenie dała mu ta religia, gdy najbardziej go potrzebował? Nie liczył zresztą na to, nie był bowiem człowiekiem zbyt religijnym - przestrzegał pewnych form jedynie ze względu na matkę. Nadal czynił sobie wyrzuty, choć tak naprawdę zrobił wówczas wszystko, co mógł, by jakoś wybrnąć z tego nieszczęsnego małżeństwa. Ale w końcu, gdy matka modliła się nieustannie, żeby wszystko się jakoś ułożyło, ojciec zionął nienawiścią do Curta, kiedykolwiek ten się pojawił, a ta wredna kreatura nękała go nieustannie, odechciało mu się czegokolwiek. A potem, kiedy matka odeszła, wszystko straciło sens.

Gdy przed czterema laty po prostu zniknął, by gdzie indziej rozpocząć nowe życie i zapomnieć o udrękach przeszłości, poznanie ślicznej Marty wydało mu się znakiem nieba, że wszystko już będzie dobrze. Zakochali się w sobie tak szybko i bez reszty, że nie potrafił pozbyć się dręczącej obawy, iż utraci ją, jeśli tylko Marta dowie się, że on ma już żonę-heterę, która go co prawda nie chce, ale nie zwróci mu wolności. Powinien był wówczas zaryzykować i wszystko jej wyznać! Raz czy dwa omal tego nie uczynił. Nawet w przeddzień ślubu był o krok od przyznania się. Ale Marta była taka niewinna i ufna, tak podniecona białą suknią i ślubem, starannie zorganizowanym przez uwielbiających ją rodziców za niemal wszystkie ich ciężko zapracowane oszczędności, że nie miał sumienia, by to zrobić. A poza tym, co teraz gorzko sobie wyrzucał, nie miał również odwagi.

- Tchórz! - głos Curta zadźwięczał w mrocznej uliczce, a jego zwinięta w pięść ręka uderzyła w mur. Nie zwrócił uwagi na ból w poranionych i krwawiących kostkach, a gdyby mogło to cofnąć czas i wszystko naprawić, byłby gotów własnymi rękami rozebrać wszystkie domy na tej ulicy. W końcu, znużony, z ciężkim sercem skierował kroki ku ulicy Stonegate i swej ukochanej rodzinie, nie potrafiąc powstrzymać gorzkich łez, które cisnęły mu się do oczu. Bez względu na to, czy ta mściwa kobieta rzeczywiście spełni swoją groźbę powiadomienia władz, nie miał już innego wyjścia, jak wyjawic Marcie całą prawdę o swojej przeszłości. Skończyły się wybiegi i życie nieustannie przepełnione lękiem. W głębi serca Curt czuł, że utraci przez to wszystko swoją śliczną Martę.

Wlókł się noga za nogą znajomą ulicą w kierunku domu jak człowiek ciężko doświadczony przez los. Kiedy w końcu minął róg i podniósł zwieszoną głowę,

żeby znaleźć numer dwudziesty, w zdumieniu otworzył usta i rozwarł szeroko oczy. A jednak Fran Ratheter spełniła swoją groźbę!

Przed małym szeregowym domkiem, w którym mieszkał, stał czarny urzędowy samochód. Przy drzwiach czekał policjant i z groźną miną bacznie rozglądał się dokoła. Zaintrygowani sąsiedzi wylegli na ten widok na ulicę w swoich domowych ubraniach, tworząc niewielkie, żywo perorujące grupki. Wszystkie oczy zwróciły się ku niemu, gdy zdecydowanym krokiem szedł ulicą do domu. Obrzucił policjanta poważnym spojrzeniem i wszedł do środka. Jakież ból i wstyd sprawił Marcie w zamian za jej cudowną miłość. Nie śmiał wierzyć, że mu kiedykolwiek wybaczy.

Od chwili przybycia policjanta, czyli od dwudziestu minut, oszołomiona Marta zupełnie nie wiedziała, co począć. Nie mogła uwierzyć w te wszystkie okropności, które usłyszała - że Curt z samego rana rzucił się na jakąś kobietę. Znacznie gorsza była jednak wiadomość - tak wstrząsająca, że jeszcze teraz jej konsekwencje nie dotarły do niej w całej pełni - że kobieta ta utrzymuje, iż jest prawowitą żoną Curta Rathetera!

Czując, jak zamiera jej serce i mącą się myśli, Marta niezbyt uważnie słuchała natarczywych pytań funkcjonariusza. Czy wie, dokąd mógł pójść Curt? Czy zna jakieś miejsce, w którym mógł się ukryć, na przykład mieszkanie jakichś przyjaciół? A może uważa, że pojawi się w końcu w domu?

- Dajcie dziewczynie spokój! Nie widzicie, że jest półprzytomna? - Babcia Fletcher przyjechała rannym tramwajem z Church do Preston, tak jak każdego poniedziałkowego poranka od czasu, gdy trzy miesiące temu przysłała na świat małą Florencja. Poniedziałek był dniem przeznaczonym na pranie i Marta, obarczona dwojgiem małych dzieci, zawsze cieszyła się z pomocy matki. Była szczególnie wdzięczna za jej obecność dzisiejszego ranka, bo bez niej chyba nie dałaby sobie rady z tymi strasznymi, niespodziewanymi wiadomościami na temat Curta. Nawet teraz, gdy funkcjonariusz siedział za dużym prostokątnym stołem pośrodku pokoju, a Marta z matką na szorstkiej kanapie, wydawało jej się, że tkwi pośrodku jakiegoś okropnego koszmaru, z którego, jeśli tylko szczerze się pomodli, zaraz się przebudzi.

Wyprzedzając o dwa kroki funkcjonariusza, Curt podszedł do drzwi małego saloniku, i widok, jaki ukazał się jego oczom, ugodził go w samo serce. Na kanapie, na której ze swoją ukochaną Martą spędził tyle czułych, cudownych chwil, siedziała właśnie jego ubóstwiana żona. W jej objęciach gaworzyło dziecko, wyciągając swoje małe paluszki, by pobawić się ustami matki, ale Marta była tak pochłonięta myślami, że wcale tego nie zauważała. W tej właśnie chwili ból, wypełniający duszę Curta, osiągnął apogeum, bowiem

Marta, wyczuwając jego obecność, podniosła nagle wzrok i spojrzała na niego swymi dużymi, ciemnymi oczyma. Zobaczył w nich taki ból, że mógł już tylko w duszy poprosić Boga o przebaczenie.

Na widok Curta zarówno funkcjonariusz, jak i babcia Fletcher wstali z miejsc. Policjant spytał, czy nazywa się Curt Ratheter, natomiast babcia Fletcher rzuciła się ku niemu, indagując go gniewnie:

- To prawda, co mówią? Miałeś już żonę? - Jej wzburzony głos załamał się, gdy z rozpaczyny wypisanej na jego twarzy odgadła prawdę. - Och, ty łajdaku! - załkała głośno, a gdy Polly zaczęła wyrywać się z jej objęć z krzykiem: „Tatusiu! Tatusiu!”, przycisnęła dziecko mocniej do siebie, mówiąc: - Cichaj, aniołku! Chodź, pójdiesz z babcią do kuchni, dobrze? Założę się, że jest tam jakaś świeża, słodka bułeczka! - Wstyd jej było, że naraziła małą na oglądanie takiej sceny. Obietnica bułeczki wydawała się skuteczna, bo babcia Fletcher wymaszerowała z dzieckiem z pokoju, rzucając przelotne spojrzenie Marcie - miała taki wyraz twarzy, że babcia najchętniej rozerwałaby chyba tego łotra na kawałki.

W chwilę potem Curt Ratheter został poinformowany o przysługujących mu prawach, zaaresztowany i bez większych ceregieli wsadzony do czekającego na zewnątrz samochodu. Nie zamienił z Martą ani jednego słowa - zdążyli tylko rzucić na siebie przejmujące spojrzenia.

Gdy jakiś czas później babcia Fletcher zamknęła drzwi i w małym domku wreszcie zapanowała cisza, Marta nadal siedziała bez ruchu. I gdy wzburzonym jeszcze głosem matka zapytała ją: - Dobrze się czujesz, kochanie? Jak ci pomóc? - nie od razu była w stanie odpowiedzieć. Jedną ręką trzymając przy sobie dziecko, drugą wyciągnęła w kierunku swojej kochanej mamy.

Widząc rozpacz malującą się na łagodnej twarzy matki, Marta zdała sobie sprawę, że nie ona jedna cierpi.

- Nic mi nie jest, mamó - powiedziała, zmuszając się do uśmiechu. - Nie martw się.

Więcej nie udało się z niej wyciągnąć. Pewne sprawy musiała w sobie przetrwać - sprawy, których za nic w świecie nie potrafiła zrozumieć. Kiedy na początku policjant wyjaśnił cel swojej wizyty, Marta się tylko zaśmiała. Tłumaczyła mu cierpliwie, że jej mąż, Curt Ratheter, w żadnym razie nie mógł być tym, którego poszukują. Przecież byli małżeństwem od czterech lat! Chyba nikt nie był taki szczęśliwy, jak oni! Mieli dwie urocze córeczki! Jej mąż nigdy nikogo by nie pobił, a tym bardziej kobiety! Nie! Z pewnością było to jakieś zupełne nieporozumienie!

Gdy jednak ujrzała w progu Curta z tym strasznym wyrazem twarzy, w głębi duszy zrozumiała to, przed czym tak się broniła. Curt rzeczywiście był tym człowiekiem, którego poszukiwała policja. Gdy przedstawiono mu krótko zarzuty, nie zaprzeczył niczemu. Potwierdził tylko swoją tożsamość, potem mówił już niewiele. Dla Marty jednak przyznanie się do winy wypisane było na jego smutnej twarzy.

Zanim sprawa Curta weszła na wokandę, Marta widziała się z nim w areszcie tylko raz. Doświadczenie to, aczkolwiek koszarne, było mniej straszne niż wstrząsające odkrycie, że ona sama wcale nie jest jego żoną - że przez cztery lata ją oszukiwał, szargając coś, co było dla niej świętością.

Po jego aresztowaniu zajęła się codziennymi sprawami związanymi z wychowaniem dzieci. Z małą Florencją nie było większych problemów, natomiast Polly była czasami niepokieszona, martwiąc się o tatusia i płacząc z tęsknoty za nim, aż Marta zaczęła się niepokoić, że biedactwo nabawi się w końcu jakiejś choroby.

Jak to jednak bywa, gdy ktoś jest w potrzebie, z pomocą pośpieszyli najbliżsi, wobec których Marta zaciągnęła ogromny dług wdzięczności.

- A daj ty mi spokój, dziewczyno! - opędał się od niej dziadek Fletcher, kiedy gorąco mu dziękowała. - Po to jest w końcu rodzina, nie?

Kiedy wkrótce stało się jasne, że bez zarobków Curta Marta nie będzie w stanie utrzymać domku przy ulicy Stonegate, rodzice natychmiast zaprosili ją razem z dziewczynkami do siebie. Dziękowała Bogu za takich rodziców. Nieoceniona w tej trudnej sytuacji okazała się również najstarsza przyjaciółka babci Fletcher. Ciocia Bett była czarującą kobietą, nie miała własnych dzieci i ubóstwiała Martę, a teraz martwiła się o nią nieustannie.

- Ufaj Bogu, dziecko - powtarzała ciągle. - Jestem pewna, że wszystko się jakoś ułoży! Ale nigdy nie zdołam go zrozumieć, kochana. Jak on mógł coś takiego zrobić?

Podczas jedynych odwiedzin u Curta, gdy siedzieli po dwóch stronach szerokiego stołu, przedzieleni kratą, w towarzystwie umundurowanego funkcjonariusza, który przysłuchiwał się każdemu ich słowu, Marta zadała mu to samo pytanie:

- Dlaczego, Curt! Dlaczego to zrobiłeś? - I łzy zakręciły się jej w oczach, gdy patrzyła na jego bladą, wymizerowaną twarz.

Gdy cichym głosem zaczął wyjaśniać, jak bardzo bał się, że ją utraci, Marta poczuła, że mięknie jej serce. Słuchała z uwagą i współczuła mu szczerze, bo choć ją unieszczęśliwił, kochała go nadal aż do bólu. Ale przepełniał ją też gniew za to, że potrafił stanąć w domu bożym przy niej, ubranej w

symbolizującą czystość biel, i złożyć te same ślubowania małżeńskie, które wcześniej składał innej kobiecie. A także gniew, że mógł żyć w kłamstwie przez wszystkie te lata, gdy byli ze sobą jako mąż i żona. I jeszcze o to, że przyczynił się do przyjścia na świat dwóch uroczych dziewczynek, dobrze wiedząc, że musi nadejść dzień, kiedy jego mroczna tajemnica zaważy na ich życiu, i to jeszcze bardziej niż na życiu rodziców, w zasadzie bowiem Florencja i Polly były teraz naznaczone piętnem nieprawego pochodzenia. O ile Marta mogła mu wybaczyć cierpienie, jakie zadał jej samej, o tyle darować krzywdę, jaką wyrządził tym dwóm niewinnym aniołkom, było nieskończenie trudniej.

Wydawało się, że Curt również głęboko przeżywa konsekwencje, jakie to może mieć dla ich córek.

- My oboje nauczymy się, jak sobie z tym radzić, Marto - powiedział - ale dziewczynki są właściwie bezbronne i trzeba je chronić przed ludzkimi językami.

Gdy próbowała mu przerwać uwagę, że powinien był pomyśleć o tym wcześniej, podniósł dłoń, mówiąc:

- Wysłuchaj mnie do końca. Długo o tym myślałem i... - tu schylił na chwilę głowę, odchrząknął i ciągnął dalej - nie jest mi łatwo to powiedzieć, Marto... ale muszę! Kocham cię bardziej, niż kiedykolwiek będę w stanie to wyrazić. Zawsze będę cię kochał. Ale nie chcę, abyś przychodziła więcej na widzenia. Rozumiesz? - I nie czekając na odpowiedź, ciągnął dalej: - Fran nigdy nie da mi rozwodu, wiem o tym. Nie da nam spokoju... nawet jak odsiedzę całą karę. Nie ma dla nas przyszłości, Marto, rozumiesz? Żadnej przyszłości dla nas i żadnej przyszłości dla dzieci! One potrzebują ojca i nazwiska. Och, Marto - nie oczekuję od ciebie przebaczenia. Błagam cię tylko - zapomnij o mnie i pozwól zapomnieć o mnie dzieciom. Są jeszcze małe. Zapomnij o przeszłości i zacznij nowe życie. - Uśmiechnął się smutno i dodał ciszej: - Tak mi strasznie przykro, Marto.

Patrzył na nią, tak bezradną i zapłakaną, gdy słuchała jego okrutnych słów, i czuł dotkliwy ból. Bóg jeden wiedział, jak ją uwielbiał! Ale przecież właśnie gdy się modlił, usłyszał odpowiedź. Musi pogodzić się z faktem, że na zawsze utracił Martę i dzieci! Nie miał już prawa ani do nich, ani do ich miłości.

Po wyjściu z ponurej sali na ulicę zalaną promieniami jasnego majowego słońca Marta wróciła myślą do słów Curta i swojej obietnicy, że zastosuje się do jego decyzji. Wszystko to dręczyło ją niemiłosiernie, choć nie wątpiła w niezwykłą odwagę, jaką musiał w sobie wzbudzić, by wypowiedzieć te słowa. Również i ona musi zdobyć się na podobną siłę i odwagę - ze względu na dzieci. Jakież dojmujący ból czuła jednak w sercu!

I jakże kochała Curta!

Wkrótce sąd hrabstwa Lancashire rozpatrzył sprawę Curta Rathetera, która cieszyła się sporym zainteresowaniem. Niektórzy krytykowali sędziego, uznając wydany przez niego wyrok siedmiu lat więzienia za zbyt surowy. Ale byli też i tacy, którzy przyjęli go z aprobatą, głośno argumentując:

- W zupełności sobie na to zasłużył! Nie to, co ta biedna, Bogu ducha winna istota, która została z dwojgiem małych dzieci bez nazwiska.

- Słusznie - odparł ktoś inny. - Albo jego prawdziwa żona... Aż się serce kroilo na widok tej biedaczki, opuszczonej, chociaż błagała, żeby został. I jeszcze miał czelność zarzucać jej wierutne kłamstwa! Co za łajdak! Co do mnie, jestem pewien, że to właśnie on nie powiedział ani słowa prawdy!

- I jeszcze ją pobił! Przecież ci dwaj świadkowie widzieli, jak prawie ją zadusił na śmierć. Och, mówię wam, ten Ratheter to drań, jakich mało!

Podobnie jak większość tych, którzy z przejęciem śledzili proces, i ten obserwator był zdania, że Ratheter powinien dziękować Bogu, iż nie został oskarżony o usiłowanie zabójstwa!

Co do Marty, usnęła tej nocy znużona płaczem, przy boku babci Fletcher siedzącej na jej łóżku i przeklinającej w duchu dzień, w którym Curt Ratheter pojawił się w ich życiu.

Rozdział trzeci

Olaboga! - babcia Fletcher, podtrzymując pulchnymi dłońmi swą obszerną suknię, żeby się o nią nie potknąć, okrążała truchtem duży, stary stół, umykając przed chichoczącym dzieckiem. - Ratunku! Pomocy! - krzyczała, udając przestach, a mała Polly pokładała się ze śmiechu, zachwycona zabawą. Wyczerpana i bez tchu, staruszka opadła w końcu na głęboki, kwiecisty fotel, trzęsąc się ze śmiechu, a mała natychmiast wdrapała się jej na kolana. W jednej chwili zarzuciła babci na szyję cienkie rączki i równie zdyszczanym głosem zaczęła nalegać:

- Jeszcze, babciu! Chodź, jeszcze!

- Na miłość boską, dziecko! - zaprotestowała babcia Fletcher. - Moje stare nogi już nie dają rady! Słowo daję, już nie mogę! - Przytuliła Polly do siebie, przez chwilę trzymając ją w czułym uścisku. Słyszając, że Marta wychodzi z sypialni, gdzie układała do snu małą, babcia szepnęła Polly do ucha:

- Szybko! Mamusia idzie, żeby cię położyć do łóżka. Zobaczymy, czy cię znajdzie, co? No, dalej! - I dodała jeszcze ciszej: - Schowaj się w fotelu dziadka. Nieprędko cię tam znajdzie!

Kiedy Marta otworzyła drzwi i weszła do saloniku, matka wesołym mrugnięciem dała jej do zrozumienia, że Polly jest właśnie w trakcie zabawy - specjalnie wymyślonej dla niej zabawy, która miała ją pochłonąć i zmęczyć do tego stopnia, aby przestała myśleć o tatusiu. Z czasem i babcia, i dziadek Fletcher tak bardzo nawykli do tej zabawy, że oddawali się jej z coraz większą przyjemnością. I rzeczywiście, w ciągu paru tygodni od przeprowadzki z Stoneygate na ulicę Henry w Church dręczące dziewczynkę koszmary na szczęście stawały się coraz radsze.

Z jakiegoś powodu Marta czuła się tego wieczoru szczególnie zmęczona. Przez cały dzień w jej myślach przewijał się Curt i dręczyły ją obawy o

przyszłość dzieci. Po zakończeniu procesu, gdy Curt został osadzony w więzieniu, Marta poczuła się słabsza i bardziej samotna niż kiedykolwiek przedtem. Wiedziała, że powinna poczynić jakieś plany na przyszłość. Ale jakie? Cóż mogła zrobić, mając pod opieką dwoje małych dzieci? Dokąd miałyby pójść i jak ułożyć ich wspólne życie? Pomimo stałych zapewnień matki, że mogą tu zostać, jak długo będą chciały, Marta uznała, że tak być nie może. Malutki domek był w stanie pomieścić bez trudu dwie osoby, ale przy pięciu ciasnota dawała się we znaki. Poza tym jej rodzice nie byli już tacy młodzi - matka miała pięćdziesiąt osiem lat, a ojciec sześćdziesiąt pięć. Dla osób w tym wieku dziecięce harce były z pewnością uciążliwe, choć oni sami stanowczo temu zaprzeczali.

Westchnęła w duchu i udając, że szuka Polly, powiedziała głośno:

- Czy nikt tu nie widział małej dziewczynki imieniem Polly? - na co schowane dziecko zaczęło krztusić się ze śmiechu. Skradając się wśród mebli, zaczęła się po raz kolejny zastanawiać, czy nie przyjąć jednak złożonej jej przez Barty'ego propozycji małżeństwa. Był nadzwyczaj wytrwały, chociaż tłumaczyła mu kiedyś, że wprawdzie i ona, i jej dzieci bardzo go lubią, ale nie kocha go w taki sam sposób, jak on ją. Jej serce i myśli nadal związane są z Curtem i chyba tak już pozostanie. Barty zapewnił ją, że to nie ma znaczenia:

- Moja miłość pokona wszystkie przeszkody. Zresztą jestem pewien, że z czasem i ty mnie pokochasz, Marto. Poza tym, dziewczynki potrzebują ojca, a ja przysięgam, że będę o was dbał najlepiej, jak potrafię. Możemy przenieść się do Blackburn, przecież mam tam pracę. Nie będzie żadnych kłopotów ze znalezieniem jakiegoś mieszkania. Zajmiesz się domem, stworzysz ognisko rodzinne, a ja będę zarabiał na życie. Och, naprawdę, Marto - nalegał - zgódź się! Powiedz, że za mnie wyjdiesz!

Dla Marty było całkiem jasne, że Barty rzeczywiście ją kocha. Był bardzo czuły dla dzieci, choć wydawało się, że Polly nie przepada za nim aż tak, jak mała Florencja. Trzeba jednak wziąć pod uwagę, pomyślała Marta, że Polly jeszcze nie całkiem doszła do siebie po wstrząsie, którego doznała, gdy jej tatuś „został zabrany przez tego pana”. Na Barty'ego przychylnym okiem spoglądał również dziadek Fletcher. Gdy Marta zwierzyła mu się z oświadczyn Barty'ego, opuścił na kolana gazetę, poświęconą tego dnia głównie wizycie Gandhiego w mieście Blackburn, i podkreślił swoje sumiaste wąsy, drugą ręką głaszcząc małego teriera, wylegującego się, jak zwykle, u jego stóp. Z błyskiem w oku oznajmił Marcie:

- Mogłabyś trafić gorzej, dziewczyno. Z tego, co wiem, ten Barty Bendall to robotny chłopak, do tego każdy widzi, że on za tobą szaleje!

Babcia Fletcher skwapliwie podzieliła jego zdanie.

Wyglądało więc na to, że jedyną osobą, która miała jeszcze jakieś wątpliwości, była sama Marta. Często siadała z piórem nad kartką papieru, pisząc długie, pełne miłości listy do Curta. Później wielokrotnie je czytała, szepcząc jego imię i w głębi duszy ponownie przeżywając cudowne chwile, które razem spędzili, by wreszcie, jak zwykle, podrzeć list na strzępy i położyć się spać ze łzami w oczach. Teraz jednak zrozumiała, że musi przestać się łudzić. Choć jej zbolełemu sercu trudno było się z tym pogodzić, prawda była po prostu taka, że Curt miał żonę, ale nie była nią ona! Musi teraz przede wszystkim zadbać o dobro dzieci.

Później, gdy dzieci i dziadkowie spali już mocno, Marta usiadła na dole w saloniku, rozmyślając nad przyszłością i złorzecząc Curtowi za to, do czego ich doprowadził. Ale mimo całego gniewu, zawsze żyła w niej miłość do niego, miłość, która nie sprawiała jej ani bólu, ani przyjemności. Po prostu była, jak bicie jej serca.

- Marto! - z zadumy wyrwał ją niecierpliwy głos zza okna, a po chwili usłyszała znów ten sam głos i stukanie w szybę. - Marto, to ja, Barty. - I rzeczywiście, gdy Marta wyjrzała przez okno, zobaczyła w mroku Barty'ego czekającego, by go wpuścić. - Muszę z tobą pomówić - nalegał.

Gdy tylko wszedł, skierował się od razu do kominka, w którym dogasał żar. Marta rozpałała tego dnia ogień, bo było szczególnie chłodno. Tylko dlatego pozwoliła sobie na to, gdyż sytuacja zmuszała ją teraz do oszczędności.

- Ale mróz! - zatrzęsł się Barty, zacierając ręce i grzejąc plecy w ciepłe kominka. Marta uśmiechnęła się na ten widok, bo w jego wykonaniu nawet ten prosty, zwykły gest nabierał sztywnego, surowego, wojskowego charakteru. - Przyniosę ci coś gorącego do picia - zaproponowała, wstając z miejsca.

- Nie, nie! - Barty podszedł i usiadł obok niej, zaglądając jej w twarz swymi cętkowanymi, zielonymi oczyma. - Chcę ci coś zaproponować... Posłuchaj...

- Och, Barty! - Marta czuła, że po raz kolejny będzie jej się oświadczał.

- Nie. Posłuchaj, co chcę ci powiedzieć, Marto - poprosił, kładąc rękę na jej dłoni. - Byłem u człowieka, który załatwia sprawy związane z mieszkaniami komunalnymi. - Widać było, że jest coraz bardziej podekscytowany. - I znalazłem mieszkanie! Marto, znalazłem dla nas mieszkanie w Blackburn. Porządny, solidny dom na ulicy Regent. Och, czy wyjdiesz za mnie teraz? Czy pozwolisz, żebym zaopiekował się tobą i dał dziewczynkom nazwisko? - Widząc, że Marta się waha, dorzucił kolejny argument: - Pomyśl o tym, co będzie, kiedy Polly pójdzie do szkoły. Jak biedactwo będzie się czuło, kiedy wyjdzie na jaw, że jest... z nieprawego łoża? Że nie ma ojca, którym mogłaby

się chlubić? I co w ogóle będzie z waszą trójką? Nie widzisz, że mogę wam zapewnić normalny dom i utrzymanie? Marto... nie widzisz?

Pomimo dręczących ją obaw co do tego, jak ułoży się jej życie z Barty, Marta dobrze zdawała sobie sprawę z korzyści, jakie mógł przynieść ten związek - zyskałaby własny dom, żywiciela rodziny, ojca i nazwisko dla dziewczynek. Wszystko to było bardzo kuszące, ale choć ona i dziewczynki na pewno by na tym skorzystały, to Barty i tak nie mógłby liczyć na jej miłość. Marta mówiła mu to już wielokrotnie i powtórzyła to teraz jeszcze raz.

- Wierz mi, Marto, nie będę się narzucał, dopóki nie poczujesz się gotowa. Ale mam już dwadzieścia siedem lat! Najwyższy czas, żebym się ustatkował i założył rodzinę - przekonywał ją gorąco. Ścisnął jej dłoń i roześmiał się: - A gdzie znajdę coś lepszego niż taka gotowa rodzinka, co? Och, Marto, proszę! Pozwól, żebym był dzisiaj najszcześliwszym człowiekiem w Church, zgódź się!

Pod wpływem niezwyklego uporu i wytrwałości Barty'ego, a przede wszystkim ze względu na dobro dzieci, Marta w końcu uległa, modląc się, by nigdy nie musiała tego żałować. Ale już teraz, przystając na propozycję Barty'ego, czuła w głębi duszy pewien niepokój. I gdy Barty przypieczętował jej zgodę pocałunkiem, to choć jego wargi dotknęły jej ust, przed oczami miała obraz Curta.

Pomyślała jednak, że Curtowi być może właśnie Barty'ego Bendalla najłatwiej byłoby zaakceptować. Przecież sam nieraz mówił jej, jak Barty za nią przepada.

Następnego dnia była sobota. Na wieść o tym, że Marta przyjęła oświadczenia Barty'ego, obie rodziny zebrały się w saloniku rodziców Marty, urządzonym najlepszymi rodzinnymi meblami babci Fletcher, wśród których królowało stare pianino. Ku zaskoczeniu Marty, babcia Fletcher spróbowała nawet coś na nim zagrać, ale dźwięki, które się rozległy, były tak straszne, że dziadek Fletcher krzyknął:

- Jezus Maria, kobieto! Chcesz nas wszystkich ogłuszyć czy co?

Nadaśana babcia Fletcher zamknęła wieko i usiadła z powrotem przy stole, gdzie czekały już kieliszki domowego wina z czarnego bzu. Śmiejąc się i przekrzykując, wzniesiono w końcu toast za zdrowie młodej pary. Przymuszona przez matkę, która nalegała, że „trzeba należycie uczcić tę uroczystość i Marta musi nam swoim pięknym głosem zaśpiewać jakąś piosenkę”, Marta odśpiewała prześliczną irlandzką kołysankę.

- Zasłużyłaś na całusa! - wykrzyknął Barty pochylając się ku niej i dotykając ustami jej warg.

Na ten widok Polly zanosła się nagle niepohamowanym szlochem. Marta chwyciła dziecko w objęcia.

- Chyba jest za bardzo podekscytowana tym wszystkim - powiedziała, ale sama nie do końca w to wierzyła. Coś mówiło jej, że córka Curta jeszcze nie całkiem pogodziła się z jego utratą. Tak jak ja, pomyślała, ale ja chyba nigdy się z tym nie pogodzę.

Wkrótce towarzystwo rozeszło się. Dzieci zostały położone do łóżek, a dziadek Fletcher wsadził nos w gazetę, narzekając na stosunek premiera Ramseya Macdonalda do bezrobotnych. Babcia pomogła Marcie w sprzątaniu, a Barty wyszedł, bo miał gdzieś popytać o jakieś meble.

Jego matka, Connie Bendall - niewysoka, pulchna kobieta o stalowosiwych włosach i ładnych czarnych oczach - dziękowała wszystkim wylewnie.

- Było cudownie - powiedziała do babci Fletcher, a po czym zwróciła się do Marty: - Będę się modlić, żebyście byli szczęśliwi.

Po powrocie do domu z czułością spojrzała na oprawione w srebrną ramkę zdjęcie poważnego mężczyzny w żołnierskim mundurze i zmówiła jeszcze jedną modlitwę.

- Modlę się do Boga, żeby zaopiekował się nią i dziećmi. Tak, nie przeczę, że będzie mi go brakowało,

Jack - na pewno będzie! Ale od paru lat, kiedy to Marta wybrała innego mężczyznę, on popadł chyba w jakąś obsesję! - Smutny uśmiech pojawił się na jej twarzy, gdy mówiła dalej: - Och, przeżyliśmy takie piękne chwile, gdy był dzieckiem, pamiętasz? Barty cię uwielbiał, prawda, Jack? A ja już niedługo pójdę za tobą i nie chciałabym, żeby został całkiem sam. Wolę mieć nadzieję, że wszystko ułoży się jak najlepiej, wiesz, Jack? Marta jest taka śliczna... Może ona jakoś na niego wpłynie... To jego apodyktyczne usposobienie... A do tego, gdy będzie miał rodzinę na utrzymaniu, nie starczy mu już pieniędzy na hazard. Oj, było z nim utrapienie, Jack, było! Ale módlmy się i miejmy nadzieję, że będą szczęśliwi, bo on nie jest przecież taki zły, prawda?

Skończyła i poszła podumać spokojnie w swoim ulubionym fotelu. Wkrótce zapadła w głęboki sen, bowiem stare serce Connie Bendall było ostatnio u kresu sił.

CZEŚĆ DRUGA

1937 Marta i tyran

Rozdział czwarty

Marcie zabiło gwałtownie serce, gdy kątem oka zauważyła wysoką, niewyraźną postać mężczyzny, stojącego na przystanku tramwajowym. Coś w zarysie barczystych ramion i gęstej, ciemnej czuprynie sprawiło, że zaparło jej dech w piersi.

Przysłaniając ręką oczy od światła jarzącego się w tramwaju, którym jechała, zbliżyła twarz do szyby, starając się za wszelką cenę dojrzeć twarz mężczyzny, skrył ją jednak panujący na zewnątrz mrok.

Gdy tramwaj zatrząsł się i stanął, Marta zobaczyła, jak wysoki, ciemnowłosy mężczyzna podchodzi bliżej, ukazując twarz w świetle padającym zza szyb tramwaju. Kiedy zobaczyła go wyraźnie, jej serce ścisnęło się boleśnie i odwracając smutny wzrok, zaczęła sobie wyrzucać naiwność. Oczywiście, że to nie był Curt! Jakim cudem mógłby to być on? Curt Ratheter przebywał w więzieniu od ponad pięciu lat, w czasie których Marta zaznała niewiele szczęścia. Jediną jej pociechą były ubóstwiane dzieci.

Mężczyzna, którego tak niemądrze wzięła za Curta, wszedł do tramwaju i usadowił się tuż przed nią, nie zdając sobie sprawy z zamętu, jaki wywołał w jej duszy. Gdy siadał, Marta rzuciła na niego z tyłu ostatnie spojrzenie i to wystarczyło, aby w jej myślach ruszyła lawina wspomnień.

Odwracając oczy w kierunku okna, Marta zaczęła się zastanawiać, czy kiedykolwiek będzie w stanie zupełnie o nim zapomnieć. Na razie jednak, udając, że śpi, pograżyła się w tak drogich jej sercu, choć bolesnych wspomnieniach chwil, jakie spędziła z Curtem. Pod powiekami gromadziły jej się łzy. Nie przejmowała się tym, że ktoś może zauważyć jej smutek, bowiem połowa pasażerów była pogrążona we śnie. Było dopiero wpół do szóstej tego

zimowego ranka i większość śpiących stanowili robotnicy, z trudem wiążący koniec z końcem, zatrudnieni w różnych przędzalniach na Cicely Brew.

Blackburn było miastem włókienniczym, a jego mieszkańcy, podobnie jak w wielu innych miastach hrabstwa Lancashire, zarabiali na życie pracując w ogromnych, posępnych budynkach z epoki wiktoriańskiej, których ponure zarysy wyglądały na tle nieba jak rzędy strażników pilnujących położonych u ich stóp miast. Ludzie byli wdzięczni za pracę, jaką dawały te wielkie fabryki, były to bowiem lata wielkiego kryzysu, który szczególnie dał się we znaki na północy Anglii, i wiele osób było pracy pozbawionych. A ilu rodzinom głód zaglądał w oczy! Ludzie byli bardzo rozgoryczeni, narastały uczucia sprzeciwu wobec rządu, który zdaniem wielu osób odwrócił się od świata pracy.

Tramwaj toczył się hałaśliwie po szynach, a krzepiący, rytmiczny stukot żelaznych kół łagodnie kierował myśli Marty ku przeszłości, która jednak w dużej mierze istniała dla niej nadal. We dnie i w nocy nieustannie nękało ją poczucie rozdarcia pomiędzy wiernością uczuciową a przyjętym zobowiązaniem. Była żoną ojca swojego małego synka, z drugiej zaś strony nadal beznadziejnie, rozpaczliwie kochała innego - ojca swoich dwóch córek. Czułe wspomnienia, wypełniające teraz jej umysł, rozjaśniły jej piękną twarz ciepłym blaskiem. Coraz bardziej oddawała się bolesnemu rozpamiętywaniu szczęśliwej przeszłości.

Gdy ślubowała wierność przystojnemu, ciemnowłosemu Curtowi Ratheterowi, była młodą, dwudziestoletnią dziewczyną. W ciągu czterech następnych lat, pełnych miłości i oddania, Marta dała mu dwie córki - Polly i Florencję. Dziewczynki były zbyt małe, aby pamiętać, a tym bardziej zrozumieć wypadki, które zburzyły świat ich rodziców i uczyniły je same dziećmi nieślubnymi, Martę zaś postawiły w nie wyjaśnionej, dwuznacznej sytuacji.

Gdy Curt został aresztowany pod zarzutem bigamii, Martę ogarnęła fala niedowierzania, bólu i w końcu strasznego gniewu, przez który jej miłość do Curta wydawała się bezpowrotnie stracona. Przepęłniało ją poczucie spustoszenia i przerażenia, od którego nie mogła się uwolnić.

Dopiero później, w czasie procesu, gdy Marta ujrzała tę kobietę-potwora, z którą Curt był w swoim pierwszym, nieudanym związku, zrozumiała, jak mógł dopuścić się tego strasznego czynu. Uświadomiła sobie w końcu jasno, że wszystkie jego poczynania wypływały z siły i piękna jego uczuć do niej oraz z wielkiego szczęścia i miłości, które ich łączyły, i to pozwoliło jej pozostać przy zdrowych zmysłach. I czyż kiedykolwiek mogłaby zapomnieć o decyzji, jaką podjęli w ponurym więziennym pokoju, w obecności policjanta kontrolującego

każde ich słowo i spojrzenie, decyzji podyktowanej szczerą troską o dobro ich dwóch kochanych córeczek, które nie ponosiły przecież żadnej winy za to, co się stało. Marta nigdy nie próbowała zmienić ich wspólnego postanowienia, wiedząc, że jest ono słuszne, ale nigdy nie opuścił jej żal, że zostało ono podjęte.

Tramwaj zatrząsł się i stanął, nagłym szarpnięciem wyrywając Martę z zadumy i przypominając jej o długim, ciężkim dniu, jaki czekał ją przy krosnach. Z wagonu wysypali się robotnicy z zaspanymi oczyma, wymięci i znużeni jeszcze przed rozpoczęciem pracy, i podążyli w kierunku przędzalni.

- Dzień dobry, Martuniu... trochę chłodno, co... psa by o tej porze nie wygonił!

- Cześć Marto, zbliża się weekend... Bogu dzięki! Okutani w grube okrycia robotnicy wykrzykiwali

wesoło pozdrowienia, kuląc się w przenikliwym zimnie i mozolnie pnąc się w górę do Cicely, gdzie rozrzuconych było wiele przędzalni.

Marta serdecznie odwzajemniała przyjazne pozdrowienia. Często przychodziło jej do głowy, że niedostatek dziwnie zbliża ludzi i sprawia, że bardziej cenią sobie wzajemne kontakty. Podobnie i tutaj wyraźnie zacieśniały się więzy między robotnikami, podnosząc ich na duchu. Byli to twardzi ludzie, odporni na przeciwności losu. Ich wewnętrzna siła pozwalała im brać życie takim, jakie ono jest, nawiązywać nowe przyjaźnie i podtrzymywać stare. Gdy cierpiał jeden, cierpieli wszyscy. A jeśli komuś coś się powiodło - na przykład wygrał drobną sumę na wyścigach - wszyscy inni dzielili z nim tę radość. Stanowili jedną wielką, szczęśliwą rodzinę i dla wszystkich z nich było miejsce w sercu Marty.

Opatuliła się szalenie szalikiem i przyspieszyła kroku, patrząc przed siebie błyszczącymi, zdecydowanymi oczyma. Zbliżając się do trzydziestki, nadal była piękną kobietą o wielkiej łagodności i wspaniałym charakterze, taką, o jakiej mężczyźni marzą, a kobiety poważają.

A jednak jej życie naznaczone było trudem, ubóstwem i nieustanną walką o to, by związać koniec z końcem. Jej mąż Barty, starszy od niej o trzy lata, był nałogowym hazardzistą i pijakiem, i nie starał się w niczym ulżyć jej doli. Zamiast stanowić dla niej podporę, był tylko dodatkowym ciężarem. Ale Marta Bendall należała do tego rzadkiego, wywołującego podziw gatunku ludzi, którzy nigdy się nie poddają. Zdolność stawiania czoła przeciwnościom losu miała we krwi, a jej wielkie serce było otwarte dla wszystkich, pomimo tylu zmartwień, które ją trapiły. W głębi tego serca tkwiło niewzruszone postanowienie, by jak najlepiej wykorzystać to, co dobry Bóg dla niej

przeznaczył... i nigdy nie przestać dziękować Mu za największy dar - za ukochane dzieci.

Thum robotników śpieszących każdy do swojej przędzalni rozproszył się na wierzchołku Wzgórza Cicely, a ich cichnące głosy całkiem zagłuszył przeraźliwy dźwięk syreny fabrycznej, oznajmiającej, że do rozpoczęcia pracy pozostało jeszcze tylko pięć minut.

- No, dalej, Marto! Pomarzyć to sobie mogłaś rano w łóżku! A może twój chłop ci nie dał, co?

Marta odwróciła się na dźwięk prostackiego śmiechu, który wyrwał ją z zamyślenia:

- O, Stary Fred, dzień dobry - powiedziała, przystając na jedną małą chwilkę, by zatrzeć ręce w ciepłe buchającym z koksia. Stary Fred był nocnym stróżem. Nie brakowało mu tupetu, ale w gruncie rzeczy był nieszkodliwym człowieczkiem, zawsze skorym do sprośnych żartów. - Nie sądziłam, że o tej porze jeszcze cię tu spotkam - dodała, uśmiechając się filuternie. Wiesz, co się stanie, jeśli zaskoczy cię światło dzienne? Uschniesz... tak jak ten hrabia Drakula.

Stary Fred ryknął śmiechem, przyjmując z uznaniem jej dowcip, a jego zbyt obszerna czapka, która jedynie dlatego nie spadała mu na twarz, że opierała się na uszach, zakołysała się niebezpiecznie. Marta, zresztą bez cienia złości, już dawno stwierdziła, że Stary Fred przypomina jej groteskowego maskarona - nieszkodliwego, choć przeraźliwie brzydkiego!

- Dalej, staruszkule - powiedziała ciepło - najwyższy czas, abyś znalazł się w domu, w ciepłym łóżku. Noc była pewnie długa i zimna, co? - Odwróciła się w kierunku przędzalni Bainesa. - Muszę już lecieć odbić kartę! Liczy się każdy grosz! Na razie, Fred.

- Na razie, dziewczyno! - odkrzyknął w ciemność. Marta zatrudniła się w przędzalni Bainesa przed trzema tygodniami, kiedy to mały Barty poszedł do szkoły. Nie było jej łatwo - praca była bardzo nużąca. Ale cieszyła się, że może zarobić parę dodatkowych, zawsze potrzebnych szylingów.

Rzeczą najbardziej dokuczliwą, do której najtrudniej było jej się przyzwyczaić, był hałas. Nieustanny, przenikliwy łoskot maszyn, połączony z rytmicznym dudnieniem, ogłuszał i boleśnie szarpał nerwy. W olbrzymim wiktoriańskim budynku, w którym upływały Marcie dni, warsztaty tkackie i przędzarki rządziły myślami i życiem ludzi. Prowadzenie przez robotników normalnej rozmowy było fizycznie niemożliwe. Próby dosłyszania zwykłego ludzkiego głosu, pośród przytłaczającego łoskotu tych niestrudzonych maszyn skazane były na zupełne niepowodzenie. Dlatego też z pomysłowością

zrodzoną z potrzeby robotnicy z hrabstwa Lancashire opracowali swój własny, bezgłośny, choć funkcjonalny sposób porozumiewania się. Dzięki swojemu specjalnemu językowi, opartemu na gestach i czytaniu z ust, oszukiwali dudniące maszyny, które zrobiły z nich niemowy.

Na półce została już tylko karta Marty. Wszyscy zdążyli odbić swoje i odłożyli je na drugą półkę. Wsunęła żółty kartonik w szczelinę nad zegarem w chwili, gdy wskazówki dochodziły do szóstej - świetnie - szepnęła, klepiąc zegar z wdzięcznością. - W samą porę!

Otwierając ciężkie, zielone drzwi do szatni, słyszała, jak jedna po drugiej ruszają maszyny. Wskoczyła z płaszcza, wrzuciła go w pośpiechu na wieszak i pobiegła do swojej maszyny.

- Hej, Marto! Gdzieś ty się, do diabła, podziewała?

- Tom Atkinson był nadzorcą. Wielki jak słoń, sylwetką przypominał szpulę na bawełnę, zwężającą się ku końcom, a wybrzuszoną pośrodku. Jego zaczerwienione i wiecznie załzawione oczy nie były w stanie na niczym się skupić, bowiem gdy lewe próbowało zatrzymać się na czymś dłużej, prawe zupełnie odmawiało posłuszeństwa, aż w końcu oczy rozbiegały się każde w inną stronę. Wtedy już zupełnie nie można było określić, na kogo patrzy biedny Tom! Na dobitkę wszystkie te żalosne próby odbywały się za wąskimi, nie oprawionymi szklami, tkwiącymi na czubku jego długiego, przypominającego kartofel nosa.

- Co znowu! Wcale się nie spóźniłam, Tomie Atkinson! Przecież dopiero szósta! - Marta знаła swoje prawa i obowiązki.

- No tak... - nadzorca niepewnie pogroził jej palcem.

- No tak... - powtórzył słabo, oddalając się już wzdłuż rzędu przędzarek. - Uważaj! Tylko uważaj! - rzucił za siebie, ośmielony rosnącym dystansem.

Marta uśmiechnęła się, obserwując oddalającą się szybko postać:

- Biedny, stary Tom... - mruknęła. - Żeby kazać mu nadzorować taki babiniec!

Nie odsłaniając swych długich czarnych włosów, zręcznie owinęła wokół głowy szalik, tak że powstał z niego obcisły, dobrze dopasowany turban, osłaniający wspaniałe włosy przed kłakami bawełny, które miały wkrótce wypełnić pomieszczenie jak lepkie płatki śniegu. Sięgnęła do małej drewnianej szafki pod skrzynką na szpule, wyjęła miękkie pantofle i włożyła je zamiast chodaków, w których przyszła. Potem założyła zielony drelichowy fartuch z głębokimi kieszeniami. Zawiązała go w pasie, sprawdziła, czy dolny odbieralnik wypełniony jest do końca pustymi szpulami i włączyła maszynę.

Choć Marta była dość opanowana, włączanie olbrzymiej maszyny było dla niej bardzo nieprzyjemne.

Maszyny wyglądały groźnie. Wielkie, żelazne monstra, dumne i władcze, ciągnęły się bez końca wzdłuż, wszerz i w górę. Każda miała ponad dwadzieścia metrów szerokości i, jak się wydawało, tyleż wysokości. Sięgając niemal wysokich wiktoriańskich stropów, przyćmiewały światło i tłumiły ludzkie głosy. Na całej szerokości każdej maszyny wirowały setki szpul, skrzypiąc pod ciężarem obracającej się bawełny.

Nie można się było nadziwić własnym oczom, widząc, jak te potworne konstrukcje wyrzucają z siebie bawełnę, cienką i czystą niczym delikatne pasma babiego lata. Bawełna wypływała obfitym strumieniem, skręcając się i zawijając wokół czekających na nią szpul, które wirowały i puchły od ciężkiego ładunku. Gdy ciężkie szpule były całkiem pełne, usuwały je zabiegane kobiety, które bez chwili wytchnienia, systematycznie posuwały się z jednego końca rzędów pęczniejących szpul na drugi, migając swoimi barwnymi turbanami.

Częste zmiany pełnych szpul na puste przebiegały bardzo sprawnie. Puste szpule szybko i z dużą wprawą zakładano na wirujące pręty. Po paru zaledwie minutach świeżo założone szpule były już całkiem pełne, nie pozwalając będącym w ciągłym ruchu kobietom nawet na chwilę wytchnienia. Aby nadażyć, musiały dwoić się i troić, i wiele początkujących ze łzami poddawało się, nie mogąc sprostać żarłocznym maszynom. Kobiety wrzucały pełne szpule do jutowych toreb zwisających u pasa. Gdy torby przepełniały się, robotnice przerzucały ich zawartość do dużych, kwadratowych koszy z wikliny. Te z kolei opróżniano do wielkich wózków na kołach, które liczna grupa „wózkowych” regularnie odstawiała na inny poziom przędzalni. Z cienkiej bawełny tkano następnie niezliczone metry czystego, nowiuteńkiego płótna, rozsyłanego na cały świat i sprzedawanego w kraju. Nawet Mahatma Gandhi był zafascynowany całym tym procesem, gdy przybył tu z wizytą jakieś pięć lat temu.

Z pewnością wszystko to było niezwykle fascynujące, choć dla robotników oznaczało niewdzięczną i niezwykle wyczerpującą pracę. Mimo to nigdy nie brakowało tu tego charakterystycznego dla ludzi z Lancashire żywiołowego humoru ani solidnego podejścia do wykonywanej pracy.

Marta Bendall również odznaczała się tymi zaletami. Tryb życia męża zmuszał ją do samodzielnego szukania źródeł dochodu, aby związać koniec z końcem, nie skarżyła się jednak na swój los i nie miała wielkich wymagań, podobnie jak i inni robotnicy.

- Wszystko w porządku, Martuniu?

Duża Berta wymówiła dobitnie każde słowo w nie ubłaganym huku wypełniającym powietrze.

Wprawnym okiem Marta szybko oceniła sytuacji, w rzędzie wirujących szpul. Miała niecałą minutę, bo wiem szpule, które nieustannie wymieniała, nie był jeszcze całkiem pełne. Bała się jednak całkiem odwrócić od nich uwagę.

Trudna, bezgłówna rozmowa przebiegała w ruchu i każda z nich musiała czekać, aż druga poświęci jej pełną uwagę, by móc ustami przekazać jej słowa tak, by były zrozumiałe, mimo że nie zostały wypowiedziane.

- Słyszałam, że Tom Atkinson się ciebie czepiał! Ten to ma tupet! - Duża Berta zaśmiała się żywiołowo, jej pełne ciało zaczęło trząść się i podrygiwać, nieme usta otworzyły się szeroko, a oczy niemal zniknęły w pulchnej, pofałdowanej twarzy - wszystko to razem sprawiało dość osobliwe wrażenie. - Biedaczyna! Ale mu wszyscy włożą na głowę! Posłuchu za grosz! - Jej zwinne, wprawne palce migwały, ilustrując słowa. Marta lubiła Dużą Bertę. Właściwie Berta powinna była już niedługo przejść na emeryturę razem ze swoim „kochanym staruszkiem”, z którym przeżyła ponad czterdzieści lat. Ale niedawna utrata syna, który zmarł po długiej chorobie, okazała się zbyt silnym ciosem dla starego człowieka. Po prostu nie był w stanie tego przeboleć... Duża Berta straciła więc również swego „kochanego staruszka”, z którym miała spędzić starość. Teraz mieszkała z nią jej słabowita, bojaźliwa synowa z czwórka dzieci, zdając się całkowicie na Dużą Bertę.

Uspodobienie Dużej Berty nie pozwalało jej tracić czasu na zmartwienia i niepokoje. Była potężnie zbudowaną kobietą o wielkim sercu i donośnym głose, który mogły zagłuszyć tylko maszyny. Nie proszona przez nikogo, postanowiła otoczyć opieką młodsze koleżanki, czym zdobyła szczególne miejsce w ich sercach. Nie musiała już pracować przy własnej maszynie, bowiem tak dobrze poznała tajniki jej działania, że uczyniono z niej coś w rodzaju brygadzystki-mechanika, aby jak najlepiej wykorzystać jej umiejętności. Zarówno kobiety, jak i mężczyźni cenili sobie jej opinie i rady dotyczące maszyn i spraw pracowniczych. Czasem, podczas gorączkowego dnia pracy, gdy jakiś przemęczony mechanik padał z nóg albo przeciążona maszyna odmawiała posłuszeństwa, wprawa i cierpliwość Dużej Berty okazywały się ostatnią deską ratunku.

- Tom Atkinson jest w porządku... - Marta przesuwała się do dalszego końca przędzarki, a Duża Berta podążała za nią - nie czepia się, jeśli ktoś pracuje jak należy.

Jej bystre oczy dojrzały pasmo bawełny, wyrzucone przez przepelnioną szpulę. W nadziei, że nikt niepowołany nie dostrzegł marnotrawstwa, zdjęła ją wprawnym ruchem z trzpienia, a cienkie bawełniane włókna zawirowały w powietrzu.

Zwinnymi szybkimi ruchami Marta nałożyła na wirujący trzpień pustą szpulę i nakierowała na nią drgającą bawełnę, która natychmiast zaczęła się na nią nawijać.

- Lepiej na razie nie będę ci przeszkadzać, kochana... - Duża Berta dobrze wiedziała, jaki chaos może spowodować parę przepelnionych szpul.

Marta skinęła aprobowująco. Nie było czasu na pogaduszki! Zanim zdjęła z przepelnionej szpuli nadmiar bawełny, cały rząd był już gotów do wymiany.

W ciągu tego długiego męczącego dnia w wolniejszych chwilach najróżniejsze sprawy zaprzętały myśli Marty. Jakoś nie mogła się ciągle otrząsnąć po przeżyciu, jakiego doznała tego ranka w tramwaju, a tkliwe, choć zakazane wspomnienia o Curcie Ratheterze nie dawały jej spokoju. Przyszedł jej też na myśl Barty Bendall i to, jak bardzo się zmienił w czasie ich małżeństwa. Potem pomyślała o trójce swych ukochanych dzieci, z których dwoje, choć o tym nie wiedziało, było dziećmi Curta, a trzeci - mały Bartuś - był zbyt cichy i zamknięty w sobie, by mogła patrzeć na to bez niepokoju.

I Marta, jak zawsze, gdy była przygnębiona, zaczęła śpiewać. Piosenki ginęły w ogłuszającym huku wielkiej maszyny, ale były to piękne piosenki, które podnosiły ją na duchu i sprawiały, że czas mijał szybciej, a życie wydawało się lżejsze i pogodniejsze.

Marta zerknęła co chwila na dużą, wyraźną tarczę zegara, wiszącego wysoko na ścianie, śledząc powolny ruch jego wskazówek, które monotonicznie odmierzały kolejne minuty i godziny tego dłużącego się dnia.

- Dzięki Bogu, jeszcze tylko pół godziny... - bezgłośnie westchnienie ulgi wyrwało się Marcie z piersi, gdy spracowanymi palcami odgarnęła denerwujące kłaczki bawełny osiadające jej na czole, zroszonym błyszczącymi kropelkami potu.

Biorąc głębszy oddech, aby dać wytchnienie znużonemu ciału, kątem oka zauważyła, jak ktoś stojący dalej stara się zwrócić jej uwagę, gestykulując gorączkowo. Była to Daisy Forester, wątłe dziewczę, z zadziwiającą zręcznością obsługujące sąsiednią maszynę. Marta miała wyjątkową słabość do młodej Daisy. Jakiś czas temu ojciec Daisy przestał wywiązywać się ze swoich obowiązków głowy rodziny i odszedł, zostawiając wszystko na głowie matki, która starała się, jak mogła, ale nie zawsze udawało jej się zaspokoić podstawowe potrzeby swoje i czwórki dzieci - Daisy i jej trzech młodszych

sióstr. Na Daisy, jako na najstarszą, spadło, niestety, najwięcej obowiązków, ale nie najgorzej dawała sobie z nimi radę i rzadko się skarżyła.

Marta skupiła całą uwagę na twarzy młodej Daisy, obserwując ruchy jej warg, by zrozumieć, o co jej chodzi. „Która godzina, Marto?” Duży, milczący zegar umieszczony był poza zasięgiem wzroku Daisy, gdyż zasłaniały go przed nią wysokie, poprzeczne belki maszyny.

Marta pomyślała, że dziewczyna wygląda na zmęczoną. Istotnie, twarz Daisy była chorobliwie blada, tak blada, jak jasne, cienkie kosmyki jej włosów, wyglądające spod turbanu. Marta uświadomiła sobie przy tym, że na twarzy młodej Daisy Forester nigdy nie kwitły róże, bo też nie kwitły przecież w jej życiu.

Daisy odczytała z ust Marty odpowiedź i odwróciła się do swojej pracy z uśmiechem pełnym wdzięczności i ulgi, że to już prawie koniec. W ogromnej hali, wzdłuż wszystkich rzędów przedzarek pracownicy uwijały się kobiety w turbanach, starając się ogarnąć nieporządek, który codziennie powstawał wokół maszyn i nie sposób go było uniknąć.

Fabryczna syrena oznajmiła wszystkim, że zakończył się kolejny dzień pracy. Wyłączane przedzarki zaczęły zwalniać obroty, a ich warkot przechodził stopniowo na coraz- niższe dźwięki, aż poszczególne maszyny po kolei milkły.

- No, dalej, Marto! Opróżniaj fartuch! - zwrócił się do Marty mały, krzywonogi człowieczek, gdy zdejmowała z ulgą obcisły turban, spod którego wysypała się ciemna gęstwina włosów. - Czekam! - nalegał. Miał kanciastą, rumianą twarz i jasną czuprynę, przygniecioną teraz obcisłą, płaską czapką. Jego brudny biały kombinezon upstrzony był lekkimi jak puch bawełnianymi kłakami. George Leatherhead był „wózkowym” i niezmiernie szczycił się swoim zajęciem. Robiąc krok do przodu, krzyknął po raz kolejny, jeszcze natarczywiej:

- Dalej, Marto! Chcę już jechać! - Utkwił w Marcie swoje drobne oczka, a gdy się odwróciła i gęste włosy spłynęły jej kruczoczarnymi falami na ramiona, nie potrafił oderwać od niej oczu, uderzony nagle jej pięknem.

Jej ogromne, pełne wyrazu oczy urzekały swą głębią, a teraz jeszcze na ich dnie czaiły się łobuzerskie błyski. Jej zgrabne ciało pochyliło się do przodu i nawet poprzez nie dopasowane, luźne ubranie robocze rzucały się w oczy jej zmysłowe kształty. Wydawała się zupełnie nie pasować do tej hałaśliwej brudnej fabryki. Ale wrażenie, jakie wywołała, szybko przyszło, gdy odcięła mu się bezceremonialnie:

- Ale z ciebie waźniak, George. - I promienny uśmiech rozjaśnił jej twarz, gdy spojrzała na proste rysy niewielkiego George'a Leatherheada. Wiedział, że

tylko się z nim droczy, lecz mimo to nagle poniosła go ambicja, bowiem Marta Bendall była tutaj obiektem westchnień każdego mężczyzny, godnego tego miana, a teraz jej olśniewający uśmiech rozpałił i jego wyobraźnię.

- Właśnie - odparował zuchwale - i nie ma ze mną żartów, Marto Bendall, a jeśli masz wątpliwości, to powiedz tylko gdzie i kiedy, a pokażę ci, co to mężczyzna! - Tak naprawdę jednak George Leatherhead nie miał żadnych złudzeń. Już dawno pogodził się z tym, że taka piękna kobieta pozostanie dla niego nieosiągalna. Teraz robił tylko dobrą minę do złej gry, próbując trzymać fason. Zaskoczony swą własną śmiałością, obrócił się na pięcie, rzucając na odchodnym: - Zresztą mniejsza z tym, zabiorę je rano. - I ruszył dalej z wózkiem, puszczając jeszcze do niej perskie oko.

Biedny George miał jednak pecha, bowiem parę postrzelonych młodych dziewcząt, zawsze gotowych trochę się pośmiać na koniec pracy, dosłyszało jego zuchwale słowa. Nie uszedł daleko, a one opadły go zewsząd, dając wyraz tłumionej w czasie pracy żywiołowości, która przejawiała się teraz salwami śmiechu.

- No, doigrałeś się, George Leatherhead, ty bezwstydniku!

- Nie bój nic, George... nie zrobimy ci krzywdy... chcemy tylko sprawdzić, o co tyle krzyku.

- No, dalej, George! Zdejmuj te cholerne spodnie! Nie mógł się od nich opędzić.

Krzycząc i piszcząc, zaczęły szarpać i ciągnąć go za ubranie, podczas gdy Marta dobroduszenie usiłowała bronić biedaka. Przewróciły go w tej przepychance na podłogę i rzuciły się na niego, mimo jego rozpaczliwych prób obrony.

Zduszone okrzyki: „Złaźcie!” i „Do cholery, bez wygłupów!” rozochociły je jeszcze bardziej i ze zdwojoną energią próbowały bezlitośnie zedrzyć z biednego George'a wszystko, co miał na sobie. George rozpaczliwie starał się ocalić spodnie, bezbronny wśród lasu sięgających zewsząd rąk. Siły były tak nierówne, że w tej beznadziejnej sytuacji biedny George wychodził z siebie, żeby pokonać je siłą perswazji: przekonywał, przymilał się, groził, aż w końcu, dysząc gorączkowo, wykrzyknął resztką tchu:

- Ratunku! Ratunku! Zdesperowany, rzucił jeszcze słabo:

- Odbiło wam chyba! Za chwilę będzie tu nadzorca! To była ostatnia syrena...

Nagle, jakby w odpowiedzi na gorączkowe modlitwy George'a, pośród śmiechów i pisków dał się słyszeć donośny, surowy głos:

- Co tu się, do diabła, dzieje?

Zanim grzmiący głos nadzorcy przebrzmiał, odbijając się echem pośród otaczających ich żelaznych konstrukcji, płatanina rąk i nóg znikła.

Po drugiej stronie hali widać było Toma Atkinsona, zmierzającego wielkimi krokami w ich kierunku. Ciągłe jeszcze chichocząc, dziewczęta puściły pojmanego George Leatherheada, który dysząc ciężko, czerwony jak burak, podniósł się w końcu na nogi. Rozwichrzone, jasne włosy stały mu jeszcze dęba za strachu. Zakładając z powrotem dyndające szelki i doprowadzając do porządku swoje pomięte ubranie, miotał wkoło obelgi, posyłając wszystkich do diabła. Wreszcie, odzyskawszy swą ukochaną czapeczkę, zawieszoną przez którąś z dziewcząt na jakiejś wysokiej belce, chwycił wiklinowy wózek i popędził przed siebie, klnąc, na czym świat stoi.

Dziewczęta, bynajmniej nie skruszone, odwróciły się w kierunku nadzorcy, który z groźną miną zmierzał ku nim, gotów wszcząć dochodzenie. Ale nie stanowił on żadnego realnego zagrożenia. Dobrze wiedziały, jak sobie z nim radzić - robił wokół siebie wiele szumu i na tym się zwykle kończyło.

- No dobra, co tu się dzieje? Co wy, do diabła, wyprawiacie?

Jego rozbiegane oczy spoglądały bezradnie zza cienkich, małych, pozbawionych oprawek szkieł, gdy rozpaczliwie starał się skupić wzrok na chichoczących dziewczętach.

- Och, dałbyś spokój, Tom! To tylko takie żarty... - zaprotestowały, po czym ogarnęła je kolejna fala niepohamowanego śmiechu. Po chwili jednak zdały sobie sprawę z autentycznego gniewu, pobrzmiewającego w głosie rozsierzonego Toma Atkinsona, i śmiechy stopniowo ucichły, a wtedy on krzyknął:

- Żarty, tak? Ja wam dam takie żarty! Popatrzcie tylko na tego biedaka! Omal ducha nie wyzionął ze strachu. Wątpię, czy jego noga kiedykolwiek tu jeszcze postanie!

Gdy wszyscy spojrzeli w kierunku oddalającego się George'a, rozległ się głos Marty, która zawołała figlarnie:

- Nie zapomnij o swojej obietnicy, George! Zobaczymy się później.

Dla George'a Leatherheada w tym momencie przebrała się miarka. Na dźwięk głosu Marty spojrzął spłoszony do tyłu i na widok tyłu wpatrzonych w siebie oczu zagapił się i ruszył do przodu, nie patrząc, dokąd idzie. Kompletnie przerażony, myślał już tylko o tym, żeby się stąd jak najszybciej wydostać. Ziejący otwór zsuwni na kosze był o krok. Jednym ze stałych obowiązków George'a było wpychanie pełnych koszy na zsuwnię, po której zjeżdżały na niższy poziom. Znał na pamięć położenie zsuwni, tym razem jednak nie tylko nie zauważył w porę jej wylotu, ale nawet gdy już się zorientował, że na nią

trafił, zupełnie zapomniał, że powinien puścić popychany kosz. Nagle, wrzeszcząc jak opętany, zniknął wraz z wózkiem i pomknął w dół po zsuwni.

Na jedną krótką chwilę wśród osłupiałych widzów zapadła głucha cisza i dopiero Tom Atkinson, któremu oczy niemal wyszły z orbit, wykrzyknął z niedowierzaniem:

- Chryste! Patrzcie tylko na tego durnia! Zjechał z koszem po zsuwni...

Marta zwijała się ze śmiechu. Wiedziała, że biedak wylądował na dole na czymś miękkim. Dziewczęta, które przed chwilą tak gwałtownie go napastowały, teraz z równym zapałem ruszyły, żeby go ocalić.

Nawet nadzorca Tom nie mógł się powstrzymać i ryknął ze śmiechu, po czym, wciąż śmiejąc się głośno, oddalił się, by dopilnować wyjścia ostatnich robotników.

Po cichnym tupocie stukających po kamiennych podłogach chodaków oraz po barwnym strumieniu zawiniętych w turbany głów zorientował się, że większość zmierzała już ku wyjściu.

W ciągu dziesięciu minut od ostatniej syreny wszystkie piętra miały być już puste, żeby można było dokładnie zabezpieczyć wejścia i wyjścia. Setki robotników z dolnego poziomu tłoczyły się przy głównej bramie.

Zanim Marta dokończyła wymianę pełnych szpul na puste, aby czekały na rozpoczęcie pracy w poniedziałek, a następnie oczyściła i przejrzała maszynę, na górnym poziomie nie było już prawie nikogo.

Delikatny uśmiech zadowolenia pojawił się na jej twarzy, gdy zdjęła miękkie pantofle. Wyjęła z szafki masywne chodaki i wsunęła w nie drobne stopy, zapinając w kostce skórzany pasek. Pomyślała o Polly, swej starszej córce, która kategorycznie odmówiła noszenia chodaków... określając je mianem „rzecznych barek”. To smutne - zadumała się Marta - że wszystkie stare zwyczaje zdają się zanikać wraz z dorastaniem naszych dzieci. Pantofle podobne do tych, które Marta włożyła do szafki, nosiła większość pracujących tu kobiet. Łagodziły one forsowny wysiłek, na jaki narażone były stopy podczas dnia pracy, kiedy to musiały przemierzyć chyba ze trzydzieści kilometrów. Teraz jednak Marta czuła się lekka i wolna, jak zwykle, gdy przebrzmiała ostatnia syrena. Czas do domu.

- Zaśpiewaj nam coś jeszcze, Martuniu - zawołał ktoś z ostatniej wychodzącej grupy.

- Tak! Tak! Piosenkę! - dołączyła się reszta.

Zapiawszy paski przy chodakach, Marta wyprostowała się z uśmiechem. Nie trzeba jej było dwa razy prosić. Otworzyła usta i z głębi jej istoty popłynął niespodziewanie piękny śpiew, wyrażający całe szczęście, jakie teraz

przepelniało jej serce. Marcie nie były potrzebne jakieś szczególne powody, żeby śpiewać. Była to dla niej przyjemność - jej schronienie w chwilach, w których życie stawało się zbyt ciężkie. Śpiewanie stanowiło naturalne przedłużenie jej samej, nieodłączną część jej osobowości. Gdy zabrzmiał śpiew, niektórzy robotnicy, kierujący się już do wyjścia, zawrócili po cichu ze schodów i stanęli oczarowani melodyjnymi dźwiękami.

Często pod koniec dnia robotnicy zwlekali z wyjściem, by móc usłyszeć chwytające za serce tony piosenek Marty. Dźwięczny głos wypełniał powietrze, a ich zmęczone ciała i umysły chłonęły kojące dźwięki i piękne, melancholijne słowa:

Kilka listów modrą wstążką związanych I wyblakła fotografia... lub dwie. Jeszcze róża zasuszona - od ciebie, Wśród pamiętek mych na samym dnie...

Czekali, aż przebrzmia ostatnie tony. Wszyscy tu kochali Martę Bendall i starali się nie przepuścić żadnej okazji, by nacieszyć się tym szczególnym talentem, jaki dał jej Bóg. Głębokie poczucie braterstwa, łączące tych ludzi, wypływało ze wspólnych trosk i niedostatku, a nikt nie był w stanie lepiej wyrazić ich uczuć niż Marta poprzez swoje piosenki.

Teraz, zajęta znów sprawami rodziny i jej utrzymania, Marta pobiegła do szatni. Światła w większości były już pogaszone i w fabryce zapanowała niesamowita pustka, której Marta tak nie cierpiała.

- Co to? - Nastawiła ucha, przystając.

- Marto!

Ściągając brwi, wyteżyła wzrok, by dostrzec coś w półmroku.

- Boże! Ulży mi, jak stąd wyjdę! - szepnęła do siebie, ostrożnie ruszając dalej.

- Psst! Marto! - Serce zabiło jej mocniej, ale nadal nie widząc nikogo, szybko przemierzyła mroczną szatnię. Sięgając po płaszcz, wydała z siebie zduszony okrzyk przerażenia, gdy coś lekko otarło się o jej ramię. Nie było to groźne dotknięcie, raczej delikatne i pieszczotliwe. Jej szeroko otwartym, przestraszonym oczom ukazała się nagle jakaś majacząca w półmroku postać.

Po chwili, gdy z ulgą rozpoznała, kto przed nią stoi, w miejsce nerwowego napięcia pojawił się gniew:

- Na miłość boską, Harry! Przez ciebie omal ducha nie wyzionęłam ze strachu!

Harry Fensome był nieznośny. W pracy jego zadaniem było transportowanie bawełny z rozluźniarki, gdzie podlegała ona rozciąganiu, do przędzarek, takich jak ta, na której pracowała Marta. Nie zrażony gniewem Marty, Harry objął

ramieniem jej szczupłą talię i przyśpieszywszy kroku, zaczął ją prowadzić w przeciwny koniec szatni.

Mówił z akcentem typowym dla mieszkańców hrabstwa Lancashire:

- Przepraszam, kochanie. Nie chciałem cię przestraszyć. - Wyciągnął rękę, by pogłodzić ją po jedwabistym, ciepłym policzku. - Siedziałem tu i nie mogłem się już doczekać, kiedy wreszcie przyjdiesz. - Odgarnął jej z ramienia bujne włosy, pochylił się i zmysłowo przeciągnął ustami po jej odsłoniętej szyi. - Słyszałem, jak śpiewałaś, Marto. Jesteś prawdziwą czarodziejką, nie ma co!

Marta już od dłuższego czasu musiała znosić zaloty Harry'ego Fensome'a, ale nigdy jeszcze nie posunął się tak daleko. Wiedziała, że jedyną szansą wyjścia z tej opresji było zachowanie pozorów uległości. Był zbyt silny, by mogła próbować stawiać mu opór. Jednak ciepło jego warg na szyi i szorstki dotyk obmacujących ją rąk wzbudziły w niej odrazę.

Oswobadzając głowę i prostując się, energicznie naparła na jego silną, szeroką pierś. Harry nie był dużo wyższy od niej, ale za to silny jak niedźwiedź.

- Zostaw mnie, Harry! - powiedziała stanowczo, odpychając go od siebie z całej mocy. On jednak ze zwierzęcą siłą popchnął ją w tył i Marta bezradnie oparła się o stojący za nią wieszak, czując, jak Harry przyciska ją do niego. Dysząc z pożądania, zbliżył usta do jej twarzy, usiłując niecierpliwym językiem rozewrzeć jej wargi.

Harry nie wyróżniał się niczym szczególnym. Był barczystym mężczyzną o przeciętnej urodzie, regularnych rysach twarzy i sylwetce spracowanego człowieka. Jedynie wyjątkowo pociągający głos, pieszczotliwy i łagodnie kojący, wibrujący namiętnością, wyróżniał go spośród innych. Teraz, kiedy przyciągnął Martę do siebie, poczuła, jak w lędźwiach wzbierają mu gwałtownie żądze. Dreszcz przebiegł jej po plecach, gdy z przerażeniem zdała sobie sprawę, że nie pozostaje wobec niego nieczuła. Przemknęło jej przez głowę, że jego głos przypomina głos Curta

Opierając się z całych sił, zaskoczona jego natarczywością, wyrzuciła z siebie ostrzeżenie:

- Jak cię tu złapią, będziesz skończony w przedzalni!

- Nikogo tu nie ma, kochanie, sprawdzałem... - podnieconym szeptem zadyszał jej w twarz. - Jest tylko stróż... ale właśnie teraz je kolację.

- Możliwe, Harry! Ale nie chcę, żeby mnie tu zamknęli! Czekają na mnie w domu. - Marta szybko zrozumiała, że trudno jej będzie pohamować jego energiczne zapędy. Zaczęła się trząść i wyrywać, a w jej głosie zabrzmiał narastający gniew:

- Puść mnie, Harry!

Ignorując jej usilne prośby, Harry zaczął głaskać jej włosy, szepcząc:

- No chodź, dziecinko, to nie potrwa długo.

- Na Boga, Harry! Odsuń się, ja muszę iść do domu! - Marta rozpaczliwie usiłowała uwolnić się z jego stalowego uścisku.

Przygważdżając ją niemal do wieszaka, Harry wyrzucił z siebie zduszonym, zdeterminowanym głosem:

- Chwila, i będzie po wszystkim, Marto... Czuję, że... - Chwycił mocno jej dłoń i powiódł w dół, by poczuła, jak nabrzmiewa mu krocze, wypychając spodnie. - Zobacz - szepnął - to nie poczeka! - Zaczął gorączkowo gmerać przy rozporoku, aż ukazał się twardy, wyprężony członek. Gdy Harry pochylił się ku niej, Marta poczuła w uchu jego gorący oddech i dotyk jego języka na delikatnej skórze.

- Na litość boską, Harry! Puść mnie! - krzyknęła, gdy zaczął odpinać pas u spodni. Sądził widocznie, że będzie uległa, toteż użył do tego obu swych silnych rąk. Marta błyskawicznie wykorzystwała sytuację. Łapiąc w locie z wieszaka swój płaszcz, rzuciła się do ucieczki, głośno stukając chodakami o podłogę. Bojąc się krzyknąć, Harry zawołał za nią półgłosem:

- Marto! Wracaj, głupia!

Ona jednak pędziła co tchu w kierunku głównej bramy. Im bardziej zbliżała się do wyjścia, tym bardziej opuszczał ją strach, ustępując miejsca rozbawieniu.

Od dzisiaj, postanowiła w duchu, poprosi Dużą Bertę, żeby zabierała jej płaszcz! Ten cholerny Harry zachowuje się tak, jakby był ósmym cudem świata! Marta dobrze wiedziała, że nie była pierwszą kobietą, na którą Harry Fensome ostrzył sobie zęby, i pewnie też nie ostatnią. Bezczelny drań!

Chłodne wieczorne powietrze lekko szczypało ją w twarz i tworzyło z jej ciepłego oddechu mgliste, wirujące kształty, które unosiły się wokół niej, by wreszcie rozplynać się w mroku.

Gdy mijała wielką, żelazną bramę, wychodząc na Wzgórze Cicely, w jej głowie tkwiła jeszcze wyraźna postać „Napalonego Harry'ego", jak chyba odtąd będzie go nazywać. Nie mogła powstrzymać chichotu na myśl o tym, jak ze spodniami opadniętymi do kostek prawdopodobnie tłumaczy się przed stróżem, który musiał słyszeć hałas spowodowany jej ucieczką. Komizm tej sytuacji oraz podnoszący na duchu fakt, że był to wieczór piątkowy, dodały jej skrzydeł. Dopiero gdy dotarła do przystanku, zdołała jako tako się opanować i zachowując przynajmniej pozory powagi, wsiadła do tramwaju.

Sadowiąc się na twardym siedzeniu, Marta wkrótce zaczęła myśleć z przyjemnością o nadchodzącym weekendzie. Miała nadzieję, że dziewczynki

wykonały swoje prace i że przygotowały kolację Barty'emu Bendallowi - nie chciała być dzisiaj świadkiem jego kolejnego napadu złego humoru.

Rozdział piąty

Droga od tramwaju do ulicy Regent, gdzie mieszkała Marta z rodziną, zajmowała nie więcej niż pięć minut. Trzeba było przejść obok sklepów ulicą Penny, minąć pub „Okręt” i przejść ulicą Brown przez most do wybrukowanej bocznej uliczki, na której Marta spędziła niemal sześć ostatnich lat.

Niezbyt lubiła tę trasę, szczególnie w jesienno-zimowej porze, tak jak teraz. Boczne uliczki były w tej okolicy słabo oświetlone, lampy migotały złowieszczo, a w ich nikłym blasku tajemnicze cienie budziły poczucie niepewności i zagrożenia. W naturalnym świetle dnia nie było powodów do obaw, ale trudno się dziwić, że pod osłoną nocy wyobraźnia podsuwała obrazy czyhających w mroku niebezpieczeństw.

Martę przeszedł dreszcz i nie tylko chłód był tego powodem. Gdy mrok coraz bardziej gęstniał, ulice zaczęły się szybko zapelniać niepokojącymi cieniami. Owijając się szczelnie płaszczem, szła szybkim, nerwowym krokiem, jakby chciała wyprzedzić tupot swoich stukających o bruk chodaków, rozlegający się echem w milczących uliczkach.

Zbliżając się do mostu przed ulicą Henry, Marta nagle zdała sobie sprawę, że w pewnej odległości przed nią podąża spieszenie naprzód parę innych postaci. Sądząc z ordynarnych krzyków i śmiechów, najwyraźniej kogoś zaczepiali.

Wiedziona nagłym przecuciem, Marta przyśpieszyła kroku, by upewnić się, czy jej podejrzenia są słuszne. Wyteżyła wzrok, starając się dojrzeć coś w ciemności i w końcu zbliżyła się na tyle, by rozpoznać grupkę wyrostków. Nie zauważyli jeszcze zbliżającej się do nich szybko Marty, pochłonięci pościgiem za rozpaczliwie uciekającą przed nimi dziewczyną. Serce podskoczyło Marcie do gardła, gdy rozpoznała ich ofiarę. Polly!

Nawet w ciemnościach łatwo było poznać jej jasne długie włosy, gdy potykając się o płyty chodnikowe, biegła przed siebie. Trzech podochoconych wyrostków goniło ją zawzięcie.

- Hej, mała! Czy ktoś cię już dosiadał? - Po tym ordynarnym okrzyku ulicę wypełnił ochrypy śmiech i przeraźliwe gwizdy, a potem dalsze okrzyki:

- Niech no się do niej dobiore!

- Nieprędko mnie zapomni, jak jej dogodzę!

- Nic się nie bój, mała, nie będzie bolało! Dziewczynka w panice próbowała jeszcze bardziej przyspieszyć kroku. Jasne włosy tańczyły wokół jej wykrzywionej w przerażeniu twarzy, którą coraz to odwracała w kierunku swoich prześladowców, sprawdzając, jak bardzo się do niej zbliżyli. Potknęła się po raz kolejny, wywołując następne wulgarne okrzyki pod swoim adresem:

- Na dziewicę mam dziś chcię!

- Bierzemy ją, chłopcy! Ja pierwszy!

Zbliżali się do niej coraz szybciej. Niemal bez tchu, Marta pokonała ostatnie metry dzielące ją od rozwrzeszczanych młokosów. W końcu, wiedziona ślepa, zrodzoną z desperacji siłą, nie licząc się zupełnie z ewentualnymi następstwami, dopadła ostatniego chłopaka i szybkim ruchem chwyciła go mocno za kołnierz. Uczepiwszy się go jak głodny pies kości, jednym szarpnięciem odwróciła go do siebie.

- Co wy, na Boga, wyprawiacie?! - W tej samej chwili rozpoznała w ciemnowłosym chłopcu syna Prestonów z sąsiedniej ulicy. - Młody Preston, tak? Tak? - rzuciła gniewnie, kątem oka widząc, że pozostali dwaj czmychnęli co prędzej, gdy zorientowali się, że rozpoznała jednego z nich.

- Puszczaj! - odburknął chłopak, chowając głowę w ramionach. - Nie znam żadnego Prestona! - Szybkim ruchem wyszarpnął się z jej uchwytu i popędził ulicą Brown, zanim Marta mogła cokolwiek zrobić.

Gdy szła do domu, w którym Polly zdążyła już zniknąć, ciągle jeszcze gotowały się w niej resztki lęku i oburzenia, spotęgowane przez instynkt macierzyński.

Na ulicy Regent nie było dwóch jednakowych domów. Niektóre, jak dom Bendallów, wyróżniały się żelaznymi balustradami biegnącymi wzdłuż schodków prowadzących do piwnicy. Do drzwi frontowych wchodziło się po paru kamiennych stopniach. Inne domy były płaskie i wyglądały równie nieciekawie. Do ich wnętrza prowadziły małe frontowe drzwi prosto z chodnika. Ściany były tak cienkie, że przechadzając się tamtędy jakiegoś cichego wieczoru, można by prawie usłyszeć bicie serc domowników.

Wnętrza natomiast nie różniły się niczym. Przez drzwi frontowe wchodziło się do długiego, wąskiego korytarza, pozbawionego okien, jako że mieszkania mieściły się w domach szeregowych. Po wejściu człowiek zagłębiał się więc w coś w rodzaju długiego, pogrążonego w ponurym mroku tunelu. Na samym końcu korytarza znajdowała się wąska klatka schodowa, prowadząca na piętro, a po prawej stronie - dwie pary drzwi. Pierwsze drzwi wiodły zawsze do „najlepszego salonu”, który przeznaczony był zazwyczaj do cichych zajęć i

przyjmowania gości, u Bendallów jednak nie korzystano z niego i stał pusty. Drugie drzwi prowadziły do kolejnego salonu i tu na ogół skupiało się życie domowników. Przez salon przechodziło się do malutkiej, zimnej kuchni, położonej w tylnej części domu. Z kuchni wychodziło się tylnymi drzwiami na strome kamienne schody, prowadzące na położone niżej podwórko, skąd można było zejść do piwnicy i jedynej ubikacji.

Krążyły pogłoski, że miasto planuje nabyć wiele podobnych mieszkań i wyposażyć je w kanalizację i inne udogodnienia, ale do tej pory ambitne plany nie wyszły poza fazę projektów.

Marcie z rodziną musiało więc na razie wystarczyć to, co mieli.

A mieli bardzo niewiele - i to ani nic nowego, ani szczególnie cennego. Jedynie Barty Bendall pysznił się wielkim, ozdobionym mosiężnymi gałkami łóżkiem, przywiezionym z Church tego samego dnia, kiedy się wprowadzili, nazajutrz po ślubie.

Marta nie była bynajmniej zachwycona faktem, że ich małżeńskie łóżko było tym samym, w którym odeszła z tego świata stara pani Bendall. Ale żadne protesty ani perswazje nie były w stanie odwieść Barty'ego Bendalla od uporczywie wygłaszanej opinii: - To dobre, mocne łóżko! A poza tym, nie stać nas na rozrzutność! - Argumenty takie nigdy nie trafiały jednak Marcie do przekonania, przeciwnie - ostatnio ogarniało ją coraz większe poczucie beznadziei i niechęci do męża.

Wróciła znów myślami do spraw dnia dzisiejszego. Smukłymi palcami namacała w kieszeni płaszcz brązową kopertę z wypłatą. Jeden funt, dwa szylingi i trzy penty, powtórzyła w myśli, dobrze wiedząc, że bez wkładu ze strony Barty'ego kwota ta nie starczy im na życie, bo sam czynsz wynosił niemal połowę tego, co miała.

Zbliżając się do drzwi mieszkania nr 7 przy ulicy Regent, Marta głęboko westchnęła, a po jej twarzy przemknął cień znużenia. Westchnienie to nie świadczyło jednak o rozczulaniu się nad sobą, bowiem Marta była nade wszystko realistką - zawsze z godnością przyjmującą swój los i gotową do spełnienia swych obowiązków.

Rzadko spotykało się osobę pełną takiego oddania i poświęcenia. Marta Bendall nie posiadała wielkiego dobytku, ale przyjaciół miała bez liku. Odważnie stawiała czoło przeciwnościom losu, który pozbawiał ją wszystkiego, czego mogłaby pragnąć piękna kobieta. Nieustannie przedkładała dobro rodziny nad swoje własne potrzeby. Najważniejsze były zawsze dzieci. Największą satysfakcję sprawiało jej obserwowanie, jak dorastają i stają się coraz bardziej samodzielne.

Zdarzały się jej chwile frasunku i troski, gdy niepokoila się, czy Bartuś nauczy się lepiej sobie radzić z napiętą atmosferą, która pomimo jej usilnych starań często panowała w domu. A także kiedy zastanawiała się, czy kiedykolwiek w jej sercu odżyje miłość, która wydawała jej się teraz bezpowrotnie utracona. Największy jej niepokój budziły jednak myśli o Polly, biednym, udreńczonym dziecku, zrodzonym z miłości jej i Curta, które mogło nigdy nie zaznać szczęścia, a nawet nie doczekać rozkwitu kobiecości.

Marcie nie przyszło do głowy, by obarczać najbliższych obawami, które tak często spędzały jej sen z powiek. W każdym razie wszystko to bardzo jej ciążyło. Powodem największych zmartwień była Polly, choć przecież to właśnie wokół niej obracało się w głównej mierze życie Marty. Była dzieckiem bardzo zamkniętym w sobie. Nie miała żadnych przyjaciół i wydawało się, że jedynym jej pragnieniem jest przebywać jak najbliżej matki. Całą miłość, do jakiej była zdolna, przelała na Martę z tak bezgranicznym oddaniem, że zakrawało to wręcz na obsesję. Budziło to w Marcie zawsze duże zaniepokojenie, ale wszelkie próby nakłonienia Polly, by zainteresowała się rówieśnikami, spełzały na niczym. Było to smutne, jednak rzeczywiście największym przyjacielem była dla niej zawsze matka. I nikt bardziej niż Marta nie pragnął, żeby było inaczej.

Udręka, która zawsze czaiła się gdzieś w jej sercu, wydała się Marcie teraz szczególnie dotkliwa.

- Jestem tylko kobietą - powiedziała sobie w duchu - i Bóg widzi, że robię, co mogę.

Marta sięgnęła po długi, żelazny klucz, spoczywający na dnie jej kieszeni, do której dostało się nieco pozlepianych brudem kłaków bawełny.

- Co tak późno, Marto? - rozległ się w zimnym nocnym powietrzu znajomy głos. - Przetrzywali was dzisiaj dłużej? - Światło z otwartych pod dziewiątką wąskich drzwi oświetliło niską, korpulentną postać sympatycznej Ady Humble, która stanęła w progu, schyliła się i postawiła na chodniku z brzękiem puste butelki od mleka. - I tak pewnie ten niedorajda Toby potknie się o nie, kiedy wróci! - zaśmiała się dobrodusznie. Choć Martę było wyraźnie widać, ona sama nie widziała dokładnie Ady Humble, ale z łatwością wyobraziła sobie jej pulchną twarz. Ada miała czterdzieści jeden lat, lecz sprawiała wrażenie znacznie starszej. Nie grzeszyła urodą i nie miała zbyt wielkich wymagań. Wielki, obwisły brzuch, przywodzący natychmiast na myśl zaawansowaną ciążę, został jej po wydaniu na świat sześciu dorodnych synów, jakich urodziła swojemu mężowi, Toby'emu Humble'owi.

Pełne, rumiane policzki nadawały jej zabawny wygląd kłowna, a wrażenie to potęgowała jeszcze intensywna barwa żywych, brązowych oczu o odcieniu, jak często mawiała Marta, „dobrej, mocnej herbaty”. Najbardziej jednak zaskakujący był w jej wyglądzie czerwony filcowy kapelusz z szerokim rondem, który stał się jej wizytówką. Był on kiedyś biały i należał do sprzedawcy bułeczek z pobliskiego sklepu. Ada Humble wytargowała go od niego w zamian za parę starych kólek od dziecięcego wózka, a następnie postanowiła przefarbować w barwniku własnej produkcji. Niestety, zamiast zamierzonej głębokiej, dostojnej purpury, kapelusz nieoczekiwanie przybrał odcień jaskrawej, krzykliwej czerwieni. Nie zniechęciło to jednak Ady do noszenia go i po jakimś czasie okazało się, że nie ma żywej duszy, która pamiętałaby ją bez tego kapelusza. Krążyły pogłoski, że jest ponoć łysa jak kolano. Ale nikt nie był w stanie tego sprawdzić, bo kapelusz zawsze spoczywał na jej małej, krągłej głowie, gdziekolwiek się pojawiła.

W okolicy znana była z życzliwego usposobienia i dużej żywotności, które to cechy najpełniej ujawniały się, gdy Ada pomagała przy porodach i ubieraniu nieboszczyków do trumny. Jak to sama trafnie ujęła: „Ten wiśniowy kapelusz jest pierwszą rzeczą, jaka wita dzieci na tym świecie, i ostatnią, jaka żegna zmarłych!”

Ludzi nie stać było na to, żeby jej płacić za tę sąsiedzką pomoc, ale nigdy nie puszczali jej do domu bez pękatej torby mąki i dużego wiadra węgla.

- Nie, Ado, właściwie mnie nie przetrzymali. - Marcie stanął na chwilę przed oczyma obraz Harry'ego Fensome'a i nie mogła powstrzymać uśmiechu. - Pod koniec było tylko trochę zamieszania - powiedziała po prostu.

- Ja to bym chyba zwariowała w tej twojej przedzalni! Ten straszny hałas i te kłaki bawełny, wchodzące do nosa i wszędzie! Bzika bym dostała, mówię ci! No, ale już lepiej to robić, niż głodować! - Marta wiedziała, że w prostodusznych słowach Ady nie kryje się żadna aluzja, zdawała sobie jednak dobrze sprawę z tego, że ludzie nie od dziś znają słabe strony Barty'ego Bendalla.

- Pewnie, że lepiej - przytaknęła, odwzajemniając jej krzepiące życzenia dobrej nocy, po czym zażywna postać Ady cofnęła się do korytarza, zatraskując za sobą drzwi.

Próbując po ciemku wymacać otwór pod klamką, Marta w końcu wsunęła weń klucz i otworzyła drzwi. Zanim jeszcze je zamknęła, do jej uszu dotarły niepokojąco głośne dźwięki muzyki jazzowej. A niech mnie, jeśli to znowu nie to cholerne radio, przemknęło jej przez głowę. Z myślą o kolejnym szylingu na prąd Marta szybkim krokiem przemierzyła ciemny korytarz.

Gdy weszła do salonu, jej obawy co do losów kolacji Barty'ego Bendalla potwierdziły się w całej pełni. Okazało się ponadto, że żadna z wyznaczonych przez nią dzieciom prac nie została wykonana. W palenisku leżały zimne, szare kawałki nie dopalonego węgla z poprzedniego wieczoru, a resztki popiołu rozsypane nadal przed kominkiem wyraźnie świadczyły o tym, że zabrudzona nimi mata z włókna kokosowego nie została wytrzepana. Nie nakryty stół świecił pustkami.

Marta ostentacyjnie zatrzasnęła drzwi, ale nawet wówczas Polly, która z zamkniętymi oczyma rozkoszowała się muzyką, nie spostrzegła ani nie usłyszała przybycia matki. Z dużego, starego odbiornika, zajmującego honorowe miejsce na kredensie, dobiegały głośne dźwięki. Polly, która najwyraźniej zapomniała już o ostatnich przeżyciach, kołysała się w takt rytmicznej melodii. Nie widziała, że Marta weszła do pokoju i że podeszła do radia, aby je wyłączyć. Marta wymagała od dzieci, by starały się sumiennie wykonywać przydzielone im drobne prace domowe. Nie chciała, żeby wyrosły na ludzi leniwych i niezaradnych!

- Polly! Co się tutaj dzieje? - Z surowego głosu Marty przebijała obawa, bo przecież do powrotu Barty'ego Bendalla zostało zaledwie pół godziny. - Dlaczego nie zrobiliście tego, co wam kazałam? Gdzie tamtych dwoje? - Podeszła bliżej do szczupłej dziewczynki. - Po co wychodziłaś z domu po zmroku? I to sama?

Polly nie była piękną. Niezwykła uroda rodziców ujawniła się, niestety, tylko u jej siostry, Florencji, która była ślicznym dzieckiem. Polly odziedziczyła jasną, nordycką karnację po matce Marty, babci Fletcher, a kapryśna i nieobliczalna natura spotęgowała jeszcze tę cechę, tak że Polly była niemal albinoską. Cienkie, proste włosy, tak jasne, że niemal białe, okalały jej delikatną twarzyczkę elfa, a intensywnie niebieskie, duże oczy nadawały jej wygląd niemal eteryczny. Jednak gdy zaczynała mówić, z jej zdecydowanego, poważnego głosu przebijała siła, jakiej trudno byłoby się domyślić z wyglądu.

- Nic się nie stało, mamo! I tak by mnie nie złapali! - Pocałowała Martę w policzek, po czym zwinęła matę sprzed kominka, żeby ją wynieść i wytrzepać. - Wyszłam po ciebie, ale oni kręcili się przy końcu ulicy Ainsworth, więc pomyślałam, że lepiej będzie, jak wrócę. Ale i tak mnie zobaczyli i zaczęli gonić.

Nagle poczucie winy nie pozwoliło Marcie wypowiedzieć dalszych karcących słów. Gdyby nie spóźniła się przez Harry'ego Fensome'a, Polly nie martwiłaby się o nią i nie wychodziłaby jej na spotkanie. Zdjęła płaszcz i powiesiła go na drzwiach salonu.

- Obiecuj mi, że już więcej nie będziesz tamtędy chodzić po zmroku. - Marta podeszła do córki i wzięła od niej zwiniętą matę. - Obiecujesz?

- Dobrze, mammo, obiecuję,

- W porządku! A teraz - gdzie Florencja i Bartuś? Wszystko leży odłogiem, a za chwilę będzie tu tata! - Nie czekając na odpowiedź, szybko przemierzyła kuchnię i wyszła na tylny dziedziniec, gdzie zaczęła energicznie trzepać matę. - Będzie piekło, jak przyjdzie i nie dostanie od razu kolacji! - zawołała do Polly.

Gdy wróciła do salonu, Polly kończyła właśnie przenoszenie nie dopalonych resztek z kominka do blaszanego kubelka, w którym wynosiło się je później na małe wysypisko w rogu tylnego dziedzińca.

- To nie moja wina, mammo! - W głosie Polly wyraźnie pobrzmiwała nuta oburzenia na taką niesprawiedliwość. Przemknawszy obok matki, skierowała się z wypełnionym popiołem kubelkiem do tylnych drzwi, mamrocząc pod nosem: - To Florencja i Bartuś... musieli wyjść mu na spotkanie! A sami nic nie zrobili!

- Dobrze, dobrze. Później pogadam i z nimi. I nie mów o ojcu takim tonem, Polly. - Polly nigdy tak naprawdę nie polubiła Barty'ego, choć uważała go za swojego ojca. On z kolei również nie czynił nic, żeby się do niej zbliżyć, pozwalając, żeby narastały dzielące ich animozje. Stanowiło to dla Marty ciągle źródło niepokoju, była bowiem przekonana, że gdzieś w podświadomości dziewczynki ciągle jeszcze tkwi obraz Curta. Florencja natomiast od razu zaakceptowała Barty'ego, który w związku z tym ostentacyjnie dawał do zrozumienia, gdzie kieruje swoje sympatie. Na dodatek choroba Polly zawsze budziła w nim jakąś niechęć i ilekroć Marta wyrażała w związku z tym obawy, mąż milkł albo wychodził z pokoju.

Marta spojrzała nerwowo na stojący na kominku zegar.

- Musisz pójść do sklepu Skelleya, Polly, nie mamy nic w spiżarni! - powiedziała, gdy tylko Polly wróciła. Wyjęła z szafy jutową torbę na zakupy, po czym sięgnęła do kieszeni płaszcza po brązową kopertę z wypłatą. Wyciągnęła błyszczącego szylinga i włożyła go wraz z torbą w wyciągnięte ręce Polly. - Przykro mi, kochanie, ale będziesz musiała się pośpieszyć! Tata lada chwila przyjdzie na kolację. Idź, ja tu resztę oporządczę - i pokierowała Polly do drzwi. - Leć już - ponagliła.

- Kup tacie dużą zapiekankę z mięsem, jeśli jeszcze są, a dla nas parę kawałków boczku. I powiedz im, żeby wybrali jakieś ładniejsze. No, migiem!

Marta wyczuła, że Polly jak zwykle buntuje się przeciw temu, że dla nich zawsze były jakieś nędzne skrawki boczku, a Barty Bendall sam zjadał dużą, smaczną zapiekankę. Ale Polly była bystrym dzieckiem. Wiedziała, kiedy

lepiej nie obstawać przy swoim, a ponieważ matka wyglądała na bardzo zmęczoną, przystanęła tylko na chwilę, żeby cmoknąć ją w zarumieniony z rozgorączkowania policzek, i powiedziała:

- Dobrze, mamó, nic się nie martw. Za dwie minuty będę z powrotem. - I porwawszy płaszcz ze schodów, gdzie wcześniej go rzuciła, Polly zniknęła w korytarzu, a po chwili głośnie trzaśnięcie drzwi oznajmiło jej wyjście.

Marta wzdrygnęła się na ten dźwięk, westchnęła głęboko i rozejrzała się po nie sprzątniętym mieszkaniu. No cóż, pomyślała z rezygnacją, ani chwili spokoju!

Zakrzętnęła się, żeby jako tako ogarnąć dom przed nadejściem wiecznie niezadowolonego Barty'ego Bendalla. Pewnie zjawi się na kolację z kolejną awanturą, pomyślała, wciągając w płuca chłodne powietrze. Nie miała jednak w zwyczaju zadrećcać się trudnościami, szybko więc zabrała się do roboty. Zebrała porozrzucone maty, wyniosła je na zewnątrz i zaczęła energicznie trzepać, a tumany pyłu rozplýwały się powoli w lekkim powiewie wiatru. Zanim rozłożyła maty z powrotem, w pośpiechu, z grubsza, zgarnęła z linoleum warstwę pyłu. Potem sprawnie rozpałiła ogień w oczyszczonym kominku, używając gazety, która służyła za obrus, a teraz została zastąpiona świeższą, z poprzedniego dnia, czyli z czwartego października tysiąc dziewięćset trzydziestego siódmego roku. Marta zatrzymała się na chwilę, gdy jej wzrok padł na artykuł opisujący kroki podjęte przez rząd w celu wsparcia przemysłu włókienniczego w ramach walki z bezrobociem na północy. Wprowadzono tak zwaną Ustawę o wrzecionach, która miała ożywić przemysł włókienniczy i przewidywała między innymi wymianę przestarzałych maszyn. Teraz była mowa o dalszych posunięciach i o możliwości stworzenia specjalnej rady do spraw włókiennictwa, co sprzyjałoby stabilizacji cen.

Marta pomyślała z przekąsem, że rząd powinien był już dawno podjąć jakieś zdecydowane działania i to, co teraz się działo, z pewnością było krokiem we właściwym kierunku.

- Najwyższy czas! - powiedziała na głos, wygładzając ręką świeży „obrus”.

Kupowanie gazet było bardziej koniecznością niż luksusem. Służyły jako obrus, podpałka, wyściółka na półki, a co najważniejsze, pocięte na małe kawałki i nabite na gwóźdź w ubikacji, służyły jako papier toaletowy.

Marta pozmywała szybko pod kranem stertę brudnych talerzy i kubków, i nakryła do stołu. Pośrodku położyła chleb i postawiła dżem, a obok dzbanek świeżo zaparzonej herbaty i jeden na drugim cztery talerze z nożami na wierzchu. Potem wyszła tylnymi drzwiami i zbiegła do piwnicy po kamiennych schodach, położonych na drugim końcu dziedzińca, by za chwilę wrócić z

naręczem szczap na opał, dzięki którym w niedługim czasie w kominku czekał na Barty'ego Bendalla buzujący ogień.

Uporawszy się z tym wszystkim w rekordowym tempie, Marta z ulgą zagłębiła się w dużym, starym fotelu na biegunach stojącym przy kominku i cicho zanuciła jakąś melodię, żeby uspokoić skołatane serce i opanować ogarniające ją znużenie. Objęła wzrokiem niewielkie pomieszczenie i dotarł do niej drażniący w nozdrza ostry zapach wilgoci. Było to ponure, przygnębiające miejsce bez żadnych wygód i luksusów. Gołe, pozbawione jakichkolwiek ozdób ściany pokryte były na dużej powierzchni grzybem, którego nieustępliwe, czarne i zielone macki stale zwiększały swój stan posiadania. Nikłe światło sączyło się jedynie z małego okienka wychodzącego na tylne podwórze.

Nagromadzony tu dobytek drażnił oczy swoją brzydotą. Wszystkie porządne meble, które kiedyś należały do starej pani Bendall, dawno już rozpadły się lub zostały sprzedane, kiedy spiżarnia świeciła pustkami.

Ciężki brązowy kredens stojący obok okna, bujany fotel, w którym siedziała, duży kwadratowy stół i parę krzeseł - cała ta zbieranina mebli, których pozbyły się zamożniejsze rodziny, pochodziła z pobliskich sklepów z używanymi rzeczami lub została uratowana przed spaleniem. Czarna, pokryta końskim włosiem kanapa - wyglądająca groteskowo, ale czysta i funkcjonalna - została kiedyś wyciągnięta spod nóg jaskrawo ubranej kukły Guya Fawkesa, która piątego listopada miała być spalona na stosie starych mebli. Mali Bendallowie, bez wiedzy Marty, w jakiś sposób ściągnęli kanapę, odkurzyli ją i wymyli, po czym ustawili w salonie jako niespodziankę dla mamy, która przyjęła ją z wdzięcznością i entuzjazmem. W głębi serca Marta bolała nad tym, że musi używać rzeczy, które inni wyrzucili już na śmietnik, ale nikt lepiej od niej nie zdawał sobie sprawy, że duma była luksusem, na który nie mogła sobie pozwolić.

Jeśli salon sprawiał przygnębiające wrażenie, to obskurna kuchnia, wielkości dużej szafy, jeszcze je pogłębiała. W jednym z ciemnych kątów stała stara, żelazna balia, do której przymocowano wielką wyżymaczkę, dość już zużytą, jak wszystko tutaj. Kuchenkę udało się szczęśliwie wytargować od handlarza starzyzną w zamian za jakieś cenne ołowiane rury, których ktoś pozbył się ukradkiem, wrzucając je na tylne podwórko. Trafiło tam zresztą w podobnych okolicznościach wiele innych niepotrzebnych rzeczy, których właściciele chcieli się w ten sposób pozbyć. Z co porządniejszych przedmiotów Bendallowie często robili użytek. Na przykład roślinę ozdobną, która marniała w starej donicy, Marta postanowiła za wszelką cenę przywrócić do życia i

zajęła się nią tak troskliwie, że dokonała tego. Jeśli chodzi o rury ołowiane, nie potrafili znaleźć dla nich żadnego zastosowania, ale zdołali je przehandlować.

Głęboki kamienny zlew przetrwał już wiele lat, a o jego wieku nieomylnie świadczyła zadziwiająca, gęsta sieć ciemnych pęknięć, pokrywająca całą jego zużytą, niegdyś białą powierzchnię. Duża skrzynia po pomarańczach, postawiona dnem do góry i ukryta całkowicie pod przykrywającym ją obrusem, służyła za stół do pracy, na którym stał teraz wysłużony, brązowy czajnik i butelka po mleku. Talerze i kubki, choć też nienowe, zajmowały wraz z dwiema patelniami i pudełkiem sztućców honorowe miejsce na dolnej półce. Na tej samej półce stało stare pudełko po butach, do którego chowano osobisty kubek i sztućce Barty'ego Bendalla. Na ścianie, nad skrzynką po pomarańczach, Barty zamocował trzy proste półki.

Najniższa z nich przeznaczona była na sadzonki Marty. Stanowiły jej chlubę i źródło radości i nikomu poza nią nie wolno było ich podlewać. Środkową półkę zapełniały najróżniejsze przedmioty codziennego użytku, wśród których była stara puszka po kostkach rosółowych, zawierająca guziki i różnego rodzaju ścinki materiałów oraz tekturowe pudełko ze zużytymi szmatkami i pastą do butów Barty'ego Bendalla. Stały tu również dwie oprawione w srebrną ramkę fotografie rodziców Barty'ego, które cenił nade wszystko i zabronił komukolwiek ich dotykać. Żadnemu innemu spośród swoich przedmiotów nie poświęcał Barty tak troskliwej uwagi. Nikt przy zdrowych zmysłach nie siedziałby w tej okropnej kuchni, gdyby nie było to absolutnie konieczne, a Marta nieraz widziała, jak Barty spędza tam długie, samotne godziny polerując do połysku ramkę z fotografiami. Nikt nie śmiał zakłócać jego spokoju, gdy pochłonięty był tym osobliwym zajęciem.

Marta spojrzała na zegar - za dziesięć minut w drzwiach stanie Barty Bendall. Na tę myśl zamarło w niej serce. Nieraz wydawało jej się, że wszystko się przeciw niej sprzysięgło i że skazana jest już na wieczną udrękę. Troska o przyszłość Polly nieustannie zaprzętała jej myśli i choć bardzo kochała wszystkie swoje dzieci, właśnie o Polly niepokoiła się najbardziej. Córka miała wkrótce skończyć dziesięć lat i wejść w okres dojrzewania, kiedy młoda dziewczyna zaczyna podlegać subtelnym metamorfozom, zmieniającym dziecko w kobietę.

Ciemne oczy Marty zasnuła mgiełka łez. Z całej duszy modliła się o to, aby dane jej było ujrzeć Polly jako dojrzałą kobietę. Rozmyślenia nad przeszłością niepostrzeżenie obudziły w Marcie dawne, piękne wspomnienia, które ciepłą falą zalały jej serce. Cień przemknął po jej pięknej, zmęczonej twarzy. Otworzyła tajemne drzwi, za które od wielu lat nie pozwalała sobie zajrzeć, a

które dzisiaj rano zostały uchylone przez nieoczekiwane zdarzenie w tramwaju. Te wspomnienia wprawiały ją w uniesienie, lecz mogły ją też zniszczyć, więc nie chciała pozwolić, aby zakłóciły jej obecne małżeństwo z Bartym Bendallem, choć okazało się ono tragicznym nieporozumieniem.

Jednak kolejna refleksja powstrzymała tok jej myśli. Cóż stałoby się z nimi - z nią i dziewczynkami - gdyby Barty Bendall nie przygarnął ich i nie uznał za swoją rodzinę? W każdym razie dużo mu zawdzięczała, nawet jeśli nie wywiązał się ze swej umowy.

Wracając myślami do Polly, Marta zaczęła się zastanawiać nad jej przyszłością. Wiedziała, że stosunki między ludźmi nie są prostą sprawą i że nikt nie jest w stanie w pełni oszacować wartości drugiego człowieka. Jako matka, Marta знаła swą starszą córkę lepiej niż ktokolwiek inny, ale nawet ona nie była w stanie zgłębić wszystkich tajników duszy swojego dziecka. Polly była niezwykle dzieckiem, złaknionym ponad miarę powodzenia i sukcesów, o ambicji znacznie przekraczającej jej możliwości.

Często jedno z dzieci w rodzinie jest powodem obaw i cichych łez zatroskanych matek. Polly Bendall była właśnie takim dzieckiem. Czasem wydawała się niewinna i bezbronna, potrzebująca wsparcia i opieki jak każde inne dziecko. Niekiedy jednak zdawało się ją rozsadzać jakieś okrutne, niemal złowieszcze w swej sile napięcie. Zatroskana Marta zmarszczyła czoło. Nierzadko, rozpamiętując minione lata, zastanawiała się, czy przypadkiem nie była to ich wina - jej i Curta. Polly często uskarżała się na świdrujące, nieznosne bóle głowy i Marta najbardziej obawiała się tego, że narośl poczyniła dalsze postępy. Ta myśl nie dawała jej spokoju, ale badania nic nie wykazywały. Nie rozpraszało to jednak prześladowających ją obaw i złych przeczuć. Pozostawała jej tylko wiara w opatrność boską.

Rozejrzawszy się wokół, Marta wydała z siebie głębokie, przejmujące westchnienie.

- Niezbyt to odpowiednie miejsce na wychowywanie dzieci - szepnęła, po czym wstając z fotela stwierdziła w typowy dla siebie sposób: - No cóż, biedaków nie stać na kaprysy! - Przeszła na drugą stronę kominka, gdzie długi rząd drewnianych drzwiczek krył zabudowaną wnękę, tworząc w ten sposób szafę na ubrania, j Zrzuciła ciężkie chodaki, wyciągnęła z szafy parę płaskich pantofli i włożyła je.

Gdy Marta zdążyła jeszcze raz upewnić się, że Barty Bendall nie będzie miał wielu powodów do narzekań,] do domu wróciła Polly.

- Idzie tata, mamó. I Bartuś też z nim idzie - powiedziała.
- W porządku, kochanie. Czy widziałaś gdzieś Florencję?

- Nie! Chyba wie, że jej się dostanie, jak się w końcu pojawi!
- Zostaw to mnie, Polly! Już ci mówiłam - ja się tym zajmę!
- Założę się, że i tak nic jej nie powiesz.
- Daj spokój! Florencja wie, co do niej należy. Jej obowiązki są niewielkie, bo jest jeszcze mała, ale powinna je wykonywać, tak jak wszyscy! - Po tych słowach Polly zrezygnowała z dalszej dyskusji, co Marta przyjęła z ulgą.

Podgrzanie w piekarniku zapiekanki i podsmażenie skrawków boczku zajęło zaledwie parę minut. Tłuszcz skwierczał i wypełniał zapachem całe pomieszczenie i wtedy właśnie wkroczył do domu Barty Bendall z Bartusiem. Mały z upodobaniem wychodził na spotkanie tacie, wysiadającemu z zakładowego autobusu na rogu ulicy Penny.

Gdy klucz zazgrzytał w zamku, Marta jak zwykle odruchowo wstrzymała oddech, a serce zamarło jej w piersi w trwożnym oczekiwaniu, jaki też okaże się dzisiejszy nastrój Barty'ego Bendalla.

Rozdział szósty

Z chwilą, gdy Barty Bendall wkroczył do pokoju, zapanowała atmosfera strachu. Przez szczupłe ciało Marty przebiegł mimowolny dreszcz, a jej wyraziste oczy straciły zwykły blask. Sztucznym ożywieniem starała się zamaskować brak prawdziwego uczucia w głosie, co skrzętnie zauważyła czujna jak zawsze Polly.

- Cześć, Barty. Za chwilę będzie kolacja - powiedziała do męża.

Barty Bendall, najeżony jak zwykle, rzucił Marcie ostre spojrzenie i burknął coś w odpowiedzi.

Nie był pokaźnej postury, a nawet można powiedzieć, że było wprost przeciwnie. Swoją drobną, dumną sylwetką sprawiał jednak wrażenie pełnej mobilizacji, bowiem nigdy nie pozwalał sobie na rozluźnienie, świadomie starając się wyprostowaną postawą nadrobić swoje skromne rozmiary. Na otoczeniu sprawiał wrażenie surowego i zdyscyplinowanego, co już przy pierwszym kontakcie zrażało do niego ludzi. Hipnotyczny wyraz jego oczu przyciągał wzrok z siłą magnesu. Osadzone w ogorzalej twarzy o ostrych rysach jasne, zielone oczy odznaczały się niepokojącą przenikliwością i jakimś osobliwym pięknem; przypominały nieco oczy jadowitej kobry, szykującej się do ataku. Był niemal całkiem łysy, jedynie parę jasnych kosmyków widniało nad kształtnymi, lekko spiczastymi uszami i z tyłu nad karkiem, pokrytym zaczerwienioną i zgrubiałą skórą z powodu pracy na wolnym powietrzu, niezależnie od pogody.

Jeśli Barty Bendall mógł się czymkolwiek poszczycić, to tylko zdolnością do ciężkiej pracy. Był to fakt, którym nieustannie się chełpił, bowiem nikt - ani jego rodzina, ani kompani od kieliszka - nie mógł temu zaprzeczyć. Najsmutniejsze było to, że owoce tych ciężkich trudów bardzo rzadko przeznaczane były na zaspokojenie potrzeb jego rodziny, która cierpiała, czując, że świadomie ją zaniedbywał.

Barty Bendall ostro pił, straszliwie kłął i złorzeczył, i nieustannie wszystkich strofował, twardą ręką trzymając swoją zastraszoną rodzinę. Gdy Marta podawała skromny posiłek, Barty Bendall polecił dzieciom, aby poszły umyć ręce. Potem, po dokładnym sprawdzeniu każdej ręki z osobna, nakazał im zasiąść w milczeniu do stołu. Właśnie podczas tej drobiazgowej kontroli zjawiała się Florencja. Stała przy drzwiach do salonu - zimnymi palcami ścisnęła klamkę i ciężko oddychała. Na jej ładnej twarzyczce pojawił się ciemny rumieniec strachu, a ciało jej zeszywniało lekko, gdy padło na nią drapieżne, wściekłe spojrzenie zielonych oczu Barty'ego Bendalla.

- Gdzie ty się do diabła włóczysz o tej porze? - ton jego głosu wykluczał jakąkolwiek próbę odpowiedzi.

- Nic się nie stało, Barty - próbowała interweniować Marta - nie wyszła na długo...

Odwrócił się gwałtownie w stronę Marty.

- Jeśli będę chciał wiedzieć, co masz do powiedzenia, to cię zapytam!

Florencja wtrąciła szybko, próbując zdobyć się na niepewny uśmiech:

- Przepraszam, tato, poszłam odwiedzić przyjaciół w Blackburn i zapomnieliśmy, która godzina... - jej cichy, delikatny głosik drżał ze strachu i Marta, patrząc na nią, postanowiła odłożyć na później upomnienie, na które zasłużyła z powodu zaniedbania swoich domowych obowiązków.

Barty Bendall zwrócił swą lisią twarz ku dziewczynce:

- Idź umyć ręce... natychmiast! I siadaj zaraz do stołu!

Parę minut później cała rodzina Bendallów siedziała już sztywno przy stole, czekając posłusznie, aż Barty Bendall da sygnał do rozpoczęcia posiłku. Nikt nie śmiałby zrobić niczego bez jego zgody. Nawet stół zdawał się stać na baczność w ponurej atmosferze, jaką Barty roztaczał wokół siebie. Przy tym samym wielkim, dębowym stole Barry Bendall siadywał jako dziecko. Stół był równie stary i solidny jak sam dom, przy tym i jeden, i drugi miał już za sobą czasy swojej świetności. Marta zastanawiała się, czy to od starej pani Bendall Barty przejął sztywny i dyktatorski sposób bycia pośród najbliższych. Jeśli tak było, na jego matce ciążyła duża odpowiedzialność. Ale starsza pani zmarła już parę lat temu i Marta skłonna była wątpić w trafność tego przypuszczenia. Jedno było pewne, pomyślała: to, że tego domu nigdy chyba nie zamieszkiwała tak niespokojna, pełna napięć rodzina i że na tym starym, wspaniałym stole w przeszłości rzadko pojawiały się tak skromne posiłki.

Teraz Barty Bendall siedział z pochyloną, połyskującą łysiną głową i złożonymi sztywno dłońmi, recytując modlitwę dziękczynną za stojący przed nimi skromny posiłek. Marta uniosła lekko głowę, aby na niego spojrzeć i choć

na widok jego posępnej twarzy poczuła, jak złe przeczucia wypełniają jej serce, jednocześnie pomyślała z humorem, jaka też byłaby jego reakcja, gdyby dowiedział się o wybrykach Harry'ego Fensome'a. Rozbawienie szybko jednak przeszło, gdy Marta z przerażeniem uświadomiła sobie, że Barty prawdopodobnie by go zabił.

Przeniosła wzrok na Florencję, która teraz wyglądała na całkiem zadowoloną, nie miała bowiem w zwyczaju zbyt długo przejmować się gniewem ojca. Drobną, ciemnowłosa główką Bartusia dotykała niemal blatu stołu, pochylona w posłusznym geście pełnym nabożnej czci. Widząc, jak mocno chłopczyk mruży oczy, Marta pomyślała, że musi być bardzo napięty. Spojrzała na Polly i zaczęła myśleć o związku, jaki łączy jej córkę z mężczyzną, którego uważa za ojca. Wydawało się, że między tymi dwiema samotnymi istotami nie ma żadnej bliskości, że każdą otacza własna, specyficzna ciemność. Nie było miłości ani oddania, więc nic nie mogło ich do siebie zbliżyć ani złagodzić poczucia osamotnienia, choć zdaniem Marty to ona właśnie powodowała, że oboje zamykali się w sobie.

Marta wiedziała, że Barty Bendall nigdy nie potrafił zaakceptować pierwszej córki Curta Rathetera jako swojej własnej i dawno już się z tym pogodziła. Z niezrozumiałych powodów jego wielkimi względami cieszyła się jednak Florencja, która o wiele bardziej niż Polly wyglądała na córkę Curta. Marta zrezygnowała już z roztrząsania tego wszystkiego, choć może problem polegał po prostu na tym, że osobowości Polly i Barty'ego Bendalla były do siebie tak podobne, że musiało to wywoływać taki skutek.

Już od bardzo dawna, niemal od czasu, gdy się pobrali, Marta instynktownie wyczuwała, że Barty Bendall świadomie nie akceptuje jej córki. Wielokrotnie usiłowała stłumić nękające ją podejrzenia, ale ich uporczywość zmusiła ją w końcu do spojrzenia w oczy gorzkiej prawdy. Barty Bendall i Polly nienawidzili się! I Marta niewiele mogła na to poradzić. Żadne z nich pewnie nigdy się nie dowie, jakim smutkiem ją to przejmowało.

Gdy jej zatroskane oczy spoczęły na jasnej głowie dziewczynki, Polly podniosła wzrok. Ich spojrzenia spotkały się, a kojące ciepło, które biło z uśmiechu Marty, wywołało równie ciepłą reakcję córki. Twarzyczka Polly rozpromieniła się miłością i szczęściem, a jej duże błękitne oczy chłoneły każdy promień ciepła, jaki płynął od ukochanej mamy.

Marta instynktownie zdawała sobie sprawę, że tylko ona jest w stanie utrzymać jedność swojej rodziny, zagrożoną siłami głębokiej, zawziętej nienawiści.

Gdy wpatrywała się w twarz Polly, jej serce wypełniało tylko jedno pragnienie - żeby w jakiś sposób dociec przyczyn głębokich obaw, które od długiego czasu nie dawały jej spokoju, pomimo uspokajających słów lekarza. Marta z drzeniem serca odczuwała jak własny każdy ból, na który skarżyła się Polly. Często zastanawiała się, czy nie powinna poinformować o swych obawach Curta Rathetera, ale zawsze mówiła sobie, że wobec zapewnień lekarza byłby to tylko pretekst, żeby się z Curtem skontaktować. Na to nie mogła sobie pozwolić! Powinien dla niej przestać istnieć - miała przecież rodzinę i męża i im przede wszystkim powinna być wierna.

Drobny, lecz przejmujący dreszcz przebiegł jej ciało, pokrywając ramiona gęsią skórką. Nie odrywając od córki wzroku, wyrażającego łączącą je nie cichego porozumienia, energicznie potarła dłońmi ramiona, odruchowo usiłując się rozgrzać.

Ta cicha wymiana spojrzeń pomiędzy matką a córką została gwałtownie zakłócona nagłym, pełnym złości uderzeniem w stół pięści Barty'ego Bendalla.

- Czy to aż takie trudne - wrzasnął z twarzą nabrzmiałą od wysiłku, aby opanować wściekłość - zachować powagę przy jedzeniu?! - Jego szeroko rozwarte, zielone oczy zwężyły się, gdy utkwiał przeszywające spojrzenie w Marcie, która była wyraźnie wstrząśnięta. - Nie stać cię na nic więcej, kobieto? Umiesz tylko siedzieć tu i głupawo szczerzyć zęby? - huknął z góry, po czym przeniósł piorunujące spojrzenie na Polly, dodając: - I uczyć ją, żeby robiła to samo?

Wydawało się, że gdyby tylko było to możliwe, ciemność w oczach Marty pochłonęłaby Barty'ego Bendalla, którego złośliwy grymas twarzy przyprawiał ją o mdłości. Rozpaczliwie starała się zapanować nad wzbierającą w niej nienawiścią. W tej krótkiej chwili, kiedy napotkała jego przepelnione wściekłością spojrzenie, zdała sobie sprawę, jak łatwo byłoby go nienawidzić. Spuściła głowę i skupiła wzrok na czajniku, nie chcąc i nie potrafiąc bronić się przed jego kolejną gwałtowną napaścią.

Nie zważając już na jego tyradę, oddała się napływającym wspomnieniom - o miłości i szczęściu, o nadziei i ambitnych planach. Wszystko to już minęło... zostało gdzieś poza nią, jak się wydawało - bezpowrotnie.

Jedyne ambicje, jakie żywiła jeszcze Marta, wiązały się z trójką dzieci, gdyż tylko one nadawały teraz sens jej egzystencji. Dla ich dobra gotowa była znieść wszystko. Jeśli zaś chodzi o Barty'ego Bendalla, Marta nie miała zamiaru uchylać się od swoich zobowiązań wobec niego. Zawsze uczono ją, aby wypełniała swoje obowiązki, i przysięga, jaką złożyła wobec Boga w obecności

Barty'ego Bendalla, była dla niej równie święta teraz, jak wtedy - w tych szczęśliwych czasach, kiedy ją składała.

Gdy ucichło wreszcie bezsensowne kazanie, Barty'ego Bendalla, Marta rozejrzała się wokół z niepokojem. Polly zacisnęła pięści, aż zbielały jej kostki, a w miejscu, gdzie zagryzła dolną wargę, pojawiła się mała kropelka krwi. Błękitne oczy, które skryły się niemal całkowicie za spuszczonej powiekami, utkwiała w służącej za obrus gazecie. W tej ciężkiej atmosferze nikt już nie zwracał uwagi na cichnące słowa podjętej znów przez Barty'ego Bendalla modlitwy. Florencja i Bartuś zastygli na swych miejscach, nie śmiejąc wykonać nawet najdrobniejszego ruchu.

Po skończeniu modlitwy Barty Bendall wyciągnął krótką, żylastą rękę po sól i obficie posypał nią swoją porcję. Wszyscy inni siedzieli nieruchomo, jak sparaliżowani, wciąż próbując otrząsnąć się po jego wściekłym wybuchu. Barty powiódł wąskimi, zielonymi oczyma po ich twarzach.

- Co się z wami dzieje? - spytał ostro, a w jego piskliwym głosie zabrzmiał ponownie groźny ton. - Jedzcie, co wam ofiarował dobry Bóg, i bądźcie wdzięczni!

Marta z trudem wciągnęła w płuca powietrze i wydała pełne znużenia westchnienie. Nie miała żadnych wątpliwości, że tego wieczoru nie będzie już spokoju. Barty Bendall najwyraźniej miał jeden ze swoich napadów złego humoru. Bez apetytu nadgryzła kanapkę z boczkiem, bo po awanturze odechciało jej się jeść. Dzieci, za przykładem matki, również bez entuzjazmu sięgały do skromnej zawartości swoich talerzy.

W oczach Barty'ego Bendalla widniała satysfakcja z wymuszonej na nich w końcu uległości.

- No, wreszcie! - powiedział triumfalnie. Pomijając hałaśliwe odgłosy zadowolenia, z jakim zjadł kolację, posiłek odbył się w głuchym milczeniu, które wydawało się nie robić na nim żadnego wrażenia.

Cała rodzina czekała w ciszy, aż Barty opróżni swój talerz. Gdy skończył jeść, otarł usta wierzchem dłoni i uśmiechnął się błogo.

- Całkiem niezłe! - powiedział jak gdyby nigdy nic. Marta wyczuła, że kieruje na nią wzrok, ale celowo odwróciła oczy, żeby nie napotkać jego spojrzenia. Gdy Barty pozwolił Florencji i Polly odejść od stołu, dziewczynki zabrały się do sprzątnięcia po kolacji.

Odłożyły przyprawy na prowizorycznie skleconą półkę, po czym wzięły się do zmywania. Marta została przy stole. Siedziała opierając lekko na rękach delikatną twarz, a w jej wilgotnych oczach przesuwaly się obrazy wymarzonego życia. Bartuś, drobny i cichy, pozbawiony naturalnej dla

pięciolatka energii, siedział obok niej, wyęzając słaby wzrok, by odczytać litery w swoim drogocennym komiksie. Marta objęła ręką jego szczupłe ramionka, tuląc go czule do siebie. Głęboki bujany fotel, podsunęty teraz do samego kominka, zajmował Barty Bendall i, nie zważając na potrzeby innych, wyciągniętymi przy samym ogniu nogami zasłaniał bijące stamtąd ciepło.

Ledwie zdążył rozwalić się w fotelu, już spał, a z jego otwartych ust zaczęły dobywać się nieregularne odgłosy chrapania. Marta utkwiała w nim oczy, a ich obojętny wyraz ustąpił teraz miejsca pełnemu emocji, oskarżającemu spojrzeniu, które szybko maskowała, gdy wydawało się, że Barty może się obudzić.

Przysłuchując się dobiegającym z kuchni odgłosom rozmowy dziewczynek, Marta przymknęła oczy i jej myśli pomknęły ku zakazanym rejonom. Czuła, że i ostatnio niewiele zaznaje szczęścia w życiu i zastanawiała się, jakie też przeszłaby koleje, gdyby nie dzieci. Usiadła w taki sposób, żeby mieć na oku dziewczynki, bowiem Barty Bendall kazał im pozmywać, chciała je więc dyskretnie dopilnować, nie narażając się na zarzut, że się wtrąca.

Polly stała z rozmarzoną twarzą i z rękami zanurzonymi po łokcie w pomyjach, chlupiących miarowo o ścianki głębokiego zlewu, i myślała kolejne talerze, spoglądając przez wąskie okienko na nieregularne zarysy miejskich zabudowań, widoczne na tle ciemniejącego nieba. Marta wzruszyła się, gdy dobiegły ją ciche, smutne słowa:

- Chciałabym być taka piękna jak ty, Florencjo. Ileż już razy słyszała Marta te słowa? I ile razy starała się pocieszyć Polly, przypominając jej, że przecież jest piękna... dla swojej mamy. Słuchała w milczeniu obu dziewcząt.

- Nie zostałam tutaj! - ciągnęła Polly. - Zabrałabym was wszystkich gdzieś, gdzie jest ładnie.

Kłęcząca obok szafki Florencja, usiłując od jakiegoś czasu wcisnąć stos talerzy w wąską szparę, odwróciła się teraz w kierunku Polly. Długie, ciemne włosy zsunęły jej się z ramienia, sięgając ziemi. Jej duże, ciemne oczy były równie piękne, jak oczy jej matki, a szczery uśmiech natychmiast przywoływał obraz jej przystojnego ojca - takiego, jakim pamiętała go Marta.

Marta z przyjemnością przysłuchiwała się cichej rozmowie córek, doceniając starania, jakie najwidoczniej czyniła Florencja, aby podążać za tokiem myśli starszej siostry. W rzeczywistości była jeszcze zbyt dziecinna, aby zrozumieć tak skomplikowaną istotę jak Polly. Florencja, mająca tylko siedem lat, nie zdawała sobie jeszcze sprawy, że nie wszystkie dziewczynki są takie same. Wydawało jej się oczywiste, że każdą dziewczynę czeka prędzej

czy później małżeństwo z jakimś Bogu ducha winnym chłopcem i założenie rodziny. Zaczynało do niej dopiero docierać, że Polly gardzi tymi sprawami.

Polly nadal mówiła, pochłonięta własnymi myślami, bardziej do siebie niż do siostry.

- Gdybym tylko była taka piękna jak ty - ciągnęła - wykorzystalabym swoją urodę, żeby coś mieć z tego życia! - Obróciła się na pięcie, mówiąc dalej szorstkim, zdecydowanym głosem. - Miałabym pieniądze i wielki, elegancki dom ze służbą! Zwiedzałabym świat i zawsze byłabym opalona, i nosiłabym drogą biżuterię, jak gwiazdy filmowe! - Następnie, jakby zdając sobie sprawę z całkowicie materialnego charakteru swoich pragnień, dodała szczerze: - I odnalazłabym na tym świecie wszystkich nieszczęśliwych ludzi i postarałabym się, żeby już zawsze byli szczęśliwi!

I jakby zastanawiając się nad tą ostatnią myślą, Polly zamilkła, z rękoma nadal zanurzonymi w zimnej już teraz wodzie. Wodziła rozmarzonymi oczyma po niebie, gdy nagle głos Florencji przerwał jej zamyślenie:

- Ale przecież ty jesteś ładna, Polly! Nie znam nikogo innego z takimi pięknymi jasnymi włosami i błękitnymi oczami. Jesteś podobna do wikingów, o których uczyliśmy się na historii. - Marta pobłogosławiła ją w duchu za te słowa. Ale w głosie Polly, gdy gwałtownie odpowiedziała siostrze, brzmiała pogarda.

- Nie wygłupiaj się, Florencjo Bendall! Tylko tak mówisz, żebym się lepiej poczuła! - Jej drżący od gniewu i powstrzymanego płaczu głos przybrał oskarżycielski ton. - Nie jestem wcale ładna! Jestem taka chuda i nijaka... i mam za duży nos! - Jej głos - zachrypnięty i szorstki - zdradzał cały ogrom nienawiści, jaką do siebie czuła. - Po co ja się w ogóle urodziłam?! - zakończyła z odrazą.

Marta podniosła się, nie chcąc interweniować, bojąc się jednak trochę, jak dalej rozwinie się sytuacja pośród tych gwałtownych i gniewnych słów. Czekwała słuchając i machinalnie głaszcząc gęstą, ciemną czuprynę Bartusia.

- Nie opowiadaj takich rzeczy! - szepnęła z przejęciem Florencja, zwracając przepelnione bojaźnią oczy ku niebu. - Nigdy nie wiadomo, kto tam słucha na górze! - Polly zamilkła, gdy niekłamany lęk przebijający z drżącego głosu Florencji otrzeźwił ją nieco. Słowa młodszej córki nie zaskoczyły jednak Marty - Florencja zawsze zwracała Polly uwagę na jej naganne, wołające o pomstę do nieba zachowanie.

Na widok młodszej siostry, patrzącej w górę z obawą, jakby same niebiosy miały właśnie z trzaskiem rozbić się na ich bluźniących głowach, Polly odrzuciła do tyłu głowę i wybuchnęła gromkim śmiechem, który zupełnie nie

pasował do jej delikatnego wyglądu. Florencja spojrzała na nią zaskoczona, po czym - z właściwą młodości świeżością - zdała sobie sprawę, jak komiczny musiała przedstawiać widok, i również się roześmiała. Marta odetchnęła, gdy dziewczęta zaczęły się ścisnąć pośród śmiechów i pisków, ale nieco później, jak można się tego było spodziewać, ochryply śmiech Polly zamienił się w gorące łzy i tak mocno ścisnęła Florencję, że dopiero na krzyk biednej siostry rozluźniła bezwiedny uścisk.

- Polly! To boli! - wołała rozpaczliwie Florencja.

Marta odsunęła krzesło, żałując teraz, że nie interweniowała wcześniej. Gdy wpadła do kuchni, Polly zdążyła już odepchnąć od siebie Florencję i skierować się we wzburzeniu ku drzwiom.

- Ja nie sprawiam ci bólu! - wyrzuciła z siebie, szlochając. - To ty sprawiasz mi ból! Za każdym razem, jak na ciebie spojrzę! Córunia tatusia, córunia tatusia! - krzyknęła przejmująco i wypadła z kuchni mijając matkę i Florencję.

Marta wzięła młodszą córkę za rękę.

- Idź, uspokój ją, kochanie, już ja tu dokończę - powiedziała.

Florencja wyszła, a Marta zakasała rękawy, żeby dokończyć zmywanie. Zastanawiając się, jaka tym razem mogła być przyczyna nieoczekiwanego wybuchu Polly, Marta zupełnie nie spodziewała się okropnego ryku, który rozległ się nagle za jej plecami, tak że aż podskoczyła ze strachu. To Barty Bendall, obudzony przez podniesione głosy dziewcząt, wtargnął do kuchni.

- Co to za hałasy, do licha? - wrzeszczał na cały głos, z twarzą czerwoną z wściekłości. - Czy nawet we własnym domu, psia krew, nie można mieć odrobiny spokoju?

Nagle jego bystre oczy zauważyły nieobecność dziewcząt przy pracy, którą im wyznaczył.

- Gdzie, do cholery, są te dziewczuchy? No, gdzie one są? - rzucił groźnie, z furią chwycił Martę za ramię i wypchnął ją brutalnie do pokoju. - Wynoś się stąd! To ich praca! Nie pozwolę, żeby się migaly! - Wygrazając pięścią wypadł z kuchni z groźną miną i ruszył za dziewczętami, dobrze zgadując, że zniknęły na górze.

Marta spoglądała za nim, rozmasowując delikatnie ramię w miejscu, gdzie zacisnęły się przed chwilą boleśnie jego silne, mściwe palce. Czowała się zmęczona po całym dniu pracy... zbyt zmęczona, żeby jeszcze musieć znosić takie awantury. Wzdrygnęła się, gdy Barty wrzasnął na schodach:

- Złaźcie tu na dół - obydwie! I to już! Chyba że chcecie posmakować mojego pasa!

Dziewczęta zbiegły na dół, przemykając pod ścianami - groźba użycia ciężkiego wojskowego pasa łatwo przemawiała do wyobraźni. Florencji udało się do tej pory uniknąć bólu i upokorzenia związanego z tą karą, ale Polly doświadczyła tego już nieraz. Gdy przemykały obok Barty'ego, wydawał się czekać na Polly, która z ociąganiem szła za Florencją. Gdy go mijała, zamierzył się ręką, jakby chcąc zadać cios, i to taki, że mógłby zdruzgotać jej schyloną ze strachu głowę.

Marta wyczuła ponurą zawziętość czającą się w jego geście i pośpieszyła w ich kierunku. Barty opuścił jednak rękę, jakby coś go nagle wstrzymało.

- Ty mała gnido! - wycedził przez zaciśnięte zęby. - Nie myśl, że nie wiem, kto tu jest prowodyrem!

Polly pochyliła się w strachu przed ewentualnymi razami i prześlizgnęła się obok niego do kuchni, gdzie wspólnie z siostrą w milczeniu dokończyła zmywanie.

Barty wrócił do salonu. Marta poprawiała pogrzebaczem węgle w kominku dziękując Bogu, że kolejny groźny incydent zakończył się w miarę bezboleśnie. Wzdrygnęła się ze wstrętem, gdy poczuła w pasie jego ramię.

- Daj mi ze dwa szylingi - wyszeptał przymilnie - i będę zmykał do pubu.

Sprawnie wywinęła się z przyprowadzających ją o mdłości objęć.

- Nie mogę - powiedziała. - Muszę zapłacić komorne i zostanie mi tylko parę szylingów na jedzenie. - Serce jej zamarło. Co on, na litość boską, zrobił ze swoją pensją? Był piątkowy wieczór. Może znowu grał na wyścigach, pomyślała. Pewnie był komuś winien te pieniądze, zanim jeszcze je dostał!

Barty Bendall wyprostował się i rozdał gniewnie nozdrza.

- Jedzenie! - zaśmiał się pogardliwie, wbijając w nią lodowaty wzrok. - Jakie, do diabła, jedzenie? Kiedy w tym cholernym domu dostanę jakiś porządny posiłek?! - Nachylił się ku Marcie, zmuszając ją swym złośliwym grymasem i wyciągniętą ręką, by na niego spojrzała. - No, dalej, kobieto! Daj mi te dwa szylingi! Nie będę tu stał do rana!

W głosie Marty odbiło się całe to ogromne zmęczenie, z którym się zmagala:

- Barty, w zeszłym tygodniu też nie dałeś mi żadnych pieniędzy. Naprawdę ledwie mogę związać koniec z końcem. - To właśnie w takich momentach żałowała najbardziej, że w ogóle się spotkali.

Zbliżył do niej pałającą gniewem twarz.

- Ach, rozumiem! - rzucił zjadliwie. - To ma być kara za to, że wpadam do pubu na parę kufli z kumplami, tak?

- Nie - powiedziała Marta stanowczo, cofając się przed jego agresywnym spojrzeniem. - Chodzi tylko o to, że ostatnio przepuszczasz tam chyba całą swoją pensję!

- Do diabła, a co tobie do tego?! Ty też dostajesz pensję w przedzalni, a ja nie pytam cię, na co ją wydajesz!

Odwróciła głowę, nie mogąc już znieść widoku jego twarzy.

- Barty! Żyjemy przecież tylko z tego, wiesz o tym! Nie musisz pytać, na co wydaję swoją pensję!

- Nie wygłupiaj się, Marto. - Barty silił się na bardziej ugodowy ton. Ale gdy zbliżył się do Marty, wykonując gest, jakby chciał ją objąć, w jego głosie ponownie zabrzmiały groźne tony. - No, dalej! - warknął, chwytając ją za ramię, które jednak szybko wyszarpnęła. - Nie ruszę się stąd, dopóki nie dostanę paru szylingów.

Odsunawszy się na bezpieczną odległość, Marta sięgnęła do kieszeni fartucha i podała mu dwuszylingówkę. Skwapliwie pochwycił monetę z pomrukiem zadowolenia.

- Tylko tyle? Niech ci będzie. No to idę. Nie czekaj na mnie wieczorem. - Tę ostatnią uwagę Marta przyjęła z należytyym sarkazmem. Tak jakby tylko marzyła o jego powrocie!

Barty sięgnął po czapkę, nasunął ją na oczy, i nie oglądając się nawet, bez słowa wyszedł z domu.

Oczekiwane przez wszystkich zniknięcie Barty'ego Bendalla było dla dziewcząt znakiem, że mogą wyjść z kuchni, gdzie już jakiś czas temu skończyły zmywanie i gdzie wolały poczekać, nie chcąc pokazywać się ojcu, żeby przypadkiem znów nie narazić się na jego humory. Zmartwiona Marta nie miała wątpliwości, że córki były świadkami konfrontacji pomiędzy nią a mężem.

Florencja przyjrzała się bacznie twarzy matki - zazwyczaj rumiana cera była teraz blada, a z podkrążonych oczu wyzierał smutek. Córki podeszły do Marty. Bartuś, który do tej pory wydawał się całkowicie pogrążony w swoim komiksie, szybko podniósł oczy, spoglądając w ich kierunku.

- To wszystko nasza wina, mamó - przyznała drżącym głosem Florencja. - Jest dzisiaj w okropnym humorze, prawda? - dodała, czule obejmując matkę w pasie.

Marta ujęła drobną rączkę Florencji, usiadła i wzięła córeczkę na kolanach.

- To nie ma nic wspólnego z wami, głuptasie. Po prostu wszyscy rodzice czasem się kłócą. - Florencja zbliżyła usta do twarzy Marty i obsypała ją pocałunkami.

- W każdym razie ja go nienawidzę! - powiedziała Polly zjadliwie. - Po prostu go nienawidzę! - Zawziętość, tak często przebijająca z głosu Polly, zaskoczyła Martę. Delikatnie postawiła Florencję na ziemię i spojrzała z niepokojem na starszą córkę.

- Polly! Nie mów tego nigdy więcej! To twój ojciec! - Słowa uwięzły jej w gardle. Widząc, jak Polly odyma wargi, ciągnęła stanowczo: - Nie żartuję, Polly! Nie waż mi się więcej tak mówić! - Serce ścisnęło jej się z żalu, że dziewczęta i mały Bartuś muszą widzieć takie sceny.

- Ale on jest dla ciebie taki okropny, mamó! - zaprotestowała Polly.

Marta pogłaskała ją po długich, jedwabistych włosach.

- Nie zawsze tak jest, kochanie. Potrafi być bardzo dobry i delikatny - odparła Marta łagodnie, całując Polly w głowę. Sama jednak zastanawiała się, kiedy ostatnio spokojnie z nim rozmawiała. W zasadzie swoje prawdziwe oblicze ukazał już sześć miesięcy po ślubie, gdy była w ciąży z Bartusiem. - Po prostu wpadł w złe towarzystwo w pubie, a poza tym ostatnio jakoś ciągle brakuje mu pieniędzy.

Również mały Bartuś ośmielił się z dziecięcą szczerością wtrącić swoje trzy grosze:

- To dlatego, że tatuś ciągle się upija i oddaje nasze pieniądze panu z pubu!

W ciemnych oczach Marty pojawił się błysk, gdy resztki lojalności kazały jej bronić Barty'ego Bendalla.

- No, tyle wystarczy od ciebie, smyku! - powiedziała stanowczo. - Twój ojciec ma rację - dzieci powinno się widzieć, ale nie słyszeć. Jest już ciemno, psujesz sobie oczy... - Zamknęła mu przed nosem książeczkę. - Chodź - powiedziała wyraźnie już zmęczonym i poirytowanym głosem - czas już na ciebie. - Zabrała książeczkę i łagodnie odciągnęła Bartusia od stołu. - No, marsz na górę - pogoniła go stanowczo, nie zważając na gorące protesty.

Później, lśniący czystością po wieczornym myciu, nadąsany Bartuś z ociąganiem skierował się do drzwi na korytarz. Demonstrując ostentacyjnie, że nie ma żadnych pretensji do sióstr, podbiegł i każdą z nich głośno pocałował, a wychodząc, rzucił za siebie smętne „dobranoc”. Marta pośpieszyła za nim z sercem zbolałym od wszystkich zgryzot. Uściskała go i wycałowała jego naburmuszoną buzię, a gdy był już w o wiele pogodniejszym nastroju, wyprawiła go na górę i życzyła mu spokojnych snów.

Wróciła do salonu, żeby spojrzeć na dziewczęta, i wtedy uderzyło ją, jak bardzo fizycznie się różnią, co szczególnie teraz, gdy stały tuż obok siebie, było wyraźnie widoczne. Anielska bladość i jasne włosy Polly kontrastowały z ciemną karnacją i żywymi rumieńcami Florencji. Każdy nieznamy miałby

pełne prawo wątpić, czy są siostrami. Z zatroskanym wyrazem twarzy Marta przyjrzała im się badawczo, po "czym podeszła bliżej, i rzuciła sucho:

- Wam też by nie zaszkodziło położyć się dzisiaj trochę wcześniej! - Wskazując z rezygnacją kominek, dodała: - Ogień dogasa, a dziś nie możemy już nic dołożyć.

- Ale ty tu jeszcze będziesz, mamó, więc my też jeszcze posiedzimy. - Polly podeszła do matki i objęła ramieniem jej smukłą talię. Podeszły do krzesła, gdzie Marta usiadła ciężko, całkowicie już wyczerpana. - Czekasz jeszcze na tatę? - spytała ostro Polly.

- Nie, dziecko. Posiedzę tu tylko w spokoju przez chwilę... i pójdę do łóżka. - Chciała pobyc przez chwilę sama i móc zebrać myśli.

Florencja, nie zrażona, podeszła i ponownie usiadła u jej stóp.

- No to my też jeszcze tu zostaniemy - powiedziała zdecydowanie.

Marta przyjrzała się każdej z osobna i szeroki, promienny uśmiech rozjaśnił jej piękną, ciemną, porażającą cygańską urodą twarz.

- No dobrze - dała za wygraną. - Widzę, że muszę ustąpić.

Wskazując kredens, powiedziała do Polly:

- Wyjmij karty, kochanie. Zagramy, ale bardzo krótko - dodała szybko. Nie była pewna, czy długo jeszcze będzie w stanie oprzeć się ogarniającej ją senności. Florencja zerwała się z miejsca.

- Ja je przyniosę! - zawołała. - Dobrze wiem, gdzie są!

Siedząc już na swoich miejscach, zupełnie nie zauważyły, jak do pokoju wszedł mały Bartuś. Odezwał się, kiedy stał już tuż obok nich.

- Mamó, mogę zostać z wami na dole? - spytał błagalnie sennym głosem, patrząc na nią dużymi, brązowymi, zaczerwienionymi teraz ze zmęczenia oczyma. - Nie potrafię zasnąć.

Marta poczuła, jak fala czułości wypełnia jej serce i mimo zmęczenia przytuliła synka do siebie. Widocznie głośna wymiana zdań pomiędzy nią a jego ojcem zaniepokoiła chłopca, zakłócając jego dziecięce sny.

- Oczywiście, że możesz tu z nami zostać, kochanie... Zniosę cię na górę, kiedy będę sama szła, dobrze?

- Dziękuję, mamó. - Bartuś uśmiechnął się z wdzięcznością. Utulony bezpiecznie i wygodnie w ramionach mamy, zasnął spokojnie, zanim jeszcze zdążyły rozdać karty. Trzymając go mocno w objęciach, Marta próbowała skupić uwagę na grze z dziewczętami.

Po jakimś czasie, widząc, że ogień w kominku już ledwie się tli, Marta skuliła ramiona i zatrzęsła się z zimna.

- Chyba już czas do łóżek - powiedziała.

- Trochę już jestem zmęczona - przyznała Florencja, tłumiąc ziewnięcie.

- A ja strasznie zmarzłam! - oświadczyła Polly, wstając od stołu.

Po uprzątnięciu kart, dziewczęta podążyły za Martą na górę, gdzie na półpiętrze ucałowały ją na dobranoc i poszły do swojego pokoju. Wszystkie używane sypialnie mieściły się na pierwszym piętrze - z wyższych, zimnych rejonów domu nie korzystali zupełnie, a Marta w ogóle chyba tylko raz się tam zapuściła. Było tam zimno i pusto jak w jakiejś innej, obcej krainie, całkowicie odciętej od ich codziennego życia. We frontowej górnej sypialni znajdowała się dziwna zbieranina przedmiotów, należących kiedyś do starej pani Bendall - druciany manekin krawiecki z dużym biustem i inne podobne rzeczy, których Marta nigdy nie ruszała. W sumie w domu, bardzo wąskim i wysokim, znajdowało się osiem sypialni - po cztery na każdym piętrze. Barty i Marta zajmowali frontową na pierwszym piętrze, Florencja i Polly drugą co do wielkości, Bartuś trzecią, a czwarta stanowiła coś w rodzaju bawialni dla dzieci, gdzie mogły hałasować i dokazywać do woli... gdy w domu nie było Barty'ego Bendalla.

Nie była ona urządzona jak typowy pokój zabaw dzieciennych, ponieważ nie było w niej zbyt wiele zabawek ani ciekawych przedmiotów. W zasadzie jedyną cenniejszą rzeczą był tam wielki, staromodny kredens - najstarszy chyba mebel w domu, stojący tu od lat, jeszcze w czasach, zanim wprowadzili się Bendallowie. Jego ogromne rozmiary intrygowały Martę, był bowiem zbyt szeroki, by mógł zmieścić się w drzwiach, a trudno było wyobrazić sobie, że został wniesiony przez okno... jak więc, do licha, znalazł się w pokoju? Poza kredensem i kawałkiem szorstkiej maty z włókna kokosowego, leżącym pośrodku pokoju, jedyne meble stanowiły dwa stare krzesła. Nie był to zbyt miły pokój i z pewnością trudno było oczekiwać, że może on wydawać się przytulny i atrakcyjny dzieciom czy w ogóle komukolwiek. W domu nie było takiego luksusu jak łazienka, a jedyna ubikacja znajdowała się na dole, właściwie na zewnątrz - w komórce na węgiel, za wąskim przepierzeniem.

W sypialni Marty i Barty'ego stało łóżko małżeńskie po starej pani Bendall - wysoka, bogato zdobiona mosiężna landara, która obdarzonej żywą wyobraźnią Marcie przypominała wypolerowaną, udekorowaną trumnę. Po każdej stronie łóżka stało małe krzesło, a na nim świeca w mosiężnym lichtarzu. Podobnie jak we wszystkich pozostałych sypialniach na podłodze nie było żadnych dywaników poza niewielkim kawałkiem maty leżącym przy łóżku po stronie Barty'ego. Obok komina znajdowała się wielka szafa ścienna. Marta często zasypiała przy odgłosach harcujących tam myszy.

Sypialnie dzieci były dokładnie takie same, pomijając brak krzesel, zamiast których miały przy łóżkach niskie drewniane stołki z plecionymi z sitowia siedzeniami. Nieustanny chłód wywoływał w pokojach wilgoć, a w okresie zimowym mroźne powietrze, sączące się przez szpary i nieszczelne framugi, nie traciło nic ze swojego dojmującego chłodu.

Trzymając zapaloną świecę, Marta weszła na palcach do pokoju Bartusia, położyła śpiące dziecko na łóżku i otuliła je szczelnie kocami. Po wejściu do własnego, wionącego chłodem pokoju wstawiła świecę do lichtarza na krześle. Światło rozedrganego płomienia natychmiast oświetliło wysoki sufit, rzucając też przyćmiony blask na ubogi dobytek.

Marta rozebrała się, czując dreszcze, gdy owionęło ją zimne, wilgotne powietrze. Chwilę potem, wstrzymując oddech, zanurzyła się dzielnie w lodowatej pościeli. W ciągu godziny cały dom już spał.

Musiała być druga nad ranem albo i później, gdy została nagle obudzona. Frontowe drzwi trzasnęły głośno, a w korytarzu rozległy się przekleństwa błędzące po omacku Barty'ego Bendalla.

- Gdzie ten cholerny przełącznik? Jest tu kto? Gdzie oni się podziali, do cholery! - Z łoskotem poszedł do schodów i krzyknął do góry chrapliwym, pijackim głosem:

- Marto! Gdzie jesteś, do licha?

Pełna lęku podniosła się na jednym łokciu, przeczuwając najgorsze.

- Pijany! - szepnęła w ciemności. - Pijany w sztok! - Ogarnęła ją fala mdłości i obrzydzenia, gdy zaczął wykrzykiwać jej imię. Właśnie takich chwil obawiała się najbardziej - gdy wracał do domu podпиты, dopominając się o swoje męzowskie prawa. Gdyby nie to, że poroniła w rok po urodzeniu Bartusia, a potem, rok temu, donosiła dziewczynkę, która urodziła się martwa, byłoby teraz siedem osób do wyżywienia. W obu przypadkach Marta bardzo przecierpiała utratę dzieci, ale gdyby biedactwa przeżyły, o ileż trudniej byłoby teraz całej rodzinie, przekonywała często samą siebie.

Dziękowała Bogu, że od tamtego czasu nie zaszła w ciążę. Widocznie sama natura obdarzyła ciało kobiety pewnymi zabezpieczeniami. Poza tym Barty był czasami tak spity, że zasypiał leżąc na niej, zanim jeszcze zaspokoił swe żądze! W takich chwilach - kiedy można było na niego patrzeć jak na żalostną czy nawet komiczną postać - Marta czuła tylko obrzydzenie i spychała go z siebie.

Rozległ się straszliwy huk, jakby coś uderzyło o ścianę we frontowym pokoju. Barty potknął się, zatoczył na kredens i machając bezładnie rękami, zrzucił zeń wszystkie przedmioty. Powietrze wypełniły przekleństwa, a Marta przygotowała się na najgorsze.

Czekała z uczuciem odrazy i buntu, z przepelniającym ją zamętem. Jej oczy posmutniały i przygasły. Szepnęła do siebie:

- Świnia. Wyszłam za pijaną świnię!

W drugim pokoju dziewczęta leżały cichutko, przysłuchując się, jak Barty przeklina i pomstuje na wszystko wokół.

- Może zawołać mamę? - spytała nerwowo Florencja.

- Nie! Na pewno wie, że znowu jest pijany! Chyba cała ulica już wie!

Mały Bartuś, sam w swoim pokoju, naciągnął koc na głowę i skulił się w pościeli, mocno zaciskając powieki, jakby chciał przywołać kojącą ciemność przerwane nagle snu.

Marta leżała bez ruchu, czując, jak rosnące w niej obrzydzenie przeradza się w poczucie upokorzenia i rezygnacji.

Z ciężkim westchnieniem wyciągnęła długie, szczupłe nogi spod kołdry i stanęła na gołej podłodze. Powoli zdjęła z siebie nocny strój, a nie była to bynajmniej żadna wymyślna, dopasowana do jej pięknej figury nocna koszula, tylko figi i gruby bawełniany podkoszulek. Chwyciwszy z obu stron dół podkoszulka, podniosła ręce do góry. Ukazały się jędrne, pełne piersi o pięknym kształcie, ściągnięte teraz od zimnego porannego powietrza. Rzuciła podkoszulek na krzesło i zsunęła figi. W całej swojej nagości była teraz doskonałym uosobieniem kobiecego piękna. Gdy tak stała, z długimi, bujnymi, ciemnymi włosami sięgającymi jej smukłej talii i pełnymi udami, doskonale harmonizującymi z kształtnymi, szczupłymi łydkami, jej wspaniała uroda wydawała się kwintesencją kobiecości.

Drżąc, wślizgnęła się z powrotem do łóżka i leżała czekając z rezygnacją na bestię zbliżającą się z hałasem po schodach. Po jej twarzy powoli toczyły się łzy, a serce łomotało ze strachu przed mężem i z bezsilnego gniewu na siebie samą, że zawiodła swoje dzieci, że nie powiodło jej się w małżeństwie, a przede wszystkim, że rozwiały się wszystkie piękne marzenia jej młodości.

Dotkliwie świadoma własnej niedoli, Marta pozwoliła sobie na luksus przeniesienia się myślą w przeszłość. Znowu czuła ciepły uścisk Curta Rathetera, a jej serce śpiewało radośnie.

- Curt - szepnęła tkliwie, jakby był tuż przy niej - tak mi przykro, kochany... tak mi strasznie przykro. - Pocieszenie, jakie znalazła w tych marzeniach, których sama sobie surowo wzbraniała, nie trwało długo, bowiem Barty Bendall z trzaskiem otworzył drzwi, po czym przez jakiś czas starał się sforsować próg. Niemy szloch uwiązał Marcie w gardle, gdy bezgłośnie wymówiła błagalne słowa:

- Niech Bóg ma mnie w swojej opiece.

Modliła się, aby dzieci się nie obudziły. Sama mogła znosić swój los... ale na myśl o nich jej samotne serce ścisnęło się z żalu.

Gdy Barty Bendall gwałtownie, okrutnie wziął jej ciało, strumienie łez spływały po jej twarzy, a resztki uczucia, jakie kiedyś żywiła do tego człowieka, topniały coraz bardziej.

Była wobec niego bezsilna. Był jej mężem i gdyby odmówił mu tego, czego chciał, wszystko przerodziłoby się w jeszcze większy koszmar. Kiedyś skończy się pasmo jej nieszczęść i nadejdą lepsze czasy - była tego pewna. A gdy to się stanie, wtedy zacznie naprawdę żyć. Do tego czasu, aby zapewnić sobie i dzieciom względny spokój, musi znosić Barty'ego Bendalla. Ale już nigdy nie będzie w stanie go kochać - to już niemożliwe.

Tylko raz tej nocy, zanim wreszcie zasnęła, pozwoliła sobie na myśl, że może Curt wyjdzie w ciągu roku na wolność. Jakże błagała Boga, by ona też mogła być wolna.

Rozdział siódmy

Sobota zawsze była dla Marty dniem ożywionej krzątaniny. Po całotygodniowej harówce w przedzalni jeden spokojny, cichy dzień byłby dla niej wielką przyjemnością i wytchnieniem. Ale w sobotę nie było czasu na odpoczynek - trzeba było przecież uporać się z wielką stertą prania, która narosła przez cały tydzień, wytrzepać maty, wyszorować do czysta wykładzinę podłogową, a potem wypastować ją i wyfroterować, że aż bolały ramiona, zmienić pościel... nie wspominając już o wszystkich codziennych zajęciach, takich jak przygotowanie posiłków i dogłądanie dzieci.

- Och, mamó, dlaczego nie mogę pójść do kina? - Florencja utkwiała w Marcie błagalne spojrzenie wielkich, aksamitnych oczu, chodząc za nią krok w krok po kuchni. - Zrobiłam już wszystko, co miałam zrobić!

Marta z brzękiem postawiła emaliowaną miednicę na kamiennej podłodze i uklękła obok niej na złożonym gałganie.

- Florencjo! - powiedziała z irytacją. - Nie chodzi o to, że nie chcę, żebyś poszła do kina... - urwała, rzucając w górę spojrzenie, by się upewnić, że Florencja słucha tego, co ma jej do powiedzenia. - Po prostu nie stać mnie na to, żeby dać ci na to pieniądze. - Zamoczyła i wygniotła parę razy w mydlinach szmatę do podłogi, po czym wyżeła ją lekko i rzuciła z mokrym płaszczykiem na podłogę. - Coś ci powiem - zaproponowała z ożywieniem. - Jeśli poczekaś do

następnej soboty, to obiecuję ci, że wszyscy będziecie mogli pójść w pochodzie z instrumentami podczas Nocy Jazzowej!

- Podczas Nocy Jazzowej! - Florencja otworzyła buzię ze zdumienia, a jej oczy rozwarły się jeszcze szerzej. - Naprawdę? Ja i Bartuś też? Też możemy pójść na Noc Jazzową? - Rzuciła się mamie na szyję, całując ją i ściskając z całych sił.

Marta zaczęła opędać się przed tą napaścią z szerokim uśmiechem ulgi, że Florencja przestała nalegać na wyprawę do kina. Dobrze wiedziała, że potrzebna jej będzie każda trzypensówka, jaką zdoła wygospodarować. Poza tym, nie mówiąc o tym przedtem Florencji ani Bartusiowi, już wcześniej postanowiła, że w tym roku pozwoli im przyłączyć się do dzieci z sąsiedztwa podczas corocznych obchodów Nocy Jazzowej.

Noc Jazzowa była zawsze wielką atrakcją dla dzieci. Jej obchody, przypadające pomiędzy Nocą Czarownic a dniem Guya Fawkesa, kiedy rozpalano wielkie ognisko, były niezmiernie ekscytujące i oczekiwane z podnieceniem. Dzieci smarowały wtedy sadzą twarze, szyje i wszystkie inne odkryte części ciała, tak że widać było tylko białka oczu. Nawet ubrania, które miały na sobie, były ciemne, żeby można było całkowicie wtopić się w wieczorny mrok. Zaopatrzone we wszelkie rondle, patelnie i pokrywy od kubłów na śmieci, wyruszały na miasto w kilkusobowych grupach, z wielkim zapałem bębniąc metalowymi łyżkami i drewnianymi patykami w swoje prowizoryczne „instrumenty” i strasząc tych Bogu ducha winnych przechodniów, którzy zapomnieli, że jest właśnie Noc Jazzowa. Przerażone psy i koty zmykały ze wszystkich sił, kuląc pod siebie ogony, a ich wycie i miauczenie zlewało się z odgłosami bębnienia w jeden ogłuszający jazgot.

Siejący postrach przebierańcy wędrowali zazwyczaj od pubu do pubu, gdzie mieli największe szanse, że natkną się na podpitych mężczyzn, zbierających się do powrotu do domu. Przy odrobinie szczęścia można było dostać jakąś półkoronówkę, zbywającą komuś sześciopensówkę czy choćby nawet półpensówkę... najmniejsza nawet moneta zasilala wspólną kasę. Przechodnie chętnie rzucali to i owo, aby odpędzić złe duchy, choć napotykanii po drodze pijani często sami wyglądali tak, jakby byli złymi duchami.

Marta zmarszczyła lekko czoło, łagodnie odsuwając od siebie rozentuzjasmowaną Florencję. Bóg świadkiem, że ostatnimi miesiącami nie żyło im się lekko, pomyślała. Patrzyła, jak Florencja wypada z kuchni do salonu, gdzie Polly i Bartuś pokrywali grafitem ruszt w kominku.

Poprawiła turban, który przekrzywiła jej podniecona Florencja, i powróciła do mycia podłogi, z przyjemnością przysłuchując się, jak uszczęśliwiona Florencja dzieli się z bratem i siostrą wspaniałą nowiną.

- W tym roku wszyscy idziemy na Noc Jazzową.

- Co? Mały Bartuś też? - głos Polly wyrażał niedowierzenie.

- Tak! Wszyscy! Mama tak powiedziała! - przekonywała Florencja, najwyraźniej bardzo dumna z faktu, że to do niej pierwszej dotarła ta wiadomość.

- Ja też? Ja też? Nie bujasz? Nie bujasz, Floro? - mały Bartuś nie mógł uwierzyć własnemu szczęściu.

Marta czekała na nieuchronny skutek swojego oświadczenia, zastanawiając się, czy zdoła w końcu skończyć to nieszczęsne mycie podłogi. Jak przypuszczała, cała trójka hurmem rzuciła się do kuchni.

- Mamo! Czy ja muszę brać ich ze sobą na Noc Jazzową? - Polly najwyraźniej nie uśmiechała się taka perspektywa.

Marta westchnęła, usiadła na piętach i powiodła wzrokiem po ich twarzach.

- Wygląda na to, że wy dwoje jesteście już teraz całkiem gotowi do pójścia na Noc Jazzową - zaśmiała się, widząc umorusane grafitem twarze Polly i Bartusia. - Mam nadzieję, że w puszcze coś jeszcze zostało.

- Och, mamo! - zaprotestowała zdruzgotana Polly. - Chyba nie muszę brać ich ze sobą, prawda? Nie będą mieli pojęcia, co robić! - lamentowała, po czym dodała, wskazując pogardliwie na Bartusia: - A on będzie tylko zawadzać! Jeszcze się zleje w majtki albo co... i założę się, że cały czas będzie płakał!

- Nie będę! Mam już pięć lat! - Bartuś był oburzony, że komuś mogło w ogóle coś takiego przyjść do głowy.

- Polly, kiedy ty pierwszy raz szłaś na Noc Jazzową, też ktoś ci musiał pokazać, co masz robić! Nie bądź taka samolubna, kochanie. Możesz wziąć ich z sobą... i liczę na to, że będziesz na nich uważać. - Wróciła do mycia podłogi uznając sprawę za zamkniętą.

Dzieci stały jeszcze przez chwilę, patrząc na matkę. Wydawało się jednak, że rozmowa skończyła się już definitywnie, więc pozwoliły Marcie w spokoju umyć podłogę.

Barty Bendall już dawno, jak w każdą sobotę, wyruszył z domu w poszukiwaniu bukmacherów. Marta była zadowolona, bo gdy go nie było, atmosfera w domu stawała się nieco mniej przygnębiająca.

Wszystkie prace zostały wkrótce ukończone i o godzinie trzeciej również zjedzony wcześniej posiłek był już tylko przyjemnym wspomnieniem. Marta postanowiła odłożyć szycie i cerowanie na później. Z westchnieniem ulgi

usiadła w końcu spokojnie przy ogniu, by spisać krótką listę zakupów, jakie dziewczynki miały zrobić w sklepie na rogu. Lepiej kupić trochę jedzenia za te parę ostatnich szylingów, pomyślała, zanim on je od niej wyciągnie.

Rozejrzała się po pokoju. Bartuś jak zwykle wetknął nos w swój nieśmiertelny postrzępiony komiks. Dziewczęta pochłonięte były jakąś grą. Właśnie takie chwile Marta lubiła najbardziej... gdy dzieci były przy niej, bawiąc się spokojnie, i gdy stać ją było na luksus paru cennych, cichych minut, kiedy jej serce mogło potajemnie napełnić się wspomnieniami o ukochanym Curcie. Nie musiała ich zbyt długo przywoływać, mimo iż wiedziała, jak są bolesne, a żale daremne.

Westchnęła ciężko i starając się otrząsnąć z tych natarczywych myśli, wróciła do listy zakupów. Przez ścianę, która oddzielała salon Bendallów od mieszkania Ady Humble i jej licznej gromadki, dobiegały Martę odgłosy krzyków i przepychanek, jakie nieuchronnie wywiązywały się tam, gdzie było sześciu wyrośniętych chłopaków. Biedna Ada, pomyślała Marta ze współczuciem, pewnie niewiele ma chwil wytchnienia.

Dom po lewej stronie był stosunkowo cichy, poza sporadycznymi przypadkami, kiedy Edith Atkinson naprawdę traciła nad sobą panowanie i wrzeszczała na swoją siostrę Sarę bardziej niż zwykle. Siostry, obie w podeszłym już wieku, mieszkały pod piątką od wielu lat. Od dawna znosiły bliskie sąsiedztwo rodziny Humble'ów, którą Edith określiła jako „niesłychanie krzykliwą”. Usłyszawszy tę uwagę, Marta nie potrafiła powstrzymać się od myśli, że kocioł garnkowi przygania.

Sara Atkinson, młodsza od siostry o sześć lat, miała siedemdziesiąt dwa lata. Była drobna, zasuszona i nosiła zawsze szal dopasowany kolorem do jej ładnych kasztanowatych włosów. Była przygłucha i zupełnie ślepa. Starsza, Edith, była potężnie zbudowaną kobietą, niezmiernie otyłą i wyjątkowo brzydka. Jej bujne siwe włosy były zawsze wysoko upięte w wielki niedbały kok. Marta tylko raz widziała Edith Atkinson z rozpuszczonymi włosami i nie zdziwiła się, że sięgają one znacznie poniżej jej szerokiej talii. Nic nie uchodziło uwagi małych, złośliwych oczu Edith. Nieustannie tyranizowała swoją upośledzoną siostrę, rządząc w domu żelazną ręką. Chodziły słuchy, że kiedy zmarł ostatni z ich krewnych, dostały ładnych parę groszy.

Były ostatnie z rodu, a ponieważ obie były starymi pannami i trudno było przypuszczać, że w tym wieku wyjdą jeszcze za mąż, wyglądało na to, że historia tej właśnie gałęzi rodu Atkinsonów skończy się wraz z nimi.

Po przeciwnej stronie, tuż za siedzibą rodziny Humble'ów, stał dom pusty od czasu rozpadu małżeństwa poprzednich lokatorów. Najwyraźniej bliska

znajomość młodej żony z poprzednim właścicielem gospody „Okręt” spowodowała nieuniknione rozstanie i w końcu rozpad małżeństwa. Od tamtego czasu w domu tym było cicho i pusto. Uniknął on zdewastowania przez wandalów i w zasadzie był w dobrym stanie. Nikt do niego nie wchodził, pomijając jakieś zabłąkane myszy biegające pod podłogą i może od czasu do czasu potajemną wizytę jakiejś roznamiętnionej pary kochanków, pragnącej doprowadzić do skutku wyznana sobie wzajemnie miłość. Jednak ogólnie biorąc, dom był praktycznie gotowy do ponownego zasiedlenia.

Wszyscy sąsiedzi wiedzieli, że pusty dom został ostatnio przydzielony przez radę miejską pewnej irlandzkiej rodzinie, o której ku rozczarowaniu zapalonych plotkarzy - głównie Edith Atkinson - nikt nie wiedział nic konkretnego. Według różnych nie sprawdzonych pogłosek mieli się oni wprowadzić w sobotę, czyli tego właśnie dnia. Nikt nie znał dokładnej godziny, ale miało się to podobno odbyć późnym popołudniem.

Ostatnio niewiele działo się w sąsiedztwie i życie toczyło się powoli utartą koleiną, pośród pracy i codziennych trosk, było więc najzupełniej zrozumiałe i oczywiste, że każdy z mieszkańców ulicy Regent nie posiadał się z ciekawości. Od samego rana widać było ruch dyskretnie odsuwanych firanek, a widok niewyraźnych postaci ukradkiem wyglądających gdzieś zza wpółotwartych drzwi świadczył o nastroju niecierpliwego wyczekiwania i niezwykłego podniecenia.

Marta była równie ciekawa, jak wszyscy inni. Prosiła już dzieci, aby powiadomiły ją natychmiast, gdy tylko zauważą przybycie nowych sąsiadów, było więc dużo bieganiny po korytarzu prowadzącym do frontowych drzwi. Wiele innych par oczu wzdłuż całej ulicy również wyglądało przez wąskie otwory skrzynek na listy, okna i dziurki od klucza. Gdyby w domu był Barty Bendall, takie „prostackie” zachowanie byłoby nie do pomyślenia, ale w soboty rzadko bywał w domu.

Jak na ironię, pomimo czujnej obserwacji prowadzonej przez małych Bendallów, irlandzka rodzina przybyła dokładnie w chwili, kiedy wszyscy w domu byli czymś zajęci.

Marta kończyła właśnie sporządzanie skromnej listy zakupów dla czekających dziewcząt, a Bartuś siedział przy stole, zainteresowany bardziej swoim wystrzępionym komiksem niż nowymi lokatorami. Jego ciemne oczy śledziły treść książeczki w najwyższym skupieniu, przerywanym niekiedy tylko przez konieczność odrzucenia w tył bujnych loków, przeszkadzających mu w czytaniu.

Nagle wyraźne odgłosy stukotu końskich kopyt o bruk przerwały ciszę.

- Jada! Jada! - krzyknęła Polly głosem drżącym od emocji i zerwała się z krzesła z impetem zupełnie niestosownym u młodej damy. Florencja i Bartuś rozentuzjasmowani pognali za nią korytarzem do frontowych drzwi. Marta podniosła wzrok znad listy, nad sporządzeniem której się biedziła, nie mogąc zdecydować, co kupić za te parę pozostałych jeszcze szylingów. Odłożyła z rezygnacją ołówek, wstała i podążyła za dziećmi.

Każda przeprowadzka, bez względu na to, czy ktoś się wprowadzał, czy wyprowadzał, była zawsze wielkim wydarzeniem. Prości ludzie z Lancashire byli bardzo zainteresowani losami swoich bliźnich. Przeprowadzka sąsiadów zawsze stanowiła wdzięczny temat do rozmów. Przy dzisiejszej okazji na ulicę wylegli wszyscy mieszkańcy, śpieszący jak na inspekcję rekrutów. Dorośli stawali w drzwiach z założonymi rękoma, kobiety gawędziły kiwając owiniętymi w turbany głowami, a piszczące, podniecone dzieci wybiegły na spotkanie przybyszom, którzy wydawali się bez żadnych oporów akceptować rolę, jaka im przypadła w tym przedstawieniu.

Ulica ożyła i wypełniła się gwarem. Mieszkańcy starych szeregowych domów stanowili barwne zbiorowisko typów ludzkich, równie ciekawych, jak i same porozrzucane nieregularnie domy. Stara Maria Heigh, uważana za największą dziwaczkę na całej ulicy, stała w progu wyciągając szyję, żeby nic nie uronić z rozgrywającego się widowiska. Krążyły słuchy, że nigdy się nie myje. Mówiono, że nawet najmniej wrażliwym trudno byłoby wytrzymać w pobliżu starej Marii ze względu na roztaczający się zawsze wokół niej okropny fetor.

Od tego czasu, kiedy przed ponad trzydziestu laty zmarł jej biedny stary ojciec, Maria mieszkała samotnie w ostatnim domu w szeregu. Nikt dokładnie nie wiedział, w jakim jest wieku, choć ludzie oceniali, że musi mieć co najmniej osiemdziesiąt lat. Rzadko opuszczała zacisze swojego domu, a jedyną osobą, jaką kiedykolwiek wpuszczała do środka, była Marta, która ku przerażeniu sąsiadów często robiła staruszce zakupy. Maria była niska i okrągła jak beczułka, a noszone przez nią długie spódnice w niczym nie poprawiały jej wyglądu. Spódnica zazwyczaj służyła jej za podręczną ścierkę do naczyń. Wycierała o nią ręce, wydmuchiwała w nią brązową zawartość zatabaczonego nosa... a teraz używała jej do przetarcia swych drogocennych, drobnych, srebrzystych okularów, które następnie z delikatną precyzją szybko nałożyła na nos, i rozejrzała się badawczo.

Włosy sterczały jej sztywno do góry, a nerwowy odruch kiwania głową teraz jeszcze się nasilił w związku z podnieceniem wywołanym pojawieniem się nowych sąsiadów. Gdy w pewnej chwili dojrzała Martę, twarz jej rozjaśnił

szeroki, przyjazny uśmiech, odsłaniając dwa rzędy poczerńiałych zębów, z których istnienia miała prawo być dumna. Marta odwzajemniła uśmiech, machając do Marii ręką.

Pan Josephs, swarliwy stary plotkarz, wyglądał z górnego okna swojego domu wychylając się niebezpiecznie, by móc ogarnąć cały przebieg wydarzeń.

- To jacyś dziwni ludzie! - krzyknął, licząc na uwagę zgromadzonych. - Zupełnie do nas nie pasują! - Nikt nie zważał zbyt na jego niestosowne uwagi, choć wiele osób zatrzęśło się od bezgłośnego śmiechu, gdy nagle w oknie pękł jeden z zawiasów i rama okienna z głośnym trzaskiem osunęła mu się na głowę. Bluznął stekiem przekleństw, po czym skonsternowany wygrzebał się spod okna i szybko zniknął w środku. Poruszające się firanki wszyscy przyjęli z ulgą jako znak, że postanowił kontynuować obserwację z bezpieczniejszej pozycji.

Przeprowadzka irlandzkiej rodziny nie odznaczała się niczym szczególnym. Wszystko odbywało się zwykłym, utartym trybem. Zaprzęgnięty do dyszla wielki, gniady koń pociągowy po nierównym bruku bez większego wysiłku ciągnął za sobą drewniany wóz. Wielkie, silne ciało zwierzęcia i równie mocne serce było stworzone do takich zadań. Łagodny olbrzym ze spokojem sunął do przodu, ignorując biegnące obok, wrzeszczące dzieci, które wieszając się na brzegu wozu ze śmiechem i krzykiem witały nową rodzinę, a ta odwzajemniała im się równie ciepłymi uśmiechami.

Z przodu siedział ponury woźnica. Zwiesił w dół chude nogi, a lejce trzymał luźno w kościstych rękach.

- No, dalej, stary... - rzucił zachęcająco wysokim, metalicznym głosem i koń, który trochę dezorientowany zaczynał już zwalniać, zareagował na znajomy dźwięk głosu swego pana. Grube mięśnie jego klatki piersiowej i przednich nóg naprężyły się i wóz potoczył się znów szybciej, turkocąc rytmicznie metalowymi obręczami kół po kocich łbach. Tuż za woźnicą siedziało dwóch mężczyzn i kobieta z dziewczynką, a dalej piętrzyły się stosy mebli i dobytku - krzesła, stół, kredens, łóżka, tobołki z pościelą, garnki i naczynia kuchenne - wszystko to chybotąło się niepewnie pośród sterty innych sprzętów i przedmiotów codziennego użytku.

Gniadosz wolnym klusem posuwał się miarowo naprzód, z zadowoleniem ciągnąc swój hałaśliwy, barwny ładunek, aż wreszcie, pośród sięgającego zenitu ogólnego poruszenia, zatrzymał się przed pustym domem.

- Nie wyglądają na biedaków, co? - zauważyła trochę zbyt głośno Edith Atkinson. Marta pomyślała, że to pewnie od tego ciągłego krzyczenia na głuchą

siostrę, po czym oparła się o futrynę drzwi. Smutna szara sukienka nie chroniła jej zbyt przed chłodnymi porywami wiatru.

- Racja, panno Atkinson - powiedziała. - Rzeczywiście, nie sprawiają takiego wrażenia. Ciekawe, co ich skłoniło do przeniesienia się do naszej dzielnicy. - I z melancholijnym, bladym uśmiechem dodała: - Jeśli o mnie chodzi, to gdybym tylko mogła, od razu bym się stąd wyniosła!

- Ano tak - odparła głośno wielka Edith - ale dla mnie jest już za późno. - Mogę opuścić ten dom już tylko w jeden sposób - nogami do przodu i w drewnianej skrzynce! - Z rezygnacją splotła ręce na brzuchu, wbijając w ziemię ostentacyjnie żalosne spojrzenie.

- Ależ co pani mówi! - zaproponowała łagodnie Marta. - Wszystkich nas pani będzie jeszcze odprowadzać tą ulicą! - roześmiała się, a stara kobieta odrzuciła do tyłu głowę, otworzyła szeroko bezzębne usta i wydała z siebie gardłowy rechot.

- Kto wie, Martuniu! Kto wie - przytaknęła z zadowoleniem.

Wzdłuż całej ulicy trajkotały kobiety i piszczały dzieci, ale nad wszystkimi górował głos grubej Edith Atkinson, która głośno opisywała biednej, ślepej siostrze, co dzieje się na ulicy.

- Jest dwóch mężczyzn! - Zbliżyła usta do ucha Sary, która rozpaczliwie usiłowała połapać się w tej mnogości głosów. - Powiedziałam, że jest dwóch mężczyzn, moja droga... dwóch! - Jej głos grzmiał, próbując przebić się przez mur głuchoty.

Marcie wydała się komiczną postacią... ale w końcu Edith Atkinson była kobietą o szczególnej osobowości i upodobaniach. Przed zimnym powietrzem chronił ją stary brązowy płaszcz, w którym wyglądała jak prawdziwy generał.

Jej siostra Sara pochyliła się w stronę źródła dźwięku z ustami rozwartymi w głębokim skupieniu. Zacisnąwszy mocno niewidzące oczy, nastawiła ręką ucha, a ostre rysy jej kościstej twarzy ułożyły się w jeden wielki znak zapytania.

- Aha! - mruknęła głosem dużego dziecka.

- Właśnie! - ciągnęła dalej, wysilając swój tubalny głos, wielka brzydka Edith. - Nie mam pojęcia, czemu jest akurat dwóch mężczyzn. - Wydawało się, że ta myśl nie daje jej spokoju. Marta domyślała się, że fascynacja Edith prawdopodobnie bierze się ze smutnego faktu, iż w domu sióstr Atkinson obecność nawet jednego mężczyzny stanowiła zjawisko niecodzienne i prawie już zapomniane. - To bardzo dziwne - dodała.

Ku wielkiej konsternacji Marty, Polly jako jedyne dziecko nie pobiegła na spotkanie nowo przybyłym. Siedziała samotnie na zimnych schodach,

obserwując błękitnymi oczyma rozgrywającą się przed nią scenę z czujnością i uwagą przywodzącą na myśl kota czyhającego na mysz.

Woźnica zszedł z wozu, sięgnął tuż za swoje prowizoryczne siedzenie do stosu leżących tam rzeczy i wyjął obrocznik, wypchany pachnącym sianem z dodatkiem skromnej garści owsa. Mruczając coś pod nosem, niespiesznie podszedł do konia.

- No, już dobrze - szepnął łagodnie i zbliżywszy twarz do końskiego pyska, klepnął go z czułością w szyję. - No, kochany, nieżeś się spisał! Zasłużyłeś sobie na to. - Ostrożnie nasunął worek na pysk gniadego i pogłaskał go przyjaźnie po kłębach. - Postój tu trochę spokojnie, a my wyładujemy, staruszku. - Podszedł następnie do wozu, gdzie rozbawione dzieci szalały, wieszając się na obrzeżach wozu i wdrapując po wielkich kołach z drewnianymi szprychami. Pasażerowie przygotowywali się w tym czasie do zejścia.

Marta obserwowała wszystko z najwyższą uwagą. Pomyślała, że jest to z pewnością dość osobliwa grupka ludzi. Pierwsza zeszła z wozu kobieta. Tego rodzaju kobiet nie widywano na ogół w tych stronach. Odznaczała się egzotyczną, cygańską urodą - przyciągały wzrok olbrzymie czarne oczy i lśniące białe zęby na tle ciemnej, smagłej cery. Na kruczoczarnych, kręconych włosach, krótkich, ale gęstych, tkwił nałożony zawadiacko na bakier czarny beret, rzucający cień na wysokie kości policzkowe. Kobieta była mocno zbudowana. Miała na sobie grubą, zieloną płaszcz, spod którego wystawały ciężkie, sięgające kolan botki.

Odwróciła się i opiekuńczym gestem wyciągnęła w górę pomocną dłoń do młodszego z dwóch mężczyzn. Drugi mężczyzna również pośpieszył z pomocą.

- Wszystko dobrze, kochanie? - spytała kobieta młodzieńca, który uczynił ostrożny krok do przodu. Odwzajemnił jej słowa bladym, apatycznym uśmiechem.

Marta stwierdziła, że z wyglądu bardzo przypomina swoją towarzyszkę: te same gęste, kręcone, czarne włosy i duże, pełne wyrazu oczy nad wysokimi kośćmi policzkowymi. Jednakże sprawiał wrażenie zupełnie pozbawionego sił żywotnych, mimo iż najwyraźniej był znacznie młodszy od kobiety i drugiego mężczyzny, choć nie na tyle, by mógł być ich synem. Był bladym i chudym, a jego napięte rysy wyrażały ból i zmęczenie. Marcie ścisnęło się serce na ten widok. Szedł powoli i ostrożnie, prowadzony troskliwie przez kobietę.

- Powolutku, Chris - powiedziała. - Nie śpiesz się. - Poprowadziła go w ten sposób w kierunku drzwi, dodając mu otuchy śpiewnym, kojącym głosem. Dla Marty, przyglądającej się temu ze współczuciem, stanowiło to przykre

przeżycie - czuła się tak, jakby razem z młodym człowiekiem stawiała mozolnie każdy krok.

Większość młodszych dzieci, zazwyczaj niezwykle ruchliwych i wrzaskliwych podczas przeprowadzek, przycichła nagle na ten niecodzienny, wzruszający widok. Stały oniemiałe, urzeczone siłą bijącą od tej efektownej kobiety, która potrafiła tak nieoczekiwanie i bez skrępowania okazać tyle miłości i delikatnej czułości, nie przejmując się zupełnie obecnością przyglądających się temu wszystkiemu z ciekawością obcych ludzi.

Ani jedno słowo nie wydobyło się z cienkich, zaciśniętych warg bladego młodzieńca. Oparty na silnym ramieniu kobiety, podążał za nią powoli i w milczeniu. Gdy w końcu podniósł smutne oczy, by spojrzeć na zgromadzonych, napotkał zachęcające, życzliwe uśmiechy. W oczach niektórych dorosłych lśniły łzy, gdy z ciężkim sercem przyglądali się trawionemu najwidoczniej ciężką chorobą młodzieńcowi.

Dla wszystkich było oczywiste, że młody człowiek cierpi na znacznie zaawansowaną gruźlicę. Nie było tu ani jednej osoby, której ta straszna choroba nie zabrałaby kogoś z bliższej lub dalszej rodziny.

Marta stłumiła wzruszenie, które chwyciło ją za gardło, gdy w końcu oczy młodzieńca napotkały jej spojrzenie. Odpowiedział uśmiechem na jej współczucie, po czym ponownie spuścił oczy, skupiając wzrok na chodniku.

Marta próbowała sobie wyobrazić, jak mógł kiedyś wyglądać. Ciągle jeszcze zachował resztki dawnej urody. Gęste, niesforne włosy wydawały się świadczyć o jego niegdysiejszej porywczej i namiętnej naturze. Marta nie widziała chyba jeszcze takich pięknych, dużych, ciemnych oczu. Ogarnęło ją dziwne wzruszenie i dreszcz przebiegł jej po plecach, gdy zastanowiła się nad przyczyną jego smutnego losu. Jakby czytając w jej myślach, Polly spytała cicho:

- Czy on umrze, mamó? Mogła tylko odpowiedzieć:
- Jeśli taka będzie wola boża, dziecko!

Kobieta otworzyła drzwi i, cały czas podtrzymując wątłego młodzieńca, razem z nim zniknęła za progiem.

Marta skupiła teraz uwagę na mężczyźnie, który został na wozie. W przeciwieństwie do młodego człowieka, wyglądał na chłodnego i wyrachowanego. Myśli Marty przerwał głos Polly:

- Spójrz, mamó! Wygląda zupełnie jak gwiazdor filmowy, prawda?

Uśmiechnęła się spoglądając na córkę, a gdy ujrzała wyraz autentycznego podziwu, jaki ukazał się na jej twarzy na widok mężczyzny, roześmiała się. Jej

świeży, szczerzy śmiech przyciągnął uwagę mężczyzny. Podniósł szybko oczy, ogarniając wzrokiem matkę i córkę.

Przez chwilę zatrzymał spojrzenie na szerokim, promiennym uśmiechu Marty, po czym skupił uwagę na Polly. I nagle Martę ogarnął lęk! W ciągu tych paru chwil, kiedy nie padły nawet żadne słowa, ogarnęło ją nieodparte, niepokojące przeczucie związane z osobą nieznanego. Był kobieciarzem - kimś, na kogo należało uważać i trzymać się w bezpiecznej odległości, gdyż spoglądał na kobiety wzrokiem zbyt poufałym.

Gdy Marta ponownie podniosła wzrok, mężczyzna był już zajęty rozładowywaniem wozu. Podawał rzeczy na dół chętnym do pomocy dzieciom, które dumnie i z wielkim przejęciem maszerowały tam i z powrotem, przenosząc cenny ładunek do domu. Nie ochłonawszy jeszcze z niedawnego niepokojącego wrażenia, Marta mogła teraz dokładniej przyjrzeć się nieznanemu. Był wysoki i szczupły, miał długie, delikatne, niemal kobiece dłonie. Wygląd „gwiazdora filmowego” podkreślała nienaturalna woskowa cera oraz wypomadowane, ciemne włosy, opadające długimi, prostymi pasmami i związane na karku czymś przypominającym sznurówkę. Pełną górną wargę okalały gęste, czarne wąsy, zwisające zmysłowo po obu stronach pociągających ust. Ogólny efekt doskonale uzupełniał kremowy, jedwabny szalik, zawiązany w mały, nieskazitelny węzeł, wyglądający spod kołnierza długiego czarnego płaszcza. W całej postaci tego niezwykłego mężczyzny najbardziej jednak uderzające były czarne, błyszczące oczy, spoglądające spod gęstych rzęs i pięknie zarysowanych brwi. Marta wyraźnie czuła emanujący od niego hipnotyczny magnetyzm. Choć nie wypowiedział nawet jednego słowa, sam jego wygląd mówił tak wiele.

- Ale przystojniaczek! - Ada Humble przeżuwała jeszcze bułkę z dżemem, a jej jaskrawy, czerwony kapelusz przechylony był zawadiacko do tyłu. - Idę o zakład, że w swoim czasie niejednej zawrócił w głowie! - Spojrzała na Martę, szukając u niej potwierdzenia. Marta zmarszczyła brwi i odpowiedziała cicho:

- Tak... chyba masz rację. - Położyła lekko rękę na jasnej główce Polly i pogłaskała ją w zamyśleniu. - Lepiej wejdź do domu, kochanie... robi się już chłodno.

- Och, nie, mamó! - zaprotestowała Polly. - Nic mi nie będzie, naprawdę!

Marta rzuciła ostatnie spojrzenie na wysokiego, intrygującego mężczyznę.

- No dobrze... ale nie siedź tu za długo. - Odwróciła się i w milczeniu weszła do domu.

Wóz został szybko rozładowany i mężczyzna ruszył za ostatnim z dzieci do drzwi.

Nowo przybyła dziewczynka, która została obok wozu, była żywą istotą o radosnym, przyjaznym wejrzeniu. Jej włosy były równie niesforne, jak włosy młodzieńca i kobiety, ale miały nieco jaśniejszy odcień, mniej rzucający się w oczy.

Marta zatrzymała się w korytarzu, gdy usłyszała, jak dziewczynka zwraca się do Polly miękko, z irlandzka śpiewnym akcentem:

- Prawda, jaki piękny koń?

Polly wyglądała na zakłopotaną i odpowiedziała nieśmiało:

- Nie wiem... Nie znam się na koniach.

- Och, jak szkoda - odparła dziewczynka uprzejmie, robiąc śmiało krok naprzód. Polly wstała, odrzucając do tyłu długie, jasne włosy.

- Jak on ma na imię?

- Podejdz bliżej... zapoznam cię z nim, jeśli chcesz! Marta wyjrzała za próg, żeby popatrzeć, jak obie idą w stronę konia. Sprawilo jej wielką przyjemność, że Polly zdecydowała się odwzajemnić życzliwe zainteresowanie dziewczynki.

- Co za miłe dziecko - skomentowała Ada Humble, wyglądając zza żelaznej balustrady, by spojrzeć na Martę, która znów ruszyła do drzwi. - Może zaprzyjaźni się z twoją małą Polly.

- Och, mam nadzieję, Ado - powiedziała Marta, posyłając jej ciepły uśmiech.

- Mam szczerą nadzieję.

Rozdział ósmy

Szybciej, kobieto! Gdzie ten węgiel? Ciebie to tylko po śmierć posłać! - rozległ się głośny, pełen pretensji głos Barty'ego Bendalla. - Ile mam jeszcze czekać! Co ze śniadaniem?

Marta wyprostowała się z jękiem, rozmasowując ręką bolący krzyż.

- Ani chwili spokoju - westchnęła. - Nawet w komórce na węgiel! - Odwróciła się w kierunku kamiennych schodów, prowadzących na górę do otwartych drzwi kuchni. Wzniosła oczy ku niebu i pomyślała, że chyba nie spotkała jeszcze człowieka bardziej nieczułego niż jej własny mąż.

Gdy podniosła wzrok, napotkała przeszywające, groźne spojrzenie Barty'ego Bendalla. Stał oparty o framugę drzwi w swych najlepszych butach, z których jeden był wyczyszczony, a drugi jeszcze brudny. Poły rozchełstanej koszuli koloru khaki powiewały w przeciągu.

- Dobrze wiesz, że muszę dziś rano wcześniej wyjść!

Obiecałem pomóc koledze w przeprowadzce. Kiedy wreszcie będzie śniadanie, kobieto? - Rozwichrzone włosy i nie ogolona, napuchnięta twarz, na której widniał teraz grymas niezadowolenia, były efektem npcnej pijatyki.

Marta zastanawiała się, dlaczego starał się ukryć fakt, że idzie na wyścigi, bo dobrze wiedziała, że tam właśnie się wybiera. Było to tym bardziej irytujące, że doskonale zdawał sobie sprawę, iż o jego regularnych wizytach u bukmacherów dobrze wie cała rodzina. Było tyle rzeczy, które Marta mogła powiedzieć, tyle słów potępienia, które cisnęły się jej na usta. Mogła z łatwością go rozdrażnić, wytykając mu jego kłamstwa, ale na cóż by się to zdało? Skończyłoby się to jeszcze gwałtowniejszą napaścią i stekiem wyzwisk z jego strony. Barty Bendall potrafił swoim ostrym językiem ranić i niszczyć każdego, kto znalazł się w zasięgu jego głosu. Przy takim mężczyźnie kobieta miała do wyboru tylko dwa sposoby postępowania. Biorąc pod uwagę dobro trojga dzieci, Marta sądziła, że postępuje słusznie, starając się mu nie sprzeciwiać i nie rozjuszać go jeszcze bardziej.

- Twoje śniadanie stoi przy kominku - poinformowała go spokojnie, starając się załagodzić jego gniewny nastrój. - A na ogniu parzy się herbata. Pewnie już jest gotowa - dodała półgłosem, gdy się odwrócił. - Ale to wszystko, Barty, nic więcej nie ma!

Gdy wróciła do piwnicy, nucąc coś pod nosem, ruch powietrza spowodowany jej wejściem zgasił migocącą świeczkę, oświetlającą bladym światłem pomieszczenie, i teraz wszystko pogrążyło się w ciemności. Gorączkowo przetrząsnęła obszerną kieszeń fartucha w poszukiwaniu zapalek, ostrożnie namacała ciepły, lepki knot i szybko ponownie go zapaliła. Odetchnęła z ulgą na widok jaśniejącego płomienia, a jednocześnie ciarki przeszły jej po plecach, gdy zdała sobie sprawę z tupotu drobnych nóg, który przypominał jej, że nie jest tutaj sama. W piwnicy były szczury! Wiele razy widziała, jak myszkują w stosie drewna... Wzdrygnęła się na myśl o spotkaniu w ciemności z taką wygłodniałą zgrają. Chętnie uciekłyby stąd, skazując gryzonię na bezowocne poszukiwania, ale musiała jakoś wyszarpnąć bryły węgla ze stwardniałej hałdy i napęlić nimi wiadro. Nie znosiła tego uciążliwego, niewdzięcznego zajęcia. Drewniane drzwi do piwnicy już dawno temu zostały porąbane na podpałkę jakiejś wyjątkowo zimnej nocy i teraz nic już nie chroniło ciemnego wnętrza przed kaprysmi pogody.

Minionej nocy, kiedy Marta parę razy budziła się niespokojnie i ponownie zasypiała, zaczął padać ulewny deszcz. Leżała bez ruchu w dużym mosiężnym łóżku starej pani Bendall, obserwując przez rozsunięte firanki, jak w kapryśnych porywach wiatru ciężkie krople bębnią o szyby, a dziwnie kojący

odgłos wody, lejącej się z rynny nad oknem sypialni, pozwalał jakoś lepiej znieść rytmiczne dźwięki chrapania Barty'ego Bendalla.

Wysilając pochylone plecy i ramiona, Marta starała się teraz wskrobać z wilgotnej skorupy, co się da.

- Ten deszcz nie ułatwia pracy - mruknęła. Woda zalała piwnicę, i zmieszana z grysem i pyłem węglowym pokrywała cienką warstwą podłogę. Ale Marcie wcale nie śpieszyło się, żeby wejść z powrotem po kamiennych schodach do kuchni, przynajmniej dopóki wydawało się, że Barty Bendall jest jeszcze w domu. Nagle roześmiała się cicho, mówiąc do siebie: - Proszę! I do czego to doszło - wolę towarzystwo szczurów od towarzystwa własnego męża! - I dodała: - Choć jakby się nad tym zastanowić, moja droga... za dużej różnicy to tu nie ma...

Gdy udało jej się uzbierać mizerne pół wiadra wilgotnego węgla, przez otwarte drzwi kuchni jeszcze było słyhać, jak Barty tłucze się po domu, zajęła się więc przenoszeniem drewna na podpałkę w miejsce bardziej oddalone od zagłębienia, w którym zbiera się woda. Gdy skończyła, postawiła wiadro z węglem obok otwartych drzwi i usiadła na starym, zardzewiałym kufrze, należącym kiedyś do pani Bendall.

Wyraz przekory rozświetlił jej ciemne oczy, gdy zagłębiła się w myślach o swym obecnym położeniu. Oto ona - niegdyś Marta Fletcher - chowa się w ciemnej, opanowanej przez szczury piwnicy, czekając, aż jej mąż wyjdzie z domu, aby mogła wrócić do własnej kuchni! Mimo że dostrzegała komiczną stronę całej sytuacji, jej serce ogarnął smutek.

- Gdyby można było cofnąć czas - wyszeptała w zadumie - zdecydowałabym się na to w jednej chwili!

Niemal natychmiast zdała sobie jednak sprawę, jak jałowe są takie marzenia - zrobiła przecież wtedy to, co nakazywał zdrowy rozsądek, i teraz musi z tym żyć.

Drogie wspomnienia przytulnego domku na ulicy Stoneygate w Preston, gdzie wraz z Curtem wychowywali swe ukochane dziewczynki, wypełniły jej serce bolesną, trudną do wytrzymania tęsknotą. W oczach zabłysły jej łzy.

- Och, Curt! Curt, mój ukochany, gdzie teraz jesteś... gdzie jesteś w tej chwili? Czy myślisz o mnie, o swoich córeczkach? A może to długie rozstanie sprawiło, że już wyrzuciłeś nas z serca? - Po głębszym namyśle uznała tę ostatnią możliwość za tak straszną, że szybko odrzuciła ją jako zupełnie niewiarygodną. Z drugiej strony, napomniała się, nie miało sensu przywoływanie wspomnień, które należały już bezpowrotnie do przeszłości... a

jednak nie mogła całkiem zapomnieć Curta i ich cudownej miłości, tak jak nie mogłaby przestać oddychać.

Ogarnęło ją uczucie znużenia. Miniony tydzień był ciężki, cięższy niż zazwyczaj. Jedna z dziewcząt w przędzalni była chora i jak zwykle przy takich okazjach Marta i inne pracownice musiały obsługiwać przędzarkę nieobecnej koleżanki. Nie dostawały za to żadnych dodatkowych pieniędzy, ale miały przynajmniej pewność, że jeśli któraś z nich zachoruje, nie straci przez to pracy. Dopóki maszyna chorej była obsługiwana przez koleżanki, nie zatrudniano nikogo nowego na jej miejsce. Było to jednak bardzo wyczerpujące i wymagało od wszystkich najwyższego wysiłku.

Marta rozpogodziła się nieco, gdy przypomniała sobie Harry'ego Fensome'a. Przez cały tydzień kręcił się po przędzalni patrząc spode łba jak pies, któremu odebrano smakowitą kość, i kiedy Marta dwukrotnie próbowała nawiązać przyjacielską rozmowę, by pokazać, że nie żywi do niego urazy, oddalał się wyniośle, z kwaśną miną.

- Mężczyźni! - mruknęła, chichocząc na myśl, że dozorca rzeczywiście przyłapał wtedy Harry'ego i według relacji, która obiegnęła przędzalnię lotem błyskawicy, Harry miał duże trudności z wiarygodnym wytłumaczeniem się ze swojego osobliwego stroju! Pomijając humorystyczną stronę całego wydarzenia, Marta przyrzekła sobie solennie, że nigdy już nie pozwoli się zaskoczyć i wpędzić w taką sytuację. Było wielu mężczyzn, którym lepiej nie ufać.

Na przykład Peter Revine, mężczyzna z irlandzkiej rodziny, która w zeszłym tygodniu wprowadziła się na ulicę Regent. Było w nim coś, co Marcie nieodparcie kojarzyło się z niebezpieczeństwem. Cała rodzina - on, jego atrakcyjna żona Réisa i córka Bridget - odwiedzili ich w domu, aby się przedstawić, jak to było w zwyczaju, i zaprosić Bendallów na przyjęcie z okazji zamieszkania w nowym miejscu. Miało się ono odbyć, gdy tylko Chris, brat Rosy, poczuje się na siłach, by przyjąć gości. Zdawało się, że w tej konkretnej sprawie mieszkańcy ulicy Regent nie mylili się. Biedny młodzieniec rzeczywiście cierpiał na gruźlicę. Ponieważ poza siostrą nie miał żadnej rodziny, wydawało się naturalne, że właśnie ona będzie się nim opiekować aż do końca. Cóż za okrutny los, pomyślała Marta.

Podziękowała im wylewnie za zaproszenie, ale obecność Petera Revine'a wzbudziła jej niepokój. Na jego widok czuła w duszy jakąś niewytłumaczalną udrękę, której ani nie potrafiła zrozumieć, ani nawet nie chciała się dokładnie przypatrywać. Jedyne, co było dla niej oczywiste, to uczucie ulgi, które ją ogarnęło, gdy zamykała za nim drzwi.

Była natomiast bardzo zadowolona z serdecznej przyjaźni, jaka wywiązała się między Polly a irlandzką dziewczynką, Bridget. Jednak nawet radość z faktu, iż Polly w końcu znalazła sobie przyjaciółkę, mąciły obawy, które nieustannie szarpały jej napięte nerwy. Próbując teraz choć na chwilę zapomnieć o troskach, Marta westchnęła ciężko i zsunęła się z niewygodnej metalowej skrzyni.

Choć zaczęła sprzątaną wczesnym rankiem, przypomniała sobie, że trzeba jeszcze zająć się łózkami. Zebrała wiązkę drewna na opał i wrzuciła ją do wiadra z węglem. Pamiętała też, że dziś, zgodnie z jej obietnicą,

Florencja i Bartuś mieli pójść do kina. Po jednym z gniewnych napadów Barty'ego Bendalla na Polly, w przypiływie nierozważnej wspaniałomyślności Marta jej również coś obiecała, mianowicie, że zabierze ją do łaźni. Wyliczyła już, że to sobotnie szaleństwo będzie dla nich oznaczać zaciskanie pasa do piątku.

- Mniejsza z tym - powiedziała do siebie zdecydowanie. - Obietnica to obietnica, a poza tym, Marto Bendall, tobie też nie zaszkodzi taka mała przyjemność.

- Mamo! - rozległ się na podwórku niespokojny głos Polly. - Jesteś w piwnicy?

Marta wsunęła zgięte ramię pod uchwyt wiadra.

- No, chyba już poszedł - powiedziała do siebie i krzyknęła uspokajająco: - Już idę na górę, kochanie!

Polly sprzątnęła już ze stołu i właśnie odstawiała kubki.

- Śpieszy ci się do łaźni, prawda, kochanie? - spytała ciepło Marta.

Odbierając od Marty wiadro, Polly wykrzyknęła:

- Och, mamo! Już tak dawno nie byliśmy w łaźni! - Z roziskrzonymi podnieceniem oczami wolną ręką objęła matkę w pasie. - Dziękuję, że zgodziłaś się też na towarzystwo Bridget, mamo - dodała, cmokając Martę w policzek.

- A dzieciaki jeszcze na górze, Polly? - spytała Marta wychodząc, żeby obmyć ze spracowanych rąk pył węglowy i czarny szlam. Tymczasem Polly poszła postawić wiadro z węglem i drwami obok kominka.

Ogień, który rozpałała wcześniej rano dla Barty'ego Bendalla, dogasał już, strzelając ostatnimi płomieniami.

- Nie dokładaj już węgla - powiedziała do Polly. - Musimy oszczędzać, gdzie tylko można, a przez następnych parę godzin nikogo ni» będzie w domu. Poza tym prosto z łaźni pójdziemy do babci Fletcher. - Piękną twarz rozjaśnił jej

ciepły uśmiech, gdy dostrzegła, z jaką przyjemnością Polly przyjęła tę ostatnią wiadomość. - Kochasz swoją starą babcie, prawda?

Rozpromieniona Polly z hałasem postawiła wiadro na podłodze:

- Zapowiada się na cudowny dzień, prawda, mamó? Mogę pójść zobaczyć, czy Bridget jest już gotowa?

Marta pomyślała, że sama powinna się pośpieszyć - przecież już za piętnaście dziewiąta.

- Dobrze, idź, ale do wyjścia mamy jeszcze co najmniej pół godziny.

Marta skierowała się do drzwi salonu, a Polly dodała jeszcze:

- Dzieciaki poszły do sklepiku po cukierki do kina. Po nie też wstąpić?

- Myślę, że powinnaś. Rozejrzę się jeszcze przez ten czas, czy już wszystko jest wysprzątane - odparła Marta.

Gdy frontowe drzwi zamknęły się za Polly, Marta rozejrzała się po niewielkim pomieszczeniu, przypominając sobie, co rozegrało się tu poprzedniego wieczoru. Stało się już regułą, że Barty Bendall przepuszczał w piątkowe wieczory swoją tygodniówkę. Poprzedniego dnia wrócił do domu w fatalnym nastroju i jak zwykle próbował po pijanemu wyładować swoją wściekłość na Polly. Tym razem jednak Marcie udało się przezornie pójść wcześniej spać wraz z dziećmi, co zapobiegło większej awanturze. Zrobiło jej się też lżej na sercu, gdy okazało się, iż mąż był tak pijany, że w łóżku szybko zapadł w głębokie odrętwienie.

- Czy on się już nigdy nie zmieni na lepsze? - westchnęła, ściągając ze stołu brudną gazetę, żeby zastąpić ją świeżą.

Ostatnio gazety pełne były doniesień o narastającym niezadowoleniu robotników i pogłębiającym się na północy kryzysie.

- W tym domu szczególnie odczulibyśmy ten kryzys, gdybym tylko na to pozwoliła! - wymamrotała Marta. - Ale niedoczekanie! - Porozsuwała arkusze gazety tak, żeby pokryły cały stół. Później cofnęła się, aby ocenić swoje dzieło. Myślała o tym, jakie mają szczęście, że stać ich na codzienną gazetę.

U frontowych drzwi rozległo się charakterystyczne pukanie. Marta od razu poznała, że to Ada Humble. Pośpieszyła korytarzem do drzwi i jak zwykle powitała Adę serdecznie.

- Witaj, moja droga... wcześniej się dziś zerwałaś, co?

Jaskrawy kapelusz Ady przechylony był do przodu pod ostrym kątem i Marta od razu zorientowała się, co to może oznaczać! Ada najwyraźniej była w ponurym nastroju i choć Marcie samej przydałyby się słowa pocieszenia, z miłym uśmiechem poprowadziła gościa do salonu.

- Wejdz, kochana. Jest jeszcze trochę ciepłej herbaty w imbryku.

- Dziękuję, Marto. To miło z twojej strony, ale chcę ci tylko o czymś powiedzieć. Muszę z tobą omówić pewną sprawę, bo sama już nie daję rady. Wypiłam już tyle herbaty, że aż mi się wszystko w głowie zamąciło, i dalej nie wiem, co zrobić, kochana... słowo daję!

Zaintrygowana Marta wskazała Adzie miejsce przy kominku i przysunęła krzesło dla siebie, żeby siąść obok. Sądząc z wyrazu twarzy Ady Humble i faktu, że odmówiła herbaty, coś musiało strasznie dręczyć tę dobrotliwą, niewysoką kobietę.

- W porządku, Ado - zapewniła ją - dzieci nie będzie jeszcze przez jakiś czas, więc możemy spokojnie trochę posiedzieć i pogadać. - Pochyliła się do przodu i poklepała uspokajająco pulchną dłoń. - Co się stało? Powiedz, kochana. Czy twój Toby znów spadł z tego swojego wehikułu? - Marta straciła już rachubę, ile razy mąż Ady wywalił się jadąc na swoim rozklekotanym rowerze, który nazwał Śliczna Salcia. Gdyby chociaż potrafił tak naprawdę jeździć na tej swojej diabelskiej maszynie! Toby Humble był wielkim, pociesznym zawadiaką o poczciwym sercu i niebywałym pociągum do kieliszka. Nikt w całym Blackburn nie mógł mu pod tym względem dorównać, nawet Barty Bendall.

Marta wyobrażała sobie, jak prowadzi swoją Śliczną Salcie po nocy do pubu, opierając się ciężko na pokiereszowanej ramie, aby sprostać trudom marszu po pijaństwie poprzedniej nocy. Potem, po zamknięciu pubu, znów stał na ulicy, jak zwykle czyniąc daremne próby, by przerzucić chwiejną nogę nad złośliwie umykającym siodełkiem. Biedny Toby Humble pierwszy przyznałby, że pozostaje pod całkowitą władzą tego żelaznego monstrum, które wyczynia z nim, co zechce. Gdy zamykano pub, był już tak pijany, że samo oparcie się o Śliczną Salcie i skierowanie jej w stronę domu po prostu nie wystarczało. Jego nogi były zupełnie niezdolne do wysuwania się jedna przed drugą, a i tak słaby zmysł kierunku teraz zupełnie go zawodził.

Dobroduszni, ale równie pijani kompani czekali chwilę, obserwując z rozbawieniem ten codzienny rytuał, po czym wkładając pod pachę płaskie czapki podchodzili i podsadzali biednego Toby'ego na szerokie siodełko. Ustawwszy mu ręce i nogi w pozycji odpowiedniej do prowadzenia tego wielkiego żelaznego straszdyła, puszczali go w dół brukowanej ulicy, na której nabierał mrozącej krew w żyłach prędkości. Towarzyszyły temu głośne, zachęcające okrzyki:

- W porządku, Toby? Jesteś gotów? Ręce prosto, stary... rower zna drogę! - Następnie wspólnym wysiłkiem wysyłali go w drogę po nierównym bruku,

gdzie już po paru chwilach osiągał szaleńczą prędkość, wrzeszcząc wniebogłosy i wzywając na pomoc Adę.

- Ado! Gdzie jesteś! Zatrzymaj mnie!... Zatrzymaj mnie!

Ada Humble i jej najstarszy syn Blackie jak zwykle oczekiwali powrotu Toby'ego w najwyższym napięciu. Słyszając jego rozpaczliwe krzyki, wybiegali z domu na pomoc. Gdyby nie zjawili się, żeby go złapać, biedaczysko pewnie jechałby dalej, dopóki jakiś wypełniony wodą wykop albo ceglany mur nie pomógłby mu opuścić jego ryzykownego środka lokomocji. Choć zarówno Ada Humble, jak i Blackie proponowali mu, że będą przychodzić po niego do pubu, nie chciał o tym nawet słyszeć.

- Co, wychodzić po mnie jak po zwykłego pijaka?! Jeszcze tak źle ze mną nie jest!

I tak co noc powtarzał swoje niebezpieczne akrobacje i regularnie co noc jego wierna, kochająca żona wraz z wyrośniętym, dwunastoletnim synem czekali w nerwach, nasłuchując rozpaczliwych wrzasków, które nie dawały spać sąsiadom.

Marcie nie przychodziło do głowy, co innego mogłoby trapić korpulentną Adę Humble, która zazwyczaj była taka uśmiechnięta i beztroska i wydawało się, że zawsze dobrze sobie radzi z wszelkimi niepowodzeniami i kłopotami. Cały jej świat obracał się wokół męża i sześciu dryblasów, a choć spora część pensji Toby'ego szła na alkohol, hazard nie był jego namiętnością, więc wydawało się, że w sumie nieźle sobie radzą.

- Jeśli nie chodzi o Toby'ego - spytała delikatnie Marta - to co ci leży na sercu, kochanie?

Gdy Ada Humble podniosła głowę i spojrzała na zatroskaną twarz Marty, jej pyzate oblicze rozpalili rumieniec równie intensywny, jak jaskrawoczerwony kapelusz spoczywający na jej głowie, a jej bystre, brązowe oczy błyszczały od łez, spływających na dolne rzęsy.

- Wiesz, Marto... jesteś jedyną prawdziwą przyjaciółką, jaką mam na tym świecie. - Podniosła pulchną dłoń, żeby otrzeć łzy, które w końcu potoczyły się po policzkach. - Nie mam nikogo, komu mogłabym się zwierzyć... a choć uwielbiam mojego Toby'ego, jemu za nic w świecie nie odważyłabym się tego powiedzieć...

Na samą myśl o tym jej oczy rozszerzyły się lękliwie i mocno ścisnęła rękę Marty.

- Nie chodzi o to, że ja sama się go boję! Rzecz w tym, że na pewno wygarbowałby tyłek Blackiemu... i nie mówię wcale, że on na to nie zasłużył!... Zasłużył, i to jeszcze jak!... W tym cały problem!

Marta musiała powstrzymać spontaniczny odruch, by objąć swą roztrzęsioną przyjaciółkę, na tyle bowiem знаła już Adę, że wiedziała, iż taki przejaw współczucia tylko by ją wprowadził w zakłopotanie. Zamiast tego po prostu spytała:

- Twój Blackie coś przeszkrobał, prawda? Ale nie mogę uwierzyć, żeby to było coś aż tak poważnego, Ado! Przecież nie jest żadnym łobuzem! - Zawsze miała wrażenie, że młody Blackie jest porządnym i uczciwym chłopcem.

Ada Humble uśmiechnęła się, przytakując Marcie gorąco:

- Och, nie, moja droga! Masz zupełną rację - nie jest żadnym łobuzem! - Czerwony kapelusz podskakiwał potwierdzająco. - Zawsze zachowuje się jak mały dżentelmen - oświadczyła z przekonaniem. - Taki jest mój Blackie!

Marta miała coraz większy zamęt w głowie.

- No to o co chodzi, Ado? Co na miłość boską zrobił, że jesteś taka rozstrojona? - domagała się odpowiedzi.

Ada Humble wydała z siebie westchnienie znużenia, aż zatrzęsł się jej obfity brzuch.

- Był u mnie ten urzędas! I to nie pierwszy raz, Marto! Cały czas ostrzegał mnie i napominał, jakbym była jakąś kryminalistką - mówił, że będę wezwana do sądu, jeśli się tym nie zajmę. - Jej małe, lisie oczka przybrały błagalny wyraz, gdy ciągnęła dalej: - Sąd! Słyszałaś, kochana? Sąd! Nigdy w życiu moja noga nie powstała w takim miejscu.

Marta widocznie powinna była doskonale wiedzieć, o czym z takim wzburzeniem mówi biedna Ada, ale za nic nie mogła się zorientować, w czym rzecz.

- Ado, jaki „urzędas”? I czym właściwie masz się zająć? - nie rozumiała.

Ada Humble spojrzała zaskoczona na Martę:

- No, jak sądzisz? Nasz Blackie nie chodzi do szkoły! Ucieka z lekcji!

Marta była autentycznie zdumiona.

- Blackie? Celowo opuszczał lekcje?

- Ależ tak! Według tego nadętego urzędnika ze szkoły Blackie robi to już od dłuższego czasu. W ciągu ostatnich trzech miesięcy ten straszny urzędas już trzy razy mnie nachodził i groził mi. Powiedziałam o tym Blackiemu! Powiedziałam mu, że ojciec zedrze z niego skórę! Ale chłopak wie, że jego stara, głupia matka go nie sypnie... Skarżyć to ja nie będę, o nie... Zupełnie nie byłam w stanie tego zrobić, Marto, daję słowo!

Marta wiedziała, jak bardzo sprawa była poważna. Przypomniała sobie, jak postępowano z ludźmi, którzy nie zdołali dopilnować, aby ich dzieci przychodziły do szkoły. Nasyłani przez władze szpicle byli bardzo wyczuleni

na przypadki wagarów... a władze w tym akurat rejonie podchodziły do tej sprawy szczególnie surowo. Marta nie miała wątpliwości, że Tony Humble, pomimo całej swojej dobroduszości, rzeczywiście obdarłby chyba chłopaka ze skóry, gdyby wiedział, co się dzieje. Zawsze przywiązywał wielką wagę do tego, aby żaden z ich sześciu chłopaków nie opuszczał szkoły.

- Zdobędziecie wykształcenie lepsze niż to, na jakie kiedykolwiek mogłem liczyć ja czy wasza mama - zwykł do nich mawiać, szcząc się ich każdym, nawet najdrobniejszym, szkolnym osiągnięciem.

- Och, Ado... - Marta nie chciała jeszcze bardziej przestraszyć i tak już roztrzęsionej przyjaciółki, ale coś trzeba było przedsięwziąć. - Jeśli on nadal będzie opuszczał szkołę, nie będziesz miała wyboru. Będziesz musiała powiedzieć o tym jego ojcu. A w ogóle, czemu Blackie tak się nagle zniechęcił do szkoły? Przecież zawsze ją lubił.

- Masz rację, Marto, tak było! Ale nagle coś mu strzeliło do głowy, że teraz, kiedy ma już prawie trzynaście lat, powinien pracować jak tata i przynosić mamie do domu parę szylingów... - Ada przerwała na chwilę, patrząc z uwagą na zamyśloną twarz Marty. - On mnie w ogóle nie chce słuchać! Puszczając mimo uszu wszystko, co mu kładę do głowy! - Sięgając pod rondo swojego czerwonego kapelusza, Ada wyciągnęła podłużną, brązową kopertę i drżącą ręką podała ją Marcie. - Widzisz, Marto? Widzisz, jakie dostałam urzędowe pismo? Wiesz, że do mojej biednej głowy nigdy się nikomu zbyt dużo oleju nie udało nalać i że do tego czytania to ja nigdy drygu nie miałam! Wskazała zafrasowana brązową kopertę, ciągnąc dalej: - Wiem, że to w sprawie szkoły... bo nikt znajomy przecież do mnie nie pisze. Cała okolica wie, że nie umiem czytać... - Delikatny, błagalny gest, jakim położyła swoją pulchną rękę na smukłej dłoni Marty dobitnie świadczył o tym, jakie chwile grozy przeżyła, gdy dotarł do niej ten list. - Kochana, proszę, przeczytaj mi go... i niech Bóg ma nas w swojej opiece!

- Nie zamartwiaj się tak, Ado - Marta starała się uspokoić współprzyciomną ze strachu biedną Adę Humble, patrząc na nią ze współczuciem. - Wiesz, jak ci z władz miasta lubią napędzać ludziom stracha.

Wzięła do ręki list, otworzyła kopertę i wyjęła napisany na maszynie, bardzo oficjalnie wyglądający dokument. Niespokojne spojrzenie Ady natychmiast padło na odwrócone do góry nogami godło widniejące w nagłówku pisma.

- Wiedziałam! - Chwyciła za rondo swojego czerwonego kapelusza i naciągnęła go sobie głęboko na oczy, jakby chcąc osłonić się przed ciosem. - Wiedziałam, że to z Ratusza! Co w nim piszą, na Boga?! - krzyknęła roztrzęsiona.

Marta szybko przebiegła tekst oczyma i z każdą liniijką serce zamierało w niej coraz bardziej, aż w końcu poczuła się niemal tak samo zdesperowana jak Ada. Widziała, że zdenerwowanie Ady narasta.

- No i co tam piszą, Marto?... Co piszą?

Marta czuła się bardzo niewyraźnie, ale jak zwykle przełknęła podchodzący jej do gardła strach i zdołała się opanować na tyle, by zwrócić się z uspokajającym uśmiechem do wpatrzonej w nią z rozpaloną twarzą Ady.

- Ado...

- No, dalej, Marto! Mów, mów! - ponagliła ją energicznie Ada.

Marta gorączkowo starała się dobrać takie słowa, które najogólniej wyraziłyby wiadomość, jaka wstrząsnęła nawet nią, choć tak naprawdę można to było powiedzieć w jeden tylko sposób.

- Nie spodoba ci się to, Ado - powiedziała miękko. - Miałś rację, to jest rzeczywiście z wydziału edukacji. Podają tutaj wszystkie dni, kiedy Blackie nie był w szkole, i piszą, że prawo kategorycznie zabrania, aby dzieci opuszczały zajęcia szkolne.

- Ależ ja to wszystko wiem, kochana! Już mi o tym wszystkim mówili! - Ada nie spuszczała z Marty przeszywającego spojrzenia brązowych oczu. - Przepraszam cię... czytaj dalej... co jeszcze piszą?

Marta wzięła głęboki oddech i powiedziała ze współczuciem:

- Ado, wezwali ciebie i Toby'ego do sądu. - Wreszcie! Wreszcie zostało to powiedziane, choć Bóg wie, jak bardzo by chciała, żeby nie trzeba było wypowiadać tych słów.

Nawet jaskrawoczerwony kapelusz wydał się bledszy, gdy krew odpłynęła z puciołowatej, dziwnie teraz zwiotczałej twarzy.

- Sąd! Powiedziałaś sąd, Marto? - szepnęła. - Nie! - Podniosła oczy wpatrując się w Martę z przejęciem. - Nie chcesz mi chyba powiedzieć, że mamy iść do sądu?!

Głos uwiązał Marcie w gardle. Wiedziała, co to znaczy dla Ady: nawet jej zabrakłoby chyba sił, żeby udźwignąć taką wiadomość, a przeżyła już przecież niejedno. Na sali sądowej była tylko raz w życiu i teraz list Ady przywołał wszystkie wspomnienia - cały przeszywający ból, cierpienie i udrękę. Pamiętała to wszystko dokładnie, tak jakby to było wczoraj. Odganiając pojawiający się uporczywie w jej myślach obraz Curta Rathetera, Marta pomyślała, że wizyta Humble'ów w sądzie z pewnością nie będzie dla nich aż takim wstrząsem, jakim była dla niej, choć miała wątpliwości, czy zdoła przekonać o tym biedną Adę.

- To ma być surowe ostrzeżenie, żeby przestraszyć ciebie i chłopca... więc nie ma się co tak tym przejmować - próbowała pocieszyć sąsiadkę.

- Chcesz powiedzieć, że chłopak też musi pójść? - wydawało się, że wstrząsnęło to Adą jeszcze bardziej niż perspektywa własnej wizyty w sądzie. - Chyba nie będą ciągać po sądach Bogu ducha winnego młodego chłopca?!

- Tak, Ado, chcą, żebyście przyszli wszyscy troje.

- O mój Boże, Marto! Jak ja mam powiedzieć swojemu staruszkowi, że ma iść do sądu, skoro on o niczym nie ma pojęcia? Jak ja mam mu to, na Boga, powiedzieć? - Zerwawszy się na nogi, Ada Humble zaczęła w stanie najwyższego roztrzęsienia przemierzać tam i z powrotem rozłożoną na podłodze wykładzinę, załamując dłonie i pojękując z cicha.

Marta bezradnie przyglądała się jej bezgranicznej rozpacz. Podeszła do niej, pocieszającym gestem objęła jej krągłe ramiona i powiedziała:

- No, przynajmniej masz jeszcze dużo czasu, żeby się zastanowić, jak to wszystko powiedzieć swojemu Toby'emu, bo spotkanie w sądzie wyznaczono dopiero na koniec stycznia. Wszystko jakoś się ułoży, Ado, zobaczysz. - Jakże puste i głupie wydawają się te słowa, pomyślała Marta ze złością, zastanawiając się w jakim celu małoduszni urzędnicy rozsiewają taką trwogę pośród zwykłych, porządnych ludzi.

O dziwo jednak, spokojne słowa Marty wydawały się odnosić pewien skutek, bowiem Ada wsunęła list z powrotem pod kapelusz i wyswobodziła się z jej objęć z pełnym wdzięczności uśmiechem.

- Masz rację, kochana! To jeszcze ponad dwa miesiące! Jakoś sobie z tym poradzę, a jeśli do tego czasu Blackie będzie sumiennie chodził do szkoły, to może zmienią zdanie i w ogóle odwołają nakaz? - Zdawało się, że pocieszyła ją ta myśl, lecz Marta raczej nie podzielała jej nadziei. Chciała o tym powiedzieć, lecz Ada trajkotała dalej: - Pokażę mu ten list! To poskutkuje. Nie będzie chciał narażać swojej starej matki na takie kłopoty!

Wyzywająco wyprostowała małe, krągłe ramiona.

- Nie pozwolę się tym łobuzom zastraszyć, co, Marto? Nie z takimi rzeczami dawałyśmy sobie radę, prawda, moja droga?

Marta nie dała się zwieść tej nagłej, pozornej buńczuczności Ady, ale zawtórowała jej ochoczo, aby ją podnieść na duchu.

- Tak jest, Ado, masz rację! Nie daj się im zastraszyć! - Jednak mimo tej bojowej wymiany zdań, po wyjściu Ady Marta siedziała przez parę chwil w milczeniu, zastanawiając się, jak też się to wszystko skończy.

Niecałe pół godziny później wszystko w domu było już zrobione i Marta, prowadząc ze sobą całą trójkę, zmierzała do miasta znajomą drogą przez ulicę

Penny. Nie było już czasu, żeby pójść dłuższą trasą, którą wolała, poszli więc, szczególnie że było już całkiem jasno i bezpiecznie, krótszą drogą - ulicą Brown przez mały mostek i dalej ulicą Penny, obok kina Rialto, aż do śródmieścia.

Pomimo psującego jej trochę nastrój zmartwienia biednej Ady Humble, Marta cieszyła się na wyprawę do łaźni. Wyjęła nawet na tę okazję swój najlepszy brązowy płaszcz, który wisiał dobrze schowany w tylnej części szafy w sypialni. Szczelnie owinięty w wypełniony kulkami przeciw molom worek, wisiał tam już od dawna... dobrze ukryty, żeby swoim widokiem nie kusił do zanieśienia go do lombardu, jak to już nieraz robiła. Ostatnim razem wykupienie go zajęło jej prawie trzy miesiące i mało brakowało, a przekroczyłaby termin, po którym zastawiane rzeczy wystawiane były na sprzedaż.

Marta zdawała sobie sprawę, że właściwie nie jest to jakiś nadzwyczajny płaszcz, ale czuła się w nim naprawdę dobrze i bardzo go lubiła. Nosiła go tylko przy szczególnych okazjach, takich jak dzisiejsza. Dotyk miękkiej, brązowej wełny oraz krój płaszcza, podkreślającego szczupłą talię, z marszczonym dołem i rękawami zapinanymi na guziki, zawsze sprawiały, że czuła się elegancka. Lekki, wymuszony uśmiech pojawił się na jej ładnej twarzy, gdy spojrzała w dół na podniszczone „najlepsze” szare trzewiki i pomyślała o swych długich, pięknych włosach, ukrytych nieefektownie pod czarnym kloszowym kapeluszem, należącym niegdyś do starej pani Bendall. Hm! Szkoda, że nie stać jej było na sprawienie sobie przynajmniej paru innych, bardziej eleganckich rzeczy, pomyślała Marta z żalem.

Pamiętając, jak bardzo Curt lubił jej miękki brązowy płaszcz, postanowiła już nigdy nie oddawać go do lombardu, choćby nawet musiała zastawić wszystkie inne rzeczy. Myśl o Curcie dodała jej skrzydeł i pozwalała oderwać się od niewesołych rozważań i powrócić do jaśniejszej perspektywy porannych przyjemności.

Spojrzała na Bartusia, który trzymając ją za rękę radośnie podskakiwał obok. Florencja i Polly z lubością rozprawiły o czekających je atrakcjach. Florencja zapewniała Polly, że koniecznie powinna pójść na film, na co Polly poinformowała siostrę protekcjonalnym tonem:

- O, nie! Takie filmy są odpowiednie dla was, maluchów... ja jestem już na to za duża, a poza tym mamy się później spotkać z Bridget przy łaźni.

Marcie robiło się ciepło na sercu, gdy patrzyła na dzieci i przysłuchiwała się ich „strasznie poważnym” rozmowom. Wiedziała, jak bardzo Polly cieszy się

na tę wyprawę do łaźni. Była to dla Marty jedna z oznak wchodzenia starszej córki w wiek dojrzewanania.

Wizyta w łaźni była niecodzienną przyjemnością i choć dzieci może nie w pełni doceniały luksus prawdziwej wanny i gorącej wody, dorośli korzystali z nich z rozkoszą. Takimi wygodami jak łaźienka czy nawet domowa ubikacja nie dysponowali ludzie żyjący podobnie jak rodzina Marty, a na dobrą sprawę pozbawiona ich była znaczna większość mieszkańców Blackburn.

W domu obowiązywał już ustalony rytuał: wnoszono wielką, starą blaszaną wannę, która wisiała dumnie na murze na podwórku, po czym obstawiało się ją krzesłami, na oparciach których rozwieszano ręczniki i prześcieradła. Dzięki temu zachowane były pewne pozory prywatnością Me dla dziewczynki, która była już niemal nastolatką i zaczynała wchodzić w okres większej wrażliwości na punkcie swojego ciała, była to sytuacja daleka od komfortowej i Marta zaczęła ostatnio coraz częściej wyczuwać skrupowanie Polly tą niegdyś tak oczywistą i naturalną procedurą. Szczęśliwcy, których było na to stać, mogli korzystać ze względnego luksusu łaźni, usytuowanych w śródmieściu, w budynkach komunalnych.

Po odprowadzeniu Florencji i Bartusia do kina Marta i Polly pośpieszyły w kierunku łaźni. W sobotnie poranki było tu zawsze szczególnie dużo chętnych, więc Marta nie zdziwiła się, widząc dość dużą kolejkę. Stali tu ludzie najprzeróżniejszego pokroju i w każdym wieku, cierpliwie czekając, aż wraz z wybiciem na kościelnym zegarze godziny dziesiątej otworzą się ciężkie drewniane drzwi i będzie można wejść do łaźni. Marta przebiegła uważnie oczyma kolejkę. Ani śladu Bridget, pomyślała, spoglądając w górę na zegar i widząc, że zostało jeszcze tylko parę minut. Powiedziała o tym córce, gdy zajęły miejsce na końcu kolejki, a Polly zaczęła wypatrywać przyjaciółki, mając nadzieję, że zdąży nadejść przed otwarciem drzwi. Wkrótce kolejka wydłużyła się jeszcze bardziej i choć Polly przyglądała się bacznie każdej nadchodzącej osobie, Bridget Revine nadal się nie zjawiała.

- Podejdę tylko na skraj rynku, mam... zobaczę, czy przypadkiem nie idzie - Polly niepokoiła się coraz bardziej.

- No dobrze, ale nie odchodź na długo, kochanie...

- Nic się nie martw, mam, mamy jeszcze czas. Marta popatrzyła, jak Polly się oddala, po czym, z braku lepszego zajęcia, zaczęła się przysłuchiwać dobiegającej zewsząd głośniejszej paplaninie. Nikt nie poruszał tutaj żadnych ważnych spraw i ludzie gadali, co im ślina na język przyniesie, ale pozwalało to nieco rozerwać się czekającym i rozproszyć nudną jednostajność ich życia.

Szerokie, zwaliste ramiona potężnej kobiety stojącej tuż przed Martą całkowicie zasłaniały jej przód kolejki.

Widząc dołączającą z tyłu sąsiadkę, kobieta odwróciła się na pięcie i, górując nad Martą, zawołała donośnym, grubym głosem:

- Jak tam, wszystko dobrze, Peggy?

- Ano nie najgorzej - dobiegła odpowiedź drobnej kobiety ubranej w zielony płaszcz. Miała ostre rysy. Wyciągała teraz szyję, by dojrzeć przyjaciółkę, i dodała: - Tylko że mój stary znowu stracił apetyt!

- Ojej, to rzeczywiście fatalnie, Peggy

- Niezupełnie, Floro! Powiedziałam mu... to wszystko przez to jego przekłete pijaństwo - zarechotała głośno. - W każdym razie może nie ma apetytu na jedzenie, za to na mnie - bez przerwy. Używa sobie, kiedy tylko mu na pozwolę, mówię ci!

Wielka kobieta zatrzęsała się ze śmiechu.

- Hej! - krzyknęła. - Jeśli sobie z nim nie dajesz rady, to może się zgłosić do mnie! Moj staruszek jest ostatnio jakby trochę przeciążony i nie wytrzymuje tempa! - Obie kobiety wybuchnęły głośnym śmiechem ku uciesze całej kolejki.

Gdzieś z tyłu dobiegł jakiś męski głos:

- Hej, ja jestem wolny. Idę o zakład, że wytrzymam każde tempo... obojętnie gdzie i z kim!

Jego nagły wybuch zaraźliwego śmiechu wywołał salwę wrzasków, chichotów i rubasznego rechotania, które rozniosły się rychło po przysłuchującej się tej wymianie zdań kolejce. Marta uśmiechnęła się rozbawiona, z przyjemnością słuchając, z jaką serdeczną bezpośredniością zwracają się do siebie otaczający ją ludzie. Pomyślała, że wyglądają na całkiem szczęśliwych, a przecież z pewnością mieli tyle samo zmartwień co ona. To zadziwiające, jak ludzie zawsze jakoś potrafili dawać sobie radę.

Głośny dźwięk kościelnego zegara oznajmił dziesiątą i uspokoił zgromadzonych. Po chwili rozległo się skrzypienie otwieranych ciężkich drewnianych drzwi i wszyscy z szuraniem nóg ruszyli do przodu, pobrzękując trzymanymi w pogotowiu miedziakami.

W ciągu pięciu minut od otwarcia drzwi Marta i Polly, której nie udało się odnaleźć Bridget, wprowadzone zostały do swych oddzielnych kabin. Mimo iż tego ranka było wyjątkowo dużo ludzi, kolejka została szybko rozładowana. Zadziwiająco prędko i sprawnie pobrano opłatę za wejście, rozdano ręczniki i przydzielano kabiny.

- Numerki sześć i siedem, moje drogie. Uwińcie się jak najszybciej, bo dzisiaj straszny tłok - same widzicie! Później może nawet będzie trzeba

ścieśnić młodzież... - korpulentna kobieta zwróciła się przyjaźnie do Polly i kołysząc biodrami szybko się oddaliła, żeby udzielić wskazówek kolejnemu klientowi.

Polly otworzyła drzwi kabiny.

- Och, mammo! Nie chcę z nikim dzielić kabiny - powiedziała markotnie.

- Na pewno uda im się jakoś tak to ustawić, żebyś nie musiała się z nikim dzielić kabiną - zapewniła ją Marta - więc przestań się dąsać i wejdź do środka. No dalej - ponagliła ociągającą się dziewczynkę.

Upewniwszy się, że Polly weszła do kabiny, Marta z największą przyjemnością wkroczyła do swojej, pod numerem siódmym. Podeszła do wielkiej białej wanny i z lubością przeciągnęła ręką po gładkiej powierzchni, po czym jej palce powędrowały z wolna do kurków. Delektując się tymi luksusowymi warunkami, chłonęła otoczenie wszystkimi zmysłami, dotykając po kolei ścian, umywalki, wieszaka na ręczniki... jednym słowem wszystkiego, czego brakowało w jej własnym, biednym świecie. W końcu, zatkała korkiem odpływ, odkręciła kurki i włożyła do wanny przydzielony jej niewielki kawałek mydła. Pośród odgłosów lejącej się do wanny gorącej wody i obłoków pary wypełniających małe pomieszczenie zaczęła się rozbierać, z niecierpliwością oczekując chwili, kiedy będzie się mogła wreszcie zanurzyć w coraz obfitszej pianie. Po chwili z westchnieniem ulgi usiadła powoli w ciepłej, wypełnionej mydlinami wodzie, która pieszczotliwie ogarnęła jej nagie ciało.

Tymczasem na zewnątrz Bridget doszła już do początku kolejki. Miała ze sobą własne mydło i ręcznik.

- Poproszę tylko bilet - powiedziała, podając przygotowane miedziaki.

Kasjerka spojrzała na nią zza małych binokli, po czym odwróciła się do korpulentnej kobiety.

- Mamy jakąś młodzież, Mabel? - spytała.

- Tak, są dwie dziewczynki... jedna jest pod szóstką, a druga pod dziewiętnastką.

- Ta spod szóstki jest chyba starsza - zauważyła kasjerka i, widząc wyraz zawodu na twarzy Bridget, spytała: - Nie masz nic przeciwko wspólnej kabinie, kochanie? Bo jeśli tak, to będziesz musiała, niestety, poczekać na następną turę.

- Nie, proszę pani, może być. Już mi się to zdarzało - wyznała Bridget.

- No to dobrze. Szóstka, Mabel - zdecydowała szybko kasjerka i Bridget udała się za łazienką do wyznaczonej kabiny.

Zanurzona po szyję Marta nie była całkiem pewna, czy to u jej drzwi rozlega się nagłające pukanie. Podniosła się nieco z kąpieli, by posłuchać uważniej.

Usłyszała teraz wyraźnie głos tęgiej łaziebnej, ale szybko uspokoiła się, że nie do niej jest skierowany.

- Otwórz drzwi. Będiesz musiała przyjąć kogoś do siebie. W tej turze nie mamy już więcej wolnych kabin - dobiegło z korytarza.

Gdy w głosie kobiety zabrzmiała nuta zniecierpliwienia, Marta z przykrością uświadomiła sobie, że te słowa skierowane są do Polly.

- Biedactwo - mruknęła, przypomniawszy sobie, że Polly nie chciała z nikim dzielić kabiny. Po chwili dał się słyszeć plusk wody świadczący o tym, że Polly wyszła z wanny. Chwila ciszy i ponownie rozległ się rozdrażniony głos:

- No, szybciej! Szybciej! Nie będę tu czekać w nieskończoność! - Wraz ze skrzypieniem otwieranych drzwi rozległ się też wyraźnie głos Bridget.

- Och, to ty, Polly! - powiedziała z wyraźną ulgą. - Myślałam, że się już w ogóle nie spotkamy.

Kobieta wydawała się zadowolona i jej głos przybrał łagodniejszy ton:

- No, to miło - powiedziała - miło dzielić kabinę z kimś, kogo się zna, prawda? - Poczekała chwilę na potwierdzenie, ale nie nadeszło. - No dobrze... zmykaj już za drzwi - zarządziła - bo się zaziębisz na śmierć.

Słyszając trzask zamykanych drzwi, Marta z ulgą położyła się znów w wannie. Zamknęła oczy, zanurzyła się cała w ciepłej, kojącej kąpieli, po czym wzięła do rąk mydło i zaczęła delikatnie, z uwagą rozprowadzać pianę po miękkiej, gładkiej skórze, najobfitszą warstwą pokrywając twarz. Potem złożyła razem dłonie, nabrała w nie wody i obmyła twarz, spłukując z niej mydło. Ponieważ nie stać jej było na zafundowanie sobie szamponu do włosów, namydliła teraz ciężkie, ciemne pasorta resztką karbolowego mydła i spłukała je dokładnie.

Czas płynął nieubłaganie i wkrótce dźwięki wielkiego ręcznego dzwonka wypełniły echem korytarz.

- Jeszcze pięć minut - mruknęła Marta, niechętnie wyjmując korek, by spuścić ciepłą jeszcze wodę. - Wszystko, co dobre w tym życiu, szybko się kończy - cóż zrobić! - Korzystając z ostatnich chwil w zaciszu łaźni, Marta zamknęła oczy i oddała się wspomnieniom. W jej myślach pojawiła się wysoka, męska sylwetka Curta. W wyobraźni widziała jego czarne, pełne wyrazu oczy, których jedno namiętne spojrzenie topiło jej serce. Jakże uwielbiała ten niesforny kosmyk ciemnych, gęstych włosów nad jego czołem.

- Och, Curt - westchnęła z głębi biednego, samotnego serca - nie tylko ty jesteś w więzieniu, mój kochany... ale zawsze będę się modlić o to, aby dobry Bóg miał cię w swojej opiece.

Gdy Marta wyszła z kabiny, ze zdziwieniem stwierdziła, że sąsiednie drzwi są jeszcze zamknięte. Sądziła, że dziewczęta dawno już wyszły. Pukając, zawołała:

- Polly, Bridget, już powinnyście wychodzić!

- Polly tu nie ma, pani Bendall - odezwał się głos Bridget. - Chyba była o coś zła i wyszła wcześniej.

- Była zła? - Marta pomyślała, że to pewnie dlatego, iż Polly nie dostała kabiny do wyłącznej dyspozycji. - W porządku, kochanie. To pewnie nic wielkiego. Znajdę ją, nic się nie martw.

Przygnębiona Polly siedziała na murku przed łaźnią. Na jej widok Marcie ścisnęło się serce. Twarz Polly, zazwyczaj blada, była teraz nienaturalnie różowa, a błękitne oczy unikały pytającego wzroku matki. Marcie zrobiło się ciężko na duszy, gdy zobaczyła, jak Polly podnosi rękę, żeby rozetrzeć zmarszczone czoło. Widziała ten gest już wiele razy i wiedziała aż nazbyt dobrze, że oznacza on napad dotkliwego bólu. Usiadła obok Polly, objęła ją i wyszeptała parę słów pocieszenia, zdecydowana przyśpieszyć termin jej kontroli lekarskiej. Tak jak poprzednio złe samopoczucie Polly trwało tylko parę minut, mimo to Marta nie potrafiła zbagatelizować tych powtarzających się ataków paralizującego bólu.

Chwilę później ujęła w swoją rękę dłoń Polly i patrząc ze współczuciem na jej ściągniętą cierpieniem twarz, spytała:

- Jesteś gotowa, żeby odwiedzić babcię, kochanie? Polly zamknęła na chwilę oczy i westchnęła głęboko.

Rwący ból zniknął nagle, równie szybko, jak się pojawił. Zeskakując z murku prosto w wyciągnięte ramiona matki, zawołała uszczęśliwiona:

- Och, mammo! Tak się cieszę, że odwiedzimy babcię Fletcher!

Marta przytuliła dziewczynkę i powiedziała pogodnie:

- Och, wiem o tym, kochanie, i jestem pewna, że jej będzie równie przyjemnie zobaczyć ciebie. Jak wrócimy, pogódź się z Bridget, dobrze? Zdziwiła się, że tak nagle uciekłaś.

Gdy skręciły za róg, wchodząc na bulwar, Marta z zadowoleniem zauważyła, że ich tramwaj czeka na przystanku.

- Chodź, kochanie - powiedziała z uśmiechem, czule obejmując córkę - mamy jeszcze czas na wypicie herbaty w kawiarni, zanim odjedzie nasz tramwaj.

Polly wzięła z rąk Marty torbę i spojrzała na matkę oczami wyrażającymi ufną, dziecinną miłość.

- Kocham cię, mamó. - Te proste słowa przepełniły serce Marty wzruszeniem. Mocniej przycisnęła do siebie córkę i złożyła czuły pocałunek na czubku jej jasnej główki.

- Wiem o tym, kochanie... i ja też cię kocham. - Wciąż martwiła się tym nieustannym poczuciem osamotnienia i niepewności, które wyczuwała u Polly i którego nie zdołała rozproszyć nawet szczera przyjaźń Bridget. Nie ujawniając trapiących jej rozterek, Marta wprowadziła Polly do zatłoczonej kawiarni.

Patrząc na promienny uśmiech zdobiący jej piękną twarz, gdy tak pogodnie gawędziła z córką, trudno byłoby odgadnąć, jak wiele trosk leży jej na sercu i zaprzęta jej myśli.

Rozdział dziewiąty

Stąpając ostrożnie po nierównym bruku, Marta i Polly zapuściły się w wąski zaułek, zwany Aleją Zbieraczy, który prowadził do tylnego wejścia do domu babci Fletcher.

Polly dotarła do tylnej furtki pierwsza, z przejęciem ponaglając Martę do pośpiechu. Sięgnęła do zamka, narzekając z irytacją:

- Och, mamó! Dlaczego zawsze umieszczają je na samej górze, żeby trudno było do nich dosięgnąć?

Marta nigdy przedtem nie zwróciła uwagi na niewygodne położenie zamka.

- Nie marudź! - odparła dobrotliwie, uznając, że to zbyt drobna niedogodność, by mogła usprawiedliwić biadolenie Polly. Nie minęło parę chwil, a zatrzaszk puścił i stara drewniana furka stanęła otworem. Przytrzymując ją niecierpliwym gestem, Polly puściła Martę przodem, jak zwykle nie mogąc się już doczekać spotkania z babcią Fletcher.

Marta podziękowała, szybko weszła na dziedziniec i zniknęła w drzwiach prowadzących do kuchni. Polly, nadal wygłaszając niepochlebne opinie o „tym dziadowskim zamku”, została z tyłu, próbując z determinacją zamknąć za sobą furkę.

Choć ta część dziedzińca przypisana była do domu babci Fletcher, furka z Alei Zbieraczy prowadziła także do wszystkich innych podwórek, które od prawej i lewej strony sąsiadowały z podwórkiem Fletcherów. Za ostatnim rozciągał się otwarty, pokryty płytami chodnikowymi teren, pośrodku którego stał rząd ponurych, odrapanych ustępów - każdy przydzielony był do jednego z domów. Marta zawsze nienawidziła tych zimnych, pełnych przeciągów budek. Pamiętała z dzieciństwa, że udając się tam za pilną potrzebą, było się nieraz skazanym na długie, trudne wyczekiwanie, bowiem gdy jakiś sąsiad zastawał swoją ubikację zajęta, bez żadnych ceregieli wchodził do następnej, nie zważając na to, że należy ona do innej rodziny.

Dla dziadka i babci Fletcherów te lata niewygód nie stanowiły problemu - przyzwyczaili się do tego. Kiedy jednak, jak to często bywało w weekendy, przyjeżdżała do nich na jakiś czas Polly, robiono na jej cześć specjalne przygotowania. W głębi szafy babcia Fletcher trzymała swój drogocenny stary nocnik, którego używała będąc dzieckiem. Był popękany i szary ze starości.

- Trochę jak twoja stara babcia - mawiała babcia Fletcher do Polly - ale dopóki nie przecieka, można go jeszcze używać! - Polly szybko przyzwyczała się do kwiecistego, porcelanowego nocnika, zajmującego honorowe miejsce pod jej łóżkiem, ale pomimo długich starań i perswazji nie udało jej się jeszcze wejść w jego pełne posiadanie.

- Dostaniesz go, kiedy twoja stara babcia będzie się szykować do grobu... nie wcześniej! - uzyskała w końcu stanowczą odpowiedź i przestała się więcej napraszać, choć nigdy nie porzuciła nadziei otrzymania nocnika na własność.

Nagle w drzwiach kuchni ukazała się babcia Fletcher. W pulchnych rękach ścisnęła niezdarnie małą blaszaną miednicę, wypełnioną pięknie złożoną, świeżo upraną bielizną, gotową do przepuszczenia przez maglownicę. Na widok babci, Polly uśmiechnęła się od ucha do ucha.

- Witaj, babciu - zawołała w kierunku starszej pani, która spojrzała na nią z zadowoleniem, uśmiechając się serdecznie.

- Witaj, dziecko - odparła. - Mama parzy nam herbatę. Pomyślałam, że pewnie chętnie pomogłabyś swojej starej babci, co? Mam rację? - podniosła filuternie gęste brwi i szeroko otworzyła błękitne oczy. - Pomożesz babuni, prawda?

Zgodnie z panującym w tych stronach zwyczajem, babcia Fletcher nosiła szeroką, sięgającą kostek marszczoną spódnicę w kolorze popielatym, a na niej schludny czarny fartuch. Rękawy ciemnobrązowej bluzki miała podwinięte do łokci, a jej szerokie, silne ramiona spowijał ładny, szydełkowany szal, ozdobiony pękami kwiatów o takim samym odcieniu jak jej błękitne oczy. Na nogach miała duże, typowe dla hrabstwa Lancashire chodaki, opatrzone skórzanymi przyszwami w śliwkowym kolorze i metalowymi flekami, których stukot rozlegał się echem po wybrukowanym podwórku. Słyszając skwapliwą, entuzjastyczną zgodę Polly, ostrożnie pochyliła się do przodu, aż metalowa miednica dotknęła ziemi, i rozluźniając uchwyt pozwoliła jej opaść z głuchym łoskotem na podłogę. Mokre ubrania wykonały nagły, drobny podskok, po czym zastygły z powrotem w starannie ułożonych warstwach. Wycierając ręce o fartuch, babcia Fletcher roześmiała się serdecznie.

- A niech to, moja droga! - wykrzyknęła. - Chyba się starzeję. Jeszcze nie tak dawno zarzuciłabym sobie tę miednicę na ramię i nie byłoby problemu! - Jakby dla podkreślenia swych słów, żartobliwie popchnęła wnuczkę.

Biorąc babcię za rękę, Polly delikatnie zaprotestowała:

- Wcale się nie starzejesz! Po prostu masz tu za dużo prania. - W spontanicznym odruchu tkliwości starsza pani chwyciła Polly w objęcia i przygarnęła ją opiekuńczo do swej szerokiej piersi.

- Ależ z ciebie mała czarodziejka, Polly Bendall! - zachichotała. - Wspaniała z ciebie dziewczynka i mama powinna być z ciebie dumna. - Wyprostowała się i dodała: - Chodź, dziecko, pomóż mi w maglowaniu.

Wyglądając przez okno, Marta z wielką przyjemnością obserwowała przejawy szczerego uczucia i przywiązania, łączącego dwie bliskie jej istoty.

Babcia z wnuczką, tak zgodnie ze sobą współpracujące, stanowiły szczególny widok. Dwa różne pokolenia, pomyślała, a jak dobrze czują się w swoim towarzystwie. Panujące pomiędzy nimi zrozumienie oraz miłość i zaufanie, jakimi się darzyły, były zaiste wyjątkowe. Oparwszy się o parapet kuchennego okna, Marta podziękowała Bogu za to błogosławieństwo, jakie zesłał jej w postaci tej ukochanej staruszki. Była wdzięczna Bogu za to, że ma kochającą matkę, która zawsze wspierała ją w biedzie i strapieniu... i że jej troje dzieci ma babcię, która otacza je prawdziwą troską i miłością.

- A przecież Bóg jeden wie - mruknęła Marta - że jej życie również nie było wolne od zmartwień, tak jak życie każdego!

Historia z Curtem głęboko zraniła jej rodziców. Myśląc o swoim ojcu, siedzącym teraz w tylnym saloniku, Marta przypomniawszy sobie, jaki stał się markotny i kapryśny. Z drugiej strony, zreflektowała się, miał już przecież ponad siedemdziesiąt lat. W sumie był wspaniałym, godnym zaufania starszym panem i uwielbiał babcię Fletcher.

Marta obserwowała, jak jej matka i córka raźnie ciągną metalową miednicę i ustawiają ją pod magłem. Stary magiel stanowił przedmiot dumy babci. Nie przedstawiał sobą zbyt imponującego widoku, stanowiła go bowiem wielka żelazna konstrukcja, pokryta rdzą, ale jego wartość polegała przede wszystkim na usługach, jakie oddał w przeszłości. Podobnie jednak jak jego właścicielka, zachował jeszcze wiele ze swojego pierwotnego piękna. Wielkie koło służące do napędzania magła ozdobiły wyszukane ślimacznice. Posiadanie takiej potężnej maszyny było doprawdy błogosławieństwem. W przeciwnym razie trzeba by spędzać wiele okupowanych bólem w krzyżu godzin nad balią i samemu wyzimać całe pranie, aż do wystąpienia na dłoniach bolesnych pęcherzy.

- No dobrze, moją drogą. Przepuścimy szybko tę partię przez magiel i rozwieśmy ją na sznurze, bo zanoszą się na deszcz - babcia Fletcher spojrzała podejrzliwie w niebo na gromadzące się chmury.

- Mogę ja kręcić kołem? - spytała Polly z ożywieniem.

- Tak się składa, że nawet bezpieczniej będzie, jeśli właśnie to będziesz robić, kochanie. Znałam niejedną młodą dziewczynę, która niczego nie podejrzewała i straciła palce pomiędzy tymi wielkimi wałkami. - Wskazała głową pokryte gumą wałki pośrodku magła, po czym dokładnie objaśniła Polly, że potrafią one nie tylko wycisnąć prawie całą wodę z wielkiego, złożonego co najmniej dwunastokrotnie prześcieradła, ale także, że po wprawieniu w ruch wielkiego żeliwnego koła, prawie niemożliwe jest wyswobodzenie prześcieradła, narzuty, a nawet ręki czy palców, dopóki nie pojawią się one po

drugiej stronie wałków, gdzie stał teraz podstawiony wiklinowy kosz. - No, dobrze to sobie zapamiętaj, moja droga! I uważaj na to, co robisz! - Babcia ostrzegła Polly, która zaczęła już z zapalem obracać wielkie koło.

- Dobrze, babciu.

- No, ale nie patrz na mnie, dziecko! Skup się na tym, co robisz! - powiedziała do dziewczynki, potrząsając głową i wznosząc ku niebu błękitne oczy.

Babcia Fletcher zaczęła wkładać wilgotne, złożone ubrania pomiędzy żarłoczne wałki, które energicznie wyciskały zbędną wodę do położonego poniżej pojemnika, wypluwając spłaszczoną, podrygującą odzież do wiklinowego kosza. Gdy skończyły, obie z Polly złapały za uchwyty i pociągnęły załadowany kosz w kierunku sznura na bieliznę, gdzie wszystko zostało porozwieszane.

- Rozwieszę mniejsze rzeczy w środku. Dźwignąwszy kosz, babcia Fletcher włożyła go sobie pod ramię i dostojnie pomaszerowała do domu, a Polly ruszyła za nią.

- No, dalej, guzdrało! - zawołała do dziewczynki, która została parę kroków z tyłu. - Pośpiesz się i zamknij drzwi. Na dworze wcale nie jest tak ciepło! - Polly zamknęła drzwi i przez malutką kuchnię podążyła za babcią do tylnego saloniku, gdzie Marta czekała już ze świeżo zaparzoną herbatą.

- Już skończyłyście? - spytała Marta, widząc babcię z wnuczką wkraczające do pokoju. - No to siadajcie, herbata gotowa - powitała je pełnym zadowolenia uśmiechem.

Marta spędziła w tym domu całą swoją młodość, a gdy opuściła go, wychodząc za Curta, jej własny mały domek wypełnił się takim samym ciepłem i poczuciem bezpieczeństwa. Ale to już była przeszłość! Czując, że znowu pogrąża się we wspomnieniach, które przynosiły równie wiele bólu co radości, Marta szybko zmieniła tok swoich myśli, by nie dotykać tych bolesnych spraw.

Kochała ten dom i zawsze ze wzruszeniem powracała pamięcią do spędzonego w tych ścianach dzieciństwa. Jej ojciec wynajmował dom przez czterdzieści lat, a gdy zmarł stary właściciel, kupił go za sto dziesięć funtów, pożyczonych od miejscowego rzeźnika.

Dom był zawsze ciepły, przytulny i pełen ładnych rzeczy. W puszcze na ciasto zawsze było ciasto, a w pojemniku na chleb nigdy nie brakowało chleba. Tutaj, w obecności matki, Martę zawsze ogarniał spokój i poczucie bezpieczeństwa. W malutkiej kuchni, w której mieściła się tylko kuchenka, zlew, szafka na żywność i dwa krzesła, ustawione wokół małego stolika,

zawsze unosiła się woń świeżego chleba, lawendy i tabaki babci Fletcher... i wiele odbyło się tutaj szczerych rozmów po tym, jak zabrano jej ukochanego Curta. Teraz przywitał je wesoło trzaskający w kominku ogień, którego płomienie tańczyły radośnie za dużą, czarną, żelazną kratą. Sznur na bieliznę, powieszony u sufitu nad ogniem, kołysał się w tę i z powrotem w falach rozgrzanego powietrza i przynajmniej tu, w tym przytulnym wnętrzu, wszystko wydawało się być na swoim miejscu.

Dziadek Fletcher, usadowiony na swoim ulubionym, starym, pokrytym końskim włosiem krześle, był prawie zupełnie niewidoczny - sponad trzymanej przez niego wielkiej gazety wystawał szpiczasty koniuszek jego czapki, a spod gazety - lśniące czubki jego starych roboczych butów. Co jakiś czas znad gazety unosił się wielki siwy obłok tytoniowego dymu, który w końcu całkowicie go otoczył. Jego pies Paddy - mały, kosmaty terier nieokreślonej barwy - wylegiwał się zadowolony u stóp swego pana. Małe pomieszczenie wypełniał ostry zapach tytoniu, drażniąc nozdrza Marty i szczypiąc ją w oczy.

Wstając z mosiężnego podnóżka, na którym siedziała przy ogniu, Marta podeszła do rusztu i naląła herbatę. Podając kubek matce, z uśmiechem skinęła głową w kierunku siedzącego ojca.

- Popatrz tylko, mamó - powiedziała. - Mówię do niego od dziesięciu minut, a on tylko mruczy coś pod nosem. - Marta od dawna wiedziała, że danie dziadkowi Fletcherowi fajki i gazety oznaczało wyprawienie go w zupełnie inny świat!

Wznosząc w górę niebieskie oczy i wzdychając z udaną rezygnacją, babcia Fletcher podeszła, trąciła wystający but i zapytała:

- Co z tobą, staruszkę? Dziewczęta przyjechały nas odwiedzić, a ciebie stać tylko na to, żeby chować się za gazetą i coś do siebie mrużyć!

Gazeta powoli zjechała w dół i wyjrzały znad niej małe oczka dziadka Fletchera, który zaczął niespiesznie wodzić nimi po pomieszczeniu, rozjaśniając się dopiero, gdy napotkał uśmiechniętą twarz Marty.

- Witaj, dziecko - przeciągając słowa wycodził spomiędzy zębów mocno trzymających fajkę. - Przyprowadziłaś młodzież, jak widzę? - Zmrużył oczy w skupieniu, rozglądając się za Florencją i Bartym. - A gdzie reszta? - spytał.

Marta dmuchnęła mocno do swojego kubka, żeby ostudzić herbatę.

- Poszli do kina - odpowiedziała. - Ojciec dał im parę miedziaków w tym tygodniu, a ja dołożyłam im resztę dziś rano. Obiecałam to im obojgu.

Babcia Fletcher na chwilę przerwała rozwieszanie prania na sznurku i trzymając między wargami parę klamerek do bielizny parsknęła niewyraźnie:

- Hm! Zadziwiające, że stać go było na taką hojność! Mam nadzieję, że nie zabrakło mu przez to na piwo!

- Dostyc, kobieto! - rozległa się stanowcza reprimenda dziadka Fletchera. - Nie przy dziecku!

Słyszając to, Polly spojrzała na niego. Dziadek Fletcher zawsze ją fascynował - szczególnie te wąsy, zwisające z obu stron jego ust. Nieprzerwana smuga dymu, sącząca się z jego fajki, a także siorbanie herbaty spowodowały, że siwiejące wąsy, działając na zasadzie filtra, pokryte były brzydkimi, ciemnymi plamami. Polly przypomniała sobie, jak pewnego dnia jej mama roześmiała się w głos, gdy podzieliła się z nią swoim spostrzeżeniem, jak bardzo dziadek Fletcher przypomina z wyglądu swojego wąsatego psa. Marta śmiała się, bo było to takie trafne.

Marta nie pamiętała, by kiedykolwiek widziała swojego ojca bez płaskiej, zakończonych szpiczastym czubkiem czapki, niedbale spoczywającej na czubku jego idealnie okrągłej głowy. Obdarzony był wielkim poczuciem humoru, a kiedy nagle i nieoczekiwanie zaczynał śpiewać swoim piskliwym głosem, mocno fałszując, wszyscy dosłownie pokładali się ze śmiechu. Teraz opuścił oczy, wydał stłumione chrząknięcie z gęstwiny wąsów i zniknął ponownie za gazetą, nie zważając na ciche chichoty kobiet.

Gdy dziadek Fletcher zagłębił się już spokojnie w swojej lekturze, a Polly wydawała się pochłonięta wyciąganiem wychodzących włosów z krótkiego ogona Paddy'ego, Marta uświadomiła sobie wyraźnie, że jej matka zachowuje się dziwnie nerwowo, tak jakby była czymś głęboko poruszona. Chwilę później starsza pani zerwała się na równe nogi i skierowała się do frontowego saloniku, gestem pokazując Marcie, by poszła za nią. Zaintrygowana Marta natychmiast pośpieszyła za matką.

- Siadaj tutaj! - powiedziała z niezwykłą powagą babcia Fletcher, co tylko jeszcze bardziej zaniepokoiło Martę.

- Co się stało, mamó? Dziwnie się zachowujesz.

- Siądź tutaj, Marto. Musimy pomówić!

Marta posłusznie usiadła na twardym krześle z prostym oparciem, które wydawało się pasować do tej sytuacji.

- No więc - odchrząknawszy z zakłopotaniem powiedziała babcia Fletcher, nie bardzo wiedząc od czego zacząć - była u mnie dziś rano ciocia Bett!

- Ciocia Bett? Ma się dobrze, prawda? - Marta nie mogła zrozumieć, co mogłoby być niestosownego w wizycie cioci Bett w tym właśnie domu! Była przecież niemal jednym z domowników, i to od wielu już lat. Marta pamiętała ją jeszcze z najwcześniejszego dzieciństwa, kiedy to właśnie zaczęła nazywać

tę żywą, niedużą kobietę ciocią Bett. Miano to przyjęło się i od tamtego czasu wszyscy już tak ją nazywali.

- Och tak, miewa się nieźle - chmurna mina babci Fletcher stała się jeszcze groźniejsza. Był to widok prawie niespotykany, toteż głęboko Martę zaniepokoił. - Lepiej by było, gdyby ciocia Bett się do tego nie mieszała! Powinna mieć więcej oleju w głowie i nie rozgrzebywać przeszłości! - Jej głos przybrał jeszcze bardziej gniewny, oskarżający ton: - Zawsze miała do niego słabość, większą nawet niż inni, choć Bóg świadkiem, że miał szczególne miejsce w sercach nas wszystkich, dopóki nie okazał się tego niegodny! Martę przeszedł zimny dreszcz.

- Co chcesz przez to powiedzieć, mamó? - spytała cicho. - Kto miał szczególne miejsce w waszych sercach? - Jeszcze zanim sformułowała pytanie, odpowiedź zaczęła rysować się w jej skołatany umyśle.

- Kto?! Och, Marto! Niech Bóg ma nas w swojej opiece! Ciocia Bett przyniosła wiadomości o Curcie Ratheterze!

Marta z drżącym sercem próbowała jakoś oswoić się ze znaczeniem tych słów i nie bardzo zdawała sobie sprawę, że do pokoju weszli dziadek Fletcher i Polly.

- Myślałem, żeście gdzieś poszły czy co! - z głosu dziadka Fletchera przebijało niezadowolenie, że został przez nie opuszczony i Marta chwilowo powstrzymała cisnące się jej na usta naglące pytania. - Chodź, Paddy - zachęcił psa - znajdziemy sobie jakieś odpowiednie towarzystwo. Mężczyźni nie przystoi towarzystwo tylu kobiet! No chodź, ty leniwy kundlu! - Zorientowawszy się w końcu, że czeka go spacer, pies podskoczył, nastawił uszy i rozszczękał się jazgotliwie w szale radości.

- Przestań! Nie wariuj! - Piesek natychmiast posłusznie zamilkł i usiadł, nieruchomiejąc jak posąg. Zwracając się do Polly, dziadek Fletcher zapytał: - Chciałabyś pójść ze mną i z Paddym na spacer?

Gdy usłyszał potwierdzenie, całe towarzystwo szybko przygotowało się do drogi i w ciągu paru minut było już na ulicy.

Myśląc o tym, co powiedziała jej matka, Marta z trudem panowała nad podnieceniem, które przyśpieszyło bicie jej serca i rozпалиło twarz rumieńcem. Jakie wiadomości przyniosła ciocia Bett? Nie była zaskoczona gniewną reakcją matki, bowiem babcia Fletcher potrafiła być porywcza i nieprzejednana, szczególnie gdy chodziło o jej tradycyjne pojmowanie wierności. W takich sprawach wołała udawać, że nic się nie zdarzyło. Marta potrafiła zrozumieć punkt widzenia matki, ale jeśli chodziło o nią samą, wymazanie z pamięci Curta Rathetera nie było wcale takie łatwe.

- Moja droga! - Marta poczuła na sobie wzrok matki, której dezaprobaty trudno było nie zauważyć, gdy energicznie ciągnęła dalej. - Tylko dlatego mówię ci o tym łajdaku, bo nie chcę, żebyś dowiedziała się tego od ludzi! Rozumiesz, kochanie? - Gdy Marta skinęła głową, nastąpiła chwila przerwy, po czym jej matka kontynuowała, znacznie już łagodniej. - Och, Marto, Marto! Jakże niektóre rzeczy powracają, aby nas dręczyć, prawda? - Westchnęła głęboko, po czym zacisnęła usta w ten charakterystyczny dla siebie sposób, świadczący, że głęboko rozważa jakiś problem, i wyciągnęła rękę, by pogłaskać Martę po kolanie. - Nie lubisz, jak twoja stara matka nazywa Curta Rathetera łajdakiem, prawda?

Gdy Marta nie odpowiedziała, spuszczać jedynie smutny wzrok, babcia Fletcher po raz drugi ciężko westchnęła i cichym głosem zaczęła tłumaczyć:

- Jesteś śliczną, dobrą istotą, Marto Bendall! Tak! Może nawet zbyt dobrą, a z pewnością zbyt wyrozumiałą! Och, kochana... Czy ty myślisz, że ja nie widzę, iż nadal go kochasz? Czyż nie widziałam tego tyle razy w twoich smutnych oczach? Kochasz go!

I nie wątpię, że on też cię kocha! Ale prawda jest po prostu taka, że ty masz męża, a on ma żonę! Poza tym trudno mi zapomnieć, jak skrzywdził cię i dzieci... A wszystko przez to, że nie miał odwagi powiedzieć ci od razu o tej swojej cholernej żonie! - I zdając sobie sprawę, że zaczyna przez nią przemawiać uraza, babcia Fletcher podniosła ręce do nieba. - A niech to! Chyba mi się nie dziwisz, że się wściekam, co? Na dodatek ten Barty okazał się niewiele lepszy. Ale czy ci się to podoba czy nie, Marto, Barty Bendall jest twoim ślubnym mężem, a w naszej chrześcijańskiej rodzinie to przesądza wszystko.

Lecz gdy spojrzała na zboląłą twarz córki, zmarszczyła czoło z troską.

- Jak tam, kochanie? - spytała zaniepokojona. - Siedzenie i zamartwianie się nic nie da.

Marta podniosła wzrok i ze łzami w oczach wyszeptała łamiącym się głosem:

- Och, mamó, byłam taka głupia. Babcia Fletcher pogładziła ją serdecznie.

- Nie rozpaczaj tak, Marto. Zrobiłaś wtedy jedyną rzecz, jaką można było zrobić. Po prostu nie miałaś wyboru - wiesz przecież, jacy są ludzie! I jeszcze te wszystkie zmartwienia z małą Polly.

- Może powinnam była bardziej zatroszczyć się o to, czego ja sama chcę! Nie o to, co myślą inni! - odparowała Marta, buntowniczo potrząsając ciemną głową.

- Ależ Martuniu, jesteś za mądra, żeby tak mówić! Nie mogłaś przecież myśleć tylko o sobie, kiedy był jeszcze te dwa maleństwa. Czy miały cierpieć za to, co zrobił ich ojciec?

Marta w duchu przyznała matce słuszność, choć wiedziała, że żadne pobożne życzenia niczego już nie zmieniają. Ciepły uśmiech rozświetlił jej twarz, gdy spojrzała na starą kobietę.

- Masz rację, mamó - przyznała. - Powiedz sama, co ja bym zrobiła bez twojej pomocy?

- Eee, daj spokój! - usłyszała w odpowiedzi. - Po co w końcu są matki?

- Czego dowiedziałaś się od cioci Bett, mamó?

- Nie, kochanie, nic z tego - powiedziała babcia Fletcher rzucając jej niespokojne spojrzenie. - Źle zrobiłam. Nie powinnam była w ogóle zaczynać o tym mówić. I bez tego masz dosyć zmartwień.

- Ależ mamó - powiedziała Marta łagodnie - przecież wiesz, że nie ma dnia, żebym o nim nie myślała. - I pochylając się, żeby ucałować zatroskaną twarz matki, dodała: - Wiem, że i dla ciebie nie było to wcale łatwe, ale przecież to wszystko już minęło... Wiadomo, że nie da się cofnąć czasu... Więc myślę, że garść informacji o Curcie niczego już za bardzo nie zmieni.

Jakże wydawała się spokojna! A przecież serce cały czas waliło jej jak młotem! Wyczuła teraz, jaką wewnętrzną rozterkę przeżywa jej matka, i przez moment była niemal pewna, że nie dane jej będzie dowiedzieć się niczego. Choć wydawało jej się, że jest na to przygotowana, wiadomość, jaką usłyszała, wstrząsnęła nią.

- Czy uwierzysz, że ta chytra szelma przez cały czas była z nim w kontakcie? Od sześciu lat przekazuje mu informacje o tobie i o dzieciach. - Wykrzywiła usta z niesmakiem. - Pewnie jeszcze się z nim spotykała! - Babcia Fletcher pochyliła się teraz ku Marcie i gestem przestrogi położyła dłoń na jej ręce. - Musisz o nim zapomnieć, kochanie! - powiedziała stanowczo. - Wiem, że życie płata czasem okrutne figle, ale będziesz musiała stawić temu czoło. Zbyt wiele się zdarzyło, by można było to odwrócić. Masz prawdziwego męża i troje dzieci. - W oczach zaszklily jej się łzy, gdy dodała cicho: - Wiem, kochanie, jak cię traktuje Barty Bendali. - Ośmielona spłoszonym spojrzeniem Marty, ciągnęła dalej: - Och, niewiele się przede mną ukryje, moja droga! Ale nie możemy się cofnąć. Musimy nauczyć się zadowalać tym, co dobry Bóg zechce nam zesłać. Chyba zdajesz sobie z tego sprawę? - Głos jej drżał, gdy otarła łzy z policzków. - Nic bym ci nie powiedziała - kontynuowała - ale sądziłam, że wobec tego, co mówi ciocia Bett, tak będzie chyba lepiej.

- Mamó, co ci powiedziała ciocia? Proszę, powiedz!

- No więc - na twarzy starej kobiety rysował się jeszcze wyraz wahania i lęku - wygląda na to, że ten, kto się dobrze sprawuje w więzieniu, ma szansę wyjść przed terminem. - Wzięła głęboki oddech. - Ciocia Bett powiedziała, że Curt Ratheter może zostać zwolniony lada dzień.

- Zwolniony? Curt zwolniony? - Marta zacisnęła powieki starając się powstrzymać łzy. - Och, mammo! Mammo! - płakała ze ściśniętym z żalu sercem.

- Musisz się wziąć w garść. Masz tyle obowiązków... Nigdy bym ci tego nie powiedziała... ale lepiej, żebyś dowiedziała się teraz, niż gdybyś miała spotkać go gdzieś przypadkiem. - Gdy wyciągnęła rękę, twarz miała znów mokrą od łez. - No, kochanie, już nic nie poradzimy. Twoja stara matka uważa, że wybrałaś sobie dwóch niezłych gagatków i właściwie obaj są siebie warci!

Marta uśmiechnęła się słabo. To prawda, matka miała rację, ale tylko do pewnego stopnia. Rzeczywiście nic już nie można było poradzić! Ale wdzięczna była za to, że przynajmniej Curt mógł spodziewać się odzyskania wolności. Tylko ona była w stanie sobie wyobrazić, jakim pasmem udręki musiało być dla niego ostatnie sześć lat. Przypuszczała, że przedterminowe zwolnienie było tym „złagodzeniem wyroku”, o jakim wspominał sędzia, co wówczas, nie orientując się w tych sprawach, nie bardzo zrozumiała.

- Taka jestem skołowana, mammo - powiedziała cicho. - Przez wszystkie te lata nie byłam w stanie go zapomnieć. Nie ma dnia, żebym o nim nie myślała. - Czułe wspomnienia wypełniły jej znękaną serce, a twarz utraciła dotychczasowy łagodny wyraz. - Czasami - powiedziała szorstko - mam wrażenie, że ta pokuta nigdy się nie skończy! Ileż bym dała za to, żeby Barty Bendall nigdy nie pojawił się w moim życiu!

- No, no! Nie wolno ci tak mówić! - zaoponowała kategorycznie babcia Fletcher. - Nie lubię patrzeć, jak jesteś nieszczęśliwa, moja droga, ale nie można być szczęśliwą z mężczyzną innej kobiety, a nawet gdyby on był wolny, to ty nie jesteś! - I grożąc pulchnym palcem, ciągnęła żywo dalej: - A poza tym, czy już zapomniałaś, co zrobił tobie i dziewczynkom?

Marta nie zapomniała, jakże by mogła?

- Ale mammo, on nas tak kochał... i zapłacił za to wszystko sześcioma długimi latami w więzieniu. A zresztą nawet gdybym wiedziała o tej okropnej Fran Ratheter, nie wiem, czy cokolwiek by to zmieniło! - Twarz Marty stężała, gdy wyszeptwała głucho: - Wolałabym, żeby to wszystko pozostało tajemnicą!

- O czym ty mówisz, Marto? - Oblicze matki złagodniało, gdy zdała sobie sprawę, jak krętymi ścieżkami podążają myśli Marty. - Teraz chodzi o to, moja droga... co byś zrobiła, gdybyś się gdzieś na niego przypadkiem natknęła? To właśnie mnie teraz dręczy.

Marta utkwiała przenikliwe spojrzenie w zatroskanej twarzy babci Fletcher. Tak, z pewnością trzeba się było z tym liczyć, ale cóż mogła powiedzieć? Jej ciemne oczy złagodniały, gdy wyszeptała zduszonym, bardzo już zmęczonym głosem:

- Nie wiem, mamó... naprawdę nie wiem.

- Dobry Boże, i cóż mamy teraz począć? Lepiej zupełnie o nim zapomnij, dziewczyno! Bóg jeden wie, co mógłby zrobić Barty Bendall, gdyby dowiedział się, że Curt Ratheter chodzi sobie po ulicach! A co z dziewczynkami? Kto wie, jak by zareagowała mała Polly, gdyby dowiedziała się prawdy o swoim ojcu... jest taka porywcza! Zbyt porywcza!

Dobrze wiedząc, jak bardzo leży Marcie na sercu zdrowie Polly, babcia Fletcher dostrzegła sposobność do zmiany tematu.

- Jak ona się w ogóle ostatnio czuje, co?

Nie omyliła się w swoich rachubach, bowiem sprawa ta natychmiast przyciągnęła uwagę Marty.

- Martwię się o Polly. Czuję, że coś jest nie tak, mimo to, co mówi doktor Pitt. A z Barty'ego Bendalla też jest niewielki pożytek. Polly upiera się, że on jej nienawidzi!

- Pomyśl, co mówisz, moja droga. Jak możesz twierdzić, że Barty Bendall mógłby jej nienawidzić? Czy nie wziął cię razem z dziewczynkami i nie wychowywał ich, jakby były jego własne? Polly coś sobie uroiła! Przecież to jeszcze dziecko. Jakże ktoś mógłby nienawidzić dziecka?

Marta jednak obstawała przy swoim.

- Nie tylko Polly tak sądzi - ja też! A przecież nawet nie jest podobna do Curta, tylko do ciebie. Myślę, że to wszystko dlatego, że jesteśmy sobie z Polly tak bliskie. Zawsze potrafiłyśmy się ze sobą porozumieć, ale żadna z nas nie potrafi dogadać się z nim! Wiesz, mamó, Polly nigdy się do niego nie przekonała, w przeciwieństwie do Florencji. Tak jakby wiedziała, że on nie jest jej ojcem. A sposób, w jaki nieraz stara się go zdenerwować, naprawdę doprowadza go do szału!

- A co z Florencją?

- Och, dzięki Bogu z nią nie ma problemu. Jest taką niewinną istotą, że trudno jej się komukolwiek narazić. Ale Polly on nienawidzi, mówię ci, mamó - dodała gwałtownie. - I co gorsza, ona też nienawidzi jego.

Babcia Fletcher powiedziała tylko, że Martę chyba ponosi fantazja, i wychodząc prawdopodobnie z założenia, że lepiej zignorować te bulwersujące wiadomości, spytała:

- A jak z jej bólami głowy?

- To mnie właśnie martwi, mam. Polly ma mieć kontrolne badania za trzy miesiące, ale mam zamiar pójść z nią do doktora Pitta już w poniedziałek rano. Mam nadzieję, że ten guz się nie rozwinął. W każdym razie chcę z nią pójść, bo mi to nie daje spokoju.

- Dobry pomysł. Wiem, że nie stać cię na to, aby opuścić dzień w pracy, ale nie można lekceważyć takich spraw. - Zniżając głos, nachyliła się ku Marcie i dodała: - I na miłość boską, Marto, zapomnij o tym człowieku raz na zawsze, bo nic dobrego z tego nie wyniknie!

Marta powróciła myślami do przeszłości i cień smutku przesunął się po jej twarzy.

- Wiem, że ty nigdy mu nie wybaczysz, ale ja nie potrafię w taki sposób o nim myśleć. - Spuściła oczy. - Dlaczego to wszystko musiało się wydarzyć, mam? - spytała znużonym głosem.

Babcia Fletcher ucieszyła się, że Polly w tej właśnie chwili weszła do domu.

- Dziadek wstąpił do znajomego - powiedziała dziewczynka podbiegając do Marty i przytuliła się do niej.

- Świetnie! - babcia Fletcher zerwała się z krzesła i zwróciła się do Polly, korzystając z okazji: - Chciałabym, żebyś załatwiła mi pewną drobną sprawę, kochanie! - W paru żywych susach przemierzyła pokój i znalazła się przy kredensie, stojącym we wnęce obok komina. Wdrapała się na stołek i zaczęła grzebać na górnej półce, aż wreszcie z okrzykiem triumfu wyciągnęła duży biały kufel. Marta i Polly z fascynacją obserwowały jej zagadkowe zachowanie. Babcia zeszła ze stołka i ostrożnie postawiła drogocenne naczynie na stole. Marta nie potrafiła ukryć rozbawienia. Gdy jej matka zaczęła gorączkowo szperać w głębokich fałdach ciemnej spódnicy, zapytała:

- Coś ty wymyśliła, mam?

- A niech to, nie mogę znaleźć portmonetki! - padła odpowiedź babci Fletcher, nadal penetrującej swoje kieszenie jak wprawny złodziej. Nagle zaczęła chichotać i z promiennym uśmiechem błyskawicznie wydobyła długi przedmiot z czarnej skóry.

- Aha! Mam ją! - wykrzyknęła, po czym zamaszystym ruchem ręki złapała Polly za ramię. - Masz, kochanie - zaczęła zaaferowanym tonem, prowadząc uśmiechniętą dziewczynkę do stołu - weź ten kufel i te miedziaki. - Wetknęła parę dużych monet w otwartą dłoń Polly. - Pójdź do „Końskiej Głowy”, dziecko - szeptała do ucha Polly, nachylając się nad nią - ale pamiętaj, nie wchodź głównym wejściem! Wejdz z boku, przez salonik dla bywalców, i powiedz właścicielowi, że przysyła cię babcia Fletcher. Powiedz temu szczwanemu hultajowi, żeby nic nie mówił dziadkowi i przynieś mi kufel

najlepszego piwa, tylko żeby nie żalowali! Pamiętaj, żeby mu to wszystko powiedzieć!

Polly słuchała w skupieniu, unikając wzroku mamy, z której oczu biła taka wesołość, że na jej widok Polly z pewnością nie mogłaby się powstrzymać od śmiechu i dostałaby od babci po uszach. Z kuflem pod pachą i miedziakami zaciśniętymi w garści ruszyła w kierunku drzwi, gdzie jednak w ostatniej chwili babcia Fletcher przytrzymała ją za kołnierz.

- Jeszcze chwilkę, dziecko! - babcia podbiegła do kredensu, skąd wydobyła olśniewająco białą ścierkę. - Przykryj tym kufel.

Polly wzięła ścierkę i znów została spieszenie poprowadzona w kierunku drzwi, przy każdym kroku otrzymując nową instrukcję.

- Od razu wracaj do domu! Musisz tu być przed dziadkiem, bo on krzywo patrzy na tę moją małą przyjemność. I uważaj na ulicy, moje dziecko! Uważaj na tramwaje. No, biegnij już, nie trać czasu!

Marta tymczasem korzystała z okazji, by rozejrzeć się z rozczuleniem po starym, znajomym saloniku. Widok i zapach wszystkich zgromadzonych tu przedmiotów zawsze sprawiał jej przyjemność - gramofon w błyszczącej orzechowej obudowie, miękkie krzesła pokryte ładnym kwiecistym materiałem, wielka, błyszcząca lustrami i wypolerowanymi ściankami serwantka. I tuż obok niej - okazałe pianino, na którym nikt nie potrafił grać.

Marta z bólem przypominała sobie ożywienie matki na wieść o zaręczynach z Bartym i jej usilne próby, by wydobyć jakąś melodię z tego pięknego instrumentu. Ale nic z tego nie wyszło, podobnie jak z małżeństwa Marty z Bartym.

Gdy tak rozmyślała o tym pokoju, sięgając pamięcią wstecz, jej myśli skierowały się ku innym, szczęśliwszym spędzonym tu chwilom. Mimowolnie zaczęła myśleć o Curcie. Przypominała sobie, jak wyglądał podczas swojej pierwszej tu wizyty. Miał na sobie ciemnobrązowy elegancki garnitur, wspaniale prezentujący się na jego smukłej, zgrabnej sylwetce. Stał z ciemnymi włosami zmierzwionymi od nerwowego przeczesywania ręką i z wyrazem zakłopotania na przystojnej twarzy. W jego ciemnych oczach widać było taką tkliwość i miłość, że jeszcze teraz na wspomnienie o tym serce zamierało jej w piersi. W końcu ból stał się zbyt wielki i łzy popłynęły jej po twarzy. Wciąż zadawała sobie pytanie, dlaczego to wszystko musiało się tak skończyć.

- Kochanie! - dobiegł ją łagodny, kojący głos babci Fletcher. Widząc Martę pogrążoną w takim bólu, podeszła i wzięła ją w objęcia. - Nie powinnaś tak się zadręczać - usłyszała Marta, kołysana łagodnie w ramionach matki.

- Jak on mógł, mamó? - zapytała Marta cicho. - Jak on mógł stanąć w domu bożym i tak pewnie złożyć ślubowania małżeńskie, wiedząc, że to, co przed nami zataił, nie da się ukryć przed Wszechmogącym? Jak on mógł?

- Och, Marto! To smutne, ale każdy z nas ma swój krzyż, a Curt Ratheter został doświadczony ciężiej od innych za swoje własne postęпки! Łajdak, jeszcze ciebie przyprawił o zgryzotę. Tego mu chyba nigdy nie wybaczę!

Marcie przemknęło przez głowę, że ona też nie potrafi do końca przebaczyć Curtowi. A jednak przy każdym oddechu czuła wypełniającą ją miłość do niego.

- Dobrze, dobrze, już idę! - krzyknęła babcia Fletcher w odpowiedzi na natarczywe pukanie do drzwi i popędziła pośród łopotu spódnic i halek, żeby odebrać swój kufel, zanim jeszcze opadnie w nim pianka. Zgarnęła Polly z progu do frontowego pokoju i chwyciła z jej rąk kufel.

- Dobrze z ciebie dziecko - zawołała, śpiesząc do saloniku - dobre dziecko, bez dwóch zdań!

Parę minut później, gdy Marta znów usiadła przy ogniu w tylnym saloniku, a babcia Fletcher z upodobaniem sączyła swoje upragnione piwo, zapadło milczenie i wszystko tchnęło spokojem, a z frontowego pokoju dobiegały melodyjne tony, w dziwny sposób kojąc zbolące serce Marty.

Polly grała nie znając nut i nie mając żadnej na ich temat wiedzy, ale te urzekające dźwięki tworzone były z uczuciem i pasją. W tych rytmicznych wibracjach było coś wyjątkowego. Kobiety siedziały zasłuchane, całą uwagę skupiając na magicznym pięknie tych dziwnie harmonijnych tonów. Przez parę krótkich chwil dom wypełniony był cudownymi dźwiękami i Marta zawtórowała, nucąc cichutko.

Gdy przebrzmiał ostatni ton, zapadła głęboka, dojmująca cisza, a targające Martą emocje rozplynęły się w ostatnim porywie wielkiego szczęścia i okropnego żalu. Podeszła do Polly i z lśnjącymi od łez oczyma objęła ją czule. Ogarnęło ją uczucie jakiejś przejmującej troski i powiedziała miękko:

- To było naprawdę piękne, Polly. Masz bez wątpienia talent do muzyki... i zamiłowanie do niej, tak jak ja. Gdybyś jeszcze miała możliwość to rozwinąć...

- Marta westchnęła z rezygnacją, żałując nie wykorzystanych możliwości, i mocniej przytuliła Polly do siebie.

- Nie zależy mi tak bardzo na grze na pianinie - skłamała Polly wstając i składając uspokajający pocałunek na policzku mamy.

- Jeśli chcesz, żebym w to wierzyła... - Marta dobrze wiedziała, że Polly stara się po prostu oszczędzić jej jeszcze jednego powodu do smutku.

Chwilę później, gdy babcia Fletcher częstowała ją kolejną filiżanką świeżej herbaty, powiedziała:

- Dziękuję bardzo, lecz jeśli teraz nie wyjdziemy, spóźnimy się na tramwaj. Nie chcę, żeby Florencja i Bartuś zastali pusty dom.

- Słusznie, moja droga... - starsza pani ucałowała je i odprowadziła do drzwi - ale nie zapomnij o tym, o czym ci mówiłam! Nic dobrego z tego nie wyniknie. Zapamiętaj moje słowa, Marto! - Trudno było nie dosłyszeć poważnej nuty ostrzeżenia w głosie babci Fletcher.

Marta nie była zbyt rozmowna podczas powrotnej jazdy do domu. Choć było to niewłaściwe i nie rokowało nadziei, kochała Curta Rathetera. Nie było to coś, nad czym mogłaby zapanować - tak po prostu było, nigdy jednak nie opuszczało jej poczucie winy. Choć Barty Bendall był zupełnie nieznośny, a często po prostu okrutny, czuła, że ma wobec niego zobowiązania, i to nie tylko formalne, jako jego żona, lecz wynikające też z zaszczepionego jej w dzieciństwie poczucia moralności i przyzwoitości. Wówczas, gdy tak się obawiała, że jej córki zdadzą sobie sprawę ze swojej niezwyklej sytuacji - nie tylko, że są dziećmi nieślubnymi, ale też, że ich ojciec został osadzony na sześć lat w więzieniu Jego Królewskiej Mości, Barty Bendall stał się ich wybawieniem. Marta wiedziała, że nie może o tym zapominać.

Spoglądając na jasnowłosą dziewczynkę u swojego boku, Marta pomyślała, że Polly jest taką dziwną, nieobliczalną istotą, iż nie wiadomo, jak by sobie poradziła, gdyby o tym wszystkim wiedziała. Zadrzała, czując, jak wiele spoczywa na jej barkach i jak trudno znaleźć gdziekolwiek jakąś prawdziwą pociechę.

Polly próbowała co i rusz wciągnąć matkę w rozmowę, ale bez większego powodzenia, i poza zdawkowym potwierdzeniem, że rzeczywiście obchody dnia Guya Fawkesa wydają się zbliżać bardzo szybko, niewiele od niej usłyszała. Przez całą drogę pośród pięknych jesiennych krajobrazów widać było rozochoczone dzieci, zbierające suche paprocie, odpady drewna, stare meble i wszystko, co mogło się nadawać na opał. Wielki dzień, z niecierpliwością oczekiwany zarówno przez dzieci, jak i dorosłych, przypadał na piątego listopada, czyli następny piątek. Marta regularnie co roku zabierała dzieci na obchody święta, którym towarzyszyło największe w mieście ognisko, rozpalane na rozległym obszarze nieużytków niedaleko centrum Blackburn. Było to zawsze wspaniałe, podziwiane przez wszystkich widowisko. Corocznie obwoływano Martę gwiazdą całej imprezy, bowiem jak zwykle musiała śpiewać na prośbę zebranych sentymentalne, rozdzierające serce piosenki.

Niepomna na otoczenie, Marta utkwiała niewidzące spojrzenie w swojej cienkiej obrączce ślubnej, szarpiąc ją bezwiednie w tę i z powrotem, aż otarła niemal skórę na palcu. Próbowwała nie dać po sobie nic poznać, lecz Polly bez trudu zauważyła, że coś ją gryzie.

- Mamo - powiedziała cicho, wyciągając swoją drobną rączkę i przykrywając nią dłoń matki.

Marta odwróciła się, patrząc z tkliwością na podniesioną ku niej zatroskaną twarzyczkę Polly.

- Tak, kochanie? - W oczach Marty błysnęły łzy, zanim zdołała je powstrzymać.

Gdy w końcu Polly udało się przyciągnąć uwagę matki i przerwać na chwilę tok jej myśli, zwróciła się do niej uspokajającym tonem:

- Ja się naprawdę nie przejmuję, że nie mam pianina - powiedziała w nadziei, że może przynajmniej ta wiadomość jakoś pocieszy mamę.

Marta zaśmiała się cicho, ale był to pusty, gorzki śmiech. Odpowiedziała jednak czule:

- Wiem o tym, kochanie. Ale jeśli kiedykolwiek pojawi się taka sposobność, będziesz je miała!

Ta solenna obietnica wynikała też z jej własnego, głębokiego poczucia niedostatku. Życie było zbyt krótkie, by wyrzekać się w nim wszystkiego! Marta dobrze zdawała sobie sprawę, że życie Polly może okazać się znacznie krótsze niż życie jej rówieśników.

Tramwaj zatrzymał się ze zgrzytem i po paru minutach pasażerowie śpieszyli już, by schronić się przed zimnem w domach, przy buzujących kominkach. Gdy Marta i Polly dotarły do swoich drzwi, duży zegar na rynku wybijał zaledwie czwartą, a już z wszelkich zakamarków i zaułków zaczęła zakradać się gęsta, nieprzenikniona dla wzroku ciemność. Florencja i Bartuś już pół godziny temu weszli do domu, otwarłszy drzwi kluczem, który wisiał na stałe w skrzynce na listy. Nie było śladu Barty'ego Bendalla. To było do przewidzenia, bowiem nie miał zwyczaju zjawiać się w domu przed ogłoszeniem wyników ostatnich gonitw. Potem wracał pijany - albo dlatego, że wygrał, albo dlatego, że przegrał. Tak czy inaczej, trudno było liczyć na jego dobry nastrój.

Jak miało się potem okazać, Barty Bendall dotarł tej nocy do domu o wiele później niż zwykle. Florencja i Bartuś, umyci i położeni do łóżek, już od czterech godzin spali wtedy w najlepsze.

Na razie Polly zastanawiała się, czy nie poprosić matki o rozmowę - trochę aby poskarżyć się na silne bóle, które ostatnio zaczęły ją dręczyć, a trochę po

to, aby dać matce sposobność do zrzucenia z serca ciężaru, wyraźnie męczącego ją przez cały dzień. Na przeszkodzie stało temu jednak nagłe ożywienie, z jakim Marta wzięła się do przygotowywania posiłku dla Barty'ego Bendalla. Jej krzątania nie sprzyjała prowadzeniu spokojnej, szczerzej rozmowy.

W gruncie rzeczy Marta wyczuła poważne zamiary Polly i celowo starała się uniknąć wiszącej w powietrzu rozmowy. Nie pomogło jej to rozproszyć poczucia winy, które dręczyło ją już wcześniej, ale była przekonana, że Polly wyczuła jej niepokój, a ostatnią rzeczą, do jakiej mogła być teraz zdolna, była poważna, pełna dociekliwych pytań rozmowa z córką. Kiedyś, uspokajała samą siebie, będzie więcej czasu i lepsza okazja do omawiania tego typu spraw. Na razie lepiej nie poruszać takich tematów. W każdym razie jednak trzeba będzie powiedzieć Polly o czekającej ją w poniedziałek rano wizycie u doktora Pitta.

Marta tylko raz przystanęła na moment pośród pilnych przygotowań do przyjścia Barty'ego Bendalla. W tej spokojnej chwili zmieszała się nieco widząc, że Polly przypatruje jej się ze szczególną uwagą. Pocałowała ją lekko w czoło.

- Wszystko w porządku, Poluniu? Córka przyjrzała jej się badawczo.

- Mamo, czy ty jesteś nieszczęśliwa?

Pytanie zadane zostało z typową dla Polly bezpośredniością, ale tym razem Marta była na nie przygotowana i to od chwili, kiedy wróciły do domu.

- Polly Bendall! - napomniała ją, uśmiechając się rozbajająco. - Jakże mogłabym być nieszczęśliwa mając ciebie?

Przez dłuższą chwilę Polly w milczeniu przyglądała się mamie. Marta wiedziała, że córka zastanawia się teraz, co też się może kryć za taką odpowiedzią. Poczowała wewnętrzną ulgę, gdy Polly w końcu się odezwała.

- Bardzo cię kocham, mamo. Dziękuję, że zabrałaś mnie do babci i do łaźni. Chyba pójdę jutro do Bridget i przeproszę ją za to, że tak nagle uciekłam! Marta wysłała ją na górę do sypialni.

- To bardzo dobry pomysł, kochanie. A teraz zmykaj do łóżka, tylko cichutko, żeby nie obudzić maluchów.

Marta nie mogła zasnąć. Leżała z otwartymi oczyma w mroku sypialni. Ciszę mąciły tylko co jakiś czas podmuchy wiatru, szarpiącego osłonę stojącej pod oknem latarni. Marta westchnęła głośno i zaczęła przypominać sobie przebieg minionego dnia. Robiło jej się coraz smutniej. Próbowwała rozwikłać i zrozumieć poplątane ścieżki swojego życia, ale w ostatecznym rozrachunku okazywało się to bezowocne, bowiem zawsze doprowadzało ją to do Barty'ego Bendalla i starych, dręczących ją trosk. Będzie musiała przeprowadzić

stanowczą rozmowę z doktorem Pittem. Miała nadzieję, że Ada Humble znalazła w sobie dość siły, aby powiedzieć Toby'emu o czekającej ich rozprawie sądowej. Nie miała też pojęcia, jak sobie poradzi bez dniówki za opuszczony poniedziałek. Wszystkie te problemy zaczęły jej się mieszać w głowie, aż wreszcie zapadła w błogosławiony sen.

Na ulicy rozległy się głośnie, wulgarne okrzyki pijanego Barty'ego Bendalla, a potem gwałtowne walenie w drzwi.

- Otwieraj natychmiast, kobieto! Szybciej, do diabła! - Szorstki głos niósł się daleko w nocnej ciszy, wywołując gniewne protesty zirytowanych sąsiadów. Lecz na Barty'ego Bendalla nie robiło to żadnego wrażenia i nadal dobijał się zaciekle do drzwi. - Mam rozwalić te cholerne drzwi? No już, otwieraj!

Wyrwana gwałtownie i bezceremonialnie ze snu, Marta jeszcze dotkliwiej odczuła jarzmo swojej trudnej sytuacji. Pośpieszyła do drzwi, wołając uspokajająco, aby zapanować nad wybuchem wściekłości Barty'ego Bendalla:

- Na miłość boską, Barty! Przestań się tak dobijać! - Wiedziała jednak, że na nic nie zdadzą się żadne prośby. Nauczyła się już, że w pewnych momentach nie można liczyć z jego strony na żadne cywilizowane odruchy.

Zakłóciwszy jej zasłużony odpoczynek, Barty Bendall bez większych ceregieli brutalnie zaciągnął ją z powrotem do łóżka i nie zważając na protesty i wzbierający w niej gniew, użył jej ciała dla zaspokojenia własnej żądz. Leżąc pod ciężarem pijanego, postępującego mężczyzny, Marta czuła, jak gorzkie łyżki poniżenia i niedoli spływają jej po twarzy i wsiąkają w poduszkę, a serce napęnia się odrazą.

Rozdział dziesiąty

W domu Bendallów w niedzielne poranki ruch rozpoczynał się zazwyczaj nieco później niż w dni powszednie. Typowy dla zwykłego dnia pracy gorączkowy pośpiech i zamieszanie był nie do pomyślenia w Dniu Pańskim. Był to jedyny ranek w tygodniu, kiedy początku dnia nie obwieszczał znajomy stukot kołatającego w okno przedniej sypialni długiego kija, którym posługiwał się człowiek budzący rano ludzi do pracy. Ale choć w niedzielę ustawał pośpiech i rytm normalnego dnia pracy, ludzie nie pozwalali sobie na lenistwo, z wyjątkiem Barty'ego Bendalla. Pijaństwo sobotniej nocy było jego zwykłą rozrywką i dopiero następnego ranka widać było, na ile sobie tym razem pozwolił.

Marta wstała tuż po szóstej, gdy na ulicy panował jeszcze mrok i cisza. Czekąco na nią wiele zaległości, którymi musiała się zająć. Poruszając się cicho i ostrożnie, żeby nie zbudzić rodziny, spojrzała na Barty'ego Bendalla. W pokoju panował półmrok, a za oknem widać było dopiero pierwsze promienie świtu. Z jakiegoś dziwnego, niezrozumiałego powodu Marta czuła potrzebę układania się do snu przy nie zasłoniętych oknach. Gdy wyszła za Barty'ego Bendalla, potrzeba ta jeszcze się nasiliła. Odślonięte okno nie pomagało jej bynajmniej zasnąć, sen bowiem miała na ogół lekki i niespokojny, ale podczas długich, bezsennych godzin nocnych widok nieba wypełniał jej duszę uczuciem cichego zadowolenia.

Drżąc z zimna, Marta szybko zaczęła się ubierać w spódnicę i długi rdzawy sweter - spadek po starej pani Bendall, którego nie miała serca wyrzucić. Gdy wzrok jej padł na twarz śpiącego Barty'ego Bendalla, natychmiast ogarnęło ją przygnębienie. Nie wolno go nienawidzić, powtarzała sobie, bo robi się jeszcze trudniej niż teraz.

Parę chwil później cicho wymknęła się z pokoju i trzymając w ręku swoje płaskie, wygodne pantofle, na palcach zeszła po schodach na dół. Czuła się wyczerpana. Miała na głowie tyle zmartwień, że trudno jej było w nocy nawet zmrużyć oko. Z przyjemnością po wylegiwałaby się jeszcze parę godzin w łóżku, ale przecież tuż obok leżał wionący alkoholem Barty Bendall, który w każdej chwili mógł się obudzić łaknąc zaspokożenia swoich żądz, a sama myśl o tym wydawała jej się odpychająca.

Wkrótce ogień trzaskał już wesoło, a w czajniku parzyła się herbata. Marta oparła się o obramowanie kominka i w zamyśleniu zapatrzyła się na

rozprzestrzeniające się płomienie. Oszacowała szybko, ile jeszcze zostało jej do zrobienia, ale czuła się niespokojna i rozbita, i trudno jej było zebrać myśli.

Stała tak długo, beznadziejnie zagubiona pośród nawału sprzecznych uczuć. Jej potrzeby były równie silne, jak potrzeby Barty'ego Bendalla, myślała. Była młoda, zdrowa i pełna takich samych namiętności i popędów jak każda inna młoda kobieta. Przecież gdy Barty Bendall zaspokajał swe zwierzęce żądze, zdarzało się czasem, że nie pozostawała całkiem obojętna na jego poczynania. Inna rzecz, że potem zawsze robiło jej się niedobrze.

To na nic, Marto Bendall, skarciła samą siebie. Mama miała rację. Nie ma sensu przywoływać przeszłości, bo Polly cię teraz potrzebuje. Polly i reszta, i biedna Ada Humble.

- Mamo - rozległ się głos tuż obok. Marta nie zauważyła bliskiej obecności Florencji, aż poczuła, jak drobna rączka wsuwa się w jej dłoń. Przytulając się do niej, dziewczynka poprosiła: - Mogę zostać na dole?

Marta popatrzyła na mały zegar na obramowaniu kominka i uświadomiła sobie, jak krótko Florencja spała tej nocy.

- Jest dopiero kwadrans po siódmej, kochanie. Nie chcesz się jeszcze położyć?

- Nie, chcę zostać tu z tobą na dole - padła zdecydowana odpowiedź. Marta pomyślała, że powinna wysłać Florencję z powrotem do łóżka - w końcu co dzień wstawali tak wcześnie. Kiedy jednak spojrzała w dół na zwróconą ku niej błagalnie buzię, zmieniła szybko zamiar, bowiem wpatrzone w nią oczy były ciemnymi, drogimi oczami Curta, a długie ciemne włosy, opadające na ramiona dziecka, miały ten sam, co u niego, jedwabisty połysk.

Marta nagle uklękła, biorąc córkę czule w objęcia.

- No, niech ci będzie. Pomożesz trochę mamie w pracy, dobrze?

Florencja oplótła ramionami jej szyję i z wdzięcznością cmoknęła ją w policzek.

- Dziękuję, mamo - powiedziała i uśmiechnęła się wesoło.

- No to maszeruj na górę, kochanie, tylko cichuteńko! Ubierz się jak należy i na paluszkach zejź tu na dół. Nie chcemy przecież jeszcze obudzić całego domu, prawda?

Parę minut później Florencja wróciła do saloniku, prowadząc ze sobą ubranego i całkiem już rozbudzonego Bartusia.

- No, ładne rzeczy! Chyba ci mówiłam, żebyś nie hałasowała, Florencjo!

- Wcale nie hałasowałam, ale on i tak za mną przyszedł! - Spojrzała gniewnie na brata, jednak pomimo pozorów irytacji nadal trzymała go opiekuńczo za rączkę.

Duże brązowe oczy Bartusia błysnęły przekornie.

- To ty mnie obudziłaś! - Zwrócił spojrzenie ku Marcie, skarżąc się w szczerym oburzeniu: - To ona mnie obudziła, mamó, naprawdę! Sam bym się na pewno nie obudził!

Serce Marty wezbrało miłością na widok dwóch stojących przed nią szkrabów. Jeśli miała wątpliwości, z jakiego powodu musi znosić swoje nędzne życie, to teraz go zobaczyła - był jasny jak słońce.

- No dobrze - powiedziała - więc teraz mam już dwóch pomocników, a nie jednego! Ale nie będzie śniadania, dopóki oboje nie pójdziecie się umyć! - Uśmiechnęła się widząc ich markotne miny i słysząc jęki sprzeciwu. - Możemy z tym jednak poczekać, dopóki nie posprzątam domu. - Ta uwaga została powitana entuzjastycznymi okrzykami i wyciągniętymi w górę ramionami.

Mijała właśnie dziewiąta, gdy Florencja i Bartuś wstali od dużego stołu, lśniący czystością i nakarmieni.

- Możemy teraz wyjść się pobawić, mamó? - spytała Florencja. - Bartuś ma mi pokazać swoją kryjówkę, gdzie schował Guya Fawkesa.

- Ale nikomu o niej ani słowa! - z poważną miną napomniął ją Bartuś.

Marta wypuściła ich na dwór. Gdy miała już zamknąć drzwi, obok balustrady pojawił się jaskrawo-czerwony kapelusz Ady Humble.

- Marto, masz chwilkę czasu? - spytała tonem wskazującym na wielkie poruszenie. - Jesteś sama?

- Tak, Ado... Barty Bendall i Polly są jeszcze w łóżku... Wejdz. - Wyczuła, że chodzi o wezwanie do sądu i spojrzała na przyjaciółkę ze współczuciem. W istocie, podpuchnięte, zaczerwienione oczy nie pozostawiały żadnych wątpliwości - było oczywiste, że Ada Humble płakała. Marta posadziła ją przy ogniu i podała jej wielki kubek mocnej herbaty, po czym delikatnie wytknęła sąsiadce:

- Nie powiedziałaś mu, prawda? On jeszcze nic nie wie?

- Och, Martuniu! - Ada pociągnęła żałośnie nosem. - Od czasu, kiedy przyszło to urzędowe pismo, nie zmrużyłam oka! Ani na chwilę! Chyba wolalabym umrzeć, niż pójść do tego sądu, a jeszcze zabierać chłopaka i Toby'ego, który przecież nic nie zrobił! Och, Marto, moja droga, co ja mam począć? Tak się boję!

Współczucie dla Ady Humble w obliczu jej niewesołego położenia zagłuszyło obawy Marty, że ten głośny lament obudzi Barty'ego Bendalla. Przysiadła na oparciu krzesła Ady, wzięła od niej kubek, objęła ją uspokajająco i powiedziała:

- Nie masz się czego bać, Ado. Ci urzędnicy z rady miejskiej nie mają dla nas, zwykłych zjadaczy chleba, żadnego zrozumienia. - Serdecznie przytuliła do siebie zgnębioną kobietę, a jej kojący głos ciągnął dalej z autentycznym przekonaniem: - Tak naprawdę to oni nie chcą was wcale skrzywdzić. Po prostu lubią straszyć takich biedaków jak my, bo wtedy czują się ważni. Chodzi im tylko o to, żeby was nastraszyć.

- Naprawdę? - Czerwony kapelusz Ady Humble zakołysał się niepewnie. W płaczącym głosie pojawiła się nuta gniewu. - No to na pewno im się to udało, łajdakom jednym! Czy oni są tacy nieczuli, bo sami nie mają dzieci? A bo to ich dzieci są niby takie idealne, co?

Marta z ulgą przyjęła zmianę nastroju Ady, bowiem gniew zawsze był lepszy od strachu. Któż mógłby o tym wiedzieć lepiej niż ona sama, pomyślała.

- O to właśnie chodzi, Ado! Po prawdzie, to te ptaszki nie są wcale lepsze od nas! - Podeszła do kominka. - Może ich dzieci chętniej chodzą do szkoły niż nasze. Ale pewnie bardziej się je do tego zachęca i nagradza.

- No cóż - Ada Humble wygramoliła się z krzesła. - Każdy z nas kończy jednakowo - pogrzebany w zimnej ziemi i wydany na pastwę robaków! I wszystko jedno, w co nas ubiorą - w konopny worek czy jedwabie - im smakujemy dokładnie tak samo, i taka jest prawda!

Marta zaśmiała się. Doskonale rozumiała, co Ada ma na myśli.

- Słusznie, moja droga, ale to nie zmienia faktu, że musisz wziąć się w garść i powiedzieć wszystko Toby'emu.

- Nie, nie! Jeszcze nie jestem do tego gotowa. - Schowała się pod rondem kapelusza. - Ale wiem, że muszę to zrobić, dobrze wiem!

Ni stąd, ni zowąd Marcie zaświtała w głowie pewna myśl. Sama nie była pewna, czy coś takiego mogłoby się udać.

- Ado, coś mi przyszło do głowy. Nie wiem, czy to ma sens, ale warto o tym pomyśleć.

Rozgorączkowanej Adzie Humble zadrżały ręce.

- Co wymyśliłaś, Marto? Mów szybko!

- Ja pójdę z tobą do sądu! Powiemy, że przyszedłam w zastępstwie Toby'ego, bo jego nie chcieli zwolnić tego dnia z pracy.

- Na Boga, Marto! To się uda, to się uda! - Ada zaczęła podskakiwać z takim ożywieniem, że czerwony kapelusz wykonał na jej głowie swój własny, szalony mały taniec. - Jesteś aniołem, prawdziwym aniołem! Och, moja droga! Co by stara Ada bez ciebie zrobiła...

Marcie zrobiło się lżej na sercu, gdy dostrzegła ulgę na pucołowatej, czerwonej twarzy.

- No widzisz - zganiła Adę dobrotliwie - i po co całe te nerwy! Jeśli obie tam będziemy, chyba nie będą podnosić wrzawy o Toby'ego. Pewnie jednak dadzą tobie i twojemu Blackiemu niezłą burę!

- Może - zgodziła się Ada i dodała już spokojniejszym głosem: - W każdym razie, kochana, zdjęłaś mi wielki ciężar "z serca! - Jej małe brązowe oczy zamigotały wesoło i, jakby zawstydzona całą tą sprawą, zmieniła temat. - Jak to miło, że mała Polly zaprzyjaźniła się z tą dziewczynką Revine'ów, prawda? - I nie czekając na odpowiedź Marty, ciągnęła dalej: - To jednak dziwni ludzie! Dorosłych prawie w ogóle się nie widuje. A ten zapatrzony w siebie goguś? Ludzie mówią, że uczciwie to on chyba na życie nie zarabia! Wygląda na to, że nie ma żadnego stałego zajęcia, a pieniędzy im raczej nie brakuje. - Zmrużyła oczy. - Trzeba na faceta uważać! Tak, moim zdaniem to niezły nicpoń! Kobieta wygląda na porządną. Zdaje się, że ubóstwia tego swojego biednego brata. Biedak! Przy nim moje problemy to pestka.

Marta przysłuchiwała się z wielką uwagą paplaninie Ady, która pewnie nie wiedziała, jak bardzo jej przypuszczenia bliskie są przeczuciom Marty, szczególnie co do ojca Bridget.

- W tym, co mówisz, Ado, jest wiele racji - mruknęła w zamyśleniu - wiele racji...

Ada przytaknęła, głośno i z zadowoleniem, siorbiąc zimną herbatę, po czym ruszyła w kierunku drzwi.

- No, moja droga, mam dziś jeszcze dwóch nieboszczyków do ubrania przy ulicy Leyland, więc lepiej pójdę, żeby dokończyć szykowanie całunów. To dwóch staruszków i widać, że byli bardzo kochani i szanowani przez rodziny. Założę się, że obaj nosili okulary! - zaśmiała się. - Poszłam po prześcieradła na całuny i wróciłam z kolejnymi dwiema parami okularów - pewnie to po nich... Mnie tam wszystko jedno, ale przecież każdy wie, że nie umiem czytać! Mam u siebie w kufrze już tyle par, że gdybym je wszystkie nasadziła na nos, to pewnie bym w końcu wszystkie literki pojęła! - Poczekała, aż Marta przestanie się śmiać. - Nie mam jakoś serca, żeby je wszystkie wyrzucić, moja droga, albo zastawić w lombardzie. Tylu krótkowidzów przyjąłoby z pocałowaniem ręki takie okulary - dokończyła.

Marta z zadowoleniem zauważyła, że wychodząc Ada Humble była w znacznie lepszym stanie ducha, niż kiedy do niej przyszła. Uczyniła w sercu postanowienie, że nie opuści jej w tych trudnych chwilach. W sprawach z urzędnikami rady miejskiej wszyscy muszą się trzymać razem.

W chwili, gdy zamykała za Adą drzwi, na górze rozległ się taki hałas, że obawiając się, iż obudzi to Barty'ego Bendalla, Marta pognęła na piętro

przeskakując po dwa stopnie naraz. Otworzyła gwałtownie drzwi do sypialni i ujrzała, jak Polly nabiera tchu, aby powtórnie zawołać Florencję.

- Cicho, Polly! Przestań krzyczeć - napomniała ją. - Tata jeszcze śpi! - Gdy odsunęła zasłony, nagły strumień światła wydobył z półmroku ściągniętą niezadowolonymi twarz Polly, podkreślając jeszcze jej bladość.

- Nie budź taty, Polly - poprosiła Marta cichym, pełnym trwogi głosem. - Wiesz, jaki jest, kiedy się go obudzi w niedzielę!

Po twarzy Polly przebiegł grymas buntu. Zmieniając temat, spytała:

- Gdzie Florencja i Bartuś?

- Bartuś był tu u ciebie, ale tak mocno spałaś, że nie pozwoliłam cię budzić. Wydawało mi się wczoraj, że kładłaś się bardzo zmęczona. Nic ci nie jest, kochanie? - spytała Marta gładząc łagodnie delikatną twarz córki.

- Zupełnie nic, mamó. - Polly oparła się na łokciu. - Chyba pójdę odwiedzić Bridget - oświadczyła ziewając i trąc zaspane oczy.

- Tylko schodź po cichu, Polly. Nie chcę, żeby tata się obudził. W końcu przez cały tydzień ciężko pracuje!

- Po czym wyszła z pokoju, zostawiając ubierającą się córkę.

Jak tu ciepło, mamó, cieplej niż na górze - Polly weszła do saloniku dygocząc. W kominku wesoło buzował ogień, rzucając ciepły blask na cały pokój, jak zwykle w niedzielny poranek. Barty Bendall zawsze nalegał, aby najlepsze kawałki węgla odkładać na niedzielę i żeby Marta nie wołała go na dół, dopóki salon nie będzie odpowiednio nagrany.

- Obok kominka jest dzbanek z ciepłą herbatą, jeśli chcesz - zaproponowała Marta.

- Nie, dziękuję, mamó... nic nie chcę - odparła Polly i podeszła do okna, wyciągając szyję, żeby dojrzeć, co dzieje się na podwórku. - Nigdzie ich nie widzę - dodała, odwracając się do matki.

- Z tego, co zrozumiałam, poszli do kryjówki Bartusia, żeby wyszykować Guya Fawkesa.

Polly roześmiała się głośno.

- Myślałam, że Florencja wyrosła już z takich rzeczy!

- To jeszcze dziecko, Polly, i bawi się po dziecinnemu - powiedziała Marta z lekkim wyrzutem, myśląc o tym, jak mało Polly ma w sobie z dziecka.

- Chyba tak - przyznała Polly niechętnie, wzruszając wąskimi ramionami. Marta posłała jej badawcze, zaniepokojone spojrzenie. Polly nigdy tak naprawdę nie była „dzieckiem” w potocznym rozumieniu tego słowa. Zawsze bardzo krytycznie odnosiła się do wszelkich rozrywek, które nie wiązały się z

poznawaniem świata dorosłych, i Marta już dawno straciła nadzieję, że Polly kiedykolwiek przejawiać będzie dziecięcy entuzjazm.

Pomiędzy dziewczynkami były zaledwie trzy lata różnicy, ale czasem wydawało się, że są z dwóch różnych światów. Florencja była wesołym dzieckiem o równym, spokojnym usposobieniu. Polly była zupełnie inna. Marta nigdy nie była w stanie do końca jej zrozumieć, a jednak, choć starała się nikogo nie wyróżniać, Polly zawsze była jej oczkiem w głowie.

- Czemu nie pójdziesz poszukać Florencji i Bartusia? - spytała.

- Ależ mam! Nie jestem już dzieckiem, żeby robić Guya Fawkesa - odparła Polly, siadając na bujanym fotelu, i zaczęła kołysać się miarowym ruchem. - Ciekawe, czy Bridget już wstała? - spytała Martę. I zanim matka zdążyła cokolwiek odpowiedzieć, Polly już nie było - zerwawszy się nagle z bującego się teraz gwałtownie fotela, wybiegła pędem z domu, trzaskając głośno drzwiami.

- Co się tu do diabła dzieje? Kto trzaska tymi cholernymi drzwiami o tej porze? - głos Barty'ego Bendalla wypełnił cały dom.

- Polly, zasłużyłaś na baty! - szepnęła Marta. Ostatnią rzeczą, jakiej mogła sobie życzyć, było to, żeby Barty Bendall obudził się w takim podłym nastroju. Ostatnio irytował się jeszcze łatwiej niż zwykle, tak jakby coś go dręczyło, pomyślała. Ale nigdy się jej nie zwierzał, więc jeśli rzeczywiście tak było, pewnie i tak dowie się o tym ostatnia.

Głośny tupot jego butów na schodach wypełnił jej serce lękiem, gdy krzątała się przygotowując mu śniadanie i zastanawiając się, co też może mu się dziś nie spodobać.

Drzwi do salonu jak zwykle otworzyły się gwałtownie i w jednej chwili pogodna atmosfera w pokoju zagęściła się. Marta bez większego zdziwienia poczuła, że brakuje jej oddechu, jak zwykle, kiedy Barty Bendall był w pobliżu.

Barty Bendall z trzaskiem odstawił stojące przy stole krzesło, jak to miał w zwyczaju, i z zaciśniętymi ustami wbił przenikliwe zielone oczy w jajecznicę na bekonie, którą postawiła przed nim Marta. Bez słowa usadowił się ciężko na krześle i zaczął żarłocznie pochłaniać posiłek. Gdy Marta przeprosiła go za bezmyślność Polly, która z takim hałasem zatrzasnęła za sobą drzwi, w ogóle nie podniósł głowy, tylko mruknął coś pod nosem. Martę niezmiernie to zdziwiło, bo na ogół miał w takich sytuacjach bardzo dużo do powiedzenia.

Cofnąwszy się pod kominek, Marta obserwowała go nieufnie z wyrazem dezorientacji na twarzy. Jego zwykła gburowatość i łapczywość, z jaką spożywał posiłki, nie zmieniły się od dnia poprzedniego. Ale uderzyła ją i zaniepokoiła jaka? nieokreślona, choć wyraźna różnica w jego obejściu. Może

jest chory, pomyślała. Nie, nie sądziła, by o to chodziło, ale sposób, w jaki świadomie unikał jej wzroku, i zaskakujący fakt, że będąc już w salonie od ponad pięciu minut, nie odezwał się do niej ani słowem, wzbudziły jej nieufność i spowodowały zamęt w głowie. Wszystko to było zupełnie do niego niepodobne.

W dalszym ciągu ignorując obecność Marty, Barty Bendall dokończył śniadanie, po czym nie myjąc się nawet, założył czapkę i płaszcz i we właściwy sobie wymyślny sposób owinął szyję pożąłkłym ze starości, ongiś białym szalikiem. Potem, nie oglądając się za siebie, szybko wyszedł.

Na zewnątrz przystanął z niespokojnym wyrazem twarzy. Wyjął z kieszeni kończącą się już paczkę Woodbine'ów, zapalił jednego i trzymając go między wargami, schował z powrotem papierosa i zapalki. Za chwilę niecierpliwym ruchem wyjął papierosa z ust i ze zmarszczonym czołem podążył ulicą Regent, skręcając szybkim krokiem do pubu „Lord Nelson”. Tam zaszył się na jakiś czas z kuflem piwa w cichym kącie, gdzie mógł się spokojnie nad wszystkim zastanowić. Bóg jeden wie, pomyślał Barty Bendall, że jest nad czym rozmyślać, skoro Ratheter jest znów na wolności albo wkrótce będzie! Dobry Boże, czy życie nie jest już i tak dostatecznie trudne? Barty Bendall nie był głupi. Nawet ślepy by się zorientował, że przez te sześć lat, kiedy

Marta była jego żoną, tak naprawdę nigdy go nie kochała. Nadal wzdychała za tym Ratheterem, a już sama myśl o tym doprowadzała Barty'ego Bendalla do szału, bez względu na porę dnia i nocy. Och, dobrze wiedział, że Marta stara się, jak może. Ale to nie wystarczało. A im bardziej był zazdrosny, tym więcej się upijał i stawał się coraz bardziej zawzięty. Ale niech to diabli, nie potrafił sobie z tym poradzić. Chciał, żeby go kochała, a musiał brać ją wbrew jej woli. Chciał z nią rozmawiać i śmiać się razem z nią, ale zamiast tego krzyczał i swoją brutalnością doprowadzał ją do płaczu.

Marta, nadal poruszona i zdziwiona nieoczekiwanym milczeniem Barty'ego Bendalla, dopiero parę chwil później, gdy już sprzątnęła ze stołu jego talerz, odkryła przypuszczalny powód jego niezwykłego zachowania. Z miejsca, gdzie ją zawsze chowała, zniknęła jej portmonetka z całą zawartością - skrupulatnie liczonymi szylingami, które miały im wystarczyć do końca tygodnia. Dla znękanego tyłoma zmartwieniami Marty było to już za wiele, więc szlochając osunęła się na wygrzane krzesło, na którym przed chwilą siedział Barty Bendall. O mój Boże, pomyślała z udręką, co my teraz zrobimy? Co teraz będzie? Barty Bendall nieraz to przymilał się, to groził, chcąc wyłudzić parę ciężko zapracowanych przez nią szylingów.

- Ale do kradzieży jeszcze nigdy się nie posunął! - wykrzyknęła na głos, ocierając łzy. Im dłużej jednak nad tym myślała, tym bardziej dochodziła do przekonania, że choć Barty Bendall z całą pewnością był brutalem, to nie był złodziejem. Podnosząc zmęczone ciało, wyprostowała plecy i usiadła sztywno, po czym ogarnęła spojrzeniem salon, jakby szukając w nim odpowiedzi. Jeśli nie Barty, to kto? - zdawała się pytać otaczające ją przedmioty. Kto mógłby wziąć jej portmonetkę ze wszystkimi drobnymi, które miały ich uchronić przed głodem? Zastanowiła się ponownie nad dziwnym nastrojem Barty'ego Bendalla, lecz choć wydawał się jej wielce zagadkowy, była teraz prawie całkiem pewna, że to nie jego sumienie obciąża ten karygodny czyn. - Coś musi jednak dręczyć tę jego biedną, pokreconą głowę - stwierdziła - pewnie jakiś problem na wyścigach. - Nagle olśniła ją pewna myśl. Polly! Może Polly wie, gdzie jest portmonetka? Marta sama nie bardzo wiedziała, skąd jej to przyszło do głowy. Czuła jednak intuicyjnie, że to Polly tkwi u źródła tej tajemnicy.

Marta szybko włożyła płaszcz i czując wielką ulgę na myśl, że być może portmonetka nie jest jeszcze całkiem stracona, ruszyła ulicą Regent w kierunku domu Revine'ów z zamiarem wyjaśnienia tej sprawy z Polly.

Pierwszy dźwięk kołatki u drzwi pozostał bez odpowiedzi, więc Marta ponownie podniosła żelazne ramię, tym razem pozwalając mu opaść z głośnym brzękiem. Wydawało jej się, że minęły wieki, zanim usłyszała jakieś odgłosy w korytarzu. Po chwili powoli, jakby z wielkim wysiłkiem, uchyliły się drzwi. W progu nie pojawiła się jednak Bridget, czego spodziewała się Marta. Był to jej wuj Chris, którego widok budził taką litość, że zadrżało jej serce.

Instynktownie wyczuła, jak strasznie samotny musi być ten smutny młody człowiek. Nie sposób było powiedzieć, czy celowo odizolował się od bliźnich, czy też został przez nich odrzucony, ale teraz, gdy ich oczy spotkały się przy powitaniu, Marta miała wrażenie, że wnika w najgłębsze zakamarki jego duszy i przez ułamek sekundy jej własne serce też poczuło się samotne.

Młodzieniec szerzej otworzył drzwi.

- Pani jest matką Polly, prawda? Proszę wejść - powiedział łagodnie, wykonując niezdecydowany ruch ręką - zamarnie pani tam.

Marta weszła za nim do środka.

- Mamo! - Polly siedziała przy ogniu, ale na widok matki podbiegła do drzwi. - Bridget poszła do kościoła, ale Chris powiedział, że mogę poczekać. Nikogo poza nim nie ma.

Chris usunął się dyskretnie na bok, aby zakrzętnąć się koło kredensu, co nie uszło bystremu oku Marty, toteż od razu przystąpiła do rzeczy.

- Polly, nie mogę sobie jakoś przypomnieć, gdzie położyłam portmonetkę. - Nie chciała, żeby dziecko odebrało to jako podejrzenie, więc dodała łagodniejszym tonem: - Nie widziałaś jej gdzieś przypadkiem?

- Jest pod radiem, mam. - Głos Polly nie zdradzał poczucia winy i w przyplýwie wdzięczności i ulgi Marta chwilowo zrezygnowała z wszelkich dalszych pytań. Miała więc rację, a na pytania przyjdzie czas później.

Zwracając się do młodego człowieka, który kierował się ponownie w ich stronę, Marta powiedziała:

- Proszę mi wybaczyć to najście. Mam prośbę - czy mógłby pan przekazać siostrze, że jeśli nie ma nic przeciwko temu, z przyjemnością upiekę tuzin drożdżówek na jej przyjęcie?

Młodzieniec trzymał się stołu, jakby szukając oparcia. Miało się wrażenie, że bez takiej podpory nie jest w stanie pokonać dzielącej ich odległości. Na twarzy miał słaby, choć dziwnie piękny uśmiech.

- Powinni lada chwila wrócić, a jestem pewien, że Rosa chętnie by to z panią sama omówiła. Bardzo proszę poczekać jeszcze chwilę! - I wskazał rząd krzeseł stojących przed kominkiem.

Marta czuła, że nie może odmówić. Pokój był ciepły i ciekawy. Na pokrytej dywanem podłodze stały niektóre z pięknych mebli, jakie Marta widziała na wozie podczas przeprowadzki. Powietrze przenikał jednak ostry, duszący zapach lekarstw i olejków do nacierania. Najwyraźniej młodzieniec był już do tego przyzwyczajony, bowiem nie wystąpił z żadnymi wyjaśnieniami ani przeprosinami. Wkrótce jednak, gdy już w trójkę usadowili się przy ogniu i Marta się rozgrzała, bijąca w nozdrza woń stawała się niepostrzeżenie coraz mniej wyczuwalna, aż w końcu ledwo można było rozróżnić ten początkowo drażniący, silny odór.

- Bridget i jej rodzice nigdy nie opuszczają niedzielnej mszy.

Marta przyjęła uwagę młodego człowieka z uśmiechem.

- Och - odparła - kiedyś ja też nigdy nie opuszczałam niedzielnej mszy.

Gdy młodzieniec spojrział na nią poważnie, jej uwagę zwróciła jego delikatna, wiotka jak pergamin skóra. Jedynie kontrastujące z nią ostro duże, ciemne i smutne oczy oraz gęste, czarne włosy, osłaniające niesfornymi falami jego czoło, wydawały się w nim żywe. Przyplýw niewytłumaczalnego smutku wypełnił jej oczy łzami, gdy uświadomiła sobie, że już niewiele czasu zostało mu na tym okrutnym świecie.

Polly zerwała się nagle.

- Wyjdę na spotkanie Bridget - oznajmiła i wybiegła z pokoju, a po chwili z domu.

- Pani córka to czarująca istota - powiedział do Marty młodzieniec. - I jest taką piękną młodą damą - te śliczne błękitne oczy i piękne jasne włosy...

Marta zamilkła na chwilę, a gdy opuścił wzrok na płomień w kominku, siedząc w zamyśleniu i od czasu do czasu wzdychając do siebie, przyszło jej do głowy, że może Polly przypomina mu kogoś, kogo znał - może dawną przyjaciółkę. Wydawało się to prawdopodobne, bowiem najwyraźniej zagłębił się we wspomnieniach. Po chwili wstał, gdyż zazgrzytał zamek we frontowych drzwiach.

- Zdaje się, że wrócili - powiedział, uśmiechając się lekko. - Przyjdzie pani jeszcze kiedyś ze mną porozmawiać, prawda, Marto?

- Tak - przytaknęła ze ściśniętym sercem. - Na pewno.

W drzwiach salonu ukazała się wysoka postać przystojnego i nienagannie ubranego Petera Revine'a. Jednym spojrzeniem swoich niepokojących, demonicznych oczu ogarnął pokój. Marta zdała sobie po chwili sprawę, że się w niego niegrzecznie wpatruje, więc szybko odwróciła wzrok, ale przez ten krótki moment jej oszołomione spojrzenie stanowiło jawny dowód skrywanego podziwu. Peter Revine przemierzył pokój w jej kierunku i stanął obok krzesła, na którym siedziała. Zuchwale powiódł ciemnymi oczami po jej zakłopotanej twarzy.

- Ach - szepnął uwodzicielsko - mamy gościa.

- To jest Marta - wyjaśnił Chris. - Matka Polly. Czeka na Rosę.

- Och, za chwilę tu będzie - zapewnił Peter Revine. - Jest tak zimno, że od razu wróciłem do domu. One zostały jeszcze, żeby porozmawiać o czymś z księdzem.

- Może lepiej pójdę i wrócę trochę później? - Marta czuła się dość nieswojo. Nie była przecież dzieckiem, ale pod przenikliwym spojrzeniem Petera Revine'a czuła się zakłopotana. Przykuwająca uroda tego mężczyzny kryła w sobie jakieś tajemnicze zagrożenie.

- Ależ nie ma potrzeby - zachęcał Chris. - Na pewno zaraz tu będą. Może pani spokojnie poczekać jeszcze chwilkę!

- To nie potrwa dłużej niż pięć minut - Peter Revine rozpiął swój obszerny, czarny płaszcz i zręcznie oswobodził z niego szerokie barki, po czym podszedł do drzwi, gdzie powiesił go ostrożnie, wygładzając starannie wszystkie fałdy.

- No dobrze - powiedział odwracając się do Chrisa - czy poczęstowałaś już czymś naszego gościa?

- Filiżanką herbaty - potwierdził Chris - ale podejrzewam, że nie odmówi kolejnej. - Nachyliwszy się w kierunku Marty, powiedział: - Proszę mi wybaczyć, Marto, trochę się teraz poczułem zmęczony. - Odwracając się do

szwagra, dodał: - Czy mógłbyś powiedzieć Rosie, kiedy wróci, że poszedłem się zdrzemnąć?

- Oczywiście, odpocznij sobie - odpowiedź zabrzmiała niemal jak polecenie.

Chris opuścił pokój, a Peter Revine zniknął w kuchni, skąd wyłonił się ponownie po dwóch minutach, właśnie gdy Marta podjęła decyzję, że jednak nie będzie już dłużej czekać. Nagłe pojawienie się tego człowieka, którego dominująca osobowość wydawała się przyćmiewać całe jego otoczenie, podziało na nią dziwnie deprymująco.

- Czy podoba się pani sposób, w jaki urządziłem ten pokój? - Marta wzdrygnęła się na przytłumiony, pieszczotliwy dźwięk jego głosu, który rozległ się tuż za nią.

- Tak - odpowiedziała, rozglądając się po ścianach pomalowanych na łagodny odcień zieleni. - Tu jest bardzo ładnie. Nie przyszło jej do głowy, że ta chłodna kompozycja kolorystyczna była jego dziełem. Słowo

„ładnie” wydawało się niezbyt odpowiednim określeniem. Pokój wyglądał bardzo interesująco i atrakcyjnie, ale nie potrafiła się zdobyć na to, żeby mu o tym powiedzieć. Przytulny klimat pokoju zdawał się blednąć w zestawieniu z przemożnym wdziękiem jego osobowości.

Meble były ciemne i przesadnie zdobione bogatymi, ciężkimi ornamentami. Marta uznała, że mogą należeć tylko do niego. Powierzchnię imponującego kredensu, sięgającego aż do sufitu, pokrywały głębokie, zakręcone ślimacznice o kształcie suchych liści. Na ogromnej kanapie i dwóch fotelach porozrzucone były wielkie, miękkie poduchy, w których przytulnych objęciach mogli wprost zatonać niczego nie podejrzewający goście.

W czarnych oczach Petera Revine'a ukazał się błysk satysfakcji, gdy dostrzegł wyraźny podziw Marty.

- Świetnie! - powiedział żywo. Biorąc ją za rękę, pomógł jej wstać z krzesła.
- Widzę, że ma pani gust - zamruczał.

Czując się nagle zagrożona jego bliskością, Marta wyrwała się mówiąc:

- Muszę już iść!

Wyszła tak szybko i zdecydowanie, że nie zdążył jej nawet przekonać, by jeszcze trochę poczekała. Gdy znalazła się już na zewnątrz, z ulgą wciągnęła w płuca powietrze. Boże! Ten facet to niezłe ziółko! Nagle ogarnął ją lęk i wątpliwości, czy w ogóle dobrze robi pozwalając Polly odwiedzać ten dom.

Gdy Marta wchodziła na schody prowadzące do drzwi frontowych, Edith Atkinson właśnie szorowała schodki przed własnymi drzwiami.

- Cóż za niewdzięczna, przykra praca - krzyknęła wielka kobieta głosem, który obudziłby umarłego.

Spojrzała w bok, podnosząc się na nogi, żeby łatwiej było jej kontynuować rozmowę. Marta jednak, nie mając ochoty wdawać się w rozmowę o niczym, szybko ją ucięła. Za parę minut miał się w domu pojawić Barty Bendall, a ona jeszcze nie ochłonęła po swoich ostatnich dziwnych doświadczeniach.

- Tak, to niewdzięczna praca, pani Atkinson - przyznała, gotowa już zamknąć za sobą drzwi. - Przepraszam, ale muszę przygotować obiad.

Posiłek jak zwykle odbył się w milczeniu. Marta w pewnym sensie odetchnęła, widząc że dziwne, ponure zachowanie Barty'ego Bendalla z dzisiejszego ranka ustąpiło miejsca jego zwykłemu gderliwemu usposobieniu. Do takich jego nastrojów była bardziej przyzwyczajona i lepiej potrafiła sobie z nimi radzić.

Tym razem powodem jego wściekłości była nieobecność Polly przy posiłku. Marta sama była zaniepokojona, że jej tak długo nie ma, ale świadomość, że Polly przebywała w towarzystwie Bridget, która była bardzo rozsądną dziewczynką, znacznie ją uspokajała.

Było już dobrze po drugiej, kiedy Florencja i Bartuś ochoczo ruszyli na wycigi w kierunku drzwi, żeby wpuścić Polly.

- Zastanawialiśmy się, gdzie jesteś - powiedziała Florencja i pobiegła z powrotem do stołu, gdzie grała w coś z Bartusiem talią kart domowej roboty.

Choć Marta ucieszyła się z przybycia Polly, nie mogła opanować dziwnego uczucia irytacji. Znalazła portmonetkę dokładnie tam, gdzie poradziła szukać jej Polly, której spóźnienie na wspólny rodzinny posiłek wywołało grad przekleństw ze strony rozsierzonego Barty'ego Bendalla.

- Gdzie byłaś tak długo, Polly? - spytała. Tyle przynajmniej chciała wiedzieć - szczególnie po bliższym spotkaniu z Revine'em.

Polly spojrzała na zagniewaną twarz Marty. Jasne włosy dziewczynki były rozwichrzane przez wiatr, a szczupła, blada twarz wyglądała na tak zmarzniętą, że Marcie od razu zmiękło serce.

- Przepraszam, mamó - powiedziała Polly z wyrazem prawdziwej skruchy. - Poszłam na spacer koło strumyka.

- Sama, kochanie? - widok smętej postaci Polly sprawił, że Marta zaczęła żałować swego szorstkiego tonu. Jeśli Polly sama spacerowała przy strumyku, zazwyczaj oznaczało to, że albo dręczył ją kolejny napad bólu, albo miała jakieś zmartwienia, z którymi nie potrafiła sobie poradzić. Z biegiem lat Marta nauczyła się dobrze rozpoznawać takie sytuacje. Utwierdziło ją to jeszcze w postanowieniu, aby następnego dnia koniecznie zaprowadzić Polly do lekarza.

- Postawiłam twój niedzielny obiad w ciepło, kochanie - Marta skierowała się do kuchni, żeby przynieść córce jedzenie.

Barty Bendall siedział rozwalony na pokrytym końskim włosiem krześle, a z jego otwartych ust wydobywało się chrapanie, odbijające się echem w pokoju. W jakiś zagadkowy sposób nadal był jednak świadom, co się wokół niego dzieje, choć wszystko wydawało się przebiegać niezwykle cicho. Nagle gwałtownie zamknął otwarte usta i usiadł sztywno na krześle, wbijając spojrzenie małych oczu w oddalającą się sylwetkę żony.

- Wracaj tutaj i to już! - wrzasnął. - Nie było jej tu podczas tego cholernego obiadu, więc równie dobrze może się obejść bez niego!

Marta odwróciła się, zaskoczona tym niespodziewanym wystąpieniem:

- Barty!

- Żaden „Barty”! Wlazłaby ci zupełnie na głowę! Wielka księżna! - jego głos przybrał niebezpiecznie wysokie tony. - Powiedziałem, do diabła, że może się bez tego obejść! - Wstał nagle z krzesła i pędem przebiegł obok Marty, gwałtownie zderzając się z nią ramieniem na skutek czego straciła równowagę i zatoczyła się na kredens. W tej chwili czuła, że go nienawidzi. I pomyśleć tylko, że kiedyś trochę nawet kochała tę bestię.

Nie zważając na jej okrzyk bólu, Barty wpadł do kuchni, złapał talerz z obiadem Polly i cisnął nim na położone niżej podwórko - rozbił się tam o kamienne płyty i rozprysnął we wszystkich kierunkach.

- Teraz rozumiesz? - zapytał triumfalnie, odwrócił się na pięcie i wrócił do salonu, gdzie na widok pełnego wyrzutu i gorczy wzroku Marty jakby spuścił nieco z tonu.

Florencja i Bartuś szybko wynieśli się ze swoją grą na górę. Polly jednak została przy matce, oglądając puchnące szybko miejsce na jej ramieniu, którym uderzyła o kredens. Gdy Marta zobaczyła chmurne spojrzenie Polly, czuła już, na co się zanoszą. Od razu lekko, lecz stanowczo odsunęła ją od siebie i wyszeptała:

- Nic się nie stało, kochanie. Idź, zobacz, co robią Bartuś z Florencją.

Polly nie ruszyła się z miejsca, ale prostując się utkwiała w Bar tym Bendallu pełne pogardy, wyzywające spojrzenie swych szeroko rozwartych błękitnych oczu.

- Skrzywdziłeś moją mamę - powiedziała po prostu dziwnie spokojnym głosem i grymas nienawiści zniekształcił subtelne rysy jej delikatnej twarzy. Marcie ścisnęło się boleśnie serce, gdy pokój wypełniła ciężka atmosfera wrogości przywodząc na myśl ciemne burzowe chmury.

Barty Bendall pociemniał na twarzy i zaczął powoli zbliżać się do Polly.

- Coś ty powiedziała? - wydusił z siebie drżącym z wściekłości głosem, mierząc ją błędnym, przesywającym spojrzeniem.

Marta zasłoniła szybko córkę i stanowczo pociągnęła ją w kierunku drzwi, mówiąc z irytacją:

- Polly! Rób, co ci mówię! Idź, zobacz, gdzie są maluchy. - Wypchnęła dziewczynkę na korytarz i szybko zamknęła za nią drzwi, po czym odwróciła się, by stawić czoło Barty'emu Bendallowi.

Polly sama nie wiedziała, jak długo stała w korytarzu z zamglonymi od łez oczyma i zaciśniętymi zębami. Słyszając pełen furii głos Barty'ego Bendalla uświadomiła sobie, ile znosi jej łagodna matka. Piąstki Polly zacisnęły się mocno.

- Zabiłabym go za to, co robi mamie! - szepnęła porywczo.

Tymczasem Marta wyrzuciła z siebie wszystko, co jej leżało na sercu, potępiając męża za to, że zawsze ma coś przeciwko Polly, po czym zamilkła na jego nie pozbawioną słuszności replikę:

- Do cholery, to nie tylko moja wina! Przecież to ona mnie nie cierpi! - Patrząc, jak usadowił się z powrotem w fotelu i ponownie zapadł w drzemkę, obserwowała jego twarz, zastanawiając się, jak to się stało, że ich stosunki aż tak się popsuły.

Udając, że śpi, Barty Bendall z gniewem myślał o Marcie i o córce Rathetera, Polly, która nigdy go nie zaakceptowała! Ale najbardziej zły był na samego siebie. Czuł się jak człowiek, który spalił za sobą wszystkie mosty. Choć jednak tak trudne stało się powiedzenie Marcie, jak bardzo jej potrzebuje, żaden mężczyzna nie byłby w stanie pokochać kobiety tak, jak on ją kochał. Gdyby miał ją oddać Ratheterowi, wolałby raczej zabić ich oboje.

Rozdział jedenasty

Barty Bendall chwycił swój płaszcz koloru khaki, wiszący na drzwiach saloniku. Założył go na siebie paroma szybkimi, wojskowymi zdyscyplinowanymi ruchami i sięgnął po przygotowane na stole menażkę i manierkę.

- Wychodzę! - oznajmił. - Przypilnuj, żebym miał na czas jedzenie, kiedy wrócę.

Marta czekała, aż trzask frontowych drzwi obwieści jego wyjście.

- Biedny Barty - mruknęła - żadnego serdecznego słowa ani życzliwej myśli, które by mu mogły umilić dzień. - Czasem tylko budził w niej współczucie, miłości nigdy. Na to było już o wiele za późno.

Zebrała z ramion obfite fale ciemnych włosów i upięła je w kok. Ale zaczęły od razu opadać z powrotem, bowiem metalowe spinki, którymi starała się je poskromić, były na to za słabe.

W końcu jednak udało jej się jako tako ułożyć długie, gęste pukle w sposób, który uznała za zadowalający.

- Nie mogę przecież pójść do lekarza z włosami rozpuszczonymi jak u uczennicy - powiedziała do siebie półgłosem, przeglądając się w pękniętym lusterku wiszącym nad zlewem, w którym właśnie się umyła.

Pomimo niespokojnych myśli, które wiele razy w ciągu tej długiej nocy zakłócały jej sen, ciemne oczy rozjaśniały jej twarz pięknym blaskiem. Wysokie kości policzkowe podkreślały jej piękne rysy, a pełne usta świadczyły o jej namiętej naturze. Marta Bendall była kobietą z charakterem. Odznaczała się niecodziennym oddaniem i poświęceniem i głęboko wierzyła w sens wypełniania trudnych powinności żony i matki.

Wsypawszy do dzbanka resztę jajek w proszku, dołała do nich wody i rozmieszała aż do uzyskania gęstej, jednolitej pasty. Woda, dolana do garnka i zagotowana na kuchence, była już gotowa do zaparzenia herbaty. Owinąwszy się szczelnie zielonym fartuchem roboczym, Marta wykrztusiła szcękając z zimna zębami:

- Można tu zamarznąć na kość!

Próbowała się rozgrzać krzątając się przy nakrywaniu stołu - wystawiła dla dzieci talerze i, jak zwykle, chleb i margarynę. Rzuciwszy okiem na zegar na kominku zauważyła, że niedługo będzie musiała wyjść na tramwaj:

- Lepiej pójdę obudzić Polly - powiedziała do siebie cicho, żałując że dzieci będą musiały dzisiaj wstać tak wcześnie.

- Och, mammo! - Polly zamrugła zaspanymi oczyma, gdy Marta ostrożnie pochyliła się, żeby ją obudzić. - Jestem zmęczona! - zaprotestowała.

- Wiem, kochanie - Marta szeptała, żeby nie obudzić Florencji, która mogła jeszcze trochę pospać - ale muszę już iść, inaczej spóźnię się na tramwaj! - Potrząsnęła Polly stanowczo i z pewnym już zniecierpliwieniem. - No dalej! Muszę już wyjść! - Przekonawszy się, że Polly wyszła z łóżka i zaczyna się ubierać, Marta przeszła do pokoju Bartusia, po czym widząc, że ten śpi w najlepsze, na palcach zeszła na dół.

Gdy Polly w końcu przywlokła się na dół, Marta miała już dla niej kubek ciepłej herbaty.

- Proszę, kochanie - powiedziała z uśmiechem - po tym szybko się rozbudzisz. - Chwyając wiszący na drzwiach płaszcz, w pośpiechu zarzuciła go na siebie. - Wszystko przygotowałam w kuchni. Musisz tylko dopilnować, żeby podać maluchom śniadanie i wyprawić ich do szkoły. Ach... i dopilnuj, żeby się umyli! I sama też ładnie się umyj, kochanie! Nie chcę, żeby ten doktor pomyślał, że nie dbasz o czystość! - w skrytości ducha Marta obawiała się wizyty w gabinecie lekarskim.

- Och, mammo - powiedziała Polly, grzejąc dłonie przy ciepłym kubku - czy ja muszę chodzić do tych lekarzy? Nie lubię, jak ktoś mnie ogląda! - Ten nieśmiały protest spowodował, że Marta zatrzymała się jeszcze na chwilę i usiadła szybko obok niepokieszonej dziewczynki. Wiedziała, co czuje Polly, bo czyż sama tak się nie czuła? Wziąwszy w dłonie drobną, zziębniętą twarzyczkę Polly, zwróciła ją ku sobie, tak że jej wypełnione łękiem oczy miały w polu widzenia tylko twarz Marty.

- Słuchaj, Poluniu. Wiem, że tego nie lubisz, i ja też wcale za tym nie przepadam. Wiesz o tym, prawda? - Poczekala na drobny, potwierdzający ruch głową. - Ale chcę, żebyś poszła do tego doktora. Niewiele mi o tym mówiłaś, ale wiem, że ostatnio miewałaś bóle.

Cicha, prawie niesłyszalna odpowiedź Polly przyszła z pewnym ociąganiem:

- Tak, mammo.

- Wszystko będzie dobrze, kochanie... zobaczysz.

- Przytuliła Polly do siebie, próbując opanować łyzy cisnące jej się do oczu i palące w gardle. Wypuszczając dziewczynkę z objęć, z nagłym poczuciem winy dodała: - Trzeba zobaczyć, co powiedzą lekarze. Proszę cię, Polly - wyślij maluchy do szkoły i o nic się nie martw! Sama też coś zjedz na śniadanie!

Spotkamy się przy bramie przedzalni o dziewiątej. Nie sprawisz mi zawodu, prawda? - Sama myśl o tym przestraszyła ją.

Polly spojrzała na nią poważnie.

- Nie, mam, nie sprawię ci zawodu - powiedziała z przekonaniem, co uspokoiło trochę Martę. - No, idź już, bo spóźnisz się na tramwaj! - dodała z uśmiechem.

Jej uśmiech nie zmylił Marty, zdumiała się jednak, jak wiele wewnętrznej siły ma to dziecko, i poczuła w Polly bratnią duszę. Cofnąwszy się jeszcze na chwilę, żeby ją szybko uściskać, powiedziała półgłosem:

- Babcia Fletcher ma rację... - jej ciemne oczy zaszklily się łzami - rzeczywiście dobre z ciebie dziecko!

Minutę później tramwaj odjechałby bulwarem bez Marty. Podbiegła jednak ostatnie parę metrów i udało jej się w ostatniej chwili wskoczyć do ruszającego tramwaju.

- Myślałem, że nie jedziesz z nami dziś rano! - rzucił konduktor kręcąc korbką, żeby wydać jej bilet.

- Jeszcze nigdy nie widziałem, żebyś się spóźniła, Marto!

- No cóż - Marta nie chciała obarczać innych swoimi zmartwieniami - zawsze kiedyś może zdarzyć się ten pierwszy raz, prawda?

- No, trudno się z tym nie zgodzić!

Gdy przeciskała się poprzez gąszcz wypełniających przejście nóg obutych w buty i chodaki, zewsząd dobiegały ją pozdrowienia.

- Dzień dobry, Marto.

- Trudno było dzisiaj wstać, prawda?

- Staruszek przytrzymał cię za koszulę, co? - Tego rodzaju okrzyki i śmiechy towarzyszyły Marcie, gdy przeciskała się do przodu i wszystko przyjmowała z wdziękiem i humorem.

- Marto! Marto! Tu obok mnie jest miejsce! Tutaj! - Daisy Forester wychyliła się z fotela, żeby Marta mogła ją zauważyć.

- Czemu tak późno, Marto? Już się bałam, że nie zdążysz!

- Och, nic takiego się nie stało - odparła Marta, wciągając powietrze głęboko w płuca. Gardło paliło ją jeszcze, a serce rozpaczliwie łomotało w piersi. - Wiesz, jak to jest, Daisy. Muszę się zawsze upewnić, czy dzieci mają wszystko, co trzeba, a dziś rano Polly niezbyt była skora do wstania z łóżka.

- Świetnie cię rozumiem, Marto. Moja mama też ostatnio nie najlepiej się czuje i maluchy bardziej niż zwykle polegają na mnie.

Marcie zrobiło się bardzo żal Daisy, która sama była jeszcze dzieckiem, a dźwigała na swych barkach brzemień dorosłej kobiety. Ujęła dłoń Daisy w swoją.

- Nic się nie martw, kochana. Wiele osób marzy o tym, by byli otoczeni kochającymi ludźmi... - Zauważyła, że wąska twarzyczka Daisy pograżyła się w głębokim zamyśleniu, a małe blade oczy załśniły, jakby za chwilę miały z nich wytrysnąć łzy.

- Zobaczysz, Daisy, ani się obejrzysz, jak oni wszyscy dorosną i tym bardziej będą cię kochać za to, że tak się nimi teraz opiekujesz.

Ale jej próby pocieszenia biedaczki jakoś nie dawały rezultatu. Marta pochyliła się do przodu z niepokojem, podejrzewając, że z jakichś powodów jest gorzej, niż Daisy skłonna jest ujawnić.

- Twojej mamie nic nie jest, prawda? - Często nachodziła ją myśl, że matka Daisy składa na barki córki zbyt wielki ciężar. Zastanawiała się nawet, czy przypadkiem pani Forester nie wykorzystuje nadmiernie dobrego serca Daisy. Nieszczęśliwa kobieta miała już dosyć czasu na to, żeby przejąć obowiązki głowy rodziny i pozwolić biednej dziewczynie nacieszyć się swoją młodością. Ale teraz? Marta zaczęła podejrzewać, że matka Daisy po prostu nie wierzy w to, że potrafiłaby stawić czoło wszystkim przeciwnościom. A to nie wróżyło niczego dobrego.

- Och nie, Marto - Daisy uśmiechnęła się natychmiast - mama jest w świetnej formie! Jest jeszcze przygnębiona i czasami płacze, ale dzięki Bogu nie czuje się gorzej.

- To wspaniale. Tak się cieszę! - Marta oparła się na siedzeniu z ulgą. Przyszło jej do głowy, że matka Daisy po prostu powinna wziąć się bardziej w garść.

- Marto? - zdławiony szept Daisy świadczył o tym, że przeżywa jakiś wewnętrzny dramat. - Marto, chciałabym... wiem, że mogę z tobą porozmawiać...

Marta spojrzała na onieśmioną twarz Daisy.

- Wiesz, że jeśli masz jakieś kłopoty, doradzę ci najlepiej, jak potrafię. - Marta przysunęła się bliżej, zdając sobie sprawę, że Daisy nie chce, żeby ktokolwiek usłyszał, o czym rozmawiają. - To nie chodzi ani o twoją mamę, ani o rodzeństwo. - Marta zdała sobie nagle sprawę, że powodem rumieńców na twarzy Daisy jest to samo cudowne uczucie, którego sama doświadczała, ilekroć pomyślała o swoim ukochanym Curcie. - Jesteś zakochana! Zakochana! Prawda, kochanie?

Marta trafiła w dziesiątkę, bowiem na twarzy Daisy pojawił się na chwilę wyraz niedowierzania.

- Skąd wiesz? Nikomu o tym nie mówiłam! Uznaliśmy oboje, że będziemy to na razie trzymać w tajemnicy, ze względu na mamę i w ogóle. Ale skąd ty o tym wiesz, Marto?

- Masz to wypisane na twarzy, moja droga - powiedziała Marta. - Tylko miłość może nadać twarzy taki blask. - Z uśmiechem spojrzała w szeroko otwarte oczy Daisy, choć w jej własnych oczach gdzieś na dnie czaiły się łzy, z których obecnością już się niemal pogodziła. - Wiem, co to znaczy być zakochaną! - Głos jej zamarł, gdy z bladym uśmiechem pograżyła się w wirujących jej w głowie myślach.

- Marto - Daisy wyczuła zgrzyotę w głosie Marty. Barty Bendall był dobrze znany w całym Blackburn i wiele było domysłów na temat osobliwego związku tego brutala z taką łagodną, oddaną istotą jak ona. - Gdybym miała twoją urodę, to zawsze wyglądałabym jak zakochana. Nigdy jeszcze nie widziałam nikogo tak pięknego jak ty. Nawet w przędzalni, w całym tym brudzie i pyle, wyglądasz tak... tak promiennie.

Teraz z kolei Marta się zarumieniła.

- Och, daj spokój! - powiedziała stanowczo. - A jak twojemu chłopakowi na imię, powiedz? - Czuła się nieswojo i chciała jak najszybciej zmienić temat. - Skąd ta markotna mina, moja droga? Być zakochanym w twoim wieku - toż powinnaś śpiewać ze szczęścia! - Marta obserwowała, jak Daisy nerwowo wykręca palce. Domyślała się, w czym leży problem, ale jak to miała w zwyczaju, czekała, aż Daisy sama jej to powie.

- Chodzi o moją mamę! Wspomniałam jej o tym tylko raz, niecałe pół roku temu, kiedy po raz pierwszy go spotkałam - potrząsnęła głową, przywołując niemiłe wspomnienie. - Och, Marto! Gdybyś ją mogła zobaczyć! To było straszne! - poruszona, załamała rękę.

- Naprawdę go kochasz?

Łzy trysnęły jej z oczu i Daisy rozplakała się bezradnie.

- Och, Marto, Marto... kocham go z całego serca! I on też mnie kocha. - Otarła łzy wierzchem dłoni, pociągnęła nosem i rozejrzała się ukradkiem, czy przypadkiem ktoś nie patrzy. Ale wszyscy spali. - Wiem, że jestem jeszcze młoda, Marto. Ale dni lecą jeden za drugim! Widzę, jak dziewczęta w moim wieku odwiedzają się, chodzą na zabawy. Spotkałam Gingera na targu. Ma tam stragan z warzywami i owocami i nieźle mu się powodzi! Powiedziałam o tym mamie, bo sądziłam, że jak się o tym dowie, łatwiej jej będzie to wszystko przyjąć, ale ona zaczęła wrzeszczeć, jaka to ze mnie straszna niewdzięcznica!

Powiedziała, że chce się tylko wymigać od swoich obowiązków! Och, Marto! - westchnęła znużona. - Czasem wydaje mi się, że życie ucieka tak szybko! Kochamy się z Gingerem i chcemy się pobrać, ale tak się boję! Co by poczęła moja mama? I kto by się zajął maluchami?

Marta spojrzała na wymizerowaną twarz dziewczyny. No tak, wszystko było jasne. Nic dziwnego, że biedaczka jest na wpół żywa ze strachu. Ścisnąwszy uspokajającym gestem jej drżące ze zdenerwowania palce, szepnęła:

- Niedługo będziesz miała własnego dzidziusia, prawda, kochanie?

Daisy już się przyzwyczaiła do tej niesamowitej spostrzegawczości Marty. Zamilkła tylko na chwilę, po czym jej twarz rozjaśniła się uśmiechem:

- Ależ jesteś bystra! Wiedziałaś! Och, jesteśmy tacy podekscytowani i szczęśliwi, Marto! Ginger ma po swoich rodzicach mały domek, w którym możemy zamieszkać. Ale moja mama mówi, że skończy ze sobą, jeśli opuszczę dom!

- Masz rację, Daisy, życie rzeczywiście ucieka szybko! Nikt lepiej ode mnie nie wie, co masz na myśli, kochanie! Los bywa czasem bardzo okrutny. - Marta z własnego, gorzkiego doświadczenia wiedziała, jak niszcząca może być konieczność nieustannego wybierania pomiędzy źle pojętą lojalnością a tym, za czym naprawdę tęskni własne serce. Nie mogła znieść myśli, że młoda Daisy z powodu okrutnej groźby matki miałaby też borykać się z takim dylematem. Musiała jej jakoś pomóc.

- Daisy, kochanie, czasem się zdarza, że w ciągu jednego krótkiego dnia przecierpimy więcej niż w ciągu całego życia! - powiedziała. - Ale szczęście i prawdziwa miłość są czymś rzadkim i drogocennym, co nieczęsto nam się przytrafia - może tylko ten jeden raz w życiu. Twoja mama tego doświadczyła. Spotkała ją miłość twojego ojca i szczęście urodzenia jego dzieci. Zawsze będzie miała swoje wspomnienia. - Wypowiadając te słowa, Marta uświadomiła sobie, jak wiele ma wspólnego z mamą Daisy. Ale niech Bóg broni, żeby miała kiedykolwiek pozbawić któreś ze swoich dzieci prawa do miłości czy szczęścia, jakie taka miłość przynosi. - Twoja biedna mama pozwala, żeby drogocenne wspomnienia przynosiły jej smutek i cierpienie. A przez ten smutek zachowuje się jak bezradna inwalidka i oczekuje, że ty wszystko jej wynagrodzisz. Ale to niczego dobrego nie przyniesie ani jej, ani tobie. Ona musi znaleźć siłę i pociechę w fakcie, że kiedyś przynajmniej miała kogoś, kto ją kochał i kogo ona kochała. Wierz mi, że kiedy zdobędzie się na to, żeby tak na to spojrzeć, stanie się inną kobietą. - Marta w głębi serca czuła, że dobrze radzi biednej dziewczynie. - Daisy, wyjdź za swojego chłopaka! Wyjdź za niego i dziękuj Bogu, że ci go zesłał. Może twoja mama przez jakiś

czas będzie miała do ciebie pretensję, ale sędzę, że tego właśnie jej potrzeba, żeby wzięła się w garść i zajęła się dziećmi, które twój tata zostawił pod jej opieką. - Ucałowała mokrą od łez twarz Daisy i poklepała ją energicznie po ramieniu. - No, moja droga! Bądź dzielna i nie zmarnuj sposobności, żeby zaznać szczęścia!

Daisy znów zaczęła pociągać nosem i płakać... tym razem jednak były to łzy radości.

- Zrobię tak! Och, Marto, wiem, że masz rację. Zrobię tak! Jeszcze dziś pójdę do mojego Gingera i razem powiemy o tym mojej mamie.

Gdy zmęczeni pasażerowie wysypali się z tramwaju na rześkie ranne powietrze, podekscytowana Daisy snuła już w ożywieniu plany na przyszłość, a Marta była przekonana, że wszystko dobrze się ułoży. Gdy fala robotników okrążyła Wzgórze Cicely, w rannym powietrzu dał się wyczuć znajomy zapach wydobywającego się z komina przedzalni gęstego, gryzącego dymu, który szczypał w nos i drapał w gardle niczym suche trociny. Jak zwykle wokół rozległ się kaszel i odchrząkiwania, a pośród całej tej wrzawy słychać było czyjeś wołanie.

- Hej, Marto! Stań na chwilę, bo nie mogę cię dogonić! - Przeciskając się energicznie w gęstym tłumie,

Duża Berta w końcu dołączyła do Daisy i Marty, zgięta wpół i bez tchu. Chwyciła Martę za ramię i oparła się o nią, sapiąc i spazmatycznie wciągając powietrze. - O Boże! Już dawno tak nie biegłam! I chyba... nieprędko... znowu... tak pobiegnę!

Cała trójka uświadomiła sobie komizm sytuacji. Wystarczyło zobaczyć Dużą Bertę - zziąjaną i z ciekącym nosem! Wybuchnęły chóralnym śmiechem, a po chwili ruszyły dalej w kierunku bramy.

Gorączkowy pośpiech, żeby odbić kartę, zanim zegar pokaże szóstą, jak zwykle spowodował wielki napór na bramę. Pośród krzyków i śmiechów, poszturchując się i przepychając, wszyscy starali się jak najszybciej przedostać do środka.

- Hej, Elsie! - Jak zwykle rano ktoś podał do przodu plik żółtych kart. - Odbij je, skoro już tam jesteś, kochana!

To zuchwałe polecenie, które oznaczało, że wszyscy będą musieli cierpliwie odczekać, aż Elsie jak gdyby nigdy nic odbije z pół tuzina kart, wywołało lawinę protestów.

- Bezczelny drań!

- Kto to w ogóle robi, co?

- Czyje są te cholerne karty? Niech no ktoś sprawdzi!

Elsie nie przejmowała się niczym, tylko trzymając mocno karty, w rekordowym tempie wsuwała je do zegara. Robotnicy już dawno z rezygnacją pogodzili się z tym irytującym procederem, jedyny ratunek upatrując w dotarciu do zegara przed okropną Elsie. Niestety, dzięki temu niemiłosierny tłok przy bramie jeszcze bardziej się nasilał.

Na szczęście Marta i Daisy szły dzisiaj w towarzystwie Dużej Berty, która na podobieństwo taranu parła do przodu, osłaniając przyjaciółki swymi długimi, silnymi ramionami.

- Hej, Berto! Przestań się popisywać!

- Ależ z ciebie parowóz! Gdybyś miała łaskotki, szybko byśmy cię stąd wykurzyli!

- Hej! To nie w porządku! Jesteś gruba, ale nie musisz być pierwsza! - zewsząd rozlegały się dobroduszne okrzyki. Duża Berta nie zwracała na nikogo uwagi. Ignorując łaskawie co niższych śmiałków, którym od czasu do czasu udawało się przemknąć pod jej ramionami, tylko z rzadka, gdy ktoś stawał się zbyt natarczywy, rzucała głośny okrzyk:

- Odwal się! - I to skutkowało...

Marta cały czas myślała o Polly. Będzie musiała znaleźć Toma Atkinsona. Powinna wyjść za pięć dziewiąta, żeby Polly nie musiała za długo czekać na dworze. Zwierzyła się Bercie ze swojego zamiaru.

- Ależ oczywiście, że mogę zająć się twoją maszyną, Martuniu. - Duża Berta zaczekała, aż Marta powiesi na wieszaku płaszcz, po czym objęła ją przyjaźnie. - Zajmij się swoją córeczką! I o nic się nie martw! - oświadczyła dziarsko.

- Dziewczyny! - powietrze przeszył przeraźliwy okrzyk. - Słyszałyście ostatnie wieści? Marto! Marto, kochanie, uśmiejesz się jak nigdy - przecież uganiał się za tobą od momentu, kiedy wpadłaś mu w oko! Słuchacie, dziewczyny!

Wrzaskliwe, choć zagadkowe rewelacje zaintrygowały wszystkich i zewsząd posypały się naglące okrzyki:

- Co się dzieje?

- Do diaska, przecież Marta podoba się wszystkim facetom, zakuta pało! Kogo masz na myśli?

- I o czym w ogóle mówisz, Maggie Clegg? No, gadaj!

Maggie Clegg, szczupła dziewczyna z ciemnymi, sięgającymi pasa włosami, stanęła na odwróconym do góry dnem wiadrze i chwiejąc się niebezpiecznie ponad zbiorowiskiem głów okrytych różnobarwnymi turbanami, obwieściła najnowsze nowiny ku wielkiej uciesze wszystkich zgromadzonych.

- Jutro o szóstej rano powitamy w żeńskiej brygadzie nową koleżankę! Bo wiecie, według niejkiej pani Arkwright, która kupuje parówki u tego samego rzeźnika co ja, żona pana Harry'ego Fensome'a przyłapała swojego jurnego mężusia z jakąś wydrą z tkalni! - Puściła oko i dokończyła figlarnym szeptem: - Panienką pocieszał się rzecz jasna po nieudanych umizgach do naszej wystrzałowej piękności, Marty! W każdym razie pani Fensome postanowiła pracować tutaj, żeby mieć go na oku! Biedaczysko! Hulanki i swawole nagle mu się urwą, co? - ryknęła śmiechem.

Wiadomość ta powitana została gromkim śmiechem i okrzykami.

- Marto! Co ty na to? To chyba najlepsze wieści, jakie ostatnio słyszałaś, co? - krzyknął ktoś i dodał: - Hej, Martuniu! Zaśpiewaj nam coś! Wreszcie będzie spokój z tym napaleńcem! Nawet się już, do cholery, nie można schylić, żeby podnieść pantofle, bo ten już cię wzrokiem po tyłku maca!

Nękające Martę problemy zniknęły na chwilę w nawałnicy dobiegających zewsząd nawoływań i próśb, a także pod wpływem jej własnej namiętności do śpiewu.

- Piosenkę - domagali się wszyscy - taką, która by pasowała na dzisiaj!

Marta poczuła nagle, że unosi się nad ziemię. Otaczające ją dziewczyny niosły ją na rękach w stronę odwróconego wiadra, na którym starała się przed chwilą zachować równowagę Maggie Clegg. Fala entuzjazmu od razu wzrosła. Pośród rytmicznego tupotu obecnych i klaskania w dłonie Marta zaczęła śpiewać:

Z kim żeś wczoraj w nocy psocił, Harry Fensome,

Gdy się w niebie księżyc złocił.

To nie była twoja mama ani siostra twa,

Och! Och! Och! - Ha, ha, ha.

Pod koniec pierwszej zwrotki już wszyscy włączyli się do śpiewu. Głośne klaskanie i okrzyki utonęły niemal pośród grzmiących na całą salę głosów:

Z kim żeś wczoraj w nocy psocił, Harry Fensome, Gdy się w niebie księżyc złocił. Czy się przyznasz swojej żonie, Kiedy dzisiaj przyjdiesz do niej, Z kim żeś wczoraj w nocy psocił.

Nagle Duża Berta złapała Martę wpół i szybko zdjęła ją z wiadra, żeby nie rzucała się tak w oczy pośród wpatzonego w nią tłumu. Śpiewający przy drzwiach ludzie szybko zamilkli, a po nich inni, i cisza ogarnęła wszystkich zgromadzonych.

- Co się tu, do diabła, dzieje? - rozległ się gniewny głos.

- To nadzorca!

Pośród szeptów i stłumionych chichotów wszyscy rozpierzchli się do swoich zajęć.

- Wy tam! - oczy Toma Atkinsona krążyły rozpaczliwie we wszystkich kierunkach, gdy próbował skupić wzrok na Marcie i Dużej Bercie. - Myślałem, że macie nieco więcej oleju w głowie, do cholery! Niech mnie licho, jeśli nie obetnę wam obu dziesięciu minut z dzisiejszej dniówki!

- Hola, kochany! Nie tak szybko! - Duża Berta wyprostowała się i podeszła do niego, co na biednym Tomie wywarło najwidoczniej piorunujące wrażenie, bowiem nagle zaciął się i umilkł i tylko jego oczy nie zaprzestały swoich szaleńczych płaśów.

- Marta - zaczęła Duża Berta - była ze mną! Wieszaliśmy tylko płaszcze na wieszaku, kiedy porwał nas ten tłum i wcisnął w kąt jak korki na wodzie! Chyba sam widziałeś, że w takim ścisku człowiek nic nie może zrobić, nie? Na szczęście zjawileś się w samą porę. Uratowałeś nas przed niechybnym stratowaniem! - Na myśl o takiej ewentualności jej oczy rozwarły się szeroko z przerażenia, na który to widok Marta musiała się wycofać i wtulić w zielony roboczy płaszcz Dużej Berty, gdzie podobnie jak obserwujące tę scenę dziewczęta zaczęła dusić się ze śmiechu. Ależ z tej Dużej Berty aktorka!

- Hm... no cóż! - zakłopotany Tom przestąpił niepewnie z nogi na nogę. Jedno podejrzliwe oko udało mu się skupić na twarzy Dużej Berty, ale nad drugim zupełnie stracił panowanie. Cofnął się o parę kroków. - No, może ten jeden raz przymkniemy na to oko!

Gdy zaczął się oddalać, Duża Berta chwyciła stojącą za nią Martę.

- No już, kochana - krzyknęła tak, żeby Tom jeszcze to usłyszał - wszystko w porządku. Jakie to było okropne, tak być przygniecionym do ściany, co? - W końcu obie poszły w swoją stronę, krztusząc się ze śmiechu aż do łez.

Marta wolała nie nagabywać od razu Toma Atkinsona w sprawie dzisiejszego wyjścia z pracy, choć gdy mijala go zmierzając do swojej maszyny, zorientowała się, że najwyraźniej uznał on łzy rozbawienia w jej oczach za łzy bólu spowodowane „przygnieceniem do ściany”, zapytał bowiem współczującym głosem:

- Nic ci się nie stało, Marto?

Korzystając z okazji, wykrztusiła z siebie drżącym głosem:

- Chyba nie, Tom.

Przez chwilę pokastywała żałośnie, ze zboląłą miną i usłyszała:

- Może dobrze by było, gdybyś dziś trochę wcześniej wyszła, co? - Dziękując mu cichym głosem, kątem oka zobaczyła, jak Duża Berta, chowając

się za jedną z maszyn, triumfalnie macha zaciśniętą w pięść dłońią. Marta ledwo się powstrzymała, by nie wybuchnąć znowu śmiechem.

Rozdział dwunasty

Polly stała w zimnie, dzielnie opierając się silnym podmuchom lodowatego wiatru, które bezlitośnie nią targały. Długie, jasne kosmyki włosów podnosiły się i tańczyły wokół jej czerwonych, zziębniętych uszu. Mrużąc załzawione oczy, Polly wyjęła zeszywniałe ręce z zapewniających nieco więcej ciepła kieszeni, żeby dokładniej opatulić się w poły znoszonego gabardynowego płaszczyka. Po chwili cofnęła się nieco pod pobliski załom muru, by schronić się przed smagającymi jej twarz porywami wiatru, nadal jednak bacznie obserwowała to, co działo się w odległości około trzystu metrów od niej na ulicy High, przy moście nad kanałem.

Właśnie zatrzymał się tam tramwaj i rozbiegane, krzyczące dzieci rzuciły się do przodu, przepychając się i poszturchując tak, że żadne z nich nie było w stanie wsiąść do wagonu.

- Przestańcie się przepychać, nicponie jedne! - dobiegł gniewny głos konduktora, który raz po raz zanurzał ramiona w falującą cizbę podniecone dzieciarni, wyławiał jakieś dziecko i bezceremonialnie ściągał je ze stopni tramwaju na bruk. Kiedy w końcu dotarła do nich groźba, że nie wsiądą do tramwaju, jeśli się nie opamiętają, dzieci uspokoiły się nieco. - No, teraz lepiej! - Na twarzy konduktora pojawił się wyraz zadowolenia; obserwując wchodzące już w jakim takim porządku do wagonu dzieci, ku uciesze co żywszych malców rzucał co chwila wesołe uwagi: - No właśnie. Czemu nie mogliście tak od razu? Bóg raczy wiedzieć! Czy tak się zachowujecie w domu?

Widząc, że ostami pasażerowie weszli już do tramwaju, Polly wykrzywiła usta z uczuciem ulgi i rozwarła zgrabiałą dłoń, w której ścisnęła nieduży, zapisany skrawek papieru. Nie musiała ponownie czytać krótkiego listu, którego treść dobrze знаła. Florencja miała go przekazać do biura dyrektora szkoły. Na kartce widniało jedynie parę zdań:

Szanowny panie Wiggins, proszę o usprawiedliwienie dzisiejszej nieobecności w szkole Polly Bendall. Ostatnio cierpiała z powodu dość silnych boli i uznałam, że powinna udać się do lekarza, jutro na pewno pojawi się znów w szkole. Marta Bendall.

Polly przypatrywała się, jak wiatr unosi karteluszek. Nie widziała żadnego powodu, dla którego stary Wiggins miałby się dowiedzieć, że ona cierpi na jakieś bóle. To nie jego sprawa! Tramwaj ruszył i Polly obserwowała go z bezpiecznej odległości. Następnie odwróciła się i ruszyła w przeciwną stronę - w kierunku przędzalni Cicely, na spotkanie z mamą. Wkrótce wdrapała się na szczyt Wzgórza Cicely i przystanąła, aby przyjrzeć się widniejącej przed nią w całej okazałości przędzalni.

Zafascynowana chłonęła widok brzydkiej, monumentalnej wiktoriańskiej budowli. Ogarnęła wzrokiem rozległy budynek, zatrzymując spojrzenie na jednym z wielu małych, wąskich okienek, które niemal całkowicie pokrywały bliższą ścianę. Wiedziała, że znajduje się ono najbliżej stanowiska pracy mamy. Rozpoznawała to okno po brakującym rogu szyby, wybitym przez szpulę, która wyprysnęła kiedyś z przędzarki, próbując jakby desperacko wyrwać się na wolność. Nieudana próba zakończyła się jedynie bezceremonialnym wrzuceniem szpuli do kosza na śmieci.

Polly schroniła się w sklepionej wnęce fabrycznego muru, cały czas wypatrując bacznie nadgorliwego stróża. Ten bystrooki potwór niejedną raz wyciągał ją z ukrycia, gdy wkradała się na teren przędzalni, żeby poczekać na mamę. Wydawało się jednak, że tutaj jest bezpieczna. Miała stąd widok na główną bramę, w której za parę minut pojawi się mama.

Tymczasem Marta wsuwała swoją kartę do zegara. Z szybko przeprowadzonego w głowie wyliczenia wynikało, że raczej nie stać jej na utratę tych paru szylingów, ale uznała, że wobec bóli, jakie ostatnio miewała Polly, nie ma to większego znaczenia.

Gdy otwierając szerokie drzwi wyszła z półmroku przędzalni na światło dzienne, sączące się z zasnutego chmurami nieba, ogarnęło ją dziwnie radosne podniecenie. Czuła się wolna! Po raz pierwszy, od kiedy zaczęła tu pracować, nie spędzi całego dnia przy przędzarce, która narzucając bezlitosne tempo nie pozwalała nawet na chwilę wytchnienia. Wystawiając twarz na gwałtowne podmuchy wiatru, Marta chciwie wciągnęła powietrze w płuca. Przyzwyczaiła się już do tego, że przychodzi do przędzalni, kiedy jest jeszcze ciemno, a wychodzi pod koniec dnia, kiedy już zapada zmrok. Światłem dnia mogła się nacieszyć tylko podczas weekendów.

- Mamo! Mamo, tu jestem!

Usłyszawszy głos Polly, Marta zapięła płaszcz, zawiązała szalik pod szyją i skierowała się ku bramie.

- Mój Boże, dziecko - powiedziała, przyciągając do siebie dziewczynkę za rozchełstane poły płaszczyka - masz zupełnie gołą szyję! Gdzie twój szalik? -

Wyciągnęła z kieszeni Polly brązowy, wełniany prostokąt, nakazując: - No, załóż go zaraz! Nie bardzo się ogrzejesz, trzymając go w kieszeni! - Patrzyła, jak Polly posłusznie owija szalik wokół szyi i pod jej baczny spojrzeniem skrupulatnie wtyka jego końce pod płaszcz.

Gdy ruszyły przed siebie, Marta przypomniała sobie o liście.

- Dałaś Florencji liścik do pana Wigginsa? - spytała. Polly odwróciła się do matki i idąc tyłem, skłamała:

- Nie mogłam - wiatr wyrwał mi go z ręki i już go nie mogłam dogonić!

- Więc chyba będę musiała napisać drugi. Co ty na to? - Wymieniły porozumiewawcze spojrzenia i nastąpiła chwila ciszy, po czym obie wybuchnęły śmiechem. - Polly, ty gałganie! - krzyknęła Marta, próbując złapać córkę w objęcia.

Ale Polly w podskokach puściła się biegiem w dół stromego Wzgórza Cicely. Była to jedna z tych ostrych stromizn, których pokonanie wymagało od idącego nienaturalnego pochylenia ciała. Schodzenie na dół było równie uciążliwe, trzeba było bowiem albo nie bacząc na swoje bezpieczeństwo ruszyć pędem przed siebie, albo zdecydować się na żmudne, powolne dreptanie w dół, noga za nogą, tak aby się nie rozpędzić. Marta wybrała to drugie, natomiast Polly popędziła jak wiatr. Podskakując, wrzeszcząc i piszcząc biegła na złamanie karku z rozwianymi na wszystkie strony włosami. Wyrzucając żywiołowo w powietrze szczupłe ramiona, pokrzykiwała co chwila wesoło. Marcie na ten widok też zrobiło się jakby lżej na sercu. Och, być znów taką młodą i beztroską, pomyślała. Przez chwilę chciała nawet dodać „i zdrową”... Któż jednak, pomyślała Marta ze smutkiem, patrząc teraz na jej ukochaną Polly, mógłby przypuścić, że cokolwiek jej dolega?

Polly oddalała się coraz szybciej i w pewnym momencie Marta zaczęła się niepokoić. U stóp wzgórza biegła ruchliwa trasa Eanam, którą często jeździły tramwaje.

- Polly! - krzyknęła z bijącym szybko sercem. - Uważaj, dokąd biegiesz! Chwyć się czegoś! - Po drodze była wystarczająca liczba latarni, żeby rozpędzona Polly zdołała się zatrzymać. Zanim jednak zdążyła pójść za radą mamy, wpadła wprost na przechodnia podążającego z przeciwka pod górę.

Nieszczęśnikowi w wyniku tego nieoczekiwanego zderzenia całkowicie zaparło dech w piersiach. Stali teraz oboje naprzeciw siebie - Polly zbyt zdyszana, żeby wykrztusić z siebie jakieś przeprosiny, a mężczyzna na chwiejących się nogach, z przekrzywioną czapką i szeroko otwartymi ustami, z których wydobywały się teraz świszczące dźwięki, przywodzące na myśl zepsuty gwizdek.

- Do diabła - wyjęczał, rozpaczliwie starając się złapać oddech. - Aleś mnie urządziła!

Zaskoczenie malujące się na jego twarzy szybko jednak przekształciło się w gniewny grymas i bez uprzedzenia rzucił się na Polly.

- Ty mały chuliganie! - wrzasnął.

Polly zręcznie wywinęła się z wyciągniętych ramion rozwścieczonego mężczyzny.

- Łobuzie jeden! - krzyczał z rosnącą irytacją. - Dowiem się, do jakiej chodzisz szkoły! Już ja dopilnuję, żeby cię nie minęła kara!

Ale Polly była już daleko.

- Przepraszam pana! - krzyknęła za siebie. - A ja nie chodzę już do szkoły! Więc nie może mi pan nic zrobić!

Przez ten czas Marta, zasapana od szybkiego, męczącego schodzenia w dół w szalejącym wietrze, zdążyła już dojść do miejsca tego niefortunnego zdarzenia. Zanim zdążyła coś powiedzieć, nieznajomy wskazał gniewnym gestem na znikającą już z pola widzenia Polly.

- Co za smarkula! - zwrócił się do Marty. - Widziała pani?

- Tak - potwierdziła Marta, patrząc w kierunku Polly, która w końcu zatrzymała się w bezpiecznej odległości. - Nie mają za grosz szacunku - oznajmiła jak gdyby nigdy nic, nie chcąc wdawać się w dłuższą dyskusję. - Za grosz szacunku, okropność. - Parę minut później strofowała już Polly, kładąc jej do uszu, co o tym wszystkim sądzi.

Jeśli było jakieś miejsce, obok którego Marta nie mogła przejść obojętnie, bez przytknięcia nosa do szyby, z pewnością był to lombard Billy'ego. Tę grootę Alladyna łatwo było rozpoznać nawet z dużej odległości po trzech wielkich mosiężnych kulach, które przymocowane były do solidnej ramy, znajdującej się nad wejściem. Obie z Polly oglądały teraz z wielkim zainteresowaniem liczne wyłożone na wystawie przedmioty: pierścionki, instrumenty muzyczne, buty, sztuczne szczęki i najprzeróżniejsze inne rzeczy. Każdy z zastawionych przedmiotów został tu kiedyś przyniesiony z ciężkim sercem przez strapionego właściciela. Ludzie przynosili do Billy'ego swój cenny dobytek, gdy przycisnęła ich bieda i jedynym ratunkiem było oddanie w zastaw za parę marnych pensów jakiejś ukochanej broszki albo niedzielnego - najczęściej zresztą jedynego - garnituru. Za cenniejszą rzecz, jak na przykład obrączka ślubna, można było nawet otrzymać oszałamiającą kwotę czterech szylingów. Problem pojawiał się dopiero wtedy, gdy trzeba było odzyskać swoje mienie, co wiązało się z koniecznością zwrócenia nie tylko pożyczonej kwoty, ale

również niebagatelny procent, stanowiący wynagrodzenie za usługi Billy'ego.

W obawie, że mogą się spóźnić do lekarza, Marta wzięła Polly za rękę.

- Pośpieszmy się, kochanie! - powiedziała. - Nie możemy się spóźnić do doktora Pitta.

Gdy były już prawie na miejscu, Marta poczuła, że Polly coraz bardziej markotnieje i zaczyna zwalniać, stawiając kroki z coraz większym oporem.

- Proszę cię, Polly - powiedziała, choć dobrze rozumiała obawy córki, bo czyż jej własnego serca nie przepełniał smutek i niepewność? - On musi cię zbadać. Inaczej niczego się nie dowiemy. - Puściła rękę Polly i objęła ją czule. - Naprawdę lepiej się z nim spotkać. Będę przy tobie cały czas.

- Obiecujesz, mamó? - Polly była bliska łez.

- No, oczywiście!

Skręciły za róg i weszły w Aleję Nab. Marta zawsze lubiła tę niewielką alejkę i często zastanawiała się, kto też mógł ją zaprojektować. Jednego była pewna - ten ktoś miał bardzo romantyczną naturę. Aleja Nab była niezwykle malownicza i tak charakterystyczna dla hrabstwa Lancashire - ze swoimi kocimi łbami, rzeźbionymi latarniami i łagodnym łukiem, który ukrywał przed ciekawym wzrokiem przechodnia dalszy jej odcinek. Była przy tym tak wąska, że gdy się stało pośrodku brukowanej drogi z wyciągniętymi na boki ramionami, można było dotknąć murów po obu jej stronach.

Marta i Polly zatrzymały się niebawem przed wielkim, przeładowanym ornamentami wiktoriańskim budynkiem, w którym mieścił się gabinet lekarski. Cały dom był własnością pewnej ekscentrycznej staruszki, znanej jako panna Gladys. Słynęła w okolicy z zadziwiającej orientacji w kwestiach religijnych oraz z ambicji sprowadzania na dobrą drogę różnych zbłąkanych dusz. Miała jednak dobre intencje i wszyscy traktowali ją z szacunkiem i uprzejmością należną kobiecie w jej wieku i z jej majątkiem. W przyływie hojności udostępniła na gabinety lekarskie trzy pokoje w tylnej części parteru swojego wielkiego domu. Nie brała za to żadnego czynszu, robiąc to - jak sama wszystkim mówiła - „w interesie biednych”.

Marta przepuściła Polly przodem przez małą tylną furtkę i dalej wzdłuż ściany budynku ścieżką prowadzącą do wejścia. Z każdym krokiem serce podchodziło Marcie coraz bardziej do gardła.

- Pani Bendall, nieprawdaż? - Panna Gladys wyłoniła się z niewielkiego murowanego domku, gdzie w luksusowych warunkach mieszkał jej mały biały terier, który teraz, chowając się za nią, jazgotliwie obszcze kiwał intruzów.

Panna Gladys pokiwała dobrotliwie głową okoloną siwymi, sztywnymi włosami i utkwiała w Polly spojrzenie małych, zaczerwienionych oczu.

- Czyżby to była mała Polly?

- Dzień dobry, panno Gladys - odpowiedziała Marta. - Jak zwykle ma pani rację. To rzeczywiście moja Polly, choć nie jest już taka mała, nie sądzi pani?

Małe oczka panny Gladys zniknęły w fałdach pomarszczonej skóry, gdy twarz jej rozjaśnił szeroki uśmiech.

- Wiedziałam! Po prostu wiedziałam! - Sięgnęła do kieszeni płaszcza, wyjęła niezbyt apetycznego zielonego lizaka i skwapliwie wręczyła go Polly. - Bądź dobrą dziewczynką! Chodź regularnie do kościoła i zadbaj o swoją duszyczkę! Wtedy dobry Bóg z pewnością zatroszczy się o twoje ciało. - Po tych słowach odwróciła się i pośpiesznym truchtem ruszyła w stronę furtki. Piesek nie odstępował od jej migających szybko nóg.

- Ona jest pomyłona! - Polly odłożyła jaskrawozielonego lizaka na najbliższy parapet.

- No, tylko bez takich wyrażen, moja panno! - upomniała ją Marta. Nawet jeśli panna Gladys rzeczywiście miała nie po kolei w głowie, Marta nie chciała, aby Polly wyrażała się o niej z takim lekceważeniem. - Tyle lat cię wychowuję, więc nie popisuj się takim niegrzecznym zachowaniem! Bądź łaskawa zachować tego rodzaju uwagi dla siebie, moja droga!

- Przepraszam, mamó - Polly okazała należyłą skruchę i po chwili matka przepuściła ją pierwszą przez masywne, ciężkie drzwi prowadzące do poczekalni.

Było tam już sporo osób, jak zwykle, gdy dyżur miał doktor Pitt. Marta pozdrowiła wszystkich i usiadła na skraju ławki stojącej w rogu pomieszczenia, wskazując Polly, żeby usiadła tuż obok na stołku. Zawsze uderzał ją fakt, że ludzie, którzy potrafili godzinami stać przed domem i gawędzić z sąsiadami, po przekroczeniu progu poczekalni przed gabinetem lekarskim nagle stawali się milczący i nerwowi. Czuła wyraźnie, że kilka par oczu przygląda się z zainteresowaniem jej i Polly. Ale gdy tylko podnosiła wzrok, żeby odwzajemnić te spojrzenia, wszyscy od razu zaczynali patrzeć gdzie indziej! Ten taniec uciekających spojrzeń, przesuwających się od jednego nic nie podejrzewającego delikwenta do drugiego, bawił ją i śmieszył i wkrótce sama przyłączyła się do tej zabawy, spoglądając na jakąś obojętną twarz, by szybko przenieść wzrok na kogoś innego, gdy tylko obserwowana osoba podnosiła oczy. Czuła się trochę jak niegrzeczne dziecko. Po chwili zwróciła się do siedzącej tuż obok na zatłoczonej ławce postawnej kobiety w średnim wieku.

- Długo pani już czeka?

Natychmiast wszyscy wlepili w nią oczy, jakby popełniła jakąś straszną zbrodnię.

- Nie - westchnęła ciężko kobieta - ale chętnie miałabym to już za sobą! - Poczekalnię wypełniły na chwilę dźwięki głośnego kaszlu i odchrząkiwania. Marta spojrzała groźnie na Polly, która zaczęła chichotać pod nosem. Znowu zapadła głucha cisza, tym razem jeszcze cięższa i bardziej nieprzyjemna niż poprzednio. Polly chwyciła z półki jakiś wyświechtany komiks i pochyliła nad nim głowę, próbując opanować śmiech.

Marta tymczasem zainteresowała się, kiedy przyjdzie ich kolej na wejście do gabinetu. Przyszły ostatnie, więc wszyscy pozostali powinni wejść wcześniej. W poczekalni było poza nimi dziewięć osób - pięciu mężczyzn i cztery kobiety, wszyscy jacyś mizerni i skurczeni w sobie, jakby czekali na egzekucję. Nie orientowała się, kto ma wejść bezpośrednio przed nimi, a zawsze lepiej było to wiedzieć na wypadek, gdyby doszedł ktoś nowy. Łatwo było doliczyć się swojej kolejki, dopóki nikt więcej nie przyszedł. Marta wiedziała z doświadczenia, że wtedy często robi się zamieszanie.

- Przepraszam - odważyła się spytać, ściągając na siebie wszystkie spojrzenia - kto z państwa jest ostatni przede mną?

Pośród machania rękami i ożywionych głosów wszyscy zaczęli nagle wypytywać się nawzajem o swoje miejsce w kolejce.

- Ja byłem ostatnia - odezwała się w końcu zbolalym głosem otyła sąsiadka Marty.

Parę osób potwierdziło:

- Tak, to prawda.

- W takim razie ja chyba jestem przed panią.

- Ja się pogubiłem już jakiś czas temu.

- Ja jestem następny!

Powstało drobne nieporozumienie co do tego, kto ma być trzeci, ale w końcu wszystko zostało wyjaśnione. Ponownie zapadła cisza i każdy mógł znowu powrócić w myślach do swojej choroby.

Marta rozejrzała się po poczekalni. Było to zimne, ponure pomieszczenie, w którym zawsze czuła się wyjątkowo nieswojo. Ściany miały odcień przygnębiającej burej zieleni, a maty z włókna kokosowego, pokrywające większość brązowej wykładziny, były poszarpane i pokryte grudkami zaschniętego błota i suchymi liśćmi. Pod półką z czasopismami stał stary drewniany stolik na kółkach, na którym postawiono metalową miskę na wypadek, gdyby ktoś dostał mdłości. Obok leżał dziecięcy drewniak z urwanym zapięciem, a pod spodem - wciśnięty w szparę duży kwiecisty

kapelusze. Marta nigdy jeszcze nie widziała, by w kominku palił się ogień. Jak zwykle leżał tam stos starych gazet, przykryty dla porządku kawałkiem wykładziny. Wąskie drewniane ławki, stojące pod ścianami pokoju, były twarde i niewygodne. Wytarte przez nieprzerwany strumień pacjentów, świeciły się jak wypolerowane.

- Mam już dość, mamo - Polly zaczęła się niespokojnie wiercić na krześle. Marta spojrzała na zwróconą ku niej pełną napięcia twarzyczkę i wylęknione spojrzenie córki.

- Wiem, kochanie... wiem - wyszeptała.

Polly westchnęła i wróciła do swojego komiksu.

Martę ogarnęło poczucie bezradności. Musi się przygotować na to, co może jej powiedzieć doktor, bez względu na to, jaka będzie jego diagnoza.

Tyle się wydarzyło od tego dnia, kiedy doktor powiedział jej i Curtowi o „utajonym guzie”, zagrażającym życiu ich nowo narodzonej córeczki. Pamiętała jeszcze, jak się obejmowali ze łzami w oczach, wyrażającymi najpierw radość, a potem smutek i lęk. Fala tęsknoty ogarnęła Martę na myśl o Curcie. Gdybyż mógł tu teraz z nią być i dodać jej siły. Wiadomość, że ciocia Bett porozumiewała się z nim, nie zaskoczyła jej zbytnio. Ucieszyła się, słysząc o tym, bo tego rodzaju kontakt z pewnością stanowił dla niego pociechę. Ona przynajmniej miała przy sobie dziewczęta - on był zupełnie sam. Wyrzeczenie się siebie nawzajem miało ten skutek, że dzieci zyskały prawdziwą rodzinę, uznawaną przez wszystkich sąsiadów i przyjaciół. Florencja i Polly nie musiały dorastać w atmosferze wrogich plotek i podejrzeń i Marta wdzięczna była za to zrzącenie losu. Ale choć pod tym względem tyle zawdzięczała Barty'emu, mimo usilnych starań nie potrafiła opanować wzruszenia i podniecenia na myśl o swoim ukochanym Curcie. Każda chwila dnia i nocy wypełniona była pamięcią o ciepłe jego miłości. Curt Ratheter będzie z nią aż do dnia jej śmierci i nie zmieni tego żadna siła na niebie ani na ziemi.

- Mamo - Polly delikatnie szturchnęła Martę w ramię - teraz my.

Marta otrząsnęła się z rozmyślań. Nie zauważyła, że teraz na nie kolej.

- No to chodźmy, kochanie - biorąc głęboki oddech, żeby uspokoić bijące szybko serce, poprowadziła przed sobą Polly. - Zobaczmy, co doktor będzie nam miał do powiedzenia.

Badanie było długie i niezwykle dokładne. Na koniec doktor Pitt siadł za swoim wielkim biurkiem z żaluzjowym zamknięciem i zamyślił się głęboko. Marta siedziała naprzeciwko i czekała na jego werdykt, co chwila nerwowo zaplatając i rozplatając ramiona. Polly stała obok, obejmując ją szczupłym ramieniem. Marta niezwykle cierpliwie znosiła przedłużające się milczenie.

Wpatrywała się w ciemną, pochyloną głowę i przygarbione wiekiem plecy doktora, zastanawiając się z drzeniem serca, jaki też może być powód jego głębokiego namysłu. Siłą woli zmusiła się do skupienia uwagi na ruchu ciężkiego wahadła wiszącego na ścianie zegara, aż jego donośne tykanie wypełniło jej umysł i zagłuszyło nękające ją obawy.

W końcu doktor Pitt podniósł głowę.

- Nie jestem pewien - powiedział z wahaniem, po czym wskazując ruchem brody Polly, zasugerował: - Może wolałaby pani, żeby córka poczekała w sąsiednim pokoju?

- Tak - zgodziła się Marta. - No idź, kochanie. To nie potrwa długo. - Błagalne spojrzenie Polly świadczyło o tym, że bardzo chce zostać. Gdyby diagnoza była pozytywna, córka mogłaby zostać, ale... nie śmiała nawet myśleć o innej ewentualności. - Nie, znajdź sobie jakiś komiks i nie martw się. Zaraz przyjdę. - Poczekała, aż Polly zamknie za sobą drzwi, po czym odwróciła się do doktora Pitta i spytała: - Nic jej nie będzie, prawda, doktorze? - W napięciu czekała na odpowiedź, nie mogąc opanować drżenia rąk.

- No cóż - powiedział doktor Pitt marszcząc brwi i odchylił się do tyłu w głębokim, skórzanym fotelu - możliwe, że wszystko będzie dobrze. Nic nie wskazuje na to, by nastąpiły jakieś poważne zmiany. Jednakże nie jestem w pełni zadowolony z wyników badania.

Wydaje się, że coś jednak jest nie całkiem w porządku, pani Bendall. Wygląda na to, że silne bóle, które ostatnio miewa, mają źródło w głęboko położonym, bardzo wrażliwym miejscu. W pewnym sensie oczywiście to nic nowego, ale ogólnie biorąc, nie podoba mi się to.

Ponownie zagłębił się w myślach i skinął głową, jakby w odpowiedzi samemu sobie:

- Tak! Chciałbym, żeby obejrzał ją doktor Morton ze szpitala w Blackburn. Na wszelki wypadek, rozumie pani. On się specjalizuje w takich przypadkach.

Marta chciała się jeszcze upewnić:

- Na wszelki wypadek? Więc uważa pan, że nie ma powodów do niepokoju?

- Pani Bendall! Na tyle, na ile jestem w stanie to ocenić, poza nasileniem się bóli i istnieniem tego wrażliwego miejsca, które prawdopodobnie nigdy nie zniknie, stan córki w zasadzie się nie zmienił. - Pochylił się do przodu i ciągnął dalej, zniżając głos niemal do szeptu: - Ale proszę mi wierzyć - pan Morton będzie w stanie rozproszyć wszystkie nasze wątpliwości. Jestem przekonany, że wizyta u niego uspokoi pani obawy.

- Tak, oczywiście. Przepraszam. - Wcale nie miała ochoty przepraszać! Nie cierpiała go. Nie cierpiała ich wszystkich!

- No dobrze, na razie nie ma potrzeby o nic się martwić. Proszę też nie przejmować się opłatą za wizytę. Wystarczy, jeśli będzie pani nadal wpłacać szylinga tygodniowo na Towarzystwo Wzajemnej Pomocy uspokoił ją.

Marta była wdzięczna przynajmniej za to.

- Zajmę się umówieniem wizyty u doktora Mortona. Do tego czasu proszę po prostu obserwować Polly. Przepisałem jej tabletki, które może zażywać, gdy pojawią się napady bólu. Proszę uważać, by nie dostały się w ręce pozostałych dzieci. Ale pani nie muszę chyba o tym przypominać, prawda? - zakończył z uśmiechem.

Gdy wyszły już na świeże powietrze, Marta zrelacjonowała Polly przebieg rozmowy, pomijając tylko niektóre szczegóły.

- W zasadzie to wszystko, co powiedział, kochanie - że chciałby, abyś poszła na badanie do doktora Mortona w szpitalu, bo może tam będą mogli jakoś zaradzić tym bólom głowy, które ostatnio miewasz. - Marta bardzo by chciała, żeby to wszystko było takie proste. Nie czuła się teraz wcale spokojniejsza niż przed wizytą u doktora Pitta. Wyglądało na to, że były znowu w punkcie wyjścia.

Polly zamilkła na jakiś czas i jakby zamknęła się w sobie, co zaniepokoiło Martę. Wiedziała, że bez względu na to, co sama czuje, musi jakoś uspokoić i dodać otuchy Polly, więc kładąc jej delikatnie rękę na ramieniu, odwróciła się do niej i powiedziała łagodnie:

- Sądzę, że upłynie jeszcze parę tygodni, zanim doktor Morton będzie mógł cię zbadać. Ci specjaliści są bardzo zajęci. Wiesz co, Polly? - ciągnęła po chwili, uśmiechając się szeroko. - Mam ochotę przejść się do Freckleton! - Pogłaskała przygnębioną Polly po twarzy i siłąc się na beztroski ton, by ukryć własną niepewność i czarne myśli, spytała: - Czy ta miła błękitnooka dziewczynka zechciałaby mi towarzyszyć?

Właściwie nie stać jej było na spacer do Freckleton, jeśli bowiem chciała w ogóle związać w tym tygodniu koniec z końcem, powinna była jak najszybciej wrócić do przędzalni. Wiedziała jednak, że malownicze przedmieścia Blackburn, gdzie obsadzone drzewami aleje przecinały rozległe pola, to jedno z ulubionych miejsc

Polly. Często słuchała, jak córka opowiada o żywych, czarnookich wiewiórkach, jakie tam widziała, i o tym, jakie wrażenie sprawiał na niej zawsze widok majestatycznych dębów rosnących wzdłuż alei. Miało się tam poczucie wolności - wzrok gubił się w bezkresie pól i można było odetchnąć pełną piersią, czując zapach kwiatów, a nie duszący zaduch zadymionego

miasta. Marta nie wahała się długo. W końcu przedziałnia z pewnością przetrwa ich wszystkich, a tak naprawdę liczyła się tylko ta obecna chwila.

Polly wzięła matkę pod rękę i powiedziała ze śmiechem:

- Och, mamusiu, jaka ty jesteś kochana!

Rozdział trzynasty

Na całej ulicy Regent panowała atmosfera niezwykłego podniecenia. Zgorzkniała stara pani Atkinson chodziła z wyjątkowo pogodnym wyrazem twarzy i dziś rano ktoś nawet słyszał, jak po drodze do sklepu podśpiewywała sobie coś pod nosem! Krążyła nieprawdopodobna wręcz pogłoska, że cuchnąca Maria Heigh postąpiła wbrew swym najświętszym zasadom i złamała ponad czterdziestoletnie przyzwyczajenia, bowiem widziano ją w czystym szalu na ramionach, a drobne brązowe plamki na jej twarzy nie były jednak, jak się okazało, piegami, ponieważ w zetknięciu z wodą i mydłem zniknęły bez śladu.

Ada Humble zapełniła całą szerokość sznura świeżym praniem i z zachwytem przypatrywała się, jak rząd koszul powiewa na wietrze dumnie obwieszczając sąsiadom i całemu światu, że Ada jest opiekunką siedmiu ukochanych mężczyzn.

Wzdłuż całej ulicy Regent nie było ani jednego progu, który nie zostałby skrupulatnie wyszorowany.

Wszystko ożywiały radosny gwar kobiecych głosów oraz wspaniałe wonie świeżo upieczonego chleba i słodkich ciasteczek.

Ten radosny nastrój był w pełni uzasadniony, a jego przyczyna całkiem prosta. W ten środowy wieczór wszyscy mieszkańcy ulicy Regent wybierali się, biorąc ze sobą szykowane przez cały dzień wypieki, do Revine'ów, gdzie miało się odbyć przyjęcie z okazji ich przeprowadzki na ulicę Regent. Wszyscy tutaj uwielbiali takie okazje, których, niestety, nie było ostatnio zbyt wiele, bowiem okoliczni mieszkańcy niechętnie się przeprowadzali.

- Będziesz musiała się pośpieszyć, Polly! - Marta odciągnęła Bartusia od ciepłych drożdżówek, stygnących na dolnej półce. - Ach, ty urwisie - zbeształa go, wyganiając z kuchni do salonu - trzymaj ręce przy sobie! Dostaniesz swoją porcję później! - Przez chwilę patrzyła, jak w salonie zajął się grą w karty z Florencją, po czym skupiła uwagę na Polly, która miała nakryć do kolacji. Marta tak naprawdę wcale nie cieszyła się na myśl o tym przyjęciu, choć kiedy indziej byłaby równie podekscytowana i pełna zapału jak wszyscy. Piekła jednak drożdżówki od chwili powrotu z przedziałni i była już śmiertelnie

zmęczona, a przy tym przez cały czas coś nie dawało jej spokoju. Nękało ją straszne przeczucie, że skądś niepostrzeżenie nadciąga jakieś okropne nieszczęście.

- Herbata jest już gotowa, mamó - powiedziała Polly. - Muszę jeszcze tylko wymyć czajnik.

- No to migiem, kochanie - Marta wyjęła ostatnią blachę drożdżówek. - I dobrze spłucz te fusy. Tata będzie zły, jeśli zlew znowu się zatka.

Polly parsknęła pogardliwie:

- Przecież ostatnio nie on go odytykał, tylko ty musiałaś w nim grzebać!

- Przestań!

- On i tak jest zawsze zły - Bartuś jak zwykle nie potrafił się powstrzymać od wtrącenia trafnej uwagi. Jednak akurat w tej chwili Marta nie miała ani czasu, ani ochoty, żeby wysłuchiwać takich uwag, choć w duchu musiała się z nimi zgodzić.

- Ani słowa więcej - skarciła ich - bo inaczej o dzisiejszym przyjęciu będziecie mogli tylko pomarzyć!

Na te słowa Bartuś nadał się, a Florencja oświadczyła, że idzie na górę się uczesać. Polly z zaciętym wyrazem twarzy w milczeniu dokończyła nakrywanie do stołu. Krzątając się, Marta zauważyła ze smutkiem, że nawet sama wzmianka o Bartym Bendallu od razu psuła atmosferę i wprowadzała wszystkich w zły nastrój.

O wpół do ósmej drzwi otworzyły się gwałtownie i do salonu wkroczył Barty Bendall. Już na pierwszy rzut oka widać było, że jest właśnie w takim ponurym nastroju, o jakim wspomniał dziś Bartuś. Cała jego postać wyrażała agresję - głośno zatrzasnął za sobą drzwi, gwałtownie zarzucił czapkę i płaszcz na kołek na drzwiach i zamaszystym krokiem skierował się ku swojemu miejscu przy stole na drugim końcu salonu. Nastąpiła pełna napięcia cisza. Marta przyniosła jego ciepłą kolację i stawiając ją przed nim wraz ze świeżo upieczoną drożdżówką przywitała go, przymuszając się do uśmiechu. Z zadowoleniem stwierdziła, że tym razem nie jest pijany.

W odpowiedzi usłyszała lekceważące mruknięcie, po czym Barty podniósł głowę i rozejrzał się po pokoju. Gdy na kanapie zobaczył trójkę dzieci, umytych i przebranych w świąteczne ubrania, w jego bystrych zielonych oczach pojawił się niebezpieczny błysk. Marta też wyglądała wyjątkowo ładnie we własnoręcznie uszytej, lekkiej niebieskiej bluzce i obszernej granatowej spódnicy. Długie, połyskujące włosy opadały kruczoczarnymi falami na ramiona, a brązowe oczy lśniły głębokim blaskiem.

Gdy odwróciła twarz od jego miażdżącego spojrzenia, Barty Bendall chwycił ją za rękę, żądając wyjaśnień:

- Co tu się, do diabła, dzieje? - Z każdym słowem coraz bardziej ścisnął jej nadgarstek, aż niemal jęknęła z bólu. - Do cholery, mam sam jeść tę kolację? A wy coście się tak wyfiokowali? Co tu się w ogóle dzieje? No, pytam się! Co się tu, do jasnej cholery, dzieje?

- Myśmy już jedli - odważyła się odezwać Polly. Wyraz głębokiej niechęci rysował się na jej ściągniętej buzi.

- Jeszcze jedno słowo, do cholery, a posmakujesz mojego pasa! - Jego piorunujące spojrzenie miało przygwoździć dziewczynkę do siedzenia, ale wzrok Polly stawał się niebezpiecznie wyzywający i niepokorny.

Marta skorzystała z okazji i wyszarpnęła nadgarstek z żelaznego uścisku męża.

- Prawie pół godziny czekaliśmy na ciebie przy stole - powiedziała, rozcierając rękę i przygotowując się wewnętrznie do kolejnego starcia. - O ósmej zaczyna się przyjęcie u Revine'ów. - Odwróciła się do dzieci, wyczuwając ich nastrój. - Są podnieceni - ciągnęła. - Jeszcze nigdy nie brali w czymś takim udziału.

- Mam gdzieś tych całych Revine'ów i ich cholerne przyjęcie! - wrzasnęła. - Spójrz tylko na siebie! - Zmierzył ją wściekłym wzrokiem od stóp do głów. - Wysztafirowana jak jakaś ulicznica!

Znając go już dobrze, Marta wiedziała, że zanosি się na kolejną awanturę, ale zdecydowana była nie zepsuć dzieciom tej drobnej przyjemności. Bóg mi świadkiem, pomyślała, że nie miały ich za wiele. Stanowczym krokiem przemierzyła szybko salon i z nie znośnym sprzeciwem wyrazem twarzy wyprowadziła całą trójkę na korytarz.

- Wstąpcie do Ady Humble i poczekajcie tam na mnie.

- A ty? - spytała Polly, ociągając się przy drzwiach.

- Rób, co ci każe! - Marta popchnęła ją do wyjścia i zamknęła drzwi, po czym oparłszy się o nie, odetchnęła z ulgą, że Barty Bendall nie zerwał się, aby wciągnąć dzieci z powrotem. Zaskoczyło ją to jednak, bowiem przy dzieciach rzadko pozwalał jej postawić na swoim. Zaczekała, aż trzasną drzwi frontowe, i podeszła do stołu, gdzie przez dłuższą się w nieskończoność chwilę nalewała Barty'emu Bendallowi herbatę. Z odrazą słuchała jego głośnego mlaskania i siorbania, świadczącego niezbitie, że kolacja mu smakuje. Gdy sprzątała ze stołu, nie odezwał się ani słowem, rzucając jej tylko co jakiś czas z ukosa przelotne spojrzenie. Martę zbijało to z tropu bardziej, niż gdyby na nią krzyczał. Do grubiaństwa była już przyzwyczajona, do tego złowieszczego

milczenia nie. Wolą nie odzywać się pierwsza, przekonana, że byłoby to dolaniem oliwy do ognia. Wiedziała, że jego milczenie nie potrwa długo. Wprawdzie ostatnio przestał ją zaczepiać, ale długo nie wytrzyma bez dopominania się o swoje „prawa”.

Gdy stała już z zakasanyimi rękawami przy zlewie, gotowa do rozpoczęcia zmywania, poczuła nagle, że Barty Bendall stoi tuż za nią. Pamiętała jeszcze te dawne czasy, kiedy jego bliskość mogłaby przyprawić ją o mocniejsze bicie serca, ale teraz jego ciepły oddech, który poczuła na karku, wydał jej się odpychający. Objął Martę w talii i zaczął szukać jej piersi, tak że musiała opanować ogarniające ją mdłości i przemożną chęć ucieczki.

- Potrzebuję paru szylingów - usłyszała jego ochryply szept tuż przy uchu. - Ale to za chwilę, zgoda? Najpierw chodź ze mną na górę.

Marta wyrwała się z obłapiających ją rąk i rzuciła zawzięcie:

- Nie mam żadnych pieniędzy! Żadnych, rozumiesz? - Na te słowa Barty chwycił ją brutalnie za ramiona i obrócił gwałtownie do siebie, tak że jej rozpięta bluzka rozchyliła się, odsłaniając jędrne młode piersi. Stała teraz przed nim z wyzywającym błyskiem w oku, piękniejsza niż kiedykolwiek.

Przycisnąwszy ją do zlewu, Barty wpił drapieżne spojrzenie zielonych oczu w jej delikatną twarz, po czym z gardłowym pomrukiem opuścił otwarte usta na jej nagą pierś i, podniecony jej oporem, pociągnął ją w dół na ziemię.

Marta najbardziej obawiała się nagłego powrotu dzieci. O siebie nie dbała! Barty Bendall nieraz gasił na niej swe zwierzęce żądze i straciła już nadzieję, że to się kiedyś zmieni. Ale prawda była po prostu taka, że za każdym razem, kiedy posiadał jej ciało, oddalali się od siebie psychicznie jeszcze bardziej. Gdy ją brał, sprawiał wrażenie opętanego - nieustannie szeptał o miłości, ale kochał się z nią tak, jakby jej nienawidził. I wreszcie było po wszystkim...

Marta podniosła się, żeby otrząść i doprowadzić do porządku swoją pomiętą odświętną bluzkę i zakurzoną spódnicę, a Barty Bendall wrócił do salonu i włożył czapkę i płaszcz. Nie podniosła nawet głowy, obawiając się, że nie będzie w stanie ukryć obrzydzenia i pogardy.

- No to daj mi w końcu tych parę szylingów! Do cholery, nie będę tu sterczał pół dnia! - Pokazał, kto tu rządzi i czyją Marta jest kobietą. Teraz musi pójść trochę porozmyślać.

Marta podniosła na niego pełne niemego wyrzutu spojrzenie, co dało nieoczekiwany skutek.

Nie pamiętała, by kiedykolwiek ujrzała na jego lisiej twarzy choćby cień zakłopotania. Ale teraz, gdy utkwiała w nim pełen gorzycy wzrok, dojrzała na

jego twarzy lekkie zaróżowienie, które jednak bardzo szybko przekształciło się w ciemny rumieniec gniewu.

- No, dalej! - Podszedł do niej z wyciągniętą ręką i groźnym wyrazem twarzy. - Dostanę w końcu te drobne czy nie?

Marta nie poddawała się.

- Jeśli twoja pensja nie starcza ci na własne potrzeby, to jak według ciebie ja sobie daję radę? Przecież muszę z mojej pensji nas wszystkich nakarmić, ubrać i utrzymać dom! Już mi nic nie zostało!

- Nic nie zostało, tak? No oczywiście, że nic nie zostało, do diabła! - Podniósł rękę i jednym machnięciem zmiotł z półki leżące tam drożdżówki. Większość potoczyła się po podłodze, reszta wpadła do pełnego pomyj zlewu. - Nic nie zostało, bo wszystko wydałaś na to gównu! - Wyszedł na korytarz, kopiąc po drodze rozsypane po podłodze ciastka. - Idź sobie na to cholerne przyjęcie i tylko nie przepraszaaj, że mnie tam nie ma!

Po jego wyjściu Marta długo jeszcze stała w bezruchu, wpatrując się w milczeniu w porozrzucane po podłodze żałosne resztki wypieków, nad którymi spędziła tyle czasu. W głowie czuła jeszcze zamęt, spowodowany ostatnimi przeżyciami. Czuła się zbrukana i wykorzystana, a nękający ją nieustannie żal nigdy jeszcze nie wydawał się równie dotkliwy. Gdyby tylko wiedziała, jak z tego wszystkiego wybrnąć. Przez głowę przelatywały jej natrętne, przerażające myśli. Czuła wielką pokusę, żeby natychmiast pójść na górę, spakować rzeczy dzieci i wrócić do mamy. Od razu jednak przypomniawszy sobie, jak wiele zrobiła już dla nich babcia Fletcher. Powróciła również myśl o tym, jak Barty Bendall przygarnął ją i dziewczęta, dzięki czemu uniknęły one dyskryminacji z powodu swojej dwuznacznej sytuacji, czego Marta tak bardzo się obawiała. Ilu mężczyzn byłoby stać na taki gest? Poza tym, chociaż miał ostry język i był mściwy i złośliwy, nigdy nie wypominał jej ani dziewczętom przeszłości. Zatem jeśli chodziło o przyszłość, raczej nie miała wyboru - tu było jej miejsce i pomimo wszystko powinna być wierna Barty'emu Bendallowi. Gotowa była zapłacić taką cenę, nawet gdyby miała żałować tego całe życie. Nic nie mogła na to poradzić i nie miała żadnego wpływu na przebieg wydarzeń.

Otrząsnąwszy się nieco z tych niewesołych rozmyślań, zaczęła zbierać z podłogi to, co zostało z przygotowanych na przyjęcie ciastek.

No cóż, Marto Bendall, pomyślała, jak to mówią, jak sobie pościelesz, tak się wyśpisz!

Z nadzieją w sercu modliła się, aby Curtowi dane było zaznać więcej szczęścia w życiu, niż miała ona. Jej usta bezgłośnie wymawiały słowa

modlitwy, w której błagała, żeby Polly mogła dorosnąć, tak jak każde inne zdrowe dziecko.

- Nie każ jej płacić za to, co zrobiliśmy z Curtem - prosiła. - Pozwól mnie za to odpokutować. Pomóż biednej Polly znaleźć ukojenie i zadowolenie. - Jej zbolełe serce wypełniała gorąca nadzieja i wiara w to, że dobry Bóg nie odbierze jej tego biednego dziecka - byłoby to zbyt bezsensowne i okrutne zrządzenie losu. Gdzieś w głębi duszy czaiła się jednak jakaś straszna obawa - lęk matki o własne dziecko, jakieś dziwne przeczucie, że Polly już się od niej oddala.

Klęcząc na podłodze, gorzko zapłakała. Roniła łzy nad beznadzieją swojego zmarnowanego małżeństwa i nad tym, co utraciła. Płakała nad losem swoich dzieci, szczególnie Polly.

Posprzątała wszystko z podłogi, obmyła twarz i przygotowała się do wyjścia, żeby odebrać dzieci od Ady Humble. Zanim wyszła, zwilżyła jeszcze podpuchnięte oczy zimną wodą i uszczypnęła się w policzki, żeby pobudzić krążenie i przywrócić rumieńce, po czym rozczesała długie włosy układające się w gładkie, ciemne fale. Poczowała się nieco lepiej i wyszła z domu.

Pukając do drzwi Ady, w myślach oceniła swój wygląd. Pewnie nie wyglądam tak świeżo i porządnie jak poprzednio, uśmiechnęła się do siebie, ale któż to zauważy?

Polly zauważyła. Ada Humble też, sądząc po jej zatroskanym obliczu, kiedy otwierała Marcie drzwi. Ale z właściwą mieszkającym w tych stronach ludziom delikatnością o nic nie zapytała, tylko jowialnie zaprosiła Martę do środka:

- Wejdz, Martuniu! Jesteśmy już wszyscy gotowi i czekamy na inspekcję!

Śmiejąc się z tego nieoczekiwanego awansu na inspektora, Marta przeszła przez korytarz do salonu za kołyszącym się z ożywieniem czerwonym kapeluszem Ady. W tylnym salonie Humble'ów panował jak zwykle swojski nieporządek. Marta nie pamiętała, żeby kiedykolwiek w towarzystwie kogoś z tej licznej gromadki poczuła się skrępowana albo żeby dano jej do zrozumienia, że jest niepożądanym gościem. Myśląc o atmosferze panującej w jej własnym salonie, szczególnie gdy był w nim obecny Barty Bendall, Marta uznała, że zatłoczony i pełen zgiełku dom Humble'ów jest najszczęśliwszym domem, jaki kiedykolwiek widziała, a w każdym razie najszczęśliwszym na całej ulicy Regent.

- Dobrze, dobrze, nicponie! - wołała Ada Humble podniesionym głosem, zaprawionym w ciągu tych wszystkich lat do pokrzykiwania na wrzaskliwe potomstwo. Stała teraz przy drzwiach obok Marty, usiłując przekrzyknąć wzmagającą się w pokoju wrzawę, wywołaną przez chór podnieconych głosów.

Marta chłoneła panującą tu atmosferę serdeczności i ciepła rodzinnego, stanowiącą naturalny wynik łączących tę rodzinę wyjątkowych więzów miłości.

Wygląd niewielkiego salonu nieodparcie przywodził na myśl siedmiu mieszkających w tym domu mężczyzn, którymi opiekowała się Ada Humble. Ściany pomalowane były na intensywny brązowy kolor, gdzieniegdzie ożywiony słonecznym pomarańczowym odcieniem, natomiast sufit miał od siedmiu lat nieokreśloną burą barwę. Na przeciwległej ścianie widniało zdjęcie, powieszony wysoko, poza zasięgiem ciekawych rąk. Stanowiło ono przedmiot chluby Ady, która czule mówiła o nim jako o „swoim żołnierzu”. Spoglądał z niego dostojnie wyglądający Tony Humble, ubrany w pochodzący z 1915 roku mundur koloru khaki. Nosił wówczas długie, zwisające wąsy, a jego surowe spojrzenie przypominało wyraz twarzy żołnierza na plakacie werbunkowym - brakowało tylko podpisu „Twoja ojczyzna cię wzywa”. Samo zdjęcie było całkiem zwyczajne, ale dla Ady Humble stanowiło największy skarb.

Wokół obramowania kominka wisiała jaskrawozielona sznurowa girlanda z przymocowanymi do niej wielkimi atlasowymi pomponami, które kołysały się i tańczyły w ciepłym powietrzu unoszącym się znad wesoło buzującego ognia. Całe obramowanie zastawione było małymi porcelanowymi pieskami - jedne się uśmiechały, inne wyły, jeszcze inne siedziały z pociesznymi, dumnymi minami na śmiesznych pyszczkach. Były to ulubione maskotki Ady, bowiem każdą z nich otrzymała kiedyś od któregoś ze swoich chłopaków. Meble były stare i poobijane, ale nikt nie przejmował się specjalnie tym, że w brązowej kanapie pękła sprężyna albo że z siedzenia fotela wylazła już cała wyściółka i wygląda ono teraz jak balon, z którego uszło już prawie całe powietrze. Ada powtarzała tylko z upodobaniem, że po prostu widać, iż meble są w częstym użyciu. Ogólnie biorąc, całe pomieszczenie przedstawiało sobą straszny widok. Cała wykładzina - od jednego końca pokoju do drugiego - zarzucona była butami i nie znalazłoby się ani jednego krzesła czy mebla, który nie służyłby jako wieszak.

- No to ustawcie się równo! - w dalszym ciągu komenderowała Ada. - Zaraz was sobie obejrzymy! - Słuchając z zadowoleniem odgłosów szurania i przepychania, którym towarzyszyły nieśmiałe protesty, Ada zwróciła się do Marty.

- Wreszcie, moja droga - wypieki na jej pałającej dumą twarzy dorównywały barwą czerwonemu kapeluszu, który spoczywał na jej głowie przechylony pod nie spotykanym dotąd kątem. Martę uderzyło, jak ten mały kapelusik poprzez swoje ułożenie doskonale odzwierciedla nastrój Ady.

- No i co powiesz?

Marta postąpiła parę kroków do przodu, czując się tak, jakby to właśnie ona była obiektem oględzin, bowiem natychmiast spoczęły na niej spojrzenia jedenastu par oczu, badających jej twarz z gorącą nadzieją, że nie znajdzie żadnych uchybień podczas tego małego przeglądu zorganizowanego przez Adę Humble. Toby stał na czele szeregu, który zaczynał się obok drzwi do kuchni i ciągnąc się wzdłuż przeciwległej ściany, kończył się parę kroków przed kominkiem.

- Mój Toby wygląda pierwszorzędnie, prawda? - Ada w podnieceniu przestępowała z nogi na nogę. - Nie idzie na przyjęcie! Nie chce iść na przyjęcie, ale to nie szkodzi - wystarczy, że pójdzie do pubu równie elegancki jak my wszyscy!

- Przestań gadać,- żono! - Toby z niecierpliwością czekał na chwilę, kiedy będzie mógł w końcu wsiąść na Śliczną Salcie i ruszyć do kompanów po kieliszku. - Niech Marta sama oceni!

- Tak jest! Masz rację, mężu. Ale on i tak wygląda pierwszorzędnie, prawda? - dokończyła Ada szeptem, niemal wtykając nos pod pachę Marty, której sięgała akurat do ramienia.

Marta uznała, że Toby rzeczywiście nieźle się prezentuje. Był wysokim, szczupłym mężczyzną, chodził powoli z nieco przygarbionymi plecami, ale jego twarz zawsze była skora do uśmiechu, który wszystkich obecnych otaczał swoim ciepłem. Śmiałe spojrzenie i jakiś szczególny błysk w jego jasnobrażowych oczach wskazywały, że w młodości nie żałował sobie uciech, będących przywilejem tego wieku. Przesuwając wzrokiem wzdłuż całego szeregu, Marta z przyjemnością przyjrzała się całej trzódce Ady. Pierwszy - Blackie, dorodny chłopak o wyrazistych rysach i śniadej cerze, uśmiechnięty i wystrojony. Po jego lewej stronie stali kolejno: piegowaty Edward, chichoczący wiecznie Jimmy i małomówny, smutny Berty. Dalej byli bliźniacy, Freddy i Józef, których główną namiętnością wydawało się nieustanne gromadzenie najprzeróżniejszych dziwnych rzeczy, takich jak żaba z jedną nogą, mieszkająca teraz w pudełku pod łóżkiem Józefa, albo złamany flet, z którego Freddy wydobywał najdziwniejsze, przejmujące dźwięki, przyprawiające wszystkich o gęsią skórę. Na końcu szeregu, zgodnie z porządkiem starszeństwa, stała jasnowłosa Polly o błękitnych jak letnie niebo oczach, a tuż obok niej ciemnowłosa, rumiana Florencja z poważnym wyrazem twarzy. Na samym końcu stał mały Bartuś z wielkimi brązowymi oczami i ciemną, niesforną czupryną, czyściutki i wyprostowany jak mały dżentelmen.

Marta kochała ich wszystkich i pomyślała, że chyba trudno byłoby gdziekolwiek znaleźć drugą grupkę tak zacnych istot. Podzieliła się swoimi wrażeniami z przyjaciółką.

- Masz się czym poszczycić, Ado! - zaśmiała się. - Ależ z nich malownicza gromadka!

- A nie mówiłam! - krzyknęła Ada, pozwalając rozejść się wszystkim w szeregu. - Nie ma to jak takie wytworne towarzystwo! Zawsze tak twierdziłam i jestem z was dumna! - Nagle zaczęła pociągać nosem. - Naprawdę dumna! - dodała i głos jej zadrżał.

- No, teraz, kiedy wreszcie dałaś „spocznij”, starszy sierżancie - powiedział Toby Humble nachylając się w kierunku czerwonego kapelusza, żeby pocałować ukryty pod jego rondem puciołowaty policzek - czy mogę się wreszcie odmeldować i ruszyć do pubu?

- Oczywiście, że możesz już iść do pubu, Toby Humble. Tylko uważaj na siebie! - Ada zmarszczyła w trosce czoło. - Nie zostawiłbyś roweru w domu, Toby? Zawsze się obawiam, że z niego spadniesz.

- Dajże mi spokój! Nie ma mowy! - Toby zniknął za drzwiami cmokając i mamrocząc coś jeszcze z dezaprobatą.

Dziesięć minut później dom był już zamknięty, a cała procesja ruszyła w drogę na przyjęcie do Revine'ów.

Gdy weszli do salonu, panowała tam już atmosfera podniecenia, słychać było muzykę i odgłosy wesołego śmiechu. Bridget odebrała od nich płaszcze i powiesiła je w korytarzu obok wielkiej liczby najprzeróżniejszych wierzchnich okryć pozostałych gości.

- Już się zaczynałam martwić - powiedziała do Polly. - Myślałam, że nie przyjdiesz!

Polly weszła za nią do pokoju.

- Nie przyjdę?! Coś ty! Wiesz, jak ja czekałam na to przyjęcie? - powiedziała przejęta.

- No dalej, młokosy! - Ada Humble popchnęła dzieci naprzód za Polly i Bridget. - Wchodźcie, tylko zachowujcie mi się, jak należy!

Marta weszła do frontowego salonu wraz z Florencją i Bartusiem. Czuła się nieswojo, pomimo świątecznego nastroju i dobiegającej zewsząd radosnej wrzawy. Miała wrażenie, że nie chodzi o to, jak potraktował ją Barty Bendall. Nie! To uczucie niepewności było związane z tym domem. Przypomniawszy jej się Peter Revine i od razu zdała sobie sprawę, skąd bierze się jej niepokój.

- Pani jest pewnie matką Polly. Wspaniale pani wygląda.

Rosa Revine wystrojona była w barwną sukienkę, której żywe kolory przyciągały wzrok, ale wydawały się zbyt jaskrawe. Zdaniem Marty ten strój doskonale pasował do tak efektownej kobiety. Podając Rosie tacę z puddingiem, przyrządzonym przez Adę Humble, Marta z wdzięcznością pomyślała, jak to ładnie ze strony Ady, że zaproponowała, aby wręczyć go jako ich wspólny podarunek. Przywitała się wesoło z gospodynią.

- Dobry wieczór, pani Revine - powiedziała, poprawiając się na prośbę Rosy Revine: - Roso, jeśli chcesz.

Kiwnęła głową w kierunku tylnego salonu, z którego dobiegały salwy śmiechu.

- Wygląda na to, że przyjęcie już się nieźle rozkręciło!

Rosa Revine odebrała od Marty tacę z puddingiem i przeciskając się pomiędzy grupkami dzieci postawiła ją na długim stole przy oknie, kładąc na wierzchu duży nóż.

- Rzeczywiście - powiedziała - a najlepiej się bawi twoja dobra przyjaciółka.

- Poprowadziła Martę do tylnego salonu. - Popatrz tylko!

W tej właśnie chwili z rąk Ady Humble wyrwał się do połowy nadmuchany balon i rozpoczął hałaśliwy, szalony lot po pokoju - w górę i w dół, pomiędzy zastawionymi stołami, pikując co i rusz na dzieci, krzyczące i piszczące z zachwytem.

- Trzymajcie go! - Jasnoczerwony kapelusz Ady Humble podskakiwał, rzucał się tu i tam, znikał i pojawiał się ponownie, aż w całym pomieszczeniu zapanował nieopisany tumult. Zewsząd dobiegały okrzyki:

- Łapcie go! Łapcie!

Marta wybuchnęła na ten widok śmiechem, lecz nagle usłyszała nad uchem znajomy głos Marii Heigh.

- Idę do domu!

- A jednak przysłaś, Mario. - Marta zastanawiała się wcześniej, czy ta samotnicza natura odważy się w końcu opuścić zacisze swojego małego domku, mimo iż taka okazja, jak wprowadzenie się nowych sąsiadów nie zdarzała się przecież zbyt często.

Maria mruknęła coś pod nosem i podniosła fałdę spódnicy, żeby przetrzeć okulary, po czym skwapliwie wsadziła je z powrotem na nos.

- Tak, ale zaraz idę do domu - szepnęła. - Nie podoba mi się tutaj. Nie, zupełnie mi się nie podoba.

Za chwilę już jej nie było i Marta nie zdążyła nawet zapytać ekscentrycznej staruszki, co właściwie jej się tak nie podoba, choć sama również chętnie poszłaby do domu.

W ciągu tego wieczoru, który zresztą okazał się przyjemniejszy, niż się spodziewała, Marta parokrotnie z niepokojem zauważyła, jak Peter Revine zabawia rozmową Polly. Dopóki jednak miała ich w zasięgu wzroku, nie interweniowała.

- Mamo! - zawołała ją Florencja. Trzymała za rękę Bartusia.

Marta natychmiast podeszła do dzieci.

- O co chodzi, kochanie? - spytała.

- On cały czas zasypia! - poskarżyła się Florencja, trąc zmęczone oczy. - I ja też już jestem zmęczona, mammo. Chcę już iść.

Marta wzięła sennego chłopca na ręce i posadziła go na najbliższym krześle, gdzie wyczerpany oparł się bezwładnie o poręcz.

- Posiedź z nim, kochanie - zwróciła się cicho do

Florencji - a ja poszukam Polly. Chyba już czas, żebyśmy wszyscy byli w łóżkach. Nigdzie jednak nie mogła dostrzec Polly, choć rozglądała się po pokoju, przepraszając znajomych, którzy zagadywali ją i próbowali zatrzymać. Z coraz większym zdenerwowaniem szukała Polly, uświadamiając sobie z przerażeniem, że nigdzie nie widać również Petera Revine'a. Niedawno widziała ich oboje obok drzwi kuchni. Nagle Polly pojawiła się nie wiadomo skąd tuż obok i Marta odetchnęła z ulgą. W odpowiedzi na uwagę matki, że właśnie mieli wszyscy wychodzić, Polly uśmiechnęła się tylko i już po chwili czekała w korytarzu gotowa do wyjścia.

- Gdzie byłaś, dziecko? - zapytała Marta biorąc na ręce Bartusia.

- Rozmawiałam tylko z tatą Bridget - odparła Polly tonem tak lekkim, że Marta doszła do wniosku, iż chyba niepotrzebnie aż tak się przejęła. Jednak ten Revine i tak nie budził jej sympatii.

- Wielkie nieba! Spójrzcie no, która to już godzina! - Ada Humble wybiegła na korytarz, gdy Marta zmierzała właśnie do drzwi frontowych. - Blackie! Szybko! Tata pewnie będzie wkrótce wracać do domu, a nikogo z nas tam nie ma, żeby go wypatrywać!

Marta nie potrafiła ukryć uśmiechu, widząc, jak biedna Ada Humble przerywa Blackiemu degustację biszkoptu z galaretką, żeby zagonić go do zebrania rodzinnej gromadki. Nie ulegało wątpliwości, że Toby sam nie da sobie rady z zejściem ze swojej Ślicznej Saki, szczególnie po tych paru kuflach, które zapewne zdążył opróżnić. Marta miała jednak teraz na głowie własną trójkę. Niosąc w ramionach śpiącego Bartusia, wraz z dziewczętami szła korytarzem w stronę drzwi, gdy nagle ktoś do nich głośno zapukał. Było to pukanie gwałtowne i rozkazujące. Pukanie, którego dźwięk nieuchronnie budził w sercu trwogę.

- Polly, kochanie, otwórz drzwi. - Marta wstrzymała oddech, a przecucie nadciągającej katastrofy, dręczące ją przez cały wieczór, teraz chwyciło ją za gardło z całą mocą. Gdy Polly otworzyła drzwi, obie z Florencją aż cofnęły się o krok na widok górującego nad nimi posterunkowego w ciemnym mundurze.

- Dobry wieczór! - zwrócił się do Marty niskim, uprzejmym głosem. - Czy zastałem tu może panią Humble?

Marta poczuła, że serce zamarło jej w piersi.

Rozdział czternasty

Marta była strasznie zmęczona! Ale praca nadal trwała i zostało jeszcze około piętnastu minut do wyłączenia maszyn. Potem miała się odbyć mała uroczystość. Daisy Forester w końcu odważyła się powiedzieć swojej mamie prawdę. Dziś po raz ostatni przysłała do przedzalni Cicely, a wkrótce miał się odbyć jej ślub. Ale biednej Daisy nie dane było przeżyć tych paru wzruszających chwil, bowiem gdy Marta właśnie podnosiła rękę, żeby wyłączyć swoją przedzarkę, gdzieś z przodu rozległ się straszliwy hałas - zgrzytliwy i wstrząsający, hałas, jakiego nigdy tu przedtem nie słyszała. I nagle wokół rozpętało się piekło! Ludzie zaczęli biegać we wszystkich kierunkach i koło maszyny Marty przemknął nawet Tom Atkinson, miał tak ziemistą cerę i błędny wzrok, że wyglądał, jakby w każdej chwili mógł dostać zawału.

Większość maszyn została już zatrzymana i normalnie o tej porze słyszało się śmiechy i gwar ożywionych rozmów, ale teraz w hali zapanowała grobowa cisza. Gdy Marta zmieniła pantofle na buty, zobaczyła wokół małe grupki robotnic, rozmawiających ze sobą przyciszonymi głosami. Dojrzała w oddali płaczącą Daisy, którą uspokajała Berta. Niektóre kobiety stały z szeroko rozwartymi oczyma i dłońmi przyciśniętymi do ust, jak gdyby chciały stłumić wszelkie dźwięki, jakie mogłyby im się wyrwać z gardła. Podchodząc do miejsca, gdzie Berta obejmowała młodą Daisy, Marta spytała cicho, poruszona widokiem otaczających ją tyłu nieszczęśliwych twarzy:

- O co chodzi, Berto? Co się dzieje?

Ale Berta nie potrafiła nic powiedzieć. Potrząsnęła tylko głową i trzymając w objęciach drżącą dziewczynę, odprowadziła ją na bok. Mijając Martę, szepnęła:

- Daj spokój, kochana, lepiej chodźmy stąd wszyscy! Gdy Marta ruszyła za nią, domyślając się, że coś złego musiało pokrzyżować plany Daisy, wszędzie wokół ponownie zapanowało poruszenie.

Tom Atkinson chodził od jednej grupki do drugiej, łagodnie przesuując wszystkich ku wyjściu ze słowami:

- Idźcie do domu. Nic tu po was! - Był przeraźliwie blady i przygarbiony, jakby przygniotło go jakieś wielkie brzemie.

Martę minęło dwóch ciemno ubranych mężczyzn z posępnymi twarzami, niosących zwinięte nosze. Podążyła za nimi wzrokiem i mimowolnie postąpiła parę kroków naprzód. To, co zobaczyła, wstrząsnęło nią do głębi. Najwięcej osób skupiło się wokół maszyny Maggie Clegg - żwawej i wesołej dziewczyny, której przedzarka pokryta była teraz od góry do dołu przerażającymi, wielkimi plamami szkarłatnej krwi, rzucającej się w oczy na pokrytych białą bawełną szpulach. Z potężnych kół zębatych i wałków, które napędzały tę monstrualną konstrukcję, zwisały poszarpane pasma włosów, które jeszcze niedawno kruczoczarnymi puklami zdobiły głowę Maggie, a teraz, pozlepiane krwią, straszyły swoim widokiem.

Dwóch mężczyzn zbierało już to, co zostało z Maggie, z wzruszającą czcią zawijając jej ciało w jakiś kawałek płótna i kładąc na nosze. Gdy przechodzili obok Marty, nie zauważyła na noszach żadnych oznak życia. Dłuższy czas stała bez ruchu, oszołomiona tym, co się stało, nie mogąc oderwać szeroko otwartych oczu od tego bezwładnego zawiniątka. Obserwowała, jak wynoszą je z hali fabrycznej, a potem - oczyma wyobraźni - jak wędruje do stojącej gdzieś daleko karetki i odjeżdża, by spocząć w końcu w jakimś strasznym, ciemnym i zimnym miejscu, którego Maggie by nie znosiła. Cały czas miała w umyśle obraz pogodnej, tryskającej życiem twarzy Maggie Clegg i jej ciemnych, roześmianych oczu. Przez chwilę wydawało jej się nawet, że słyszy jeszcze jej wesoły okrzyk: „Zaśpiewaj nam coś, Marto!”, i Marta załkała, załkała tak, jakby miało jej pęknąć serce.

Gdy w końcu ruszyła do domu, wiedziała, że cokolwiek by się miało zdarzyć, nie może, po prostu nie może już nigdy wrócić do przedzalni Bainesa.

W tym samym czasie, gdy Marta oddalała się od tego ciemnego, ponurego wiktoriańskiego gmachu, Curt Ratheter opuszczał podobny budynek położony w odległym o jakieś trzydzieści mil Manchesterze. Patrząc na surową, wymizerowaną twarz Curta i jego wysoką, szczupłą postać, odzianą w to samo ubranie, w którym został aresztowany - brązowe sztruksowe spodnie, ciemnogrnatową kurtkę i koszulę w kratę - przypadkowy przechodzień mógłby go uznać po prostu za zwykłego, idącego do pracy robotnika. Gdyby jednak przyjrzał się bliżej blademu, wynędzniałemu obliczu, smutnym brązowym oczom i przygarbionym plecóm, pewnie szybko zmieniłby zdanie.

Przed skrzyżowaniem w boczną ulicę Curt zatrzymał się jeszcze, odwrócił i po raz ostatni spojrzął na wielką, żelazną więzienną bramę, za którą spędził ostatnie sześć lat - okropnych lat. Pamiętał dokładnie, tak jakby to było wczoraj, dzień, w którym go tu przywieziono. Z ciężkim sercem myślał wtedy o Marcie, a dzisiaj kochał ją równie mocno jak wówczas. Jego serce przepełniała miłość, ale i głęboki, dotkliwy żal. Począł chwilę, pozwalając nieco opaść dojmującemu uczuciu osamotnienia. Wiedział, że nie opuści go już ono do końca życia.

Wyszukał w kieszeni kopertę, wyjął z niej list, ostrożnie rozłożył i przeczytał po raz nie wiadomo który. List był od ojca, który opisywał, jak po rozwodzie Fran i Curta związał się z Fran ponownie, tym razem już na dobre. Pytał, czy Curt przyjechałby na ślub. I czy potrafiłby przebaczyć i zapomnieć. Nigdy! - pomyślał Curt. Ale przynajmniej w końcu uwolnił się od niej. Wyładowała na nim swoją złość, zrujnowała mu życie, a teraz to ostateczne upokorzenie! Jak mieli czelność przypuszczać, że w ogóle może brać pod uwagę udział w tej ceremonii?

No, ale do diabła z nimi! Jedno warte było drugiego. Cóż jednak pozostało jemu samemu? Zwolnili go z więzienia, lecz on nigdy już nie uwolni się od koszmaru, przez który stracił swoją Martę.

Przeczytawszy list ponownie, Curt opuścił bezwładnie rękę, a kartka zaczęła spadać na ziemię, skąd nagły podmuch wiatru uniósł ją hen w górę, aż zniknęła z pola widzenia.

Curt stał nieruchomo, z wyrazem powagi na twarzy, pogrążony w myślach. Po chwili rozejrzał się wokół siebie. Droga na prawo poprowadziłaby go daleko na południe, ku cegielniom w hrabstwie Bedfordshire i ku nowemu życiu. Na lewo biegła droga do Blackburn, gdzie - jak wiedział od cioci Bett - mieszkała Marta i jego dwie córki. Droga na wprost wiodła do Accrington i do Fran Ratheter.

Po długiej chwili bolesnego namysłu, czując, jak cała jego istota wyrywa się do Blackburn i do kobiety, o której pamięć trzymała go przy życiu przez ostatnie samotne lata, Curt wyprostował się, włożył ręce do kieszeni i z rozdzierającym westchnieniem ruszył w prawo.

Oszczędzał każdy grosz z mizernych zarobków, które otrzymywał przez ostatnie sześć lat. Nie było tego dużo, ale na początek wystarczy. Z każdym krokiem, oddalającym go od Marty, czuł jednak, jak wspomnienie o niej coraz głębiej zapada mu w duszę. Gdyby nie przypominał nieustannie sam sobie, że jest zamężna - pomimo iż ciocia Bett miała kiepskie zdanie o Bartym Bendallu - nogi same poniosłyby go pod drzwi Marty. Niestety, nawet gdyby była wolna,

nie wiadomo by było, czy wybaczyła mu to, na jakie cierpienie i upokorzenie naraził ją kiedyś. Sam zapracował na swój los wyrzutka i jeśli jakkolwiek męczyzna zasługiwał na miłość takiej kobiety jak Marta, z pewnością nie był to on.

Rozdział piętnasty

Wreszcie nadszedł ten wielki dzień - dzień, w którym nie sposób było uciszyć dzieci Bendallów. Tego wieczoru miało zostać rozpalone wielkie ognisko, które zgodnie z wieloletnią tradycją co roku przyciągało liczne rzesze okolicznych mieszkańców, wywabiając ich z zacisza domowych pieleszy. Niebo nad Lancashire miało się rozjarzyć jak wielka, płonąca pochodnia. Pomimo ostatnich wstrząsających wydarzeń - wypadku Toby'ego Humble, a potem biednej Maggie - po których Marta jeszcze nie całkiem doszła do siebie, nawet ona cieszyła się na myśl o zbliżających się atrakcjach. Poza tym beztroski śmiech dzieci zawsze łagodził smutki i podnosił na duchu. To zadziwiające - pomyślała Marta - o ileż lepszy wydaje się ten świat widziany oczami najmłodszych.

Tego ranka Marta była na nogach już od szóstej. Musiała przygotować śniadanie w swoim domu i dla rodziny Ady Humble, przypilnować, by wszyscy się umyli i ubrali, założyli skarpetki odpowiednią stroną na wierzch i każdy but na właściwą nogę, i żeby doprowadzili do ładu swoje zmierzwione czupryny. Była to kolosalna praca! Poza tym podjęła się nadzorować sprzątanie w domu Ady i zająć się praniem. Blackie okazał się bardzo odpowiedzialnym młodzieńcem i przejął obowiązki związane z prowadzeniem domu i opieką nad pięcioma młodszymi braćmi, mimo iż tęsknił za swoją mamą bardziej, niż ktokolwiek mógłby przypuszczać.

Biedny Toby Humble już od całych trzech dni zmagał się ze śmiercią, a jego załamana, wierna żona nie odstępowała go ani na krok. Siedziała przy szpitalnym łóżku, trzymając pulchną dłoń na jego nieruchomych, białych, spracowanych rękach, a jedyne, co można z niej było wydobyć, to pełne rozpaczyste stwierdzenie:

- To wszystko moja wina.

Powtarzała to nieustannie i nawet jej jaskrawoczerwony kapelusz sprawiał wrażenie blejszego i smutniejszego.

Gdy Marta weszła do tylnego salonu, powitała ją atmosfera ożywienia i ekscytacji. W odwiedziny przyszli dziadkowie Fletcherowie, którzy przyprowadzili ze sobą ciocię Bett, wielką, niezgrabną, pewną siebie kobietę. Jej twarz o wyrazistych rysach była zawsze radosna i pogodna, a przed jej bystrymi brązowymi oczyma, spoglądającymi spod strzechy szpakowatych włosów, nie mogło się nic ukryć. Taka rodzinna wyprawa na wielkie ognisko z okazji obchodów dnia Guya Fawkesa była dla niej niecodzienną atrakcją i jak wszyscy inni była niezwykle podekscytowana i ożywiona.

Bartuś zsunął się z wygodnego miejsca, jakie zajął na kolanach dziadka Fletchera, i w podskokach przemierzył pokój w kierunku matki, która właśnie wróciła z targu, gdzie za parę pensów kupiła trochę świeżych jarzyn.

- Mamo, mam, babcia i dziadek idą z nami na ognisko!

Marta porwała go w ramiona i pocałowała.

- To miło - powiedziała, postawiła go z powrotem na podłodze, po czym podeszła po kolei do dziadka Fletchera i do swojej matki, witając się z każdym z nich lekkim cmoknięciem w policzek. Ciocię Bert, kręcącą się nerwowo na krześle, obdarzyła dodatkowo serdecznym uściskiem, nie zapomniała bowiem, że starsza pani utrzymywała kontakt z Curtem, przekazując mu wiadomości. Powiesiła płaszcz i rozmasowała zmęczone ramiona.

- Polly, kochanie, idź się umyć i nie zapomnij o nogach! Lada chwila tata zjawi się tu na kolację. Lepiej, żeby nie zobaczył, w jakim jesteś stanie. - Potrząsnęła głową. - Dobry Boże! Przecież niecałą godzinę temu wyglądałaś jeszcze całkiem przyzwoicie.

- Mamo! Nie jestem już małym dzieckiem! Wiem, co mam robić - oburzyła się Polly. Nie pozwolono jej jednak odejść, dopóki nie wyjaśniła babci Fletcher, że razem z Florencją bawiły się w piwnicy w sklep.

Chwilę później od drzwi frontowych dobiegł zgrzyt niecierpliwie przekręcanego klucza. Babcia Fletcher zaczęła nerwowo zacierać ręce, a dziadek Fletcher przypatrywał jej się z ciekawością, aż w końcu wyrzuciła z siebie:

- Posiedźmy we frontowym salonie, kiedy Barty będzie jadł kolację. - Już miała się podnieść z krzesła, gdy Marta powstrzymała ją.

- Nie ma mowy, mam! Przecież Barty cię nie zje! - powiedziała z uśmiechem. Spłoszony wyraz twarzy babci Fletcher świadczył jednak dobitnie o tym, że się boi.

Marta domyślała się powodów zdenerwowania matki. Wiedziała, że mężczy ją myśl o Curcie Ratheterze. Głaszcząc jej rękę, powiedziała stanowczo:

- Wszystko w porządku, mamó, nie ma się czym przejmować.

Dziadek Fletcher nagle przycichł, a ciocia Bett wymówiła się czymś i zniknęła w kuchni.

W pokoju panowała ciężka atmosfera. Wszyscy wsłuchiwali się w dobiegające z korytarza złowieszcze odgłosy kroków Barty'ego Bendalla. Po chwili ukazał się w otwartych drzwiach i wszystkie oczy zwróciły się ku niemu.

Niewysoka, sztywna postać odziana była w gruby płaszcz, spięty w pasie nieprzyjemnie wyglądającą metalową klamrą, której jedno uderzenie mogłoby wyłupić komuś oko. Zielonymi oczyma omiół pokój i ściągnął brwi na widok wszystkich zgromadzonych.

- Co się tu, do diabła, dzieje? - rzucił, postępując krok do przodu z jeszcze groźniejszym wyrazem twarzy.

- Mama i tata przyszli zobaczyć dzisiejsze obchody. I przyprowadzili ze sobą ciocię Bett - dodała Marta z zadowoleniem.

- Jakie znowu, do cholery, obchody? - Wkroczył do pokoju, trzaskając drzwiami, po czym zdjął czapkę i płaszcz i zarzucił je na kołek na drzwiach.

- Chodzi o dzisiejsze ognisko w mieście - spróbował nawiązać rozmowę dziadek Fletcher. - Osobiście byłem za tym, żeby sobie to darować, ale wiesz, jakie są kobiety. - Zaśmiał się nerwowo pod groźnym spojrzeniem Barty'ego Bendalla.

- Ach tak? A ja myślałem, że starsza pani nie przepada za ogniskami. - Jego uszczypliwy ton stanowił dla dziadka i babci Fletcherów zupełnie jasny komunikat, iż nie mają co próbować włączać się do konwersacji. Barty ostentacyjnie odwrócił się do nich plecami, co wywołało cichy komentarz babci Fletcher:

- Nieokrzesany cham!

Marta, przyzwyczajona już do obyczajów Barty'ego Bendalla, wzruszyła jedynie ramionami, mówiąc:

- Pomogę cioci Bett i Florencji przy robieniu kolacji. Na te słowa Barty przemierzył błyskawiczne pokój i boleśnie chwycił nie spodziewającą się niczego Martę za ramię, aż zaparło jej dech w piersiach.

- Kto jest w tej cholernej kuchni? - zapytał gwałtownie, wbijając w Martę straszny wzrok. - No kto? Florencja, tak? Tak?! - Puścił ją i wpadł do kuchni. Marta bała się, że rodzice nie wytrzymają i wtrącają się, ale kiedy zobaczyła, że dziadek próbuje pomagać Bartusiowi w czytaniu komiksu, zrozumiała, że nie

ma on takich intencji. Babcia za to poczerwieniała jak piwonia, a jej zaciśnięte usta i gniewne spojrzenie niebieskich oczu zapowiadały, że lada chwila może wybuchnąć. Marta dała jej wzrokiem do zrozumienia, że nie powinna się wtrącać.

Nagle z kuchni dobiegł stek przekleństw, zakończony słowami:

- Niech to wszystko piekło pochłonie! Popychając przed sobą Florencję, Barty Bendall wyłonił się z kuchni, mówiąc:

- Idź na górę i zawołaj zaraz tego leniucha! I niech mi tu będzie migiem, do cholery! - Obracając się do Marty, wrzasnął: - Do diabła, żeby człowiek nawet u siebie nie mógł zaznać chwili spokoju! Dom pełen ludzi, kolacja niegotowa... - Rzucił zjadliwe spojrzenie cioci Bett, która z wyrazem gniewu i niesmaku na twarzy weszła do salonu i usiadła na krześle.

W drzwiach pojawiły się Florencja i Polly. Florencja wysunęła się naprzód, jakby chcąc jakoś osłonić siostrę, ale Polly odsunęła ją łagodnie na bok i stanowczym krokiem podeszła na odległość paru stóp do Barty'ego Bendalla, gdzie stanęła wyprostowana w wyzywającej pozie, patrząc na niego śmiało swoimi błękitnymi oczyma.

Przez chwilę, gdy Barty Bendall mierzył ją drapieżnym wzrokiem, w pokoju panowała martwa, złowroga cisza.

Nagle wszyscy aż podskoczyli z wrażenia, bowiem Barty Bendall niespodziewanie pochylił się nad dziewczynką i chrapliwym, drżącym od pasji głosem rzucił:

- Ty leniuchu! Ty gówniaro! Ty przebrzydły darmozjadzie!

Gdy Polly w odpowiedzi odwróciła się od niego z odrazą, wydał szaleńczy, przeraźliwy okrzyk i z rozmachem wymierzył jej swoim ciężkim roboczym buciorem kopniaka w plecy.

Ten nagły, niespodziewany cios sprawił, że Polly runęła na ziemię. Nie zdążyła osłonić głowy i padając uderzyła się o ostry kant stołu.

Nagle wszystko zaczęło toczyć się bardzo szybko. Przeszywający krzyk Marty przeszedł w rozdzierający szloch, gdy rzuciła się w kierunku Polly, która leżała bezwładnie na podłodze ze śmiertelnie bladą twarzą. Dziadek Fletcher natychmiast zerwał się na równe nogi i z głęboką dezaprobatą spojrział w oczy rozsierzonemu Barty'emu.

- Za kogo ty się masz, co, Bendall? - zapytał cichym, oskarżającym głosem.

Barty Bendall nie wyglądał jednak wcale na skruszonego i odpalił:

- Za kogo się mam? Za człowieka, który ma już po dziurki w nosie cholernych, uprzykrzonych bachorów i rozkapryszonych, wiecznie niezadowolonych kobiet ot co! - Obrzucając groźnym spojrzeniem otaczające

go nieprzyjazne twarze, dalej krzyczał i groził: - O co w ogóle ten krzyk, do diabła! Przecież ona tylko udaje! Jeśli zaraz nie wstanie, do cholery, to jeszcze oberwie ode mnie po tyłku pasem! - Widząc, że tym razem przebrał miarę, zerwał z drzwi czapkę i płaszcz i z hukiem wypadł na korytarz. - Zaczekam, aż otworzą ten cholerny pub! Może tam dostanę coś do zjedzenia! - krzyknął na odchodne, trzaskając drzwiami.

- Kochanie, ja nie wiedziałam, nie wiedziałam... - Babcia Fletcher pomogła Polly się podnieść. Okazało się, na szczęście, że nic jej nie jest, tylko lekkie zadrażnienie na czole.

- Nic mi się nie stało, babciu - mruknęła Polly, stawiając parę wolnych, ale pewnych kroków i zapewniając również matkę, że nie stała jej się żadna krzywda.

Z twarzą jeszcze mokrą od łez Marta wzięła dziewczynkę w ramiona i przez dłuższą chwilę po prostu tuliła ją do siebie bez słowa.

- Marto, kochanie, teraz widzę, jaki ciężki krzyż wzięłaś na swoje ramiona - powiedziała zszokowana ciocia Bett. - Usiądź sobie, moja droga. Ja i dzieciaki zaparzemy mocnej herbaty.

Marta, sama jeszcze głęboko poruszona, w milczeniu pomogła bladej i wstrząśniętej babci Fletcher zająć ponownie miejsce na krześle. Dziadek objął babcię opiekuńczym gestem, którego Marta już tak dawno u niego nie widziała. Przez dobrą chwilę jedynym dźwiękiem zakłócającym myśli obecnych, pogrążonych w cichej zadumie, było natarczywe tykanie zegara stojącego na obramowaniu kominka. Dopiero cichy, zawodzący szloch Bartusia, narastający szybko do spazmatycznego płaczu, wyrwał wszystkich z zamyślenia i skłonił Matę do interwencji, żeby nie zepsuło im to już całkiem tego wieczoru. Biorąc malca na rękę, oznajmiła:

- Jeśli zobaczę, że się pięknie uśmiechasz, może znajdę jeszcze jakieś dwa dodatkowe pensy na dzisiejszy jarmark.

Nie minęła minuta, a twarzyczka Bartusia rozjaśniła się pogodnym uśmiechem.

Obchody miały się zacząć o siódmej i wreszcie wszyscy byli gotowi do wyjścia. Z domu Bendallów wysypała się na ulicę przejęta i rozgadana gromada. Całe szczęście, pomyślała Marta, że para życzliwych sąsiadów zaofiarowała się zabrać ze sobą na jarmark chłopaków Humble'ów. Zatrzymała się przez chwilę myślą nad biedną Adą, mając nadzieję, że wszystko dobrze się skończy.

- Polly! Zaczekaj na mnie! - Słyszając głos Bridget, Polly odwróciła się i zatrzymała, żeby poczekać na swoją małą przyjaciółkę. - Och, Polly, jak ja się cieszę! Będzie świetnie! Jeszcze nigdy nie byłam na czymś takim!

Rodzice Marty poszli przodem razem z dziećmi, natomiast ciocia Bett została nieco z tyłu, razem z Martą. Nikt nie zauważył, jak wetknęła Marcie do ręki małą karteczkę. Nie zamieniły ani słowa, ale Marta dostrzegła wymowne spojrzenie, jakie posłała jej ciocia Bett. Skinawszy głową, zacisnęła dłoń na zwitku i ukradkiem wsunęła go do kieszeni j płaszcza, gdzie miał pozostać do czasu, aż będzie mogła go przeczytać w jakimś ustronnym miejscu.

Gdy babcia Fletcher odwróciła się i zobaczyła ożywioną, uśmiechniętą twarz Marty, uznała, że to pewnie z powodu tych wszystkich atrakcji, które czekały ich na jarmarku. Tylko Marta i ciocia Bett znały prawdziwy powód tego szczególnego blasku, który teraz promieniował z pięknych oczu Marty.

Jarmark! Mamusiu! Słyszę jarmark! Czuję pieczone ziemniaczki! - Bartuś prawie nie dotykał stopami ziemi, skacząc i brykając, przechylając główkę w małej czapeczce, żeby usłyszeć w podmuchach wiatru dochodzące z oddali metaliczne, rytmiczne dźwięki. We właściwy dzieciom, cudowny sposób Bartuś szybko wymazał z pamięci wcześniejszą nieprzyjemną scenę. - Och, mam, proszę - nalegał. - Proszę, pozwól mi się przejechać na konikach.

Florencja dołączyła się do tych próśb:

- Tak, i czy możemy jeszcze kupić sobie pieczonych kasztanów? - błagała.

- Zobaczymy - zaśmiała się Marta, pocierając palcami odcisnięte miejsce, gdzie zazwyczaj, choć bez szczególnego entuzjazmu, nosiła ślubną obrączkę. Dzięki Bogu, że Barty niczego nie zauważył. Przebiegł ją dreszcz zgrozy, gdy wyobraziła sobie, jak mógłby zareagować, gdyby dowiedział się, że zastawiła obrączkę. Billy z lombardu zaproponował jej za nią niezłą sumkę - dzięki tym czterem szylingom dzieci długo będą wspominać ten wieczór. Marta była zdecydowana uprzyjemnić im trochę życie, choćby miała na to wydać ostatnie pieniądze, jakie jeszcze miała do dyspozycji. Odzyskanie obrączki będzie prawie niemożliwe, ale nad tym problemem będzie się głowić, gdy przyjdzie na to czas.

Choć miała nadzieję, że wszystko będzie dobrze i że będą mogli do woli nacieszyć się czekającymi ich atrakcjami, ani na chwilę nie dawało jej spokoju wspomnienie upadku Polly i jej uderzenia głową o stół. Chociaż Polly przekonywała ją, że nic jej się nie stało, Marta nie mogła jakoś w to uwierzyć. Jednak na jakiś czas odepchnęła od siebie te obawy i niepokoje, zdecydowana nie pozwolić, żeby to wydarzenie zepsuło wieczór dzieciom czy gościom.

Gdy zaczęli się już zbliżać do pustego terenu, na którym miało zostać rozpalone ognisko, dobiegły ich odgłosy wydawane przez dziadka Fletchera - sapał jak stary parowóz próbujący ruszyć z jakiejś górskiej stacji. Zacierał przy tym energicznie dłonie i klaskał dla rozgrzewki. Stary wełniany szalik owinał szczelnie wokół postawionego kołnierza. Spod starej czapki wystawał jedynie zaczerwieniony, okrągły nos i sumiaste, siwiejące wąsy. Idąc charakterystycznym, kołyszącym się krokiem, machnięciem ręki dał wszystkim do zrozumienia, żeby się pośpieszyli. Babcia Fletcher otuliła się szczelniej szalem i od razu przyśpieszyła kroku, szeleszcząc sięgającą jej do kostek spódnicą. Podkute chodaki wydawały charakterystyczny, głośny stukot.

- Nie popędzaj nas! - zwróciła się do męża z pewnym zniecierpliwieniem. - Niczego nie przegapimy, nie bój się! - Była już porządnie zasapana i nieco zdenerwowana szybkim tempem marszu.

Zbliżali się coraz bardziej do źródła narastającego z każdą chwilą hałasu i jasnych świateł, wypełniających niebo różową poświatą. Nagle wszyscy zaczęli coś mówić, jeden przez drugiego. Gdy skręcili za róg w ulicę Ainsworth, oczom ich ukazało się barwne widowisko, zupełnie jakby podniesiono kurtynę w jakimś wielkim teatrze, tylko że tu wszystko działo się naprawdę!

Przypatrująca się całej tej ruchliwej scenerii Marta usłyszała też dźwięki muzyki i przepełniły one jej duszę radością. Cały teren przybrany był migającymi lampkami, a ze wszystkich stron dobiegało nawoływanie straganiarzy, starających się przyciągnąć uwagę przechodniów. Nie było żadnego oficjalnego wejścia na jarmark, ale kierunek poruszania się wyznaczony był przez sam układ straganów i podestów tworzących alejki, w których ustawili się oferujący swoje usługi najprzeróżniejsi przedsiębiorczy i nieraz niezwykle barwni osobnicy. W strategicznym punkcie przy rozrządzeniu, gdzie stragany rozchodziły się na obie strony, ulokował się mały, zasuszony człowieczek ze swoją katarynką, tak że nikt, kto zmierzał z ulicy Ainsworth ku centrum całego jarmarku, nie mógł go nie zauważyć.

- Dobry wieczór wszystkim, starym i młodym! - nawoływał dziwnie drażniącym ucho, piskliwym głosem, który wydawał się idealnie pasować do jego drobnej postury i chochlikowatego wyglądu. Cała rodzina Marty przystanęła, zafascynowana tym niezwykłym widokiem.

- Mamo! Spójrz tylko! - głos Polly drżał w dzieciennym zachwycie. - To jest małpka! - Wypowiedziała te słowa z takim niedowierzaniem, że inni tym skwapliwiej przyjrzeni się stojącej przed nimi dziwnej parze.

- Tak jest, moja droga. Patrzysz na najzmyślniejszą małpkę w całym Lancashire! - Zasuszony człowieczek podszedł bliżej z małpką przycupniętą na

jego kościstym ramieniu i na dziwaczną parę padło światło stojącej na pobliskim rogu latarni. Marta nie mogła oprzeć się myśli o uderzającym podobieństwie pomiędzy małpą a jej pomarszczonym właścicielem. Oboje byli chudzi i kościści i nawet wesoła czerwona czapeczka nasadzona zawadiacko na głowę małpki była identyczna jak nakrycie głowy mężczyzny. - Mówię wam - ciągnął skrzekliwym głosem - w całym Lancashire, a może i na całym świecie, nie ma drugiej małpy, która by potrafiła wyczyniać takie sztuczki jak mój Jasper! - Pociągnął za smycz, na której była uwiązana małpka, i zwierzątko z głuchym plaśnięciem wylądowało miękko na ramieniu Polly, która aż podskoczyła, czując na sobie dotyk ruchliwych łapek. Małpka odbiła się znów od jej ramienia i głośno trajkocząc przeskoczyła na katarzynkę.

- A drugiej takiej katarzynki nie znajdziecie nigdzie! - zaśmiał się człowieczek, preżąc dumnie zapadłą pierś. Trajkocząca małpka, chcąc najwidoczniej udowodnić prawdziwość chełpliwego oświadczenia swojego pana, chwyciła za korbę i zaczęła nią wielce dostojnie kręcić. Z katarzynki popłynęła piękna melodia - pogodna, wesoła i równie malownicza jak sam instrument. Marta nigdy jeszcze nie widziała takiego urządzenia - w kształcie miniaturowego pianina ponadmetrowej wysokości, było obwieszane różnobarwnymi, poskręcanyymi girlandami. Cała konstrukcja poruszała się na dwóch wielkich kołach, pomalowanych w jaskrawozielone pasy i ciemnopomarańczowe romby.

Podniecony Bartuś nie posiadał się ze szczęścia.

- Och, mamó! Mamó! Chcę ją potrzymać, chcę ją potrzymać! - krzyczał podskakując do góry i wymachując w powietrzu rękami.

- Czy w ogóle jest coś, czego nie chcesz robić? - spytała Marta ściskając czule jego rączkę.

- Oczywiście, że możesz ją potrzymać, synu. Wyciągnij tylko ręce i zawołaj ją po imieniu - Jasper.

Gdy Bartuś posłuchał jego rady, zasuszony mężczyzna szarpnął za smycz Jaspiera. Niestety, gdy małpka wylądowała w wyciągniętych ramionach Bartusia, dla chłopca było już tego wszystkiego za wiele. Zamknął mocno oczy i wydał tak przeraźliwy krzyk, że wszyscy sądzili, iż został ugryziony! Przerazona małpka wystrzeliła w powietrze jak z katapulty i śmignęła nad głową Florencji, szukając bezpieczeństwa w ramionach swego pana.

Wcisnąwszy wychudzonemu katarzyniarzowi dwa duże, błyszczące pensy, babcia Fletcher poprowadziła ich dalej, w głąb terenu jarmarcznego.

- No chodźcie już! Inaczej cały wieczór nam ucieknie, a ja nie mogę się doczekać jazdy na karuzeli.

Myśl o babci Fletcher mknącej ze świstem w powietrzu na drewnianym koniu wydała się wszystkim tak zabawna, że zaczęli się pokładać ze śmiechu.

- No to pośpieszmy się! Coś takiego muszę obejrzeć na własne oczy! - zareagował żywo dziadek Fletcher, wyobrażając sobie tę sytuację.

- Witaj, Marto. Nie ma z tobą Barty'ego? - Jim Rawlinson, krzepki ładowacz węgla, był dość przyzwoitym facetem, choć znany był w Blackburn z tego, że jak sobie popił, lubił czasem narozrabiać. Marta uznała, że im mniej mu powie, tym lepiej.

- Nie, dziś wieczorem nie. Może potem do nas dołączy.

- Ach tak. A ty będziesz śpiewać, prawda?

- Tak, ale trochę później.

- W każdym razie nie pójde do domu, dopóki cię nie Usłyszę. Na razie, dziewczyno.

- Na razie, Jim. Powiem Barty'emu, że o niego pytałeś.

- Facet wygląda na niezłe ziółko! - wyraziła swoją opinię babcia Fletcher, patrząc, jak się oddala.

- Biedny Jim. Wszystko przez to picie. Tak naprawdę nie jest taki zły - powiedziała Marta do matki.

Stali teraz przy wielkiej ciężarówce, służącej też jako stacja nadawcza, z której głos konferansjera docierał do wszystkich zakątków rozległego terenu. Tu właśnie

miał być nagłaśniany głos Marty, żeby wszyscy, którzy przybyli na jarmark, mogli ją usłyszeć. Mężczyzna i kobieta, zajęci instalowaniem rozlicznych urządzeń porzucanych na ciężarówce, rozpoznali Martę i odwrócili się w jej kierunku. Mężczyzna miał pospolitą, niczym nie wyróżniającą się twarz, natomiast kobieta przyciągała wzrok swoim wyglądem. Silny, charakterystyczny dla hrabstwa Lancashire akcent zupełnie nie pasował do jej powierzchowności, miała bowiem śniadą cerę i strzechę kędzierzawych, kruczoczarnych włosów - widok w tych stronach rzadko spotykany. Głos miała donośny i szorstki, ale przebijała z niego szczerłość i życzliwość.

Podchodząc do tylnej części platformy, głośno krzyknęła:

- Marto, kochanie, wejdź no tu szybko i wypróbuj ten mikrofon! Nie możemy go jakoś opanować. Nic tylko piszczy przeraźliwie cały wieczór!

- Ale co ja wiem o mikrofonach i w ogóle o elektryce, Sal - zaprotestowała Marta.

- Nie o to chodzi! Nie musisz się na niczym znać. My to już uregulujemy. Wejdź tylko tutaj i powiedz coś do mikrofonu, żebyśmy mogli ustalić poziom

natężenia głosu. - Zauważyła, że Marta patrzy niepewnie na resztę rodziny. - Hej, niech wszyscy tu wejdą! Im więcej, tym weselej - zachichotała.

- Nie, mam! Nie chcę wcale tam wchodzić! - zaproponowała Polly. - Czy możemy z Bridget rozejrzeć się po okolicy? Zjawimy się, jak zaczniesz śpiewać.

Marta uznała, że minie jeszcze co najmniej godzina, zanim przyjdzie czas na śpiewanie, a bardzo chciała najpierw obejrzeć ze wszystkimi cały jarmark. Namacała schowaną w kieszeni karteczkę. Musi jeszcze koniecznie znaleźć jakąś spokojną chwilę, żeby przeczytać liścik od cioci Bett.

- Naprawcie to jakoś sami, Sal - zdecydowała. - Ja się jeszcze trochę przejdę, żeby pokazać wszystko dzieciom. Dacie sobie chyba radę, prawda?

Na twarzy kobiety pojawił się szeroki uśmiech:

- No to idźcie... Zawołam cię przez głośniki, kiedy będziemy gotowi. - Odwróciła się i zanurzyła ponownie w plątaninę kabli, przewodów i porozrzucanych wszędzie konstrukcji.

- Och, mam! - jęknęła Polly - chciałam się przejść sama!

- Nigdzie nie pójdziesz sama! - Marta uznała, że Polly jest jeszcze o wiele za młoda na taką przygodę. Ale ciocia Bett, chwytając dziewczynkę za rękę, wystąpiła z jeszcze inną propozycją.

- My, starzy, zaopiekujemy się najmłodszymi - powiedziała. - Chyba tak będzie dobrze, prawda?

- Tak jest - zaaprobowała tę sugestię babcia Fletcher i sprawa była przesądzona. Marta miała pójść z Polly i Bridget, a dziadkowie z ciocią Bett mieli się zająć dwójką malców.

Gdy rada miejska Blackburn organizowała coroczne obchody dnia Guya Fawkesa, to odbywały się one z rozmachem. Marta miała wrażenie, że wszystkie kąty i zaułki pękają w szwach. Nigdy jeszcze, jak sięgała pamięcią, nie widziała tu tylu ludzi i tylu przekupniów, zachwalających najprzeróżniejsze towary albo nawołujących do podekscytowanych, przelewających się tłumów:

- Podejdźcie i spróbujcie swoich sił!

Były tu strzelnice, gra w łapanie złotej rybki, wata cukrowa, stragany z jabłkami oblewanymi masą toffi, różne gry zręcznościowe i wiele innych atrakcji.

Na placu pośrodku całego tego terenu porozwieszane były niezliczone, długie na setki metrów zwoje kabla, z których zwisało mnóstwo różnobarwnych żarówek.

W samym środku placu widniał olbrzymi stos - to tutaj właśnie niedługo miało zapłonąć oczekiwane niecierpliwie wielkie ognisko. Wyglądało to

niezwykle. Stos miał ponad sześć metrów wysokości, a jego obwód u podstawy był z pewnością większy od obwodu małego domku babci Fletcher. Jeśli ktoś wyciągnął szyję, żeby spojrzeć na szczyt tej góry drewna, szmat, papieru, starych mebli i przeróżnych rupieci, które mogły dać pożywkę płomieniom, w nagrodę czekał go widok niesamowitego Guya Fawkesa, umieszczonego na samym szczycie stosu na obszernym drewnianym tronie. Wielka kukła królowała nad okolicą, spoglądając władczo w dół na podziwiających ją gapiów.

Jego dumne panowanie skazane było jednak na rychły koniec, bowiem w ciągu najbliższej godziny wszystko - zarówno on, jak i jego monstrualna twierdza - miało się obrócić w rozżarzony popiół. Jednak wyniosłe szmaciane oblicze Fawkesa nie zdradzało żadnych oznak niepokoju, a raczej dumną satysfakcją, że choć przez jeden dzień był królem.

Gdy Marta i dziewczęta przystały, żeby spojrzeć na stos ponad sznurową barierą, przeciągniętą z myślą o bezpieczeństwie widzów i dla powstrzymania ewentualnych rabusiów, Polly wpadła w cichą zadumę, wpatrując się z fascynacją w Guya Fawkesa.

Obserwując skupioną twarz córki, Marta zastanawiała się, co też może zaprzętać jej myśli. Podążyła wzrokiem za jej spojrzeniem, skierowanym na szczyt wielkiego stosu, ku ciemnej ofiarnej postaci, siedzącej na śmiertelnym tronie, i przez ułamek sekundy wydawało jej się, że namalowane oblicze kukły, której beznamiętne oczy spoglądały na nich w wyrazie wzdrgniętego potępienia, do złudzenia przypomina twarz Barty'ego Bendalla. Przyszło jej do głowy, że Polly może mieć identyczne skojarzenie.

- Chodź, kochanie - powiedziała, kładąc dłoń na ramieniu córki - jeszcze jest dużo do zobaczenia.

Polly odwróciła się do matki, niby przytomna, ale puste spojrzenie wskazywało, że myślami błądzi gdzieś bardzo daleko.

- Przepraszam, mamó. Zamyśliłam się tylko. - Przebiegł ją dreszcz i nagle przyspieszyła kroku, ciągnąc za sobą Martę. - Chodźmy zobaczyć, po ile jest wata cukrowa - powiedziała. Podeszły szybko do stoiska ze słodyczami, gdzie wokół obracających się bębnow z różową watą cukrową unosiła się słodka woń. Marta stanęła obok, zadowolona, że dzieci się dobrze bawią. Nawet teraz nie odważyła się jednak wyjąć z kieszeni listu, w obawie, że jeśli Polly coś zauważy, będzie musiała odpowiedzieć na parę kłopotliwych pytań. Jeszcze zdążyła, pomyślała.

Tok jej myśli przerwały odgłosy ożywionej dyskusji, która wywiązała się obok.

- Ile za jeden rzut? - pytała Polly kobietę oferującą grę w rzucanie pierścieniami.

- Trzy pierścienie za pensa! - wykrzyknęła tłusta kobieta grubym głosem. - No dalej, nie wstydz się. Spróbuj szczęścia!

- Wezmę trzy - Polly wyciągnęła rękę z monetą, którą kobieta zręcznie pochwyciła, po czym podała jej trzy pierścienie wielkości talerzy. W pewnej odległości umieszczone były małe drewniane pudełka, na których leżały nagrody. Ze środka każdego pudełka wystawał długi gwóźdź. Nagrodę przyznawano wtedy, gdy rzucony pierścień trafiał na gwóźdź, a następnie opadał na ziemię w taki sposób, że pudełko znajdowało się całkowicie w jego obwodzie. Problem polegał na tym, że średnica pierścienia była niewiele większa od przekątnej drewnianych pudełek i w związku z tym bardzo rzadko zdarzało się, by ktoś coś wygrał. Ale natura ludzka jest taka, że w pobliżu zawsze gromadziło się wielu chętnych, chcących udowodnić, że są zręczniejsi od innych.

Marta obserwowała, jak Polly ogląda zestaw nagród, wśród których były zegarki, paczki Woodbine'ów i małe stosiki miedziaków. Gdy wzrok Polly padł na sporą kupkę błyszczących trzypensówek, na jej przejętej twarzy pojawił się zacięty, zdecydowany wyraz.

- Polly - Marta jakby czytała w jej myślach - to ci się nigdy nie uda!

Bridget też podążyła za spojrzeniem Polly i podzieliła tę opinię.

- Jest za daleko - powiedziała - i popatrz tylko, jakie duże jest to pudełko. To oszukaństwo!

Kobieta o grubym głosie cofnęła się, aby Polly mogła bez przeszkód ocenić sytuację. Na jej zadowolonej, pulchnej twarzy rysowała się całkowita pewność, że ta szczupła, jasnowłosa dziewczynka odejdzie z pustymi rękami.

- Spokojnie, moja droga. Nie musisz się śpieszyć - powiedziała, cofając potrójny podbródek i splatając na piersiach grube ramiona. Wygląda jak Budda, pomyślała Marta.

Polly przeniosła pierścienie do lewej ręki i zacisnęła na nich palce, a potem podeszła bliżej, aż jej wyprężone ciało dotknęło barierki. Przez długą, ciągnącą się w nieskończoność chwilę skupiła spojrzenie przymrużonych oczu na pudełku z trzypensówkami. Cała zamarła w idealnym bezruchu i wydawało się, że ustał nawet jej oddech. W końcu powoli i w najwyższym skupieniu wzięła jeden z pierścieni w prawą rękę i podniosła ramię, mierząc do wybranego pudełka. Pierścień śmignął w powietrzu i pięknym łukiem poszybował prosto do celu, gdzie ku zdumieniu wszystkich wylądował dokładnie tak, jak trzeba!

Przez chwilę panowała pełna niedowierzania cisza i gdy wreszcie zgromadzeni zdali sobie sprawę z tego, co się stało, wszyscy naraz zaczęli krzyczeć z radości.

- Hej, udało jej się! Do diaska, udało jej się!

- Nie chce mi się wierzyć! Sam widziałem, ale nie mogę uwierzyć!

- No, paniusiu! Dzisiaj przegrała pani z kretesem! Proszę dać dziewczynie nagrodę!

Pyzata twarz zbliżyła się do Polly, stężale rysy pełne były urazy.

- Słuchaj no, próbowałaś tego już kiedyś? - zapytała kobieta, najwyraźniej szukając pretekstu, żeby nie wydać nagrody.

- Nie, nie próbowała! - Marta wystąpiła w obronie córki: - Niech pani lepiej da jej tę nagrodę bez dąsów! - Rozpierała ją uzasadniona duma z wyczynu Polly i nie miała zamiaru stać i przysłuchiwać się, jak ktoś ten sukces pomniejsza.

- Ej, paniusiu! Co pani do diabła kombinuje! Dziewczyna wygrała uczciwie!
- dobiegły z tyłu protesty.

- Właśnie. Płacić i tyle, do cholery! - Zewsząd rozlegały się głosy rozsierzonego tłumu. Polly spojrzała kobiecie prosto w oczy i powiedziała spokojnie:

- Nie, proszę pani, nigdy jeszcze tego nie robiłam. Ale nawet gdyby tak było, nie miałyby to żadnego znaczenia. - Opanowany i stanowczy ton jej głosu ostudził emocje tłumu. Wrzaski ustąpiły miejsca pomrukom:

- Tak jest!

- Jasne, że to nie ma żadnego znaczenia! Kobieta o grubym głosie szybko zdała sobie sprawę, że niepotrzebnie okazuje urazę na oczach tłumu potencjalnych klientów.

- Proszę bardzo, kochanie, dobrze się spisałaś i oto twoja nagroda. - Gdy Polly wzięła kupkę trzypensówek, w tłumie rozległy się okrzyki gorącej aprobaty.

- Kupię ci coś specjalnego - powiedziała do Marty Polly.

- Naprawdę, kochanie? - uściskała ją Marta. - To miło z twojej strony.

Chwilę później rozległ się komunikat:

- Mam nadzieję, że wszyscy państwo dobrze się bawicie tego pięknego wieczoru. Mamy... bardzo... wiele... atrakcji dla... państwa... te...

Rozległo się ruskie buczenie, po czym głos odezwał się ponownie, tym razem już całkiem wyraźnie:

- Przepraszamy. Już naprawiliśmy usterkę i wszystko jest w porządku! No więc, jak mówiłem, aby państwa zabawić, przygotowaliśmy na dzisiejszy

wieczór wiele ciekawych konkursów i innych punktów programu. Minie jeszcze godzina, zanim nikczemnego Guya Fawkesa spotka zasłużony koniec, więc do tego czasu proszę bawić się dobrze na naszym jarmarku. Po ognisku kończymy i z tej przyczepy będą wydawane napoje. Nie rozchodźcie się więc państwo, bowiem za chwilę umili nam czas swoim pięknym śpiewem ktoś, kogo wielu z was zna i lubi - Marta Bendall! Zacznie już za dziesięć minut. Marto, nie zapomnij - dziesięć minut!

Serce Marty urosło z dumy, gdy usłyszała, jak wszyscy bez wyjątku zaczęli wokół niej wiwatować, wołać jej imię i domagać się różnych piosenek. Kazała Polly i Bridget zostać w świetle lampy obok straganu, gdzie stały, żeby nie mieć potem trudności z ich odnalezieniem, i ruszyła z powrotem do ciężarówki, torując sobie drogę pośród tłumu. Za plecami usłyszała jeszcze parę słów z rozmowy dziewcząt:

- Nie wiedziałam, że twoja mama potrafi śpiewać.

- Nikt nie śpiewa tak pięknie jak moja mama, Bridget!

Chowając się w cieniu wielkiego samochodu, Marta weszła pomiędzy szoferkę a platformę i wyjęła z kieszeni kartkę od cioci Bett. Miejsce było dość ciemne, więc przesunęła się w wąską smugę światła, padającego z pobliskiego namiotu, gdzie odbywały się zapasy. Ciekawe, czy to od Curta, pomyślała. Jeden rzut oka na charakterystyczne pismo upewnił ją, że to rzeczywiście list od niego. Zamyknęła oczy i z drżącym sercem przycisnęła karteczkę do ust. Gdy zaczęła czytać, ogarnęło ją wielkie szczęście, ale też i wielki lęk.

Oto co przeczytała:

Moja ukochana, najdroższa Marto,

Jakże trudne i samotne były wszystkie te lata! Bóg jeden wie, jak wytrzymałem bez Ciebie ciągnące się w nieskończoność godziny, bo ja sam nigdy tego nie pojmem. Najtrudniejszą rzeczą było opanowanie pragnienia, by Cię ujrzeć od razu po wyjściu z więzienia. Dzięki cioci Bett wiem o wszystkim, co działo się z Tobą przez te lata. Kiedy dowiedziałem się, że wyszłaś za Barty'ego Bendalla, szalałem z wściekłości i dzikiej zazdrości, ale potem opamiętałem się i poczułem wielką wdzięczność za to, że znalazłaś kogoś, kto gotów był kochać Ciebie i dzieci i otoczyć Was opieką. Mimo to jednak myśl o Tobie w objęciach innego mężczyzny doprowadzała mnie niemal do szaleństwa! Och, Marto, czy Twoje serce będzie kiedykolwiek zdolne przebaczyć komuś tak lekkomyślnemu i słabemu jak ja? Zamierzałem opuścić Lancashire nie widząc Cię, ukochana, lecz nie potrafię! Czy widzisz, jaki nadal jestem słaby? Ale jeśli tak jest, to dlatego, że tak bardzo Cię kocham, najdroższa. Kiedy będziesz dzisiaj występować, śpiewaj dla mnie, bo przyjdę

tu, żeby Cię zobaczyć i usłyszeć. Bądź szczęśliwa w swoim małżeństwie. Zapomnij o mnie, mimo iż ja nigdy nie będę w stanie zapomnieć o Tobie i zawsze będę Cię kochał! Niech Bóg ma w opiece Ciebie i nasze córki.

Twój na wieki, Curt.

Przez długą chwilę Marta stała w mroku z kartką przyciśniętą do piersi, czując, jak zawarte w niej słowa mącą jej zmysły. Po twarzy popłynęły jej gorzkie łzy. Serce przepęłniała jej wielka czułość, a jednocześnie odczuwała straszną pustkę. Po chwili, gdy już się nieco opanowała, schowała list do kieszeni i wyszła z ukrycia.

- Już się niepokoiłam! - powiedziała Sal, pomagając Marcie wejść na ciężarówkę.

- Przepraszam - odparła Marta, stając przed mikrofonem - zapomniałam, która godzina.

Ciężarówka była przystosowana do obsługiwanego tego rodzaju imprez - boczna ścianka platformy wyposażona była w rząd zawiasów, co umożliwiała opuszczanie jej w dół. Publiczność mogła więc bez przeszkód obserwować Martę i ona też mogła ze swojego miejsca dobrze widzieć całe otoczenie. Marta zaczęła mówić do zgromadzonych ludzi, z całej siły starając się skupić na tym, co ma robić.

- Zaśpiewam wszystkie wasze ulubione piosenki, ale najpierw, jeśli nie macie nic przeciwko temu, zaśpiewam coś specjalnie dla... drogiego przyjaciela, który jest tu dzisiaj z nami. - Jeśli Curt rzeczywiście był gdzieś tam między ludźmi, chciała, żeby wiedział, że przeczytała jego list. Piosenka Danny Boy była jego ulubioną. - Wiem, że ta piosenka jest mu bardzo bliska - powiedziała. I przypominając sobie, jak mu ją nieraz nuciła, dodała: - Mnie też.

W wieczornym powiewie popłynęły dźwięki muzyki i chwilę później dołączył do nich czysty, śpiewny głos Marty, dopasowując się harmonijnie do melodyjnego rytmu. Wkrótce jej głos bez wysiłku wybił się na pierwszy plan, poruszając wszystkie serca i otwierając je na płynące zeń uczucie. Ogarniając wzrokiem morze wpatrzonych w nią twarzy, Marta dostrzegła pośród nich rzucający się z daleka w oczy charakterystyczny czerwony kapelusz. Serce boleśnie ścisnęło jej się w piersi, bowiem zauważyła na nim szeroką, czarną wstążkę, wyróżniającą się przeraźliwym akcentem na tle jaskrawego szkarłatu. Głos zadrżał jej przez chwilę, gdy spojrzała na naznaczoną nieszczęściem twarz Ady Humble. Z patrzących na Martę małych, okrągłych oczu, pozbawionych zupełnie swojego zwykłego blasku, wyzierał bezbrzeżny smutek. Marta poczuła, że nie potrafi już pomieścić w zbolałym sercu wszystkich tych uczuć i

ły popłynęły jej po twarzy. Toby'ego już nie było - oblicze Ady przemawiało bez słów.

Wszyscy dobrze znali pełne ekspresji słowa piosenki Danny Boy, ale nigdy jeszcze nie słyszeli, by ktoś śpiewał ją w taki sposób. Piosenka stała się opowieścią, i ta opowieść tchnęła życiem, a głos Marty nigdy nie brzmiał tak cudownie jak teraz.

Na parę drogocennych chwil czas cofnął się i serce każdego ponownie zalała radość z trzymania w objęciach ukochanej osoby. Niejeden z obecnych wspominał też rozpacz, jaka ścisnęła serce, kiedy tej osoby zabrakło.

Wśród czterystuosobowej publiczności zapadła cisza jak makiem zasiał. Nawet właściciele straganów przestali nawoływać i zatrzymano wszystkie hałasujące w pobliżu urządzenia. Uwaga wszystkich skupiła się na wspaniałym głosie Marty. W ten chłodny wieczór natchnione słowa śpiewanej przez Martę pieśni roztoczyły wokół oczarowanych słuchaczy łagodne ciepło.

- Wróć tu, gdy lato zagości na łące albo w dolinach biały spocznie śnieg. - Jej piękny, czysty głos rozbrzmiewał teraz na tle innych głosów, bowiem stopniowo zgromadzeni zaczęli przyłączać się do śpiewu, aż w końcu potężny chór słyhać było z odległości wielu mil. - Ja czekam cię, czy słońce jest, czy słońce - mój Danny Boy, och, jakże kocham cię...

Dla Marty „Dannym” mógłby być Curt, mógłby nim być Toby Ady - nigdy dotąd słowa tej piosenki nie poruszyły jej aż tak głęboko. Gdy smutnym wzrokiem spoglądała na wzniesione ku niej twarze, widok jeszcze jednej postaci ścisnął jej serce żalem. Był to stary człowiek, wyglądający na osamotnionego, mimo otaczających go ludzi. Stał zagubiony we wspomnieniach, nie kryjąc łez spływających po naznaczonej cierpieniem twarzy. Ale z jego rysów przebijała też jakaś wielka godność, nadająca im wyraz wyjątkowego piękna. Marta pomyślała, że i on pewnie wspomina jakąś ukochaną osobę, którą utracił.

Gdy przebrzmiały ostatnie dźwięki pieśni, tłum stał przez chwilę urzeczony, po czym ciszę przerwały odgłosy owacji, dobiegające z niezliczonych, ściśniętych wzruszeniem piersi. Pośród entuzjastycznych okrzyków i gwizdów wszyscy, jeden przez drugiego, wyrażali zachwyt, domagając się więcej.

- Niech cię Bóg błogosławi, kochana!

- Jeszcze jedną piosenkę, Marto!

- Jeszcze, kochanie! Cały wieczór przed nami!

Marta zaśpiewała jeszcze dwie piosenki i szybko zeszła z ciężarówki, żeby poszukać Ady. Dowiedziała się jednak, że Blackie zabrał ją z powrotem do

szpitalnej kaplicy, gdzie chciała jeszcze przez chwilę побыć ze swoim ukochanym Tobym.

Szukając Ady, Marta przez cały czas rozglądała się za Curtem, ale nie mogła go nigdzie dojrzeć. Za to on ją widział i musiał najwyższym wysiłkiem woli powstrzymać się, żeby nie podbiec do niej i nie porwać jej w ramiona. Zostawiał tu swoje serce, a nie sądził, że jeszcze kiedykolwiek tu wróci. Marta miała swoje życie i on też musi pójść swoją drogą, tak jak zamierzał, zanim zobaczył się z ciocią Bett. Teraz przyspieszył kroku, żeby nie ulec pokusie i nie zmienić postanowienia.

- Twoja mama! Nie mogę w to uwierzyć. Dlaczego nie występuje na scenie?

- Bridget nie mogła jeszcze ochłonąć z wrażenia po występie Marty.

- Kiedyś ją o to spytałam - powiedziała Polly, nie posiadając się z dumy. - Powiedziała, że Bóg dał jej taki głos, żeby śpiewała dla przyjaciół i bliskich.

- Ale mogłaby być bogata.

- Mama mówi, że jeśli ma się serce pełne miłości, to zawsze jest się bogatym.

- Nie rozumiem tego!

- Ja też nie - twarz Polly zdradzała pewne zakłopotanie - ale wiesz Bridget, pewnego dnia będę w stanie dać mamie wszystko, czego zapagnie. - W jej oczach pojawił się twardy, zdecydowany błysk. - I nikt jej już wtedy nie skrzywdzi! Nikt!

Na jarmarku przewalały się jeszcze setki ludzi i tylu było chętnych do rozmowy, że upłynęło sporo czasu, zanim Marta mogła spokojnie pomyśleć o odszukaniu rodziny.

Wspięła się na schodki karuzeli i rozejrzała wokół. Przy jednym ze straganów, gdzie można było spróbować swoich sił przy jakiejś grze zręcznościowej, dostrzegła znajomą, korpulentną postać, przypominającą babcię Fletcher. Nie będąc pewna, czy to rzeczywiście jej matka, ale nie rozpoznając w pobliżu nikogo innego, Marta prędko skierowała się w stronę oddalonego stoiska.

- Pani Bendall! - usłyszała nagle. Przestraszyła się na widok biegnącej ku niej szybko Bridget.

- Bridget! - krzyknęła, spoglądając w kierunku, z którego przybiegła zdyszana dziewczynka. - A gdzie Polly?

Minęło parę chwil, zanim Bridget złapała oddech.

- Nie ma jej z panią? Myślałam, że jest z panią! Marta opanowała chwytający ją za gardło lęk.

- Nie, nie widziałam Polly od czasu, kiedy poszłam śpiewać. Jak to się stało, że się rozłączyłyście?

Bridget zastanowiła się.

- No, dowiedziałam się, że moja mama mnie szuka.

- Gdzieście wtedy stały? I kto ci powiedział, że twoja mama cię szuka? - dopytywała się Marta.

- Tata! Mój tata przyszedł i mi to oznajmił - powiedziała Bridget. - Stałyśmy wtedy dokładnie tutaj - dodała, pokazując, gdzie to było.

- Twój tata? On ci to powiedział? - Czując, jak lodowaty dreszcz przenika jej ciało, Marta starała się ukryć podejrzliwy ton. Nie chciała niepotrzebnie niepokoić Bridget. - No dobrze, Bridget - powiedziała cicho, kładąc lekko dłonie na ramionach dziewczynki. - Przypuszczam, że Polly znalazła babcię albo wałęsa się gdzieś sama. Wiesz, jaka ona jest.

- Tak, założę się, że poszła jeszcze podenerwować tę panią z pierścieniami. - Bridget zachichotała na samą myśl o tym. - Pójdę sprawdzić.

- Nie - zaproponowała Marta, nie puszczając dziewczynki. - Ja to zrobię. Ty znajdź babcię Fletcher i resztę. Bez względu na to, czy Polly z nimi będzie czy nie, powiedz babci Fletcher, że poszłam do domu i proszę ją, żeby zrobiła to samo! Dobrze? Zrozumiałaś mnie? Chcę, żeby sami wrócili do domu, nie czekając na mnie.

- Dobrze. Ale jeśli Polly z nimi nie będzie?

- Wszystko jedno, niech wracają do domu! Zostawiając Bridget, Marta podążyła do najbliższego wyjścia. Nie szukała nigdzie indziej, bowiem intuicja podpowiadała jej wyraźnie, że powinna jak najszybciej wrócić na ulicę Regent. Śpiesząc wyludnionymi, ciemnymi ulicami, przypominała sobie straszne przecucia i podejrzenia, które gnębiły ją od samego początku - od chwili, kiedy po raz pierwszy zobaczyła tego człowieka. Modliła się w duchu, żeby jej wszystkie obawy okazały się płonne - może był to tylko kolejny wyraz jej nadopiekuńczości wobec Polly.

Gdy dochodziła do ulicy Regent, jej pierwotne przeświadczenie, że Peter Revine wywabił Polly z jarmarku, nieco osłabło. Zaczęła myśleć, że może bez powodu wyobraziła sobie, co się mogło zdarzyć. A jeśli się myliła? Jeśli Polly rzeczywiście poszła do stoiska z grą w pierścienie albo była już w drodze do domu wraz z resztą rodziny? W każdym razie ten Peter Revine wyglądał bardzo podejrzanie. Jego czarne, przenikliwe oczy kryły w sobie jakąś niepokojącą tajemnicę. Była przekonana, że specjalnie odciągnął Bridget od Polly!

Rozdygotana Marta zaczęła przetrząsać kieszeń w poszukiwaniu klucza do drzwi wejściowych - chciała najpierw sprawdzić, czy Polly przypadkiem sama

nie wróciła do domu i nie poszła od razu do łóżka, jak to się jej już nieraz zdarzało.

W tej chwili usłyszała jednak w pobliżu jakieś przytłumione dźwięki. Niewiele potrafiła dostrzec w słabym, migoczącym świetle latarni, ruszyła więc w kierunku, z którego dobiegały odgłosy. Po chwili ze zdumieniem dojrzała Polly i Petera Revine'a, szamoczących się na progu jego domu. Uwięziona w jego objęciach Polly wyrywała się, protestując drżącym głosem, że musi wracać do mamy.

Marta błyskawicznie rozdzieliła ich, odciągając od niego Polly. Rzucając mu piorunujące spojrzenie, powiedziała ostro:

- Co tu się dzieje? - Poczła, że Polly chowa się za nią. Nie słysząc żadnego wyjaśnienia od mężczyzny, który nawet teraz mierzył ją samą uwodzicielskim spojrzeniem czarnych oczu, wyciągnęła dziewczynkę zza siebie i potrząsnawszy nią, zażądała odpowiedzi:

- Na miłość boską, co ty wyprawiasz, Polly! Co cię podkusiło, żeby opuścić jarmark? - Czła, jak Polly drży pod dotykiem jej rąk.

- Przepraszam, mamó - rozpląkała się Polly. Kierując wzrok na Petera Revine'a, powiedziała podniesionym, oskarżającym głosem: - To przez niego! Przez tatę Bridget! Powiedział, że Chris źle się czuje i chce się ze mną natychmiast zobaczyć. I mówił, że pytał cię już o zgodę, a ty się zgodziłaś! - Zaniósła się szlochem, tuląc się do matki. - Tylko że jak tu przyszliśmy, rzucił się na mnie. Przestraszył mnie!

Niskim, groźnym głosem Marta powiedziała:

- Jest dla mnie jasne, jakie były twoje intencje, Peterze Revine! I niech mnie licho, jeśli policja nie podzieli mojego zdania!

Nadal milczał, ale gdy usłyszał jej groźbę, uśmiech zniknął z jego twarzy. Nieprzyjemna woń alkoholu, jaka się wokół niego unosiła, upewniła Martę, że jest nieźle zaprawiony.

Gdy trzymając Polly za rękę odwróciła się, żeby odejść, z mroku dobiegł jeszcze jeden głos. Marta rozpoznała go, zanim jeszcze dojrzała nadchodzącą osobę.

- Czy masz jakieś kłopoty, Marto Bendall? - Rosa Revine też przyszła do domu wcześniej, gdy zorientowała się, że jej mąż opuścił jarmark w towarzystwie, jak jej powiedziano, jakiejś jasnowłosej dziewczynki. Stała teraz przed Martą z poważnym wyrazem twarzy, kierując zatroskane spojrzenie to na nią, to na Polly. Zmierzywszy ostrym wzrokiem męża, który szybko schronił się w domu, zwróciła się ponownie ku Marcie, prosząc błagalnym tonem: - Nie zawiadamiaj policji. Bardzo proszę!

Na chwilę Marcie odjęło mowę! Rosa nie prosiła o żadne wyjaśnienia. Nie było żadnych pełnych oburzenia zapewnień, że jej mąż jest niewinny. Tylko ta błagalna prośba, żeby Marta nie poszła na policję. Wyglądało to niemal tak, jakby Rosa Revine dobrze wiedziała, co tu się działo, a raczej, Bogu dzięki, co mogłoby się stać, gdyby Marta się w ostatniej chwili nie zjawiała! W Marcie wszystko aż kipiało. Dygotała od stóp do głów, nie wiedząc sama czy to z gniewu, czy z przerażenia, czy z jednego i drugiego razem. Tak czy owak, niewiele brakowało, by z miejsca poszła na komisariat. Powstrzymały ją tylko dwie rzeczy. Po pierwsze, dowiedziałyby się o tym cała jej rodzina. Po drugie, widać było wyraźnie, że Polly jest bardzo przestraszona i roztrzęsiona wszystkim, co się wydarzyło.

- Proszę cię, Marto - spróbowała jeszcze raz Rosa - nie chodź na policję, dobrze? Masz moje słowo, że to się już nigdy więcej nie powtórzy!

Marcie zrobiło się żal Rosy Revine. Bóg mi świadkiem, pomyślała, że Barty Bendall też nie jest aniołem, ale żeby napastować młode dziewczęta... i to w taki sposób! To naprawdę straszne. Pociągnęła za sobą Polly i wyminęła nieszczęśliwą kobietę, rzucając do niej szeptem:

- Przykro mi, pani Revine. - Widząc rozpaczliwe spojrzenie Rosy, dodała: - Będę się musiała nad tym zastanowić.

Patrząc przygasłym, szklanym wzrokiem za odchodzącymi w pośpiechu Martą i Polly, Rosa wykrzywiła usta w ponurym, gniewnym grymasie, kurczowo zaciskając i rozwierając pięści.

- Niech nas Bóg ma w swojej opiece! - wymamrotała, wznosząc oczy ku niebu. - Czy to się nigdy nie skończy? Czy już zawsze będziemy się tułać jak Cyganie, to tu, to tam? Och, Peterze Revine, powinnam cię znienawidzić za twoje podłe, zdradzieckie serce! Ale co poradzę na to, że nadal świata poza tobą nie widzę? - I choć jej oczy rzucały gromy, pośpieszyła za nim do domu.

Marta wyszła z sypialni Polly, cicho zamykając za sobą drzwi, dopiero gdy dziewczynka dwukrotnie obiecała, że w takich sytuacjach będzie szczególnie ostrożna. Długo jeszcze stała samotnie na schodach, z przykrością myśląc o pouczeniach, jakich zmuszona była udzielić biednej, wystraszonej Polly. Biorąc jednak pod uwagę to, co się tego wieczoru wydarzyło, było to konieczne. Jakże tęskniła za jakimś silnym męskim ramieniem, na którym mogłaby się oprzeć. Jakże chciałyby, żeby Curt był tu z nią i zajął się tym wszystkim. Uśmiechnęła się na myśl o tym, że gdyby Curt tu był, pewnie rozniósłby tego faceta na strzępy. Ostry ból przeszył jej serce, gdy przypomniała sobie, jak bardzo kochał małą Polly. Czytając raz po raz jego list, Marta czuła, jak wielka żałość chwyta ją za gardło, aż w końcu gorące łzy popłynęły jej po policzkach, zamazując

napisane przez niego słowa. Po chwili opanowała się jakoś i zabrała list na dół, gdzie ostrożnie wsunęła go pod wykładzinę, żeby nikt go nie znalazł. Zaraz będzie tu pewnie mama z całą resztą, pomyślała, więc lepiej zrobić im coś ciepłego do picia, zanim wyjdą na tramwaj do Church. Dobrze było mieć się czym zająć i oderwać się od przykrych myśli, wśród których niepoślednie miejsce zajmowała obawa, że może znowu być w ciąży.

Rozdział szesnasty

Nazajutrz wczesnym rankiem blade słońce zajrzało do nędznego pokoiku, pozornie tylko łagodząc przenikliwy jesienny chłód. Mrużąc oczy w sączącym się z okna świetle, Marta zdała sobie sprawę, że jest w pokoju sama. Barty'ego Bendalla nie było w domu przez całą noc!

Wyślizgnęła się cicho z łóżka, zastanawiając się, czy przypadkiem nie zwałił się pijany na kanapę na dole. Nie byłby to wcale pierwszy taki przypadek, choć musiała przyznać, że powodem jego strasznych napadów wściekłości był raczej hazard niż pijaństwo. Choć nie tylko hazard - było coś jeszcze, coś, co nie dawało mu spokoju, powodując, że zachowywał się nieraz jak opętany. Marta nie próbowała nawet zgadywać, co też by to mogło być. Nigdy z nią o tym nie rozmawiał, choć z drugiej strony nie przypominała sobie, aby w ciągu długich pięciu lat choć raz z czegokolwiek jej się zwierzył.

Ubierając się szybko, Marta odepchnęła od siebie te nieprzyjemne myśli. Jeśli nie chciał z nią o tym rozmawiać, to cóż mogła poradzić na jego kłopoty?

Pomimo wydarzeń poprzedniego wieczoru i mimo że położyła się bardzo późno, czuła się dzisiaj nad podziw wypoczęta i rześka. Ciocia Bett i rodzice z dużym zapasem wyszli na ostatni tramwaj, a Bartusiowi i Florencji, zanim z ciężkimi od nadmiaru waty cukrowej brzuskami poszli do łóżek, z podniecenia nie zamykały się buzie.

Marta obiecała sobie przed zaśnięciem dwie rzeczy. Po pierwsze, że zajmie się krawiectwem, co przyniesie parę szylingów i pozwoli im jakoś związać koniec z końcem. Po drugie, że spotka się z ciocią Bett. Bóg świadkiem - musi dowiedzieć się czegoś o Curcie z pierwszej ręki. Zadrzała na myśl o tym, co zrobiłby Barty Bendall, gdyby kiedykolwiek dowiedział się o jej zamiarze. Ta obawa nie odwiodła jej jednak od powziętego postanowienia, bowiem czuła, że musi się dowiedzieć, co słyhać u Curta. W końcu był dla niej prawdziwszym mężem niż kiedykolwiek Barty Bendall.

Zimny powiew powietrza od strony otwartego okna nagle niemal zaparł jej dech w piersi. Chcąc jak najszybciej ze wszystkim się uwinąć, żeby móc wpaść później do Ady Humble, Marta pośpieszyła na dół, aby rozpaść w kominku.

Później, siedząc już przy ogniu i obserwując skaczące, żółte płomienie oraz przysłuchując się z przyjemnością trzaskom palącego się drewna, poczuła dziwne ukojenie. W domu wydawała się panować atmosfera bez troski i Marta zastanowiła się przez chwilę, czy przyczyną tego była nieobecność Barty'ego Bendalla czy też fakt, że wraz z nadejściem poranka okazało się, że jednak nie jest w ciąży, czego się tak obawiała. Och, jaki ciężar spadł jej z serca! W każdym razie, jakikolwiek mógłby być powód panującego tu dzisiaj spokoju, nie zaprzętała sobie tym zbytnio głowy. Najważniejszy był sam ten fakt.

Wzrok Marty nieraz padał na skrawek wykładziny, pod którym schowała kartkę od Curta, ale nie uczyniła żadnego ruchu, żeby ją stamtąd wydobyć. Nie było takiej potrzeby, gdyż słowa jego listu zapadły jej głęboko w duszę.

Imbryk zaczął niecierpliwie wypluwać w ogień swoją wrzącą zawartość i Marta zdjęła go z kraty za owiniętą ścierką rączkę. Gdy świeżo zaparzona herbata stała już w schowku przy kominku, a ogień buzował wesoło, nie tracąc czasu wzięła się po kolei za wszystkie domowe prace porządkowe. Krzątając się, pozwoliła sobie na luksus pofolgowania wyobraźni i dopuszczenia do głosu tłumionych stale uczuć. Wyobraziła sobie, że jej biedna, umęczona Polly jest zdrowa i silna, wolna od bólu i lęku. Że lada chwila pojawi się tu Curt, którego wysoka męska postać wniesie w dom ciepło i miłość i jak zwykle opromieni wszystko swoim ujmującym uśmiechem. Oczami wyobraźni widziała też, jak biedny Toby Humble wyrusza jak co wieczór na Ślicznej Salci sprzed swego domu, bo w tym świecie wyobraźni wszystko było możliwe i Tob nie leżał sztywny i zimny w jakiejś lodowatej kostnicy. Marzenia na jawie nie mogły jednak trwać długo i nagle w ten wyśniony świat wtargnęła rzeczywistość.

Łzy napłynęły jej do oczu, tak że niemal przestała widzieć kamienne płyty, pokrywające kuchenną podłogę, którą zawzięcie szorowała. Wykonywała mechaniczne ruchy, a przez głowę przelatywały jej dziesiątki obrazów: ściągnięta bólem twarz Polly, bezradna Ada Humble siedząca cicho przy swoim mężu, który odszedł na zawsze. I Curt ze swoimi cudownymi, ciemnymi oczyma, których czułe spojrzenie tak często spoczywało na jej twarzy - jego obraz był najbardziej wyrazisty ze wszystkich i powtarzał się najczęściej, szczególnie widok jego twarzy za więziennymi kratami, gdzie znalazł się z powodu miłości do niej i wrogości swojej prawowitej żony.

Marta otrząsnęła się, odpychając od siebie natrętne myśli. Zadręczanie się z powodu wydarzeń, na które zupełnie nie miała wpływu, było bezsensowne.

Zaczęła specjalnie nucić pod nosem jakąś melodię, a gdy skończyła sprzątanie, umyła się przy zlewie. Później popatrzyła w lusterko, kierując wzrok w tę jego część, która nie była jeszcze popękana ze starości, i powiedziała do siebie na głos:

- Marzenia nie są dla takich jak ty, moja droga! Ale jeśli rozejrzysz się dokładnie dokoła, odkryjesz, że wiele jest rzeczy, za które można być wdzięcznym losowi - jesteś przecież zdrowa i silna! Masz dach nad głową i parę rąk, którymi możesz zarobić kilka szylingów. - Uśmiechnęła się z zadowoleniem i pokiwała palcem do swego odbicia w lustrze. - A co najważniejsze, Marto Bendall, pomyśl tylko o tych trzech kochanych szkrabach, które leżą na górze i smacznie jeszcze chrapią. Gdybyś nie potrafiła znaleźć żadnych innych powodów do radości, przypomnij sobie o tych trzech skarbach! - Wypowiedziawszy te słowa, zaczęła wesoło śpiewać piosenkę Irlandzkie oczy. Szybko skończyła czesać długie, ciemne włosy, upięła je starannie z tyłu, odwróciła się od lustra i pośpieszyła do swoich zwykłych zajęć.

Postanowiła pozwolić dzieciom pospać jeszcze trochę dłużej, a sama poszła do Ady Humble. Zastukała delikatnie do drzwi, zza których po chwili wyjrzał rozczochrany Blackie. Marcie ścisnęło się serce na widok jego pełnej smutku, opuchniętej od płaczu twarzy.

- Proszę wejść, pani Bendall - powiedział Blackie, szerzej otwierając drzwi. Poprowadził ją wąskim korytarzem do tylnego salonu. - Mamy nie ma. - Począł, aż Marta usiadła na krześle przy drzwiach i przycupnąwszy na jednym ze stojących przy kominku foteli, szepnął: - Poszła zająć się sprowadzeniem tatusia do domu. - Wypowiedzenie tych bolesnych słów stanowiło ostatnią kroplę i Blackie, nie potrafiąc już powstrzymać przepelniającego mu serce żalu, wybuchnął łamiącym się głosem: - Och, pani Bendall, co my teraz pocniemy? - Grymas rozpaczy wykrzywił mu twarz. - Co teraz robi moja mama, kiedy nie ma już taty? - Spojrzał na Martę, w nadziei, że od niej usłyszy odpowiedź.

- Blackie, Blackie! - Marta podeszła bliżej, chcąc go objąć, ale chłopak odsunął się zakłopotany, sądząc widać, że jest już zbyt dorosły na takie gesty pocieszenia.

- Mama uważa, że to wszystko jej wina! Cały czas to powtarza! Ale to przecież nieprawda! To ja powinienem był na niego uważać - mama musiała się przecież zajmować dziećmi! To wszystko przeze mnie, a nie ?przez nią! - Wzburzony przemierzał pokój szybkim krokiem.

- To nie jest niczyja wina, Blackie - powiedziała Marta. Wiedziała, co chłopak przechodzi, ale czuła się bezsilna, nie wiedząc, jak uśmierzyć jego ból.
- Teraz mama będzie liczyć na ciebie.

- Może na mnie polegać, pani Bendall! - Blackie spojrzał na Martę ze zdecydowanym, niemal zaciętym wyrazem twarzy. - A do tej szkoły już więcej nie pójdę. Jestem potrzebny tutaj. Teraz ja jestem tu gospodarzem. Tylko ja mogę się wszystkim zająć i będę miał ważniejsze sprawy na głowie niż siedzenie w tej cholerniej budzie! Pójdę gdzieś do roboty, żeby zarobić porządne pieniądze! Muszę się teraz zaopiekować mamą i dziećmiakami.

Marta stanęła naprzeciwko niego - była przerażona.

- Blackie! Nie wolno ci tak mówić. Musisz chodzić do szkoły! - Wiedziała, że ta sprawa nie daje spokoju im obojgu. - Wiesz przecież, że twoja mama została wezwana do sądu, ponieważ nie chodziłeś do szkoły! Jeszcze to nad nią wisi! Jeśli teraz też nie będziesz chodzić do szkoły, to jeszcze bardziej pogorszysz sprawę - gorączkowo argumentowała Marta, czując jednak, że nie trafia chłopcu do przekonania. - To nie żarty, Blackie! Poza tym wiesz przecież, jak bardzo twój tata chciał, żebyś się kształcił.

- A po co mi ta cała nauka? Jaki z niej pożytek? Przecież to wszystko funta kłaków nie warte, do cholery! Jak ja pomogę mamie ucząc się o Nelsonie, mapach i innych bzdurach, z których nie żadnego pożytku? Z tego nie nakarmię dzieciaków ani nie zdobędę węgla do kominka. Nie! - powiedział jeszcze bardziej stanowczo. - Muszę zacząć zarabiać na dom! Kiedy władze dowiedzą się o moim tacie, same to zrozumieją!

Marta dobrze wiedziała, o co mu chodzi. Rzeczywiście, dla takiego dużego chłopca było to sensowniejsze niż siedzenie cały dzień w ławce i bazgranie w zeszycie albo śpiewanie psalmów. Z drugiej strony dobrze wiedziała, że urzędnicy byli ogromnie wrażliwi na punkcie własnej ważności.

- Nie czas o tym teraz dyskutować - powiedziała poruszonemu chłopcu. - Zaparz herbatę dla mamy, a ja zajmę się bliźniakami. Od dawna obiecuję sobie, że zabiorę dzieci nad strumyk Blakewater. Dwoje więcej nie powinno sprawić kłopotu, prawda? - Poklepała go przyjacielsko po ramieniu, a jej dobry, pełen ciepła uśmiech spowodował, że ściągnięte rysy zatroskanej twarzy chłopca wygładziły się:

- No, Blackie, ubierz ich i daj im śniadanie, a ja niedługo wstąpię tu po nich.

Blackie nachylił się ku Marcie i nieśmiało złożył na jej policzku lekki pocałunek.

- Moja mama panią kocha, wie pani o tym? - spytał i w jego smutnych oczach ponownie zabłyśły łzy. - I teraz już wiem, dlaczego! - Po chwili,

przypomniawszy sobie coś, dodał: - Ci Revine'owie się wyprowadzili, słyszała pani?

- Wyprowadzili się? - spytała Marta, zaskoczona. - Dokąd?

- A kto ich tam wie! Mama zauważyła to dziś wczesnym rankiem. Wydawało jej się, że słyszy, jak na ulicy koń ciągnie wóz. I rzeczywiście - powiedziała mi przed wyjściem, że odjechali! Wymknęli się cichaczem o świcie z całym dobytkiem, nie mówiąc nikomu ani słowa! - Spojrzał Marcie prosto w oczy. - Co pani o tym sądzi? - spytał.

- Nie mam pojęcia, co się stało, Blackie - skłamała, dobrze wiedząc, że musiało się to jakoś wiązać ze sprawą Polly i może też z jej własną groźbą, że pójdzie na policję. Przypomniała sobie wyraz twarzy Rosy Revine i zrobiło jej się przykro. Z drugiej strony, poczuła też ulgę, że odjechali. Przynajmniej ten kłopot miała z głowy.

Wróciła do domu i usiadła na chwilę przy ogniu, żeby zebrać myśli, po czym podniosła kubek ze swoją zimną już herbatą i wylała jego zawartość do zlewu.

- Nie ma się co gryźć! Lepiej przygotuję dzieci do wyjścia - powiedziała na głos i pomyślała, że chyba ostatnio coś za często mówi sama do siebie. Było to zwykle oznaką, że ktoś się starzeje albo popada w obłęd. - Stara to jeszcze nie jestem, więc trzeba uważać - zaśmiała się do siebie. Rozejrzała się po salonie, żeby się upewnić, że wszystko zostało już zrobione i stół jest nakryty. Zadowolona z oględzin, skierowała się do drzwi.

Gdy już miała je otworzyć, jakieś przeczucie kazało jej się cofnąć. Miała jakąś niesamowitą zdolność wyczuwania obecności Barty'ego Bendalla i rzeczywiście, w tej samej sekundzie kopnięte przez niego drzwi salonu otworzyły się z hukiem. Opadające na zielone oczy ciężkie powieki i napuchnięta twarz świadczyły, że spędził noc na pijaństwie. Lodowate spojrzenie Barty'ego spoczęło na Marcie. Zwrócił się ku niej, zatrzasnąwszy za sobą drzwi, ale zimne powietrze zdążyło już wlecieć do korytarza.

- Ty ładacznic! - Chociaż ton jego niskiego, zgrzytliwego, drgającego z wściekłości głosu ostrzegł Martę, czego może się spodziewać, jednak przestraszyła się nie na żarty, bo nigdy jeszcze nie widziała go rozjuszonego do tego stopnia. W milczeniu zaczęła cofać się przed jego zbliżającą się nieubłaganie groźną postacią. W głębi duszy coś mówiło jej, że nie powinna się odzywać.

Chwilę później poczuła jednak, jak jego ręka bez ostrzeżenia zaciska się na jej gardle tak mocno, że w końcu pociemniało jej w oczach i wymachując na oślep rękami wczepiła się w jego twarz. Zmusiło go to do rozluźnienia uchwytu.

- Zostaw mamę w spokoju! Zostaw ją, ty stary wieprzu! - Polly pojawiła się nagle w pokoju i z białą jak kreda twarzą pośpieszyła matce z pomocą.

Oparłszy się rękami o stół, Barty Bendall utkwiał w nich rozszalałe spojrzenie. Widok Marty tulącej do siebie Polly i ciężko chwytającej powietrze w płuca wydawał się budzić w nim jeszcze większą wściekłość.

- Myślisz, że jestem ślepy, co? Albo że oszalałem? Tak, szaleję, ale z wściekłości!

Odwrócił się do kulących się w otwartych drzwiach Bartusia i Florencji. Podnosząc głos, zażądał:

- Wejdźcie do środka i zamknijcie za sobą te cholerne drzwi. Wszyscy maczaliście w tym palce! Nie myślcie sobie, że nic nie wiem, łajdaki jedne!

- O czym ty mówisz? W czym maczaliśmy palce? - Wzrok Marty odruchowo powędrował do skrawka wykładziny przy drzwiach. Na Boga, chyba nie dowiedział się o tym? Nie! To niemożliwe! Ostatnio jednak krążyło jej po głowie tyle wiarołomnych myśli, że aż budziło to w niej poczucie winy, które teraz wypisane było na jej twarzy.

Barty Bendall w odpowiedzi podskoczył ku Marcie, chwycił ją za ramię i siłą posadził na najbliższym krześle. Polly natychmiast znalazła się u boku matki. Barty Bendall spojrzał na dziewczynkę z krzywym uśmiechem, jakby prowokując ją, by spróbowała mu się przeciwstawić, ale Marta szybko nakazała jej gestem, żeby została na miejscu.

- Tak jest, Marto, moja droga - pijany Barty Bendall nachylił się nad nią, jakby chciał ją ucałować, ale w ostatniej chwili zatrzymał się, wpijając spojrzenie zielonych oczu w jej trzęsącą się, bladą twarz. - Tylko ty możesz to wyjaśnić! - Gwałtownie wziął ją pod brodę i odchylił jej głowę do tyłu.

- Czego chcesz, Barty? - zapytała Marta niepewnie, siłąc się na opanowany ton, żeby go uspokoić. Wydawało się to skuteczne, bowiem puścił ją i cofnął rękę. Bartuś cały drżał, trochę z zimna, a trochę z powodu rozgrywającej się przed nim sceny. Barty Bendall chwycił go za ramionami i poderwawszy brutalnie do góry, posadził na stole, gdzie chłopiec rozplakał się, wołając, że chce do mamy.

- Co? Do niej?! Chcesz do niej? - Barty Bendall obrócił się ku Marcie, która zerwała się z krzesła. Wyciągając w jej kierunku ogorzałą twarz, wyrzucił z siebie:

- Przynajmniej to! - Potrząsnął chłopcem gwałtownie i przycisnął go mocno do siebie. - To jest moje!

Bartuś zaniósł się histerycznym płaczem, a jego ojciec z pozornym spokojem podszedł do drzwi i zamknął je, przekręcając klucz w zamku, po czym wrócił do stołu i z rozmachem usiadł na krześle.

- Możecie też usiąść, bo nikt nie wyjdzie z tego pokoju, dopóki nie usłyszę odpowiedzi na parę pytań! - powiedział, machnąwszy ręką w kierunku pustych krzeseł.

Marta wzięła Bartusia na ręce i otarła mu łzy, szepcząc coś uspokajającego. Obawiając się o bezpieczeństwo córek, kazała im zająć krzesła w pobliżu drzwi.

- Barty, pozwól dzieciom wrócić do łóżek. - Starła się usilnie opanować drżenie głosu i nadać mu stanowcze brzmienie, w nadziei, że w ten sposób uda jej się jakoś go uspokoić. Ale jego nagły wrzask zabrzmiał tak niespodziewanie, że Marta aż się wzdrygnęła, a Bartuś ponownie żałośnie się rozplakał.

- Do cholery, kobieto, nie doprowadzaj mnie do pasji, bo wszystkich wywalę z tego domu na zbity pysk! I ucisz w końcu tego gówniarza! - Żył na szyi nabrzmiały mu tak, jakby za chwilę miały pęknąć. Chwycił krzesło i rzucił na nie Martę z czepiającym się jej kurczowo malcem, po czym wysyczał jej prosto w twarz: - Nikt nie wyjdzie z tego pokoju, dopóki nie dowiem się prawdy! Zrozumiano?

Podszedł do kominka i odwrócił się do niego plecami. Stał na szeroko rozstawionych nogach, z rękami założonymi do tyłu i obrzucał pokój wściekłym spojrzeniem, zatrzymując wzrok na każdej twarzy z osobna. Gdy napotkał wyzywające spojrzenie Polly, oczy zwężyły mu się ostrzegawczo.

Ciszę przerywało tylko tykanie zegara i cichy szloch Bartusia. Po chwili Barty Bendall odezwał się znowu, głosem zupełnie spokojnym, lecz pobrzmiwały w nim niskie, groźne tony:

- Wczoraj wieczorem spotkałem znajomego, którego nie widziałem już od dłuższego czasu - jego miotające błyskawice, świdrujące oczy zatrzymywały się po kolei na każdym z obecnych i nikt nie śmiał ruszyć się z miejsca. - Pamiętacie może mego starego kompana, Jima Rawlinsona? No więc dowiedziałem się od niego bardzo ciekawych rzeczy. - Zamilkł na chwilę, jakby czekał na jakieś wyznanie skruchy, a gdy żadne takie „wyznanie” nie nastąpiło, na jego lisiej twarzy pojawił się grymas gniewnego zniecierpliwienia.

Marta miała teraz pewność, że Barty nic nie wie o liście ani o tym, że Curt był na jarmarku, bo gdyby naprawdę dotarła do niego taka wiadomość, nie stałby tu przed nimi poprzestając na groźbach, tylko niechybnie obdarłby ich wszystkich żywcem ze skóry.

Nic nie wie, pomyślała z ulgą Marta. Jednak przy następnych słowach, skierowanych bezpośrednio do Florencji, zatrzęsa się ze strachu.

- Czy ktoś wczoraj wieczorem pytał może o twoją mamę, co? - spytał stłumionym głosem, podsuwając odpowiedź: - Na przykład jakiś mężczyzna - wysoki, ciemny facet?

Drżąc ze strachu, Florencja odpowiedziała natychmiast:

- Nie, tato!

Barty Bendall doskoczył do niej w paru susach, chwycił ją za ramię i wypchnął z wściekłością na korytarz.

- Wynoś się! - krzyknął, zatrzaskując za nią drzwi.

- Nic mi nie masz do powiedzenia!

Potem ruszył w kierunku Marty, która postawiła na ziemi Bartusia i kazała mu zmykać do Polly. Chwyciwszy żonę za rękę, złapał ją za serdeczny palec, na którym powinna była się znajdować ślubna obrączka, i podetknął jej pod nos.

- Myślisz, że jestem ślepy, kobieto?! Naprawdę myślałaś, że nie dowiem się, że zastawiłaś obrączkę? Moją ślubną obrączkę, do cholery! - Trzymał dłoń Marty w silnym, nieubłaganym uścisku, z satysfakcją odnotowując grymas bólu na jej twarzy. - Ale to jeszcze nie wszystko, prawda? Prawda?! Wygląda na to, że nasz wspólny znajomy mógł już wyjść z więzienia! Może właśnie w tej chwili chodzi gdzieś po tych przeklętych ulicach! - Mściwie wykręcił jej dłoń. - Wystarczy tylko trochę logicznie pomyśleć, prawda? Ale powiem ci jedno, Marto Bendall! Od teraz będę cię miał stale na oku i jeśli dojdą mnie jakiegokolwiek słuchy, że się z nim spotkałaś - zmrużył oczy w okrutnym grymasie - to biada wam obojgu! Zakarbuy sobie dobrze moje słowa - przysięgam na grób mojej matki, że zabiję was oboje!

Marcie przeszedł po plecach lodowaty dreszcz przerażenia. Nie miała żadnych wątpliwości, że Barty Bendall byłby do tego zdolny, bowiem nie zwykł rzucać czczych pogrózek.

Złowróżbną ciszę, która zapadła w salonie, przerwało dopiero nagle, natarczywe pukanie do frontowych drzwi.

Barty Bendall wypuścił ze swojego żelaznego uścisku rękę Marty i wyprostował się.

- To Jack - powiedział.

Florencja zamknęła wcześniej frontowe drzwi przed zaglądającymi do środka sąsiadami, którzy zgromadzili się na zewnątrz. Siedziała teraz przestraszona na schodach. Barty Bendall minął ją, idąc otworzyć drzwi.

- O, witaj, Jack. Wcześniej przyszedłeś - pozdrowił serdecznie tęgiego mężczyznę.

- No tak. Pierwsza gonitwa jest o wpół do dwunastej, ale powinniśmy tam być wcześniej. - Spojrzał na Barty'ego, który nie zdjął jeszcze płaszcza i czapki, i zauważył: - No, ale wygląda na to, że jesteś już gotowy.

- Słusznie - Barty Bendall mrugnął porozumiewawczo i zaśmiał się, zniżając głos. - Spędziłem pół nocy w pubie. Jestem parę szylingów do przodu.

. - Zawsze miałeś dobrą rękę do kart. A przy okazji - co tam się dzieje na zewnątrz, do diabła? Wszyscy sąsiedzi wylegli na ulicę!

Barty Bendall zbył go szyderycznym uśmiechem.

- Nie zwracaj na nich uwagi! Tu w okolicy mieszkają same wścibskie typy - uciał krótko, odwracając się w drugą stronę. - Poczekaj jeszcze chwilę, Jack. Za moment będę gotów. - Zajrzał jeszcze raz do salonu i gdy Marta podniosła na niego oczy, posłał jej znaczące spojrzenie i ściszej głos, powiedział z naciskiem:

- Sprawa jeszcze nie skończona. Zastanów się nad tym. Ja nie żartuję.

Chociaż bardzo niechętnie, musiała zwrócić się do niego.

- Nie dałeś mi żadnych pieniędzy. Nie poradzę sobie, jeśli mi nic nie dasz - powiedziała. Przyszła jej do głowy nieprzyjemna myśl, że może źle postąpiła, rezygnując z pracy w przędzalni. Na razie miała tylko parę przypadkowych zamówień na skrócenie albo przedłużenie sukienek, ale wiadomość o tym, że podejmuje się takich prac, poszła w świat i Marta była przekonana, że jakoś uda jej się zarobić parę groszy.

Barty Bendall postąpił ku niej z groźną miną i wycedził przez zęby:

- Do cholery, to był twój pomysł, żeby rzucić pracę w przędzalni! A szkoda, bo ode mnie nic nie dostaniesz! Powiem ci, na co poszły te pieniądze! - Z kieszeni płaszcza wyjął mały, błyszczący przedmiot. Gdy podniósł rękę, żeby pokazać, co trzyma, Marta natychmiast rozpoznała swoją ślubną obrączkę.

- Poznajesz to? Na to właśnie poszły pieniądze! I jeśli w tym tygodniu będziecie chodzić głodni, to sami jesteście sobi winni! - Podeszedł do Marty i z wyrazem triumfu na twarzy chwycił jej dłoń, rozsuwając jej palce. Następnie gwałtownym ruchem wsunął obrączkę aż do nasady serdecznego palca i ostrzegł Martę niskim, drżącym głosem: - Lepiej trzymaj tę obrączkę tam, gdzie ją włożyłem! Przygarnąłem ciebie i twoje dzieci, kiedy nikt was nie chciał! Nigdy o tym nie zapominaj! Odrąbię ci ten palec, jeśli jeszcze kiedykolwiek zobaczę, że nie ma na nim obrączki!

Polly nawet nie spojrzała na niego, kiedy minął ją i wyszedł z domu z wielkim Jackiem Tannerem.

- O co mu chodziło, mamó? O jakim facecie on mówił?

Marta przygarnęła do siebie Polly i zwróciła się do Bartusia:

- Idź i zawołaj Florencję, kochanie. - Potem powiedziała do Polly: - Nie przejmuj się, Polly. Po prostu zaufaj mi, dobrze? Nie chcę, żebyś niepotrzebnie zawracała sobie tym wszystkim głowę. - Martę uderzyła bladość córki, kontrastująca silnie z blaskiem jej błękitnych oczu, wpatrzonych w matkę z takim uwielbieniem. Nie wiedziała, czy kiedykolwiek poczuje się godna tak wielkiej miłości. - Och, Polly Bendall, powiedz, co ja bym bez ciebie zrobiła? - Marta zdobyła się na uśmiech. - Nakryłam do stołu, więc siadźcie we trójkę i zjedzcie śniadanie, a potem zobaczymy, co dalej, dobrze? - Musi postarać się, żeby wszyscy jak najszybciej zapomnieli o tej okropnej scenie. I czy tego chce, czy nie, będzie musiała zniszczyć list Curta, kiedy tylko nadarzy się stosowna chwila.

Marta przyglądała się, jak dzieci gonią się wzdłuż wybrukowanych brzegów strumienia. Usiadłszy na starej beczce po piwie, zepchniętej przez kogoś z mostu na ostateczne miejsce spoczynku, otuliła się szczelnie płaszczem, dziwiąc się, że dzieci jakoś nie czują przenikliwego zimna. Gdy tak siedziała, słuchając plusku wody toczącej się po lśniącem, gładkim bruku, wydawało jej się, że ulica Regent jest gdzieś bardzo daleko, choć przecież oddalona była zaledwie o parę minut. Okolice strumienia Blakewater były ulubionym miejscem Marty, bowiem panujący tu spokój zawsze działał na nią kojąco. Pamiętała czasy, kiedy Barty Bendall po raz pierwszy przywiózł ją i dziewczynki do Blackburn, gdzie mieli zamieszkać. Ilekroć wspomnienia o Curcie nie dawały jej spokoju, szła do Blakewater i to pomagało jej wrócić jakoś do równowagi. Nigdy nie udało jej się zrozumieć, jak to się dzieje. Może powodował to rytmiczny plusk wody uderzającej o kamienie, a może chodziło o poczucie zupełnego oderwania, które ogarniało ją zawsze, gdy spoglądała za siebie na strome zejście, prowadzące od ulicy do samego brzegu strumienia.

Blakewater nie odznaczało się żadnym szczególnym pięknem. Było raczej odludnym, niezbyt pociągającym miejscem. Chodziły słuchy, że mają zasypać strumień i zagospodarować jakoś ten teren. Marta miała nadzieję, że to tylko pogłoski.

Do strumienia prowadziła opadająca w dół ścieżka o kształcie długiego, wijącego się węża. Schodząc nią, po prawej napotykało się śliczny, łukowo sklepiony mostek, położony wysoko, paręnaście metrów nad poziomem wody. Po lewej ciągnął się mur z czerwonej cegły, sięgający coraz wyżej i wyżej w miarę schodzenia w dół ścieżką, aż w końcu wydawało się, że lada chwila runie jak budowla z klocków i pogrzebie wszystko pod sobą.

Bezbarwna struga toczyła się krętym korytem, wijąc się pomiędzy stromymi brzegami i szmerząc w zetknięciu z okrągłymi, błyszczącymi kamieniami, z roku na rok gładzyszymi od nieustannego działania wody. Nie wszyscy dbali o Blakewater i wzdłuż brzegów pełno było wyrzuconych odpadków, starych butów, puszek, a nawet zdechłych szczurów. Ale mimo wszystko Marta kochała to miejsce.

Jak zwykle zasiedziała się tu o wiele dłużej, niż planowała, i zaczęła zwoływać dzieci dopiero wtedy, gdy Bartuś poskarżył się, że ma „zamrożone palce”. Rozcierając jego sztywne, zziębnięte rączki, Marta zawołała:

- Słuchajcie no! Zbieramy się już do domu. - Jej głos odbił się echem pomiędzy wysokimi murami.

Za chwilę zbiegła się ku niej gromadka już znacznie szczęśliwszych dzieci i gdy ruszyli pod górę stromym podejściem, Marta pomyślała z satysfakcją, że dzięki tej wycieczce udało jej się przynajmniej na krótko oderwać dzieci od nieprzyjemnych myśli i dostarczyć im miłszych wspomnień.

Gdy doszli do ulicy Regent, zostawiła swoje dzieci na schodkach prowadzących do drzwi wejściowych, a sama odprowadziła do domu bliźniaki Ady Humble.

Blackie wprowadził ich do korytarza i Marta z ulgą stwierdziła, że nie wygląda już na tak roztrzęsionego jak poprzednio i chyba lepiej sobie radzi z całą sytuacją. Na jej pełne troski pytanie o Adę odpowiedział w spokojny, opanowany sposób:

- Nie, jeszcze jej nie ma, pani Bendall, chociaż powinna była wrócić już jakiś czas temu.

- Załatwianie takich spraw zawsze trochę trwa, Blackie... - Wyobraziła sobie Adę Humble, siedzącą gdzieś w jakimś cichym kącie i zbierającą siły przed przywiezieniem Toby'ego do domu. - Słuchaj, Blackie, a może zabrałabym do siebie bliźniaki jeszcze na jakiś czas, co? - zaproponowała. W stanowczej odpowiedzi Blackiego, której towarzyszył uprzejmy uśmiech, można było dostrzec siłę charakteru.

- Dziękuję bardzo, ale musimy się teraz nauczyć sami dawać sobie radę. Jakoś sobie poradzimy.

- Jeśli tak uważasz, mój drogi... Ale obiecaj mi, że zajrzysz do mnie, kiedy tylko wróci twoja mama albo nawet wcześniej, gdybyś czegoś potrzebował - nalegała Marta.

- Na pewno tak zrobię, a mama pewnie i tak od razu wyśle mnie po panią, bo z nikim innym nie będzie chciała się widzieć.

Marta lekko dotknęła jego ramienia i powiedziała łagodnie:

- Nie, Blackie! To ciebie będzie teraz najbardziej potrzebować. Choć czasem kobieta potrafi porozmawiać z drugą kobietą tak, jak nie zdołałby tego zrobić mężczyzna, twoja mama będzie teraz polegać przede wszystkim na tobie - zapewniła go. - A twój tatuś byłby z ciebie dumny.

Gdy Blackie zamknął za nią drzwi, Marta stała jeszcze przez chwilę przed domem, rozmyślając nad tym, jak wiele wydarzyło się w ciągu jednego dnia, i dochodząc do wniosku, że czasem ma wrażenie, iż nie ma sprawiedliwości na tym świecie.

Kiedy otworzyła drzwi, żeby wpuścić dzieci do domu, z wnętrza powiało chłodem i wchodząc do przedpokoju Marta poczuła, jak wilgotne powietrze wypełnia jej nozdrza.

- Brr! Można tu zamarznąć, mamó! - Polly przepchnęła się do kominka. - Zaraz rozpale ogień i zaparzę gorącej herbaty.

Tymczasem Bartuś wyciągnął swoje nieśmiertelne, postrzępione komiksy, a Florencja opadła na najbliższe krzesło.

- Zmęczona jestem! - jęknęła, podwijając pod siebie nogi.

- Zmęczona! Daj spokój, Florencjo! - upomniała ją Marta. - Jeszcze jesteś za młoda, żebyś była zmęczona! Idź i pomóż Polly przynieść trochę węgla. - Dziewczynka z ociąganiem zastosowała się do polecenia matki, a Marta wyjęła długi pogrzebacz i zaczęła nim hałaśliwie obstukiwać ruszt, aż cały popiół obsypał się na dół i zostały tylko nie dopalone kawałki węgla. Później poszła do kuchni, żeby przynieść parę starych gazet i pudełko zapalek.

Ich zgodna współpraca szybko dała efekty w postaci buzującego ognia, którego ciepło rozgrzało ich zmarznięte ciała.

- Florencjo, w mojej portmonetce na kredensie jest pół korony. Pójdźcie z Bartusiem do sklepiku na rogu. Poczekaj chwilę - napiszę ci, czego potrzebuję. - Marta wypisała na kartce parę drobnych sprawunków, upewniła się, że dzieci są ciepło ubrane, i poprosiła, żeby pędziły jak najszybciej, zanim sklep zostanie zamknięty.

W salonie stopniowo robiło się coraz przyjemniej, w miarę jak fale ciepłego powietrza rozchodziły się od kominka, wypełniając wszystkie kąty. Marta rozejrzała się po ubogim, ponurym wnętrzu, uświadamiając sobie, jak nie znosi tego miejsca, które zawsze kojarzyło jej się ze zmartwieniami i zgryzotą. No, może przez pierwszy okres, zanim urodził się Bartuś, było inaczej, ale później sytuacja pogarszała się z roku na rok. Marta zaniósła swój pusty kubek do kuchni i zaczęła się krzątać, rozkładając nowy gazetowy obrus przed kolejnym posiłkiem Barty'ego Bendalla i rozmyślając o tym, jak to zazwyczaj po porannej wyprawie na wyścigi i popijawie z kompanami w pubie wracał około

pierwszej do domu i domagał się jedzenia, nie zastanawiając się zupełnie, skąd się ono bierze. Zerknęła na zegar i widząc, że jest już dziesięć po pierwszej, a o Bartym ani widu, ani słyhu, zmarszczyła brwi. Właściwie nie miałyby nic przeciwko temu, żeby już nigdy nie przekroczył progu tego domu. Chmurnym okiem spojrzała na swoją obrączkę, czując nagle, że jej widok i dotyk napawa ją odrazą.

Później Marta powiadomiła Polly o tym, że Bridget wyprowadziła się z sąsiedztwa, i tak jak przypuszczała, córka źle przyjęła tę wiadomość. Wybiegła na ulicę, żeby sprawdzić to osobiście, i po chwili wróciła, by rzucić się we łzach w ramiona Marty.

- Bridget była moją najlepszą przyjaciółką! - powiedziała z płaczem. - Teraz nie mam już nikogo!

- Masz przecież mnie! - uśmiechnęła się Marta, obejmując dziewczynkę. - I masz braciszka i siostrzyczkę.

- Ale to nie to samo, mamó! - zaprotestowała córka.

- Och, Polly - zaczęła Marta - wiem kochanie, jak wiele Bridget dla ciebie znaczyła. Ale wiesz, wszyscy kiedyś tracimy kogoś, kogo kochaliśmy - tak już jest i kiedy coś takiego się zdarzy, nie chcemy się z tym pogodzić, buntujemy się przeciw temu, ale to niczego nie zmienia! Tej osoby już nie ma, a my musimy jakoś sobie z tym poradzić. - Marta wyczuła, że Polly opuścił już gniew i wyciągnęła rękę, żeby obetrzeć jej z policzków łzy. - Ten świat jest smutny i okrutny, Polly, kochanie, ale każdemu z nas dane jest kiedyś w życiu zaznać odrobiny miłości i piękna, i to wynagradza wszelką niedolę.

Rozdział siedemnasty

Okres najsurowszej zimy już minął. Nastął jeden z tych jasnych, świeżych styczniowych poranków, kiedy to cały świat wydaje się roziskrzony i rozedrgany, brzemienny w niezliczone obietnice. Ptaki jakby na nowo odkrywały swe dawno nie używane głosy, obwieszczając co i rusz, że powoli nadchodzi wiosna, a pączki pierwszych kwiatów, przez ostatnie miesiące ukrytych pod ciężką czapą zimy, nieśmiało zaczęły wyłaniać się z ziemi. Ulica Regent i jej sąsiedztwo wyglądały jednak tak samo szaro i smętnie, jak o każdej innej porze roku. Przez cały rok każdy dzień podobny był do poprzedniego i nawet ptaki unikały tej okolicy, szukając pogodniejszych miejsc. Dzisiaj Marta, podobnie jak ptaki, postanowiła uciec od otaczającej ich beznadziei i razem z dziećmi wybrała się do parku miejskiego.

Chłodne, orzeźwiające podmuchy wiatru owiewały jej twarz, podnosząc luźne kosmyki bujnych, ciemnych włosów i dopingując ją do jeszcze szybszego marszu.

- Jak ja uwielbiam takie dni jak ten - powiedziała. - Widać, że wiosna już za pasem.

- Nie powiem, żebym była równie zachwycona, mamo - odparła Polly stawiając kołnierz, za który zgarnęła jasne włosy. - Jest jeszcze tak mroźno!

- Daj spokój, Polly! - zaoponowała Marta miękko. - Dzień jest prześliczny!

Polly zamilkła; spuściła wzrok i skupiła uwagę na płytach chodnikowych. Parę metrów przed nimi wesoło podskakiwali Bartuś i Florencja, nie mogąc się

doczekać, kiedy wreszcie wejdą do parku. Co chwilę ścigali się do kolejnej z wielu olbrzymich, żelaznych bram, które mijali po drodze.

Park miejski był oazą na skraju Blackburn - miejscem, do którego wszyscy, starzy, młodzi, bogaci czy biedni, mogli uciec od monotonii codzienności i cieni górujących nad miastem starych przędzalni. Było to przestronne, rajskie niemal schronienie, pełne wielkich, ukwieconych klombów, rozległych trawników i wspaniałych widoków, otoczone ogrodzeniem z kutego żelaza, wysokiego na ponad trzy metry i wyposażonego tu i ówdzie w wysokie ozdobne bramy, przez które w ciągu roku przepływało wiele tysięcy ludzi.

Sam park stanowił arcydzieło ogrodnictwa krajobrazowego. Ukształtowany ludzką ręką falisty teren usiany był pełnymi wdzięku płaczącymi wierzbami i olbrzymimi, rozrośniętymi rododendronami, które zakwitły wczesnym latem, pyszniąc się swoimi czerwonymi i purpurowymi kwiatami. W każdym zakątku naturalne piękno harmonijnie łączyło się z efektami troskliwych zabiegów ludzkiej ręki, ciesząc oko przybysza wyjątkowym i zapierającym dech w piersi przepychem.

Zmęczeni długim, uciążliwym podejściem, Marta i dzieci skręcili w końcu w kierunku głównego, łukowato sklepionego wejścia i minęli wielką żelazną bramę. Marta osunęła się z ulgą na pierwszą napotkaną ławkę, nie spuszczając z oka dzieci, które powędrowały dalej, do położonych nie opodal fontann, które zawsze je fascynowały.

- Wiesz, że kiedyś jeden chłopczyk utopił się tu w fontannie? - zapytała Polly Florencję najwyraźniej zachwyconą roztaczającym się przed nią widokiem.

- Niemożliwe.

- Tak było! - Polly stała na wprost Marty i podziwiała dwa wielkie, kamienne lwy, znajdujące się tuż przed nią. Budowa fontann zajęła parę lat, ale końcowy efekt był naprawdę niezwykły. Do położonego na pierwszym planie dużego zbiornika w kształcie róży przelewała się woda z leżącego tuż za nim jeszcze większego zbiornika, zdobionego kamiennymi płaskorzeźbami. Dwa wielkie lwy wyrzeźbione były w podstawach dwóch kolumn, wysokich na prawie dziesięć metrów, stojących po obu stronach wyższego zbiornika. Ich majestat sprawiał doprawdy imponujące wrażenie. Olbrzymie głowy z szarego kamienia były starannie wyczyszczone i wspaniale wyrażały groźny, królewski majestat obu bestii. Przez długą chwilę Marta z niemym podziwem przyglądała się, jak tysiące litrów spienionej wody z hukiem wypływają z otwartych pysków ryczących lwów, spadając do położonego niżej zbiornika.

- Widziałaś kiedyś prawdziwego lwa, mamó? - spytała Polly.

- Nie, nigdy!

- Ja też nie! - Polly oderwała wzrok od rozgrywającego się przed nimi widowiska i spojrzała matce w oczy z tym szczególnym wyrazem determinacji, który Marta już dobrze знаła, ale którego nadal nie potrafiła zrozumieć. - To jedna z rzeczy, które zrobię, gdy tylko będę miała ku temu sposobność. Chcę zobaczyć wszystko i pojechać wszędzie!

Marta w milczeniu odwzajemniła zdecydowane spojrzenie błękitnych oczu, w których można było dostrzec przemożne pragnienie doświadczenia wszystkiego, co świat ma do zaoferowania. Wyciągnęła rękę w mimowolnym geście, jakby chcąc uśmierzyć bolesną udrękę, którą wyczuwała za tą błękitną barierą. Gdy przemówiła, z jej głosu przebijało niezachwiane przekonanie:

- Wiem o tym, Polly.

Na te słowa Polly odwróciła głowę i utkwiała wzrok w pieniającej się wodzie.

Marta intuicyjnie czuła, że udręka córki i jej własny niepokój nieprędko się skończą. Ostatnie dwa miesiące nie przyniosły pod tym względem zbytnej poprawy, ale też częstotliwość okropnych ataków Polly nie nasiliła się. Badania specjalisty nie dały jednoznacznej odpowiedzi, czy jej stan się pogorszył czy też nie. W związku z tym podjęto starania załatwienia jak najszybszego przyjęcia Polly do szpitala, gdzie mogłaby być poddana jeszcze dokładniejszym badaniom. Decyzja ta nie była łatwa ani dla Polly, ani dla Marty, i rozmyślając nad tym, Marta na chwilę przymknęła oczy, pozwalając kapryśnym, chłodnym podmuchom owiewać swoją twarz.

Biedna Polly, pomyślała ze smutkiem, jakie to wszystko wydaje się niesprawiedliwe, gdy dotyczy kogoś tak młodego! I widać, jak bardzo brakuje jej małej Bridget.

Marta westchnęła ciężko, czując przygniatające ją znużenie. I jej samej brakowało otuchy, jaką znajdowała w towarzystwie koleżanek z przedzalni. Na szczęście od kiedy ludzie dowiedzieli się o jej nowym zajęciu, miała zawsze sporo szycia na zamówienie.

Po jakimś czasie nagle wstała, starając się otrząsnąć z niewesołych myśli.

- Chodźcie - powiedziała, przystając na środku szerokiej alei, która przecinała cały park, wijąc się pośród trawników i klombów przez wiele kilometrów - pójdziemy w stronę Borsuczej Jamy.

Florencja i Bartuś wyłonili się natychmiast zza jednego z ozdobnych mostków, gdzieniegdzie przerzuconych nad ukrytymi pośród krzewów strugami. Pobiegli przodem, podczas gdy Marta i Polly wolnym krokiem ruszyły za nimi. Bez pośpiechu chłonęły otaczające je ze wszystkich stron piękno. Niewiele do siebie mówiły - każda pogrążona była we własnych

myślach. Marta zastanawiała się, jak też mogą potoczyć się ich przyszłe sprawy, czuła bowiem, że obecny stan rzeczy musi się jakoś zmienić. Rozważała też, choć spytana o to z pewnością gwałtownie by zaprzeczała, czy jej awersja do Barty'ego Bendalla jest równie silna jak niechęć, jaką czuła do niego Polly.

Przechadzając się pośród wspaniałości parku miejskiego, trudno było jednak widzieć wszystko w ciemnych barwach. Wokół było tyle piękna, że w serce wstępowała nadzieja. Marta właściwie nie miała nikogo, do kogo mogłaby zwrócić się ze swoimi problemami. Poczowała gniew, przypomniawszy sobie okrutną obojętność Barty'ego Bendalla, gdy próbowała porozmawiać z nim o czekającym Polly pobycie w szpitalu. Do tego, że na niej samej wyładowuje swoją złość i niechęć, zdążyła się już przyzwyczaić, ale Polly była przecież jeszcze dzieckiem.

- Mamo - usłyszała głos Polly - maluchy chcą najpierw pójść do piaskownicy.

- Nie mam nic przeciwko temu, a ty, Polly?

- Ja też bym chciała zobaczyć piaskownicę.

- Dobrze - zdecydowała Marta. - W takim razie najpierw piaskownicę, a potem Borsucza Jama.

Przechadzanie się krętymi alejkami, które w lecie pobudzały zmysły bogactwem woni i barw, było prawdziwą przyjemnością. Zimą natomiast na każdym zakręcie witały przybysza złociste odcienie brązów i żółci. Aleja Pierwiosnków prowadziła ich małą grupkę do cichszej, starszej części parku. Ścieżka wiodła pod górę wijąc się pod zwisającymi z góry konarami, i osiągając w końcu najwyższy punkt, rozszerzała się na płaskim terenie, prowadzącym do piaskownic. Wcześniej, gdy strome podejście zaczęło się już Marcie dawać we znaki, Polly odebrała od niej torbę z zabranym na wycieczkę jedzeniem. W najwyższym punkcie przystanęli.

- Ale się zmęczyłam! - wysapała Marta, z trudem chwytając powietrze i wypuszczając z ust obłoczki pary.

- Ależ tu jest stromo! - Bartuś w niespełna minutę odzyskał siły, dźgnął Florencję mocno pod żebra i puścił się pędem naprzód, lądując po kolana w piasku.

Dochodząc do siebie, Marta czuła, jak krew żywiej krąży jej w żyłach. Na chłodnym wietrze jej długie, ciemne włosy rozsypały się w uroczym nieładzie, a jasną skórę twarzy pokrył delikatny rumieniec. Wspinaczka dodała jej animuszu i w tej chwili czuła się cudownie wolna od wszelkich niewidzialnych okowów, które na co dzień ją krępowały. Popatrzyła na Polly, która jeszcze łapała oddech, i wzdrygnęła się widząc jej bladą, zmienioną twarz i ściągnięte

rysy. Gdy córka podniosła oczy, aby się do niej uśmiechnąć, trwoga ścisnęła serce Marty, gdyż zdawało jej się, że odpłynął z nich cały intensywny błękit i została niemal eteryczna przejrzystość. Jasne rzęsy zatrzepotały w zakłopotaniu i Polly z trudem poruszyła cienkimi wargami.

- Możemy na chwilę sięść, mamó? - spytała bez tchu.

Straszny, powtarzający się koszmar, który nękał Martę po nocach przez tych parę ostatnich lat, nigdy nie wydawał się równie realny. Pomogła Polly usiąść na pobliskim pniaku.

- Poczekamy tu trochę, kochanie - powiedziała półgłosem, obejmując Polly.

- Nie musisz się śpieszyć. Odpocznij sobie, poodychaj głęboko. Tu jest tak samo ładnie jak gdzie indziej. - Pochylając się do przodu, musnęła wargami blade czoło i spytała: - Czy coś cię boli, kochanie?

- Nie, mamó - powiedziała Polly załamującym się głosem, bez powodzenia próbując się roześmiać. - Po prostu zabrakło mi pary jak starej, zepsutej lokomotywie.

- Może nie powinniśmy byli iść tą drogą - zamyśliła się Marta, zła na siebie, że dała się namówić na najbardziej strone podejście. - Już nie pójdziemy do Borsuczej Jamy. Posiedzimy sobie tutaj, koło piaskownic. - Czule uścisnęła córkę. - Potem zaczniemy schodzić w dół.

- Och, mamó.

- Żadnych ale, moja droga! - powiedziała Marta stanowczo. - Dalej za piaskownice już nie pójdziemy! - Zawsze zadziwiało ją, jak szybko mijają te ataki Polly, ale ten, choć najwyraźniej bezbolesny, zdawał się trwać bez końca. Gdy jednak wreszcie minął, nic nie świadczyło o tym, że był poważny. - Pewna jesteś, że już się lepiej czujesz? Nie chcesz tu jeszcze posiedzieć przez parę minut?

Na policzki Polly wrócił lekki rumieniec i już zaczęła się bystro rozglądać wokół.

- Nie, pójdę się trochę pobawić z maluchami. - Widząc przepełnione troską spojrzenie matki, zapewniła ją szybko: - Nie martw się, mamó. Nic mi nie jest, naprawdę! Zdyszałam się tylko przez to strone podejście. - Wskazała miejsce daleko za piaskownicą, gdzie w najlepszej zgodzie bawili się teraz Florencja z Bartusiem i gdzie zarośla i krzewy dochodziły do sięgających nieba wysokich, dostojnych drzew. - Spójrz tylko, mamó! Założę się, że jest tam pełno różnych małych zwierzątek!

Marta obserwowała, jak Polly oddala się w kierunku piaskownic, po czym poszła za nią, dochodząc do ławki stojącej na skraju terenu zabaw. Ławka ukryta była w zacisznym zakątku, okolonym wysokim, rozrośniętym

żywoplotem laurowym. W tym miejscu zaczynał się uskok, u stóp którego położony był rozległy płaski teren. Zmieniając nieco pozycję i wyciągając szyję, Marta mogła dostrzec bawiące się w dole dzieci, natomiast ona sama pozostawała dla nich niewidoczna. Dziwnie spokojna oparła się o twardą poręcz. Nieczęsto mogła sobie pozwolić na luksus wyjścia do parku, gdyż życie i codzienne obowiązki domowe całkowicie wypełniały jej czas. Planowała tyle rzeczy, z których w końcu nic nie wyszło, jak na przykład rozmowa, którą chciała odbyć z ciocią Bert. Dzisiejsza wyprawa była rzadką przyjemnością i Marta rozkoszowała się nią bez żadnych wyrzutów sumienia.

Od dnia, kiedy po wielu komplikacjach mała istotka imieniem Polly przysłała na świat, zajęła szczególne miejsce w sercu Marty. Nie oznaczało to wcale, że swoje kolejne dzieci Marta kochała mniej. Jednak przy urodzeniu pierwszego dziecka matka może doświadczyć niepowtarzalnej radości, a jeśli to dziecko nie jest całkiem zdrowe, naturalny instynkt opiekuńczy tym bardziej dochodzi do głosu. Pomiedzy Martą a Polly zawsze istniało milczące porozumienie i koleżeńska zażyłość, których nie osłabiła ani wczesna diagnoza dotycząca potencjalnie niebezpiecznego guza, ani utrata Curta, ani inne utrapienia prześladowające je od tamtego czasu. Dążąc do zapewnienia dzieciom poczucia bezpieczeństwa i szczęścia oraz spokoju ducha, Marta zawsze zdawała sobie sprawę, że największe pod tym względem trudności będą z Polly. Jednakże łącząca matkę z córką więź okazała się na tyle trwała, by nie zdołały jej naruszyć żadne przeciwności losu.

Choć Marta tak usilnie starała się zrozumieć wewnętrzne zmagania, które toczyły się w głowie córki, nadal nie była w stanie dociec ich źródła i ewentualnych następstw. Odkryła też, że w chwilach, gdy Polly najbardziej potrzebowała pomocy, nawet ona nie była w stanie przebić się przez pancierz, pod którym córka chowała swe najgłębsze uczucia. Marcie pozostawała więc tylko gorąca nadzieja, że wszystko jakoś się ułoży.

Zamknęła oczy i oderwała się od trapiących ją trosk. Wystawiła twarz do słońca, poddając się łagodnej pieszczocie jego promieni, i pomyślała, że jednak ma parę powodów do radości. Komuś, kto nie znał jej zbyt dobrze, mogłoby się wydawać, że nie ma ich zbyt wiele, ale ona cieszyła się każdym z nich. Pamiętała gorącą miłość, jaka kiedyś łączyła ją z Curtem. I miłość swoich najdroższych rodziców oraz dzieci, które urodziła. Wszystko to sprawiało, że czuła się szczęśliwa.

Jakże dalekie wydawało jej się kojące schronienie silnych, kochających ramion Curta i jakże trudna do zniesienia dotkliwa samotność. Już dwukrotnie wybierała się do cioci Bert, aby dowiedzieć się, czy nie ma jakichś wieści od

Curta, pod pretekstem, że ma on pełne prawo dowiedzieć się o stanie Polly. Choć w głębi duszy uważała, że Curt już wystarczająco wiele wycierpiał, dużo by dała, żeby móc podzielić się z nim swoimi troskami.

Za każdym razem jednak, gdy szła do ciotki Bert, w ostatniej chwili zawracała. Na to, żeby w razie konieczności skontaktować się z Curtem, zawsze będzie czas. Sama wielokrotnie opierała się pokusie wyciągnięcia spod wykładziny kartki od Curta, ukrytej tam owego wieczora, kiedy płonęło wielkie ognisko. Z drugiej strony jednak nie potrafiła zmusić się do tego, aby ją zniszczyć, chociaż każde widniejące na niej słowo było zapisane w jej sercu. Ich miłość nigdy nie miała i teraz też nie ma żadnej przyszłości, bo los ich rozdzielił, a czas oddalił od siebie, tak że ich ścieżki może już nigdy się nie spotkają. Pomimo to nic nie mogło jej odebrać wielkiej radości, jakiej doznawała przywołując drogie sercu wspomnienia.

Tymczasem Curt Ratheter stał, niezdecydowany, całkiem blisko niej. Nie wiedział, czy powinien podejść do swojej ukochanej Marty, czy też wykazać na tyle silną wolę, by odwrócić się i odejść, skoro już widział i ją, i dziewczynki? Kiedy zobaczył, jak wychodzą z małego, niepozornego domku, ruszył w pewnej odległości za nimi z nikłą nadzieją, że może nadarzy się okazja porozmawiania z Martą sam na sam. Teraz jednak, kiedy wydawało się, że taka sposobność właśnie nadeszła, opadły go wątpliwości. Co ona robi? Czy nie odwróci się od niego? Czy jeszcze go kocha? A może zawsze będzie go winić za to, że zrujnował ich życie, niszcząc cudowne szczęście, którym się niegdyś cieszyli? Serce podpowiadało mu, że Marta kocha go równie mocno, jak on ją. Rozum natomiast mówił mu, że wymaga zbyt wiele i że powinien odejść.

Marta upewniła się, że z dziećmi wszystko jest w porządku, oparła się o poręcz i zamknęła oczy, pozwalając drogocennym wspomnieniom wypełnić swój rozgorączkowany umysł. Przyjemność, jakiej doznawała przywołując je, była tak intensywna, że obecność Curta wydawała się niemal namacalna. Przeszedł ją lekki dreszcz, a mocne bicie serca i ucisk w gardle powodowały, że z trudnością wciągała powietrze w płuca. Jakiś nagły, niezrozumiały impuls kazał jej otworzyć oczy. Sama nie wiedziała, dlaczego ciepłe łzy napłynęły jej do oczu, a całe ciało ogarnęła fala wielkiej radości. Gdy nagle dobiegły ją jakieś przytłumione słowa, przestraszyła się. Czuła się tak, jakby Curt był tu, blisko niej.

- Marto! Moja ukochana Marto!

Uniesienie, które ją ogarnęło, stało się już trudne do zniesienia. Marta podniosła oczy i oto stał przed nią Curt! To nie był sen ani wytwór jej wyobraźni! To był jej najdroższy, najukochańszy Curt - stał przed nią tak

blisko, że wystarczyło jedynie wyciągnąć rękę, aby go dotknąć! Czowała jednocześnie podniecenie i lęk.

- Curt - wyszeptała, bojąc się spłoszyć coś, co mogło okazać się jedynie cieniem. Wyciągając przed siebie rękę, podniosła się z ławki i stanęła przed nim. - To ty, to naprawdę ty! - Łzy potoczyły jej się po policzkach. - Och, Curt! Curt! - Śmiała się i płakała jednocześnie, zadziwiona i speszona.

- Marta - dokładnie taka, jaką zapamiętałem - powiedział półgłosem, czarnymi oczami pochłaniając z zachwytem jej urodę.

Marta ledwo mogła skupić wzrok na jego przystojnej twarzy, której rysy tak dobrze знаła.

Curt Ratheter ze łzami w oczach zrobił krok do przodu i wtedy zniknęły wszystkie bariery między nimi. Porwał Martę w swoje silne ramiona, nie napotykając z jej strony żadnego oporu. Myśli wirowały jej w głowie jak szalone, pośród wielkiego lęku i upojenia. Jak mogło nie zadrzeć jej serce pod dotykiem jego silnych ramion. A usta, które składały pocałunki na jej wargach, poruszając ją do głębi? Należała do niego! To był jej mężczyzna! Kochała go i potrzebowała bardziej, niż kiedykolwiek byłaby w stanie wyrazić to słowami. Poddała się jego uściskom i pocałunkom, wyrażającym łączącą ich dozgonną miłość, i poczuła takie wzruszenie, że aż zachwiała się na nogach.

Rychło jednak jej szczęście zmaćla bolesna świadomość, że przecież ich miłość nie ma żadnej przyszłości. Jej oczy ponownie zamglili smutek, tłumiąc jasny blask miłości, który przez chwilę w nich gościł, i Marta, wzdychając rozdzierająco, wyswobodziła się z jego objęć.

- Curt - nie! - Cofnęła się w kierunku ławki, posyłając mu błagalne spojrzenie.

Tych parę ostatnich, długich lat zostawiło swe piętno na mężczyźnie, który w oczach Marty zawsze był jej prawdziwym mężem. Nadal miał wysoką, dumną sylwetkę i pewnie tylko Marta ze ściśniętym sercem dostrzegła lekkie przygarbienie ramion, świadczące o tych samotnych, spędzonych w odosobnieniu latach. Curt usiadł obok niej i czułym gestem ujął jej dłoń.

- Idę za wami od samego rana - powiedział - ale musiałem poczekać, aż będziesz sama.

Marta modliła się w duchu o to, aby Bóg dał jej siłę.

- Curt - powiedziała, wysuwając dłoń z jego rąk - proszę, zrozum, nie powinniśmy się już nigdy widywać. - Nie bała się o siebie, lecz o niego. W uszach nadal dźwięczała jej groźba Barty'ego Bendalla.

- Nie mów tak, Marto! Rozwiodłem się z Fran, byłem na południu i tam obiecano mi pracę i mieszkanie! Zaoszczędziłem też trochę pieniędzy. Och,

kochanie, jak ja cię kocham! Zgódź się pojechać razem z dziećmi na południe i zacząć tam nowe życie, proszę!

- Nie, Curt! Nie możemy - głos Marty pełen był udręki. - Nie widzisz, kochany, że to nie może się udać? Zbyt wiele rzeczy wydarzyło się przez te lata i za bardzo jesteśmy wszyscy zranieni tym, co się kiedyś stało. A poza tym, nawet jeśli ty jesteś teraz wolny, to ja przecież jestem mężatką!

- Marto, gdybym sądził, że mnie nie kochasz, że mnie nie chcesz, odszedłbym i nigdy byś mnie już więcej nie ujrzała. Ale przecież wiem, że jest inaczej. Uczucie, które nas łączy, nie zmieniło się od chwili, kiedy po raz pierwszy na siebie spojrzeliśmy.

Te słowa obudziły dawne lęki i choć Marta miała wielką ochotę przytulić Curta do siebie, żeby złagodzić udrękę, jaką sprawiały mu te wspomnienia, nie śmiała tego zrobić, bo czuła, że byłaby zgubiona! Curt pochylił głowę, jakby chcąc uciec od tych przykrych wspomnień, po czym nagłym gestem otoczył obiema rękami jej smukłe palce i podniósł je do ust, pieścąc łagodnie.

- Wiem, że nie jesteś szczęśliwa z Bartym Bendallem - powiedział cicho.

Marta spojrzała w twarz ukochanego i wzruszenie ścisnęło ją za gardło.

- Nie mów o tym, kochanie - szepnęła. - Przecież i wiesz, że to niczego nie zmieni. On jest moim mężem

i muszę mu być wierna. Musimy oboje zapomnieć o przeszłości i nigdy już do niej nie wracać. - Powiedziała te słowa tonem pełnym miłości. Głaszcząc kochaną twarz, której rysy tak dobrze знаła, napotkała czułe spojrzenie Curta i poczuła, że cała jej istota wyrywa się ku niemu. Jakże kochała tego ciepłego, troskliwego mężczyznę i jakże byłaby szczęśliwa, gdyby mogli znowu być razem! Ale wszystkie okoliczności przemawiały przeciwko nim! Jak wytłumaczyć to dzieciom? I do jakiego szaleństwa posunąłby się Barty Bendall, gdyby się zdecydowała na taki krok? Na domiar wszystkiego sytuacja jej i Curta byłaby niewiele lepsza niż poprzednio, bowiem Barty Bendall nigdy nie zgodziłby się na rozwód, więc nie mogłaby wyjść za Curta. Raczej robiłby wszystko, żeby temu zapobiec. Sama myśl o jego wojowniczym usposobieniu i o tym, co mógłby zrobić, przyprawiała ją o przerażenie.

A Polly? Biedna, udręczona Polly. Jak może narazić ją i pozostałe dzieci na tak niepewną przyszłość, która ją samą przepelniała obawą? Wielki Boże! Wydawało się, że wszystko sprzysięgło się przeciwko niej i że jest to sytuacja bez wyjścia. Jednocześnie czuła nieprzeparte pragnienie, by zdać się na łaskę Boga i odrzuciwszy wszelkie środki ostrożności, zaakceptować propozycję Curta. Natychmiast wyczuł, jak wielką miłość Marta nadal żywi do niego. Nie potrzebował już więcej niczego! Z namiętnością, nad którą musiał panować

przez wszystkie te lata, przyciągnął ją do siebie, odnajdując jej chętne, upragnione usta. Nie mogąc dłużej tłumić łączącej ich rozpaczliwej miłości, poddali się czułem uniesieniu i wielka radość i szczęście wypełniły ich dusze.

Łzy, które Marta dotychczas zwykła ronić w samotności, teraz popłynęły obficie, gdy zaczęła opowiadać Curtowi o tym, jak ostatnio Barty Bendall stał się obłąkańczo podejrzliwy, do tego stopnia, że obawiała się, iż może zrobić coś strasznego, a także o zaciętej nienawiści, jaką czuł do ich córki Polly. Nawet w takiej chwili nie potrafiła zdobyć się na to, aby powiedzieć mu o czekającym córkę pobycie w szpitalu. Curt słuchał w milczeniu, raz po raz delikatnie ocierając łzy z jej smutnej twarzy.

- Nie mogę od niego odejść. Boję się. Och, wiem, że na swój sposób mnie kocha, inaczej nie przygarnąłby mnie z dwojgiem dzieci, wiedząc, co do ciebie czuję. Nigdy nie ukrywałam przed nim swojej miłości do ciebie.

Cichym, łamiącym się głosem, powiedziała na koniec:

- Curt, mam wobec niego dług wdzięczności!

- Nie! Niczego mu nie zawdzięczasz, Marto! Wykorzystywał cię przez te wszystkie lata. Myślisz, że nie wiem wszystkiego? - Głos mu złagodniał, gdy nachylił się nad nią i obsypał jej twarz czułymi pocałunkami. - Nie masz wobec niego żadnego długu. Całymi dniami ciężko pracowałam, żeby wyżywić i ubrać rodzinę, podczas gdy on przepuszczał swoją pensję w pubie albo na wyścigach. Nie masz wobec niego żadnych zobowiązań.

Marta uświadomiła sobie, że przyszłość jej i dzieci związana jest z Curtem. Nie potrafiła jednak pozbyć się czającego się gdzieś w głębi duszy niepokoju, bowiem Curt nie znał Barty'ego Bendalla tak dobrze, jak ona.

- Curt, czy możesz mi coś obiecać? - spytała. Wyraz jego twarzy skłonił ją do ponowienia prośby. - Proszę cię!

- Co ci mam obiecać?

- Że nie będziesz już więcej za mną chodził. Pozwól mi się zastanowić i samej zdecydować, co powinnam zrobić.

- Tego nie mogę ci obiecać - odparł Curt zdecydowanie. - Na coś takiego nigdy się nie zgodzę.

- Musisz, Curt! Tylko wtedy będziemy mieli jakieś szanse.

- Nie! - Curt wstał z ławki i zaborczym gestem przyciągnął ją do siebie. - Mogę obiecać tylko to. - W jego oczach pojawił się wyzywający błysk. - Przyjdę, żeby cię ze sobą zabrać, bo należysz tylko do mnie. Musimy być razem i nie wchodzą tu w grę żadne kompromisy. Chcę odebrać cię i nasze dzieci - tylko myśl o tym trzymała mnie przy życiu przez te mroczne lata. Kochanie, czy mogłabyś zabrać ze sobą dzieci i zatrzymać się u swojej mamy

albo u cioci Bett do czasu, aż znajdę dla nas jakieś mieszkanie? - Curt aż ochrypnął z przejęcia. - Marto, chcę, żebyśmy zaczęli nowe życie, bez wracania do mar przeszłości. Jeszcze dziś pojedę załatwić sprawę pracy i domu. Kiedy wszystko będzie gotowe, natychmiast przyjeżdżam z powrotem po ciebie i dzieci.

Marta pragnęła tak wielu rzeczy. Chciała mu powiedzieć, że to wszystko wydaje jej się zupełnie niewykonalne, że obawia się o niego i że Barty Bendall nigdy nie zwolni jej z przysięgi, która kiedyś ich połączyła. Najbardziej jednak chciała wierzyć w to, że w końcu wszystko dobrze się ułoży, choć w skrytości ducha nie miała na to wielkiej nadziei. Gdy patrzyła teraz na niego, udręczonego okolicznościami, które nie pozwalały im być razem, a jednak tak pełnego zapału i zdecydowania, żeby do tego doprowadzić, przeszłość wydawała się nie mieć żadnego znaczenia i jedyne, co się liczyło, to ich dozgonna miłość i trójka ukochanych dzieci.

- Gdyby tylko było to możliwe - wyszeptała tuż przy jego twarzy.

- Ależ jest, kochanie, zapewniam cię. - Curt jeszcze raz złożył na jej policzku lekki pocałunek pełen obietnic. Potem odwrócił się, żeby spojrzeć na nieświadome niczego, pochłonięte zabawą dzieci i uśmiechnął się z przyjemnością. - Jak się miewa Polly? - spytał. Gdy zapewniła go, że dziewczynce nic nie dolega, Curt dodał: - Pod twoją opieką nasze córki wyrosły na śliczne panny i masz jeszcze syna. - Ucałował jej ciemne, załamane oczy. - Twój syn czy mój, to nie ma znaczenia, kochanie. Jakże mógłbym nie kochać części ciebie jak czegoś, co i mnie jest najdroższe? - Odchodząc, przypomniał jej: - Zabierzesz dzieci do swojej mamy albo do cioci Bett?

Marta potrząsnęła głową i odparła stanowczo:

- Nie, Curt! Nie zrobię tego.

Curt pamiętał, że gdy Marta raz coś postanowi, trudno ją od tego odwieść, więc po chwili wahania powiedział jej:

- Dobrze, kochanie, niech będzie po twojemu, ale kiedy tylko wszystko załatwię, wrócę po ciebie. Pamiętaj!

Po chwili już go nie było. Marta zastanawiała się później, czy przypadkiem to wszystko nie był sen, sprowokowany jej rozpaczliwym położeniem. Wiedziała jednak dobrze, że to była cudowna rzeczywistość, która do tej pory przypominała okrutny koszmar.

Słyszac głos Polly, Marta szybko wzięła się w garść. Na widok zarumienionych policzków córki od razu poprawił jej się humor. Najwidoczniej tutejsze świeże, czyste powietrze miało na Polly dobroczynny wpływ.

- Polly, dobrze się bawisz, kochanie? - Podeszła do ławki, żeby przejrzeć zawartość torby z jedzeniem, sama się dziwiąc, że może robić coś tak prozaicznego, gdy całe jej ciało drży jeszcze z podniecenia.

Kiedy godzinę później zaczęli się już zbierać do domu, Marta czuła się szczęśliwa jak nigdy dotąd. Będzie liczyć dni do powrotu Curta.

- No dalej, Florencjo! - wykrzyknęła Polly, chwytając za ramię marudzącą gdzieś z tyłu siostrę, żeby nakłonić ją do udziału w wyścigu po stromo opadającej w dół ścieżce. - Ostatni na dole to prawdziwy śmierdziel!

Marta została z tyłu. Ostrzegła Bartusia, żeby uważał, gdy wyruszał w mrozący krew w żyłach pościg za dziewczętami, i pograżyła się w zadumie, przypominając sobie inne rodziny napotkane w parku - rodziny w komplecie, w których ojcowie sadzali sobie dzieci na kolanach albo grali z nimi w różne dziecięce gry. Wszystko to nieodmiennie kojarzyło jej się z Curtem i jego czułym uściskiem. Przypominała sobie każde wypowiedziane przez niego słowo, ponownie przeżywając emocje wywołane ich nieoczekiwanym spotkaniem, aż zaczęło jej się kręcić w głowie, a serce z radości omal nie wyskoczyło jej z piersi. Gdzieś na dnie czaił się też lęk, temperując jej uniesienie, ale na razie wszystkie obawy i wątpliwości wydawały się nieistotne wobec napływu wielkiej tkliwości i rozkosznych uczuć, które pokryły jej piękną twarz młodzieńczym rumieńcem i przydały sprężystości jej krokom.

Jednak im bliżej byli domu i Barty'ego Bendalla, tym ciężiej robiło się Marcie na duszy i tym wyraźniej sobie uświadamiała, jak strasznie poplątane stało się jej życie. Pośpieszyła za resztą, nie mogąc się jeszcze otrząsnąć z wrażenia po spotkaniu z Curtem, i wciąż czując dotyk jego ukochanych rąk.

Rozdział osiemnasty

No, kochanie, pośpiesz się i zapnij płaszczyk. Polly i Bartuś już są gotowi do wyjścia! - Marcie bardzo się śpieszyło.

- Och, mamó! - Florencja stała naburmuszona, pozwalając zapiąć sobie pod szyją płaszcz. - Jeszcze nawet nie skończyłam śniadania - marudziła. Ale Marta pozostała niewzruszona i poprowadziła protestującą dziewczynkę korytarzem w kierunku drzwi, gdzie stała Polly trzymając za rękę Bartusia.

- Miałaś wystarczająco dużo czasu, moja droga! Gdybyś naprawdę była głodna, to byś zdążyła! - powiedziała Marta.

- No chodź! - pogoniła Florencję stojąca przy drzwiach Polly i odwróciła się, żeby jeszcze na chwilę przytulić się do mamy. - Spóźnimy się przez nią na tramwaj! - narzekała i krzywiła się niezadowolona. Marta pochyliła się i po kolei ucałowała dzieci na pożegnanie, po czym Polly wzięła za rękę Bartusia, a z drugiej strony Florencję, i pomaszerowała z nimi ulicą, nie przestając narzekać.

Pomachawszy im na pożegnanie, Marta podeszła do drzwi Ady Humble. W odpowiedzi na jej lekkie, lecz stanowcze pukanie w progu stanął Blackie.

- Witaj, Blackie - przywitała się Marta. Przyjrzała mu się i stwierdziła, że jak na chłopca w jego wieku wygląda na zbyt zatroskanego. - Głowa do góry, chłopcze - powiedziała. - Nie będzie tak źle, zobaczysz. - Sama jednak czuła niepokój, bowiem to właśnie dzisiaj Ada z synem mieli się stawić w sądzie.

- Nie martwię się o siebie, pani Bendall - odparł Blackie, otwierając szerzej drzwi, żeby mogła wejść do środka. - Chodzi o mamę. Od dnia, kiedy zmarł tatuś, bardzo się zmieniła. - Był na granicy łez. - Ale jak mam jej pomóc? - spytał. - Jak ktokolwiek może jej pomóc?

- Nie wejdę do środka, Blackie - powiedziała Marta. - Muszę jeszcze u siebie posprzątać. Ale powiedz mamie, że za mniej więcej godzinę będę gotowa do wyjścia. - Zniżyła głos i uśmiechnęła się łagodnie, spoglądając na jego zafrasowaną twarz. - Hej! Zobaczysz, naprawdę nie będzie tak źle. A jak już będzie po wszystkim, twoja mama na pewno od razu lepiej się poczuje. Wiem, że utrata tatusia była szokiem dla was wszystkich, ale twoja mama po prostu potrzebuje trochę czasu, żeby się z tego wszystkiego otrząsnąć, to wszystko. - Zbierając się już do odejścia, Marta uświadomiła sobie ze współczuciem, jak wiele obowiązków przejął na siebie Blackie po śmierci ojca. - Chłopcy już poszli do szkoły, prawda, Blackie? - spytała, chcąc pomóc mu oderwać się od myśli o czekającej ich ciężkiej próbie.

- Tak! Wyprawiłem ich z samego rana.

- Dobry z ciebie chłopak, Blackie. Jesteś dla swojej mamy wielką pociechą, to pewne. No to będę się was spodziewała za godzinę - dodała, odwracając się do wyjścia.

Wróciła szybko do domu i zostawiwszy lekko uchylone drzwi frontowe, poszła do salonu. Wcale nie była tak optymistycznie usposobiona, jak udawała przed Blackiem. Po śmierci Toby'ego Humble Blackie jeszcze bardziej zaniedbał szkołę i choć głównym powodem było to, że pogrążona w żałobie Ada teraz potrzebowała go jeszcze bardziej niż przedtem, Marta wiedziała, że nawet w takich okolicznościach nie ma co liczyć na większą wyrozumiałość formalistów z dyrekcji szkoły. Była przekonana, że w najlepszym razie wymierzą biednej Adzie wysoką grzywnę. No cóż, pomyślała, sama nie ma wiele, ale na tyle, na ile będzie ją stać, poratuje Adę! Biorąc się za sprzątanie po śniadaniu, przekonywała samą siebie, że dzisiaj na pewno już wszystko się rozstrzygnie. Jakoś ta myśl nie sprawiła jej jednak zbytnej ulgi.

Umycie paru kubków i talerzy oraz doprowadzenie salonu i kuchni do jakiegoś takiego porządku nie zajęło wiele czasu. Marta uważała, że od czasu do czasu można ograniczyć się do takich szybkich, pobieżnych porządków, a poza tym dziś nie miała czasu, żeby wszystko dokładnie czyścić i szorować. Pozbierała przybory krawieckie i schowała je za fotel, żeby nie rzucały się w oczy.

- Jutro będę musiała przyłożyć się do pracy - mruknęła do siebie, wchodząc do kuchni. Pod wpływem zimnej wody jej ciałem wstrząsnął silny dreszcz. - O Boże! - wyrwało jej się. - To może człowieka doprowadzić do zawału.

Szybko się wytarła i włożyła najlepszą niebieską bluzkę i spódnicę. Chwyciła opadające jej na plecy długie, ciemne włosy i skręciwszy je w gruby warkocz, oplótła go wokół głowy i upięła w kok za pomocą licznych spinek. Rzut oka na zegar przekonał ją, że Ada i Blackie powinni zjawić się lada chwila, więc nie tracąc czasu zaryglowała tylne drzwi i zniosła z góry swój najlepszy kapelusz i brązowy płaszcz.

Za każdym razem, kiedy Marta mijiała tę część wykładziny, pod którą nadal leżała kartka od Curta, na myśl o nim ścisnęło jej się serce. Ani razu nie wyjęła stamtąd listu, żeby przypomnieć sobie jego treść, bo i tak знаła ją na pamięć.

Marta nie miała wielkich nadziei na ziszczenie się planów Curta. Jednak gdzieś w głębi duszy żyło to zakazane uczucie, które świadomie tłumila, ale które i tak przepajało każdy jej sen.

Wlała do garnka akurat tyle wody, żeby starczyło na zaparzenie niewielkiej porcji herbaty. Jeszcze jest trochę czasu na to, żeby się czymś rozgrzać przed spotkaniem z tymi urzędnikami, pomyślała, nadal jednak nie dopuszczając do siebie, że nerwowe skurcze żołądka mają cokolwiek wspólnego z czekającą ich nieprzyjemną wizytą. Wiedziała, jakim było to dla Ady Humble psychicznym obciążeniem i zadumała się nad okrutnym zrządzeniem losu, który pozbawił Adę nie tylko sposobności powiedzenia o całej sprawie Toby'emu, ale i samego biednego Toby'ego.

Gdy weszła Ada, cała w żałobie i z czarną wstążką obwiązaną zgrabnie wokół czerwonego kapelusza, Marta właśnie zalewała herbatę wrzątkiem. Wlała do kubka nieco skondensowanego mleka, wsypała odrobinę drogocennego cukru, podała kubek Adzie i gestem poprosiła ją, żeby usiadła.

- Mamy jeszcze pięć minut - powiedziała do smutnej Ady, rozglądając się jednocześnie za Blackiem. - Gdzie chłopak? - Ada jednak jakby nie usłyszała jej słów i Marta nie ponowiła już pytania. Domyśliła się, że Blackie za chwilę przyjdzie. Popijając herbatę, przyjrzała się uważnie Adzie i widząc, jak głęboko przyjaciółka pogrążona jest we własnych myślach, poczuła wielki smutek. Ada Humble zmieniła się nie do poznania i Marta nie mogła oprzeć się wrażeniu, że wraz z odejściem jej ukochanego Toby'ego, Ada też w pewnym sensie umarła.

- Ado - Marta pochyliła się do przodu, badając wzrokiem milcząco, udręczoną twarz Ady. - Ado, kochanie - powtórzyła, dotykając trzymanego przez przyjaciółkę listu, wyglądającego na jakieś urzędowe pismo. - Czy to dla sądu? Może ja na to spojrzę, dobrze? - Czekwała na odpowiedź Ady, która w

końcu ocknęła się z zadumy i na jej twarzy pojawił się wymuszony, niepewny uśmiech.

Podnosząc na Martę przepełnione bólem oczy, Ada potrząsnęła głową i, jakby nagle zdała sobie sprawę, co się wokół niej dzieje, wykrzyknęła:

- Dobry Boże, Marto, sama nie wiem, co się ostatnio ze mną dzieje! Stale błądzę gdzieś myślami i nie słyszę, co inni do mnie mówią! - Wyciągnęła przed siebie list. - Widzisz, jak już głupieję - przecież ten list nie jest wcale z sądu! Tamten list ma Blackie. A ten leżał u ciebie na wycieraczkę, kiedy wchodziłam. - Włożyła list w dłoń Marty.

Okazało się, że jest to pismo od specjalisty ze szpitala i gdy Marta zaczęła je czytać, zaschło jej w ustach i coś ścisnęło ją w gardle. Polly miała za dwa tygodnie zgłosić się do szpitala i jej pobyt tam potrwa co najmniej tydzień. W liście wymieniono też rzeczy, jakie powinna ze sobą wziąć - nocną bieliznę, przybory toaletowe itd. Na dole widniał podpis lekarza specjalisty, który miał się zająć Polly.

- Dobrze się czujesz, kochanie? - spytała Ada, widząc, jak twarz Marty stężała i zbladła. - Chyba nic złego nie piszą, co? - dopytywała się niespokojnie.

- To ze szpitala, Ado. Polly ma się tam zgłosić za dwa tygodnie. - Marta nie chciała się wdawać w szczegóły, niczemu by to bowiem nie służyło. Spodziewała się nadejścia tego listu, a jednocześnie żywiła jakąś irracjonalną nadzieję, że jednak nie nadejdzie. - Ma tam przejść dokładniejsze badania. - Coś skłoniło ją, żeby poprosić Adę: - Ado, bardzo bym ci była zobowiązana, gdybyś nie wspominała o tym nikomu, a szczególnie mojej Polly, dobrze? Chciałabym, żeby jeszcze przynajmniej przez parę dni nie musiała się tym martwić.

Boże, pomyślała, czy kiedykolwiek przyjdzie taka chwila, że nie będzie musiała niczego przed nikim ukrywać?

- Oczywiście, moja droga, oczywiście - zapewniła ją skwapliwie Ada. - Nikomu ani słowa! Możesz na mnie polegać!

Złączone cierpieniem kobiety wymieniły zafrasowane spojrzenia i w tej chwili ich rozmowę przerwały dobiegające z korytarza odgłosy kroków Blackiego. Ada wstała z krzesła, poprawiła kapelusz i powiedziała do wchodzącego do pokoju syna:

- No, Blackie, chodźmy w takim razie sprawdzić, czego też najgorszego możemy się spodziewać od tych urzędników!

Marta nałożyła kapelusz, przypięła go do koka i włożyła ciepły, brązowy płaszcz, zadowolona, że Ada wreszcie odzyskała trochę swojej dawnej werwy.

Gdy jakakolwiek krzywda groziła któremuś z jej ukochanych chłopców, silny instynkt macierzyński budził w Adzie lwicę.

Kiedy jednak wreszcie przedostali się przez miasto i dotarli do sądu, Marta dostrzegła, że wcześniejsza pewność siebie Ady ustąpiła miejsca nerwowości i biedna kobieta zaczęła się jękać i wyłamywać palce.

- Och, Marto! - powiedziała drżącym od lęku głosem, wpatrując się w nią błagalnie małymi, okrągłymi oczyma i skubiąc ją za rękaw płaszcza. - Jak ktoś taki jak ja może w ogóle pokazać się tym wszystkim wykształconym urzędnikom? Przecież oni zrobią ze mną, co zechcą. Nie, kochana - zatrzymała się i cofnęła, nie mogąc opanować nerwowego drżenia głowy - przeniosło się ono również na jej kapelusz, toteż dygotał teraz jak galareta. - Nie potrafię tego zrobić, boję się! Wiem, że jestem tchórzem, ale po prostu się boję. - Zaczęła głośno zawodzić: - Jak mi Bóg miły, nogi odmawiają mi posłuszeństwa i chyba się już stąd nie ruszę!

- Chcesz mnie tam posłać samą, Ado? - spytała Marta. Wzięła przyjaciółkę pod rękę i zdecydowanie pociągnęła ją naprzód. - Jeśli teraz nie pójdziesz stawić im czoła, moja droga - powiedziała stanowczym głosem - to już się przed nimi nie opędzisz. Musimy to raz na zawsze wyjaśnić i mieć z tym spokój! - Ścisnęła ramię Ady, chcąc jej dodać odwagi. - Och, zobaczysz, kochana, że nie będzie tak źle. Już chyba nieraz dostawałaś burę w życiu, prawda? No, gdzie twoja ikra? - próbowała ośmielić Adę.

Marcie nie podobała się grobowa atmosfera panująca w sądzie. Jeszcze mniej spodobało jej się to, że Adę i Blackiego posadzono przed ławą sędziowską, a jej samej wskazano ławkę parę rzędów dalej. Pocieszała się, że ma ich oboje w zasięgu wzroku i głosu, więc być może będzie w stanie od czasu do czasu dodać im jakoś otuchy.

Sala sądowa była zimnym miejscem, w którym głosy obecnych wywoływały echo. Ściany pięły się wysoko w górę aż do kopulastego sklepienia, zdobionego cienkimi promieniami, skierowanymi w dół jak oskarżający palec boży, choć zdaniem Marty winnymi byli nie biedni, przestraszeni ludzie, tacy jak Ada Humble, lecz ci mężczyźni o surowych obliczach, którzy ze swych moralnych wyżyn sądzili zwykłych zjadaczy chleba.

- Proszę wszystkich o powstanie! - donośny głos woźnego sądowego wytrącił Martę z zadumy. Wstając, rzuciła okiem na Adę Humble, która wydawała się nadal zupełnie roztrzęsiona.

Marta rozejrzała się po sali. W dalszych ławkach siedziało z pół tuzina widzów i ich widok budził w niej tylko odrazę. Z przodu, po obu stronach sali biegły rzędy długich ławek, a na podwyższeniu wzdłuż całej przeciwległej

ściany ustawiona była ława sędziowska. Nad nią wisiał imponujący herb, przedstawiający różne dzikie bestie, które z powodu jakiegoś dziwnego ustawienia światła wydawały się pożerać oczyma niepozorne postaci Ady Humble i jej syna, Blackiego.

Obrońca z urzędu czekał z rozłożonymi przed sobą na stole papierami. W ławce po przeciwległej stronie sali siedziało dwóch poważnie wyglądających urzędników, którzy od czasu do czasu z wyraźnym poczuciem wyższości przenikliwym wzrokiem taksowali salę. Jeden z nich trzymał w żylastej dłoni plik dokumentów.

Gdy ten właśnie osobnik zabrał głos, zapuścił się w długi wywód na temat wysoce nagannego, lekceważącego stosunku Blackiego do szkoły. Następnie z wielką emfazą opowiedział, jak to pani Humble była wielokrotnie ostrzegana, że notoryczne opuszczanie szkoły przez jej syna może spowodować poważne reperkusje i o tym, że rozmyślnie ignorowała wszelkie ostrzeżenia. Kończąc, przypomniał sędziom o konieczności rygorystycznego przestrzegania przepisu, dotyczącego obowiązku uczęszczania do szkoły wszystkich dzieci w określonym wieku, i nadmienił, że przez ostatnie cztery miesiące, aż do samego dnia rozprawy, pani Humble całkowicie ignorowała wszelkie prośby o dopilnowanie, aby syn nie opuszczał szkoły! Pozostawało więc tylko domniemywać, że przykład szedł z góry, i chłopak przejął swoją lekceważącą postawę od matki.

Marcie zamarło serce, gdy usłyszała ten zajadły atak. Najwidoczniej zamiarem oskarżyciela było spowodowanie wymierzenia kary o wiele surowszej niż tylko reprimenda, a widząc jeszcze zimne, surowe spojrzenia sędziów, Marta już zaczęła kombinować, w jaki sposób zdobyć pieniądze na pokrycie grzywny. Popatrzyła z troską na znużoną Adę Humble i jej rosnącego syna. Ada utkwiała bezmyślnie wzrok w podłodze, a jej drobne, pulchne dłonie wykonywały machinalne ruchy. Marta z przerażeniem zdała sobie sprawę, że rzucające się w oczy roztargnienie Ady może zostać zinterpretowane właśnie jako wyraz tego lekceważenia, o którym mówił oskarżyciel! Marta dobrze wiedziała, że Ada po prostu zagłębiła się w swój wewnętrzny świat, w którym tak często przebywała po śmierci Toby'ego, ale tym zgromadzonym tu ludziom o nieczułych sercach pewnie nie przyszło to do głowy.

Blackie nie mógł dodać matce otuchy, bowiem stał w odległości mniej więcej metra od niej. Marta była z niego dumna, widząc jego wysoką, wyprostowaną sylwetkę i szerokie ramiona, lecz gdy podniosła wzrok, ze zdumieniem stwierdziła, że Blackie płacze. Łzy spływały mu po policzkach, a

on, nie zważając na to, z uwielbieniem wpatrywał się w swoją zatopioną w myślach matkę.

Kiedy obrońca zaczął przekonywać zebranych o wielkim poczuciu odpowiedzialności i oddaniu rodzinie „młodego Humble'a, który rzucił szkołę, żeby pomóc w utrzymaniu licznego rodzeństwa", Marta nieco się uspokoiła i rozluźniła. Ze współczuciem przysłuchiwała się jego dalszym wywodom, kiedy opisywał, jak to po tragicznym wypadku ojca i załamaniu owdowiałej matki Blackie starał się zastąpić ojca swoim pięciu młodszymi braćmi. Dowodził dalej, że byłoby najzupełniej uzasadnione oficjalne zwolnienie chłopca z obowiązku uczęszczania do szkoły, aby mógł zająć pozycję głównego żywiciela rodziny. Podsumował swą żarliwą przemowę, opisując nienaganne wypełnianie obowiązków żony i matki przez panią Humble, którą znali i szanowali wszyscy członkowie lokalnej społeczności.

Na sali zapadła nieprzyjemna cisza, gdy na wąskiej, kościstej twarzy głównego sędziego pojawił się wyraz bolesnego namysłu. Po chwili, zwracając się do ostatniego mówcy, zapytał ostro:

- Czy można spytać, z jakiego powodu pani Humble nie zdjęła nakrycia głowy?

, Marta nawet nie zwróciła na to uwagi! Była już tak przyzwyczajona do widoku tego jaskrawoczerwonego kapelusza na głowie Ady Humble, że traktowała go niemal jak część ciała przyjaciółki. Sądząc jednak z tonu głosu sędziego, był on tak przejęty poczuciem własnej ważności, że to, iż Ada nie zdjęła kapelusza, najwidoczniej uznał za celową manifestację braku szacunku.

- Przepraszamy wysoki sąd - odparł młody człowiek, poszerzając przeprosiny o przypomnienie niedawnej śmierci pana Humble i związanej z tym żałoby oskarżonej. - Bardzo prosimy o nietraktowanie tego niefortunnego przeoczenia jako celowego afrontu wobec sądu i zgromadzonych.

Sędzia główny nie wyglądał jednak na ułagodzonego, a widząc jego kwaśną minę i gwałtowny sposób, w jaki zwrócił się do swoich kolegów, żeby się z nimi skonsultować, Marta odniosła wrażenie, że nagle najważniejszą kwestią nie jest absencja Blackiego w szkole tylko czerwony kapelusz Ady.

Po niedługiej, ożywionej, przeprowadzonej po cichu dyskusji trzech sędziowie opuścili na krótko salę. Kiedy wrócili, sędzia główny zwrócił się do Blackiego:

- Czy masz coś do powiedzenia sądowi?

Gdy Blackie wyprostował się i odchrząknął, Marta w duchu życzyła mu z całego serca, żeby pokazał się z jak najlepszej strony.

- Proszę pana, to ja sam uciekałem ze szkoły! Moja mama nie miała z tym nic wspólnego. Cały czas zwracała mi uwagę, groziła mi nawet! Nakazywała

mi, żebym chodził do szkoły! - Spojrzał w bok na Adę. - To nie jej wina, proszę pana, naprawdę!

Sędzia wydał głębokie, głośnie westchnienie, którego dźwięk rozszedł się po całej sali.

- Obawiam się, młody człowieku, że ta sprawa dotyczy bezpośrednio twojej matki. Zgodnie z prawem za dopilnowanie, aby dziecko nie opuszczało szkoły, odpowiedzialni są wyłącznie jego rodzice, a w twoim przypadku - twoja matka! - Zdawkowym skinieniem głowy dał do zrozumienia, że uważa wypowiedź Blackiego za zakończoną, po czym zwrócił się do pogrążonej w apatycznej zadumie Ady.

- A czy pani chciałaby jeszcze dodać coś, co sąd powinien wziąć pod uwagę? - spytał surowym tonem, wpijając w Adę spojrzenie swych małych oczu i pochylając do przodu głowę, żeby nic nie uронić z jej odpowiedzi.

Marcie serce zamarło w piersi, gdy Ada milcząc nie odrywała wzroku od podłogi. Zapadła martwa, niepokojąca cisza, przerywana tylko odgłosem stukającego niecierpliwie o pulpit ołówka sędziego.

Mężczyzna, który wypowiadał się w obronie Ady, podszedł do niej szybko i dotknął jej ramienia, próbując zwrócić na siebie uwagę, i nagłym szeptem powtórzył pytanie sędziego. Marta odetchnęła z ulgą, gdy Ada podniosła wreszcie oczy na zniecierpliwionego sędziego. Ado, proszę cię, poprosiła w duchu, powiedz to, co trzeba.

- Bardzo przepraszam, panie sędzio - zaczęła Ada, przestępując niepewnie z nogi na nogę i wydawało się, że jej słowa wreszcie rozładowały panujące na sali napięcie. - Mój Blackie był dla mnie prawdziwą, niezastąpioną podporą od czasu, gdy, gdy... - Marta widziała, że Ada nie potrafi wymówić tych bolesnych słów, jednak przyjaciółka opanowała się i ciągnęła dalej: - Ja naprawdę potrzebuję chłopca w domu, proszę pana.

- Czy chce pani powiedzieć, pani Humble - przerwał jej sędzia niecierpliwie - że nie zamierza pani dopilnować tego, aby uczęszczał do szkoły?

- Och nie, panie sędzio! Nie to miałam na myśli. Jeśli pan uzna, że jednak musi chodzić do szkoły, to mu to powiem! Ale on uważa szkołę za kompletną stratę czasu, proszę pana, a mnie naprawdę jest potrzebny w domu!

- Dziękuję, pani Humble.

Gdy sędzia główny zwrócił się do kolegów, aby omówić sprawę, Marta swoim uporczywym spojrzeniem przyciągnęła w końcu uwagę Ady, której twarz rozjaśnił na jej widok nieśmiały uśmiech. Z Marty powoli opadało napięcie. Pomyślała, że po przedstawionym przez obrońcę wniosku, aby „z powodu okoliczności łagodzących pozwoić chłopcu wcześniej opuścić szkołę”

oraz po grzecznej prośbie Ady, której tak zależało na pomocy Blackiego w domu, sędziowie z pewnością uwzględnią te wypowiedzi przy podejmowaniu ostatecznej decyzji.

Ale słowa głównego sędziego poraziły Martę. Gdy wygłaszał orzeczenie sądu, z jej ust wydobył się zduszony okrzyk przerażenia, a ręce zacisnęły się na poręczy ławki tak mocno, że aż zbielały jej kostki i zdrętwiały palce.

- Pani Humble, prawo tego kraju stwierdza z całą stanowczością, że pani syn musi uczęszczać do szkoły. Wedle pani własnych słów, woli pani, aby syn zamiast chodzić do szkoły, pozostawał w domu, a z dowodów, które posiadamy, wynika jednoznacznie, że nie czyniła pani w przeszłości żadnych poważnych wysiłków, aby powstrzymać syna od opuszczania lekcji. To skłania nas do silnego przekonania, że nie zamierza pani robić tego również w przyszłości! Jest naszym obowiązkiem wobec społeczeństwa dbać o poszanowanie prawa i dlatego jesteśmy zmuszeni podjąć jedyną możliwą decyzję w tej sprawie. Pani syn będzie chodził do szkoły. Mamy również duże zastrzeżenia co do faktu, że oczekiwano od niego pełnienia trudnej roli ojca wobec młodszego rodzeństwa. Obawiam się, że w tej sprawie wiele rzeczy budzi nasz duży niepokój. W związku z tym nasze orzeczenie brzmi następująco: Blackiem oraz jego młodszymi braćmi niezwłocznie zajmie się opieka społeczna, a panią, pani Humble, za łamanie prawa polegające na notorycznym uniemożliwianiu synowi zdobywania wykształcenia, sąd skazuje na sześciomiesięczny pobyt w więzieniu jego Królewskiej Mości.

- Nie! Nie! Nie możecie! - Blackie podbiegł na chwilę, żeby objąć porażoną tym werdyktem matkę, po czym rzucił się w kierunku ławy sędziowskiej, najwidoczniej chcąc wskoczyć na podwyższenie i zacisnąć dłonie na chudej, żylastej szyi sędziego.

Marta stała jak sparaliżowana. Nie była nawet świadoma łez, spływających jej po twarzy i wpływających do uchylonych ust. Kiedy odrętwienie minęło, ustępując miejsca niepowstrzymanemu drzeniu całego ciała, wstała z ławki, nie spuszczając oczu z Ady. Gdy na trzęsących się nogach zeszła wreszcie po stopniach do położonej niżej, prostokątnej, otwartej części sali, sędziowie opuścili już swoje podwyższenie, Blackiego trzymał przydzielony mu pracownik opieki społecznej, a Adę łagodnie wyprowadzało z sali dwóch funkcjonariuszy.

- Przykro mi, proszę pani - policjant zagroził Marcie drogę - ale dalej nie mogę pani przepuścić. - Wskazał na pobliską ławkę. - Gdyby zechciała pani zaczekać, mógłbym zapytać, czy będzie możliwość zobaczenia się z nią później

- powiedział ze współczuciem i Marta opadła na ławkę, oszołomiona jeszcze tym niespodziewanym obrotem sprawy.

Dwie godziny później, za dziesięć pierwsza, wprowadzono Martę do długiego, wąskiego pokoju obok schodów, gdzie życzliwy policjant wskazał jej duże drewniane krzesło.

- Będzie tu za chwilę - poinformował i cofnął się, zajmując miejsce pod ścianą. Siedząc w tym zimnym, bezosobowym pomieszczeniu, Marta jeszcze nie potrafiła pogodzić się z tym, co się stało, tak była zszokowana tą sytuacją. W uszach nadal brzmiał głos sędziego:

„Sześć miesięcy w więzieniu Jego Królewskiej Mości”. Dobry Boże, jak mogło do tego wszystkiego dojść?

Na korytarzu dały się słyszeć odgłosy zbliżających się kroków, a po chwili zza drzwi dobiegły stłumione głosy. W progu pojawiła się urzędniczka i zwróciła się do Marty:

- Nie więcej niż dwie minuty, proszę. - Cofnęła się, wpuszczając do środka Adę Humble, po czym poprowadziła ją do krzesła naprzeciwko Marty, stojącego po przeciwległej stronie stołu, i stanęła obok drzwi, ogarniając pomieszczenie baczny spojrzeniem.

Gdy Ada podniosła głowę, Marcie zrobiło się słabo na widok jej zrozpaczonych oczu. Ada zwróciła się do niej błagalnym tonem:

- Mam nadzieję, że dobry Bóg jakoś mi wybaczy, Marto. - Głos załamał jej się i wybuchnęła niepowstrzymanym szlochem, wstrząsającym jej biednym ciałem pośród wykrzykiwanych raz po raz słów: - Mój Toby! Och, moje maleństwa! Wszystkich was zawiodłam! Jestem złą, podłą kobietą! Złą, podłą kobietą! - Zalewała się łzami patrząc na przepełnioną współczuciem Martę.

- Nie, Ado! Nie, kochanie! - Marta gorączkowo starała się pocieszyć przyjaciółkę, czując jednak, jak niewiele mogą tu pomóc wszelkie słowa. Czuli, że pomimo jej wysiłków Ada nadal będzie się za wszystko obwiniać. Chyba nigdy w życiu nie była jeszcze świadkiem takiego cierpienia.

Gdy później Marta zwróciła się do odprowadzającego ją do wyjścia policjanta, aby mu podziękować, nie zdziwiła się wcale widząc, że również w jego oczach błyszczą łzy.

Marta sama nie wiedziała, jak dotarła z powrotem na ulicę Regent. Dopiero ożywione szczebiotanie dzieci, które wróciły ze szkoły, wyrwało ją z bolesnej zadumy. Jednocześnie brak wrzawy, która zazwyczaj towarzyszyła powrotowi do domu gromadki młodych Humble'ów, nie pozwalał jej zapomnieć o okropnych wydarzeniach, które miały miejsce tego ranka. Stwierdziła, że choć sama jest w niezwykle trudnej sytuacji, jest to niczym w porównaniu z

okrutnym losem Ady Humble, która utraciła męża i dzieci, a sama została wtrącona do więzienia.

Rozdział dziewiętnasty

Lepiej połknij jedną ze swoich tabletek, zanim wyjdiesz. - Marta z przyjemnością skostatowała, że Polly wygląda o wiele lepiej niż wtedy, gdy ją budziła.

- Nie ma sensu zostawiać ich na stole, jeśli mogą ci pomóc - dodała pogodnie i roześmiała się, gdy Polly ostrożnie wzięła w palce tabletki i połknęła je, narzekając, że „smakują jak trucizna”. - Nie narzekaj, kochanie! - odparła. - To chyba lepsze niż boląca głowa, prawda?

- Wstała od stołu z zatroskanym wyrazem twarzy. - Czy teraz coś cię boli? - spytała łagodnie, głaszcząc Polly po głowie.

- Nie, mam, wszystko w porządku - padła odpowiedź.

- Och, to dobrze. - Marta zaczęła w milczeniu sprzątać po śniadaniu. Byстрыm okiem spostrzegła, jak Bartuś zanurza swoją grzanekę w kubku z zimną herbatą i dała mu niedwuznacznie do zrozumienia, co o tym sądzi: - Starczy tego dobrego, mój drogi! - Odebrała mu kubek, w którym zanurzona przed

chwila grzanka zdążyła się już zamienić w pływającą na wierzchu papkę. - Barty, tyle razy prosiłam cię, żebyś tego nie robił. To obrzydliwe!

- To dlatego - Florencja żartobliwie szturchnęła nadąsanego Bartusia - że on sam jest obrzydliwy!

Marta westchnęła głęboko i odnosząc talerze do kuchni, powiedziała swojej rozdokazywanej czeredce:

- Jeśli chcecie jeszcze zdążyć na pierwszy seans, to lepiej zbierajcie się już do wyjścia. - Gdy Polly zaoferowała pomoc przy zmywaniu, Marta odparła z wdzięcznością: - Nie, dziękuję, kochanie. Idźcie już. Pieniądze są na kredensie.

Kiedy już posprzątała i przygotowała śniadanie dla Barty'ego, dołożyła do ognia parę szczap i na chwilę zatrzymała się przy kominku, aby się ogrzać. Ciągle jeszcze nie mogła się przyzwyczaić do ciszy, która zapadła w domu Humble'ów, bowiem zazwyczaj w sobotnie poranki ściana dzieląca obydwa domy drżała od ogłuszającej wrzawy, napełniającej dom i rozbrzmiewającej echem na całej ulicy. - To dziwne - powiedziała do siebie półgłosem - że ta martwa cisza wydaje się gorsza od dawnego tumultu. - Przez dłuższą chwilę siedziała w milczeniu przy ogniu, wpatrując się w migotliwe płomienie, liżące wnętrze kominka.

W ciągu ostatniego tygodnia, od dnia, kiedy Ada poszła do więzienia, przez dom Humble'ów przewinęło się wiele osób. Głównie byli to ludzie z opieki społecznej, którzy przychodzili po rzeczy należące do dzieci, albo po prostu urzędnicy, mający za zadanie od czasu do czasu sprawdzić, co się tam dzieje. Marta unikała ich, jak mogła, gdyż uraza, jaką nosiła w sercu, była jeszcze zbyt dotkliwa i zbyt świeża. Bała się, że za którymś razem nie wytrzyma i wygarnie komuś, co o tym wszystkim myśli. Martwiła się o biedną Adę i jej sześcioro synów, którzy „dla swojego własnego dobra” zostali zabrani do domu dziecka. Marta już parokrotnie starała się o widzenie z Adą Humble, ale wszystko musiało przebiegać zgodnie z regulaminem więziennym. Przez dwa pierwsze tygodnie nie wolno było przyjmować żadnych odwiedzających. Dopóki nie została „należycie rozwiązana” sprawa papieru listowego i znaczków, nie wolno też było wysyłać listów. Marta cierpliwie wysłuchiwała tych wyjaśnień, dochodząc w końcu do przeświadczenia, że świat jest pełen głupców.

Napisała w tej sprawie do naczelnika więzienia, ale otrzymała lakoniczną odpowiedź, że niestety nie może przysłać znaczków, papieru listowego ani niczego podobnego. Pozostało jej więc tylko czekać, aż Ada przyśle jej tak zwaną „przepustkę dla odwiedzających” uprawniającą do wejścia do więzienia na wizytę. Kolejne wizyty były dozwolone w odstępach dwutygodniowych. Jednak na razie Marta nie dostała jeszcze żadnej przepustki! To sztywne

stosowanie się do nieludzkich, jej zdaniem, przepisów budziło w niej głuchy gniew i frustrację. Biedna Ada, pomyślała wpatrując się w zamyśleniu w ogień. Część każdej wieczornej modlitwy poświęcała przyjaciółce. Słyszając na schodach głośne kroki Barty'ego Bendalla, przerażona zerwała się z miejsca.

- Śniadanie dla mnie gotowe, kobieto? - Barty Bendall, w rozchełstanej pod szyją brązowej koszuli i z wiszącymi u spodni szelkami, rozsiadł się na swoim miejscu przy stole i spojrzał groźnie na Martę. - Powiedziałem śniadanie, kobieto! Gdzie jest, do cholery, moje śniadanie? - W gniewnym grymasie obnażył górny rząd drobnych, równych zębów, co Marcie natychmiast skojarzyło się z terierem ojca. Miała nadzieję, że gdy już zje śniadanie, humor znacznie mu się poprawi, więc z lekkim uśmiechem ruszyła do kuchni, rzucając przez ramię: - Jest gotowe.

Okazało się, niestety, że po szybkim pochłonięciu śniadania Barty wcale nie wpadł w lepszy nastrój. Marta miała ochotę nawiązać z nim rozmowę - o czymkolwiek, byle rozładować to napięcie między nimi. Zbijał ją jednak z tropu dziwny sposób, w jaki się jej ostatnio przypatrywał. Bardzo ją to niepokoiło i onieśmiało. Mimo to w domu zapanował jakby większy spokój.

Jedyną rzeczą, za jaką Marta tęskniła, poza namiętnym uczuciem i czułym towarzystwem Curta, była możliwość porozmawiania z kimś' szczerze o swoich obawach związanych z Polly, o nieszczęsnej Adzie Humble, o tym, co może przynieść przyszłość... A także o tych wszystkich drobnych, codziennych sprawach, z których składa się życie.

- Barty - zaczęła Marta, siadając na krześle naprzeciw niego. Była zmęczona zamętem myśli i uczuć, w jakim ostatnio żyła. Zdawała sobie sprawę, podobnie jak musiał to sobie uświadamiać Barty Bendall, że aby przełamać bariery, które coraz bardziej oddalały ich od siebie, musi zostać wykonany pewien wysiłek - przez jedno z nich albo przez oboje. - Barty, czy masz parę minut? Jest coś, co... - urwała, gdy podniósł głowę i wbił w jej twarz pełne wrogości spojrzenie. Wystarczyła zaledwie sekunda wpatrywania się w jego zimne oczy, by przekonać Martę raz na zawsze, że choćby nie wiem co robiła i choćby nie wiem jak usilnie starała się dostrzec w nim iskierkę dobra, nie jest w stanie zrobić nic, co mogłoby go zmienić. Barty Bendall był tyranem i wszelkie próby porozumienia jedynie go rozsierdzały.

Przez chwilę jeszcze siedziała nieruchomo, oderwawszy oczy od jego przeszywającego, groźnego spojrzenia. W końcu cicho, z pochyloną głową, oznajmiła:

- Barty - nie mogę tak dalej żyć. - Była u kresu sił! W oczach stanęło jej całe samotne życie - wszystkie marzenia, smutki, cała gorycz. - Proszę cię, Barty -

powiedziała, zmuszając się, żeby na niego spojrzeć. - Czy nie mógłbyś przynajmniej spróbować?

Spojrzenie, jakim ją zmierzył, wydało się Marcie bardzo dziwne. Jego tajemniczy, chytry wyraz twarzy wyprowadzał ją z równowagi. Chwilę później Barty bez słowa wstał i skierował się po schodach z powrotem na górę.

Gdy wyszedł, Marta pozostała przy stole z rękoma opartymi o blat i spuszczoną głową. Czuła, że wszystkie jej wysiłki są daremne. Z całkowitą jasnością dotarło do niej, że Barty Bendall musi cierpieć na jakąś formę obłądzenia, choć w niewytłumaczalny sposób zawsze udawało mu się sprawić, że to ona czuła się winna. Ostatnio rzadziej pokrzykiwał i wrzeszczał, co Marta przyjęła z ulgą, ale te jego napady milczenia i posępny nastrój budziły jeszcze większy lęk. Przypomniła sobie jego ostatnie spojrzenie i dreszcz przebiegł jej po plecach.

- Och, Curt - westchnęła. - Co ja mam robić? Krzątając się przy sprzątanii ze stołu po śniadaniu

Barty'ego, myślami znów była przy Curcie. Chciała, aby był przy niej - tu i teraz! Jej udręczone serce krzyczało z tęsknoty za jego siłą i pełnią jego miłości. Wiedziała jednak, że nie ma się co łudzić - należała do innego mężczyzny. Były przecież dzieci, zasady moralne, opinia ludzka. I był jeszcze Barty Bendall. Bała się nawet myśleć o tym, co by zrobił, gdyby dowiedział się, że ona i Curt spotkali się, że się obejmowali i odważyli się myśleć o wspólnej przyszłości.

Wszystkie te przeszkody wydawały jej się nie do pokonania i wiedziała, że dopóki się z tym nie pogodzi, nie zazna spokoju.

Drzwi do salonu otworzyły się gwałtownie i wszedł Barty Bendall. W wielkim pośpiechu włożył czapkę i płaszcz, po czym skierował się ku drzwiom frontowym. Chciał całą tę cholerną sprawę obgadać z Jimem Rawlinsonem w pubie „Lord Nelson”! Przynajmniej w nim miał przyjaciela!

Siedząc w salonie, Marta usłyszała dźwięk otwieranych drzwi frontowych, a potem szorstki głos Bartnego:

- No, proszę wchodzić!

Zaintrygowana, zaczęła się zastanawiać, cóż to za gość mógł do niej zawitać. Przyszło jej do głowy, że może to znowu któryś z tych wścibskich urzędników z rady miejskiej, kiedy więc w progu stanęły Duża Berta i młoda Daisy, Marta podbiegła do nich, uradowana niespodziewaną wizytą koleżanek z przedziałni.

- Ależ się cieszę, że was widzę! - oświadczyła radośnie. - Wejdźcie, bardzo proszę. - Szybko podsunęła im krzesła obok kominka. - Siadajcie tutaj, a ja zaparzę herbaty i opowiemie mi nowinki o wszystkich znajomych, dobrze? -

Gdy zaaferowana krzątała się w kuchni, z salonu dobiegały odgłosy ożywionej, swobodnej rozmowy, tak charakterystycznej dla bezpośredniego i spontanicznego sposobu bycia robotników z przędzalni.

Podając każdej z nich kubek gorącej herbaty, Marta spytała Daisy:

- U ciebie wszystko w porządku, kochanie? - Wydawało jej się, że dziewczyna tryska zdrowiem i wygląda na szczęśliwą.

Duża Berta parsknęła swoim znanym śmiechem i pochyliła się, żeby poklepać pokaźne wybrzuszenie rozpychające przyciasny płaszcz młodej Daisy.

- Spójrz tylko, Marto! - wykrzyknęła. - Lada dzień coś stąd wyskoczy jak groszek ze strączka, nie sądzisz?

- Nie zawstydzaj biedactwa! - skarciła ją Marta, wiedząc, jak łatwo dziewczyna się peszy. I zwracając się do Daisy, spytała:

- Jak się miewa mama? A twój kawaler?

- Doskonale, Marto. - Daisy szybko opuściło zakłopotanie i opowiedziała Marcie o nowym przyjacielu swojej mamy. Potem uścisnęła rękę Marty i dodała: - Tyle ci zawdzięczamy, Marto!

- Marto! - odezwała się Duża Berta, pochylając się do przodu. - Czy to prawda, co mówią o Adzie Humble - że zabrali jej chłopców, a ją zamknęli w więzieniu?

Marta potwierdziła, mając przed oczyma obraz niewielkiej kobiety i jej przepełnionych bezbrzeżnym smutkiem oczu.

- Boże drogi! - wykrzyknęła Duża Berta, a na twarzy Daisy pojawił się wyraz grozy.

- To okropne! - wyszeptała wstrząśnięta.

Duża Berta dodała jeszcze swój komentarz, jak to nie ma sprawiedliwości na tym świecie.

Zapadło nieprzyjemne milczenie i wszystkie trzy kobiety były przez chwilę myślami przy Adzie i jej tragedii. Duża Berta poprosiła przytłumionym głosem:

- Marto, jeśli nadarzy się okazja, proszę, przekaż jej od nas pozdrowienia.

Marta skwapliwie zapewniła, że nie omieszka tego zrobić, i chcąc już zmienić temat, ze znaczącym uśmiechem spytała o „Napalonego Harry'ego”, ciekawa, jak mu się powodzi, odkąd w przędzalni podjęła pracę jego żona. Daisy zaczęła chichotać, a Duża Berta zareagowała głośnym wybuchem śmiechu, uderzając się o udo masywną pięścią. Po paru nieudanych próbach opanowania się, wyrzuciła z siebie w końcu, nadal krztusząc się ze śmiechu:

- Ona wszędzie chodzi za tym biedakiem! Harry nawet nie może spokojnie się wysikać, bo ona czeka na niego na zewnątrz!

- Biedny Harry - skomentowała te rewelacje Marta, nie mogąc się powstrzymać od tłumionego chichotu. Trochę mu jednak współczuła.

- Dobrze ci idzie z tym szyciem? - Daisy rozejrzała się po pokoju w poszukiwaniu śladów nowego zajęcia Marty. - To zadziwiające, jak szybko ludzie się o czymś takim dowiadują, prawda?

- Całkiem nieźle - odparła Marta, wyjmując zza fotela parę nie dokończonych jeszcze spódnic. - Nie mogę powiedzieć, żeby po zapłaceniu czynszu i nakarmieniu rodziny dużo mi zostawało, ale jakoś dajemy sobie radę. Raz w tygodniu wychodzę rano, żeby zebrać zamówienia, a tydzień później zanoszę to, co uszyłam. - Pokazała przyjaciółkom, co szyje, po czym zwinęła z powrotem solidne, porządnie uszyte spódnice i schowała je za fotelem.

- Spójrz, moja droga! - Duża Berta wstała i podniosła poły płaszcza, żeby pokazać swoją korpulentną talię. - jeśli starczy ci metra krawieckiego, obmierz mnie i uszyj mi taką samą spódnicę z wstawkami, jakie nam pokazywałaś. - Zaczęła podskakiwać w podnieceniu. - No dalej! Potraktuj mnie jak prawdziwą klientkę, bardzo proszę!

Warto było ją zobaczyć, gdy tak stała z podkasanym płaszczem i czerwoną z wysiłku twarzą, wstrzymując oddech i starając się za wszelką cenę wciągnąć brzuch. Niestety jedynym rezultatem jej usiłowań było to, że jej wypchnięta klatka piersiowa powiększyła się do ogromnych rozmiarów i Berta z trudem wytrzymywała tę karkołomną pozycję.

Młoda Daisy pokładała się ze śmiechu, aż w końcu Marta kazała Dużej Bercie oddychać normalnie i gdy ta posłuchała, jej brzuch natychmiast powrócił do poprzednich, ogromnych rozmiarów.

- Ciekawe, z czego tak rżysz, Daisy! - dobrodusznie zaśmiała się Duża Berta. - Gdybyśmy chciały ciebie obmierzyć, potrzebna by chyba była lina okrętowa!

Marta siedziała z przyjaciółkami przy kominku popijając herbatę i plotkując wesoło, i widocznie właśnie tego było jej potrzeba, bo jej twarz dosłownie pałała z zadowolenia. Gdy w końcu kobiety zaczęły zbierać się do wyjścia i Marta odprowadzała je do drzwi, czuła taki wewnętrzny spokój i ukojenie, jakiego już dawno nie doświadczyła.

- Strasznie wam dziękuję, że zechciałyście mnie odwiedzić - powiedziała, ściskając je na pożegnanie. - Bardzo mi was brakuje, chociaż nie żałuję, że zrezygnowałam z pracy w przedzalni. - Nawet gdy wychodziły, nie potrafiła jakoś powiedzieć im o Polly, bo gdy o tym mówiła, ta sprawa ciążyła jej jeszcze bardziej.

- Uważaj na siebie, Martuniu - powiedziała Duża Berta przyciskając przyjaciółkę do piersi. - Przyjdziemy jeszcze kiedyś cię odwiedzić.

- Na pewno - potwierdziła Daisy. - Tylko że następnym razem może przyjdziemy już z maleństwem. - Delikatnie pogładziła wypięty brzuch.

Marta stała w progu machając im na pożegnanie, aż zniknęły za rogiem i weszły w ulicę Brown. I właśnie w chwili, kiedy odwracała się, żeby wejść do domu, kątem oka zauważyła, że ktoś zmierza szybko w jej kierunku z drugiego końca ulicy Regent. Była to niewysoka, krępa kobieta i widząc jej zdecydowany krok i elegancki tweedowy kostium, Marta uznała, że musi to być ktoś z opieki społecznej, skąd co jakiś czas wysyłali kogoś, żeby sprawdził, co się dzieje w pustym domu Humble'ów. Marcie wydawało się, że już kiedyś widziała tę samą kobietę wychodzącą z sąsiedniego domu. Czując, jak wzbiera w niej gniew, odwróciła się szybko na pięcie, żeby wejść do domu.

- Nie chcę mieć z wami nic do czynienia! - mruknęła pod nosem, zamykając za sobą drzwi, ale zanim zdążyła to zrobić, usłyszała za sobą głos nieznajomej:

- Pani Bendall! Proszę chwilę poczekać!

Gdy Marta odwróciła się na dźwięk swojego nazwiska, kobieta stała już przy drzwiach.

- Pani Bendall, muszę z panią porozmawiać. - Nagle ściszyła głos, patrząc na Martę z dziwnym wyrazem twarzy. Marta poczuła się nieswojo pod jej przejmującym, smutnym spojrzeniem.

- Czy możemy wejść do środka? - poprosiła cicho kobieta.

Gdzieś w głębi duszy Marta czuła, że nieznajoma przynosi złe wieści. Krótkim skinieniem głowy zaprosiła kobietę do środka.

Gdy weszły do salonu, kobieta zaproponowała, aby Marta usiadła, ona jednak odrzuciła tę sugestię i jeszcze zanim padły ze strony nieznajomej jakieś słowa, wiedziała już, co usłyszy, tak jakby spodziewała się tego od dawna.

- Przykro mi, pani Bendall. Jestem tu, ponieważ była pani jedyną osobą, o której odwiedziny prosiła pani Humble. - Każde wypowiedziane przez kobietę słowo boleśnie zapadało Marcie w duszę. - Przynajmniej wszystko odbyło się spokojnie - ciągnęła nieznajoma. - Po prostu jakby się poddała - przestała w ogóle się odzywać. Odeszła cicho.

Ogrom smutku i żalu, który zrazu przytłoczył Martę, stopniowo przekształcił się w straszliwy gniew. Ada nie żyła! Zabili Adę Humble! Ci głupi, gruboskórni urzędnicy!

- Wynoś się! - powiedziała do kobiety cichym, drżącym głosem. I gdy ta nie ruszyła się z miejsca, w zaskoczeniu wytrzeszczając tylko oczy, Marta powtórzyła polecenie, tym razem krzycząc rozziewając: - Wynoś się z mojego

domu! - Gdyby wówczas kobieta nie zerwała się na równe nogi i, starając się zachować resztki godności, nie ruszyła szybkim krokiem w kierunku drzwi, Marta wyrzuciłaby ją chyba własnoręcznie na bruk.

Jeszcze długo po tym, jak urzędniczka przezornie wycofała się z niewielkiego domu, rozbrzmiewały tam odgłosy niepowstrzymanego szlochu.

Marta nie zmrużyła tej nocy oka. Długie, samotne godziny spędziła na czuwaniu przy Adzie Humble w jej salonie i nawet gdy na cztery godziny zastąpiła ją pani Atkinson, nie mogąc zasnąć siedziała tylko nieruchomo i w milczeniu w domu, wpatrując się niewidzącymi oczyma w zimną pustkę kominka. Co jakiś czas odgłosy głośnego chrapania Barty'ego Bendalla dobiegające z sypialni na górze wytrącały ją z posępnej zadumy. W końcu, nie mogąc już znieść gnębiących ją myśli, pośpieszyła z powrotem do domu Ady.

Ostatni sąsiad przyszedł pożegnać się z biedną Adą Humble pół godziny temu. Już przed szóstą rano zaczęli napływać tłumnie zasmuceni sąsiedzi, żeby zdążyć zobaczyć Adę przed wyruszeniem do pracy w przędzalni. Marcie było miło, że nie zapomnieli.

W promieniu pięciu mil nie było chyba ani jednej rodziny, która nie skorzystałaby kiedyś z pomocy Ady jako położnej, pocieszycielki, przyjaciółki i płaczki. Teraz oni opłakiwali Adę. Wyrażali swoją wdzięczność wysupłując niewielkie, proporcjonalne do ich szczupłych zasobów sumy, za które udało się pokryć koszty pięknej orzechowej trumny z mosiężnymi okuciami, w której Ada Humble miała zostać pochowana obok swojego ukochanego Toby'ego.

To dziwne, myślała Marta, siedzieć w domu Ady i nie słyszeć rozlegającej się wokół wrzawy tej dużej, pełnej życia rodziny. Było to niesamowite uczucie, z którym jakoś nie potrafiła dojść do ładu. Jej wzrok padł na przeciwległą ścianę, na której nadal wisiał portret Toby'ego. Podeszła, aby przyjrzeć mu się z bliska.

- No cóż, Toby - wyszeptała - nie ma już między nami twojej dobrej Ady, miejmy więc nadzieję, że dołączyła do ciebie i znowu jesteście razem. - Oczy wypełniły jej się łzami, aż w końcu dwie pełne krople spłynęły po jej długich rzęsach i potoczyły się po policzkach. - Bądź dla nie dobry, Toby Humble - szepnęła zdławionym głosem i wyciągnęła rękę, aby zdjąć portret ze ściany. Zniosła go do niewielkiej, lśniącej trumny, stojącej obok okna. Tu przystanąła, bowiem ból przepełniający jej serce zrazu nie pozwolił jej spojrzeć po raz kolejny na znajomą twarz. Zamiast tego skupiła wzrok na ciężkich, ciemnozielonych zasłonach, które były zaciągnięte od dwudziestu czterech godzin - od chwili, gdy przywieziono Adę Humble po raz ostatni do domu. Jej oczy powędrowały po błyszczącym, chromowanym postumencie, na którym

umieszczona została mała drewniana trumna, aż w końcu napotkały biały, pomarszczony jedwabny całun spowijający ciało.

Marta wyciągnęła pomału rękę i dotknęła złożonych w geście modlitwy pulchnych dłoni. W głębokiej ciszy panującej w pomieszczeniu odgłos szlochu, który wyrwał się Marcie z piersi, przejął dreszczem nawet ją samą.

Gdy z czcią układała nieruchome dłonie, uderzyło ją ich subtelne, chłodne piękno. Popatrzyła na duży krzyż wiszący na ścianie u wezgłowia trumny, jakby tam szukając siły, aby ponownie spojrzeć na twarz Ady Humble. Jej smutne oczy spoczęły w końcu na znajomym obliczu, skąpanym w migotliwym świetle, pochodzącym z ustawionych półkolem wokół wezgłowia małych świeczek.

Jasnoczerwony kapelusz, odebrany Adzie przez bezdusznych urzędników, został przez Martę ponownie nałożony na głowę przyjaciółki, gdzie litościwie przykrył smętne resztki włosów i placki łysiny, które udawało się Adzie tak długo ukrywać przed wzrokiem ciekawskich. Jaskrawo kontrastował on z jedwabistą, delikatną bielą poduszki. Przyglądając się z przejęciem drogiej jej sercu twarzy, Marta zastygła w bólu. Po chwili poczuła, jak jej ciało wstrząsa dreszcz i pochyliła się, aby złożyć ostatni, delikatny pocałunek na alabastrowym czole.

- Wiem, że nie chciałabyś, aby ci urzędnicy miejscy zabrali twojego Toby'ego, twojego „żołnierza” - szepnęła - więc ty go zabierz, Ado, bo on należy tylko do ciebie. - Wyjęła portret Toby'ego z ramki, zwinęła go i wsunęła pod długi całun. Dopiero teraz poczuła, że jakoś źle zrobiło się jej na duszy.

Odgłosy kroków na korytarzu oznajmiły przybycie pani Atkinson.

- Idź, kochanie - szepnęła do Marty po wejściu do salonu. - Już niedługo tu będą. Pamiętaj, że przyjeżdżają po nią o dziewiątej. - Pani Atkinson była już ubrana na czarno, gotowa do wyruszenia do kościoła, a potem na cmentarz.

- Pójdę się umyć i przebrać - odpowiedziała szeptem Marta. - Niedługo będę gotowa.

- Tak, jest. Przygotuj się, a ja tu cichutko posiedzę.

- Usiadła sztywno na krześle ustawionym przy trumnie.

Przenikliwe zimno panujące w salonie Ady Humble sprawiło, że wróciwszy do siebie Marta nawet nie zwróciła uwagi na panującą tu wilgoć i nie tracąc czasu zrzuciła z siebie ubranie i dokładnie się umyła. Sądząc po pozostawionym w nieładzie stole, Barty Bendall w wielkim pośpiechu zjadł śniadanie i pognął do pracy. Marta pomyślała, że jeśli się spóźnił, to wieczorem jak zwykle będzie miał do niej pretensje. Zadrżała wyobrażając sobie kolejną straszną scenę, na jaką znów się zanosilo.

Nie przejęła się tym, że nie ma żadnych czarnych ubrań. Była przekonana, że Ada nie miałyby o to pretensji, i włożyła ciemnogrnatową spódnicę i szary wełniany sweter. Potem do rękawa płaszcza przypięła szeroką opaskę z czarnej wełny. Na koniec nałożyła kapelusz z szerokim rondem i przejrzała się w lustrze.

- Nie jest ważne, w co się jest ubranym na pogrzebie - stanowczym tonem zwróciła się do swojego odbicia w lustrze - tylko to, co nosi się w sercu!

Przy schodach uświadomiła sobie nagle, że nie ma żadnych drobnych na ofiarę.

- Tak nie można! - powiedziała do siebie, przypomniawszy sobie, że dała dzieciom ostatnie pensy, jakie miała w portmonetce. Miała nadzieję, że nie obciążyla matki za bardzo, wysyłając do niej na jeden dzień i noc troje wnucząt. Ale babcia Fletcher była dobrą kobietą, a poza tym darzyła zawsze sympatią Adę Humble. Przetrzęsając zawartość szuflady, Marta znalazła jakąś zapomnianą trzypensówkę. - Lepsze to niż nic - stwierdziła, spoglądając na monetę.

Wychodząc, ponownie pomyślała o swojej mamie, a także o cioci Bett i o tym, czy przypadkiem nie ma jakichś wieści o Curcie. Ostatnio coraz częściej rozmyślała o jego obietnicy, że kiedyś przyjedzie, żeby ją ze sobą zabrać.

Rozdział dwudziesty

Nie możesz brać na swoje barki ciężaru ponad siły, kochanie. - Babcia Fletcher wspięła się na palce, żeby postawić na półce umyte kubki. - Jesteś przecież jeszcze taka młodziutka! - Odwróciła się do Marty, która w zamyśleniu wyglądała przez okno w kuchni.

Upewniwszy się, że dzieci zaabsorbowane są zabawą na podwórku, Marta odwróciła się ku matce z ciepłym uśmiechem.

- Szkoda, że rzeczywiście nie jestem taka młodziutka, jak twierdzisz, mamo - odparła, przechodząc z matką do salonu. - Z pewnością zmieniałabym parę rzeczy w swoim życiu!

- Tak, tak, i dobrze wiem, jakie zmiany masz na myśli! - babcia Fletcher posłała Marcie znaczące spojrzenie. - Och, moja droga, zapomnij wreszcie o tym gagatku Ratheterze! Wiem, że wszyscy zawiedliśmy się na Bartym Bendallu, ale w końcu on jest twoim prawowitym mężem! Och, kochanie, chyba nigdy nie zapomnę tego, co zrobił ten Curt Ratheter - powiedziała,

kręcąc z dezaprobatą siwiuteńką głową. Widząc przygnębienie Marty, dodała szybko: - Przepraszam cię, kochana. Wiem, że mówię, jakbym była bez serca. Ale dla mnie przysięga małżeńska jest czymś świętym!

- Nic się nie stało, mamó... - Marta opadła na krzesło naprzeciw bujanego fotela, w którym usadowiła się babcia Fletcher. Doskonale zdawała sobie sprawę, że w tym domu Curt Ratheter nigdy nie będzie mile widziany! - Ale Bóg mi świadkiem, że oddałabym bardzo wiele, aby móc odwrócić bieg zdarzeń.

- No cóż, kochanie, to akurat nie leży w naszej mocy! Czas płynie i nic na to nie poradzimy. Szkoda tylko, że nie wchodzimy w życie z mądrością życiową i doświadczeniem, które zyskujemy na starość. Pewnie wtedy każdy z nas poczyniłby jakieś zmiany w swoim życiu. Nie mam racji? - Po tych słowach babcia Fletcher zamilkła i bujając się na fotelu zaczęła nucić coś pod nosem.

Marta siedziała przy kominku, w zadumie wpatrując się w tańczące płomienie.

- Och, mamó, ten Blackie! Gdybyś widziała tego biednego chłopca! - Przypomniała sobie straszny, nieruchomy wzrok Blackiego, gdy stojąc w kościele wpatrywał się w trumnę Ady Humble.

- A co teraz będzie z chłopcami?

- Nie wiem, mamó. Przypuszczam, że zostaną w Domu Dziecka do chwili, kiedy będą w stanie sami sobie dawać radę. - Marta niewiele wiedziała o tych sprawach. - Najbardziej niepokoję się o Blackiego. Zawsze był takim miłym, towarzyskim chłopcem, ale teraz bardzo się zmienił, mamó. Sama nie wiem, na czym to polega, ale ma jakiś taki zacięty wyraz twarzy.

- No cóż, pewnie z racji wieku przeżył to wszystko o wiele boleśniej od swoich braci. Oprócz Ady, z którą mnie kiedyś zapoznałaś, właściwie nie znałam ich rodziny zbyt dobrze, ale słyszałam, że chłopak poza swoimi rodzicami świata nie widział.

- O tak, on ich ubóstwiał! Mam tylko nadzieję, że dobry Bóg pomoże mu jakoś otrząsnąć się po tych wszystkich strasznych przeżyciach.

- Och, on nie zapomni o tym, co się wydarzyło, moja droga! Takie rzeczy trudno wymazać z pamięci. Trzeba po prostu nauczyć się z tym żyć. Jeśli mu się to uda, to da sobie radę! - Babcia Fletcher wyprostowała ramiona, poprawiła się na fotelu i z poważnym wyrazem twarzy stwierdziła stanowczo: - A co do ciebie, Marto Bendall, masz przestać sobie tym zaprzętać głowę! - Sięgnęła po pogrzbacz i zaczęła dźgać i przerzucać żar w palenisku, rozładowując w ten sposób swoje podenerwowanie. - Bóg raczy wiedzieć, gdzie on się podział! Pewnie gra w domino u starego Jacka Merrimana!

Marta z ulgą przyjęła zmianę tematu, zdając sobie dobrze sprawę, że babcia Fletcher zrobiła to celowo. Ady już nie było wśród nich - połączyła się ze swoim Tobym, a dzieciom przypuszczalnie nie stanie się żadna krzywda. Dzieci to odporne stworzenia. Jedyne, co można było dla nich zrobić, to modlić się za nie.

- Masz rację, mamó - przyznała - z zamartwiania się takimi rzeczami nie ma żadnego pożytku. - Wstała i podeszła do okna wychodzącego na podwórze, postanawiając nie poświęcać już więcej uwagi rodzinie Humble'ów. To, co się stało, już się nie odstanie, cóż więc mogła poradzić? Tak jak tyle innych rzeczy w jej życiu, były to sprawy, na które nie miała najmniejszego wpływu. Z przyjemnością patrzyła na roześmiane, bawiące się na zewnątrz dzieci. Jakże mała Florencja jest podobna do Curta, dumiała - te same regularne, wyraziste rysy twarzy, ten sam zaraźliwy śmiech. A Curt gdzie on teraz jest? Co robi w tej właśnie chwili? Pomyślała, że pewnie nadal jest gdzieś na południu i stara się zorganizować dla nich to „nowe życie”, o którym mówił z takim entuzjazmem. Nagle Martę oblała fala gorąca. Boże! List! List od Curta! Zamierzała go zniszczyć, ale w wirze ostatnich wydarzeń zupełnie o tym zapomniała. Co by to było, gdyby natknął się na niego Barty Bendall? - pomyślała ze zgrozą. Ale właściwie, jak mógłby go znaleźć? - zreflektowała się. List był dobrze ukryty, a Barty o nim nie wiedział i nie miał przecież żadnych powodów, żeby go szukać.

A jednak na myśl o konsekwencjach ewentualnego odkrycia przez Barty'ego Bendalla tego listu ogarniały ją dreszcze. No cóż, choć usilnie starała się ukryć przed Bartyem Bendallem swoje prawdziwe uczucia, mąż wyczuwał, jak głęboką miłością darzy nadal Curta Rathetera. Zdawała sobie też sprawę z żądzy zemsty, jaka przez wszystkie te lata narastała w Bartyem i teraz, gdy dowiedział się o zwolnieniu Curta z więzienia, zaślepiła go do reszty. Przez te ostatnie tygodnie zachowywał się niemal jak szaleniec! Marta coraz jaśniej uświadamiała sobie, że wszelkie próby ułożenia sobie z nim życia skazane są na niepowodzenie.

Nadal jednak rozdarła była pomiędzy swoją wielką miłością do Curta a wiernością Barty'emu i przysiędze małżeńskiej - „świętej” przysiędze małżeńskiej, jak słusznie przypomniawszy jej babcia Fletcher. Ta przysięga zobowiązywała ją do poczynienia ostatniej próby porozumienia się z Bartyem Bendallem i ułożenia sobie z nim życia. Była to winna im obojgu, a nade wszystko była to winna dzieciom, bowiem nie można było dopuścić, aby nadal wychowywały się w tej okropnej atmosferze strachu i nienawiści, jaka panowała w ich domu.

- Co cię jeszcze trapi, kochanie? - spytała z troską w głosie babcia Fletcher, kładąc rękę na ramieniu córki. Marta odwróciła się i widząc miłość bijącą z dobrych, błękitnych oczu, poczuła pragnienie, aby otworzyć swoje serce - powiedzieć mamie o liście Curta, o tym, że go widziała i że ją obejmował w taki sposób, w jaki nigdy nie był jej zdolny objąć Barty Bendall. Chciała opowiedzieć o szansie na rozpoczęcie nowego życia - z Curtem i z dziećmi. Chciała to wszystko wyrzucić z siebie. Powstrzymała się jednak, czując, że musi sama rozwiązać swoje problemy.

- Nic, mamó - skłamała zawstydzona. - Obserwowałam tylko dzieci.

Babcia Fletcher utkwiała baczne spojrzenie w smutnych ciemnych oczach Marty.

- Nie możesz mi powiedzieć, tak? Albo nie chcesz! No dobrze, kochanie, ale pamiętaj, że jestem przy tobie, gdybyś kiedykolwiek mnie potrzebowała.

- Wiem o tym, mamusiu - Marta pochyliła się, żeby ucałować zafrasowaną babcię Fletcher. - Niech cię Bóg błogosławi!

Nieomylny instynkt podpowiedział starszej pani, kiedy powinna zmienić temat, i spoglądając przez okno na drugi koniec podwórza, gdzie na starym, zdezelowanym krześle siedziała Polly, powiedziała:

- Widać, że Polonia strasznie przeżywa to, że będzie musiała pójść do szpitala, ale nie chce w ogóle o tym rozmawiać! Kiedy tylko zająknę się cokolwiek na ten temat, biedactwo od razu zamyka się w sobie. Kiedy to ma być? Za tydzień?

- Tak, mamó, w następny poniedziałek. - Marta spojrzała przez okno i serce jej się ścisnęło, gdy zobaczyła drobną, smutną figurkę Polly. - Rzeczywiście, Polly to bardzo przeżywa i masz rację - wydaje się, że zamknęła się w sobie. Nawet mnie trudno do niej dotrzeć. - Marta bolała bardzo nad tym faktem. - Ulży mi, kiedy to wszystko się skończy i Polly wróci już do domu, mamó - wyznała, przykrywając dłonią rękę matki, położoną w uspokajającym geście na jej ramieniu. - Nic jej nie będzie, prawda, mamó?

- Och, oczywiście, że nic jej nie będzie, ale odetchnę, kiedy skończą się te wszystkie badania. - Chwyciła za poły swojej obszernej spódnicy i odciągnęła Martę od okna. - A teraz pomóż mi przygotować coś do jedzenia. Chyba jeszcze nie uciekasz, co? - spytała zaniepokojona.

Marta zaniósła do stołu w salonie chleb domowej roboty i konfitury, zapewniając:

- Nie, mamó, jeszcze mamy jakieś pół godziny. - Po głowie plątała jej się nadal sprawa listu. Musi go zniszczyć jeszcze dziś. - Ale chciałabym być w domu przed Bartym Bendallem - dokończyła.

Florencja i Bartuś wrócili z dworu tak wygłodzeni, że teraz zmiatali ciepłe babeczki z takim apetytem i w takim tempie, że aż babcia Fletcher była zmuszona ostrzec ich, żeby się nie zadławili. Polly skubnęła kromkę domowego chleba, po czym przeprosiła i wstała od stołu.

- Hej! - zaprotestowała babcia Fletcher. - Co ci jest? Taka duża dziewczynka jak ty powinna mieć lepszy apetyt! A może spróbujesz jedną z moich ciepłutkich babeczek, co?

- Och, babciu - odparła Polly - nie chodzi o to, że mi nie smakują twoje wypieki, naprawdę! - Podeszła, żeby się wtulić w babciną pierś. - Po prostu nie jestem głodna! - I pomimo wszelkich próśb i perswazji, nic już nie chciała ruszyć.

Wstając, żeby zebrać brudne talerze, Marta zaproponowała:

- W takim razie nie będziesz miała nic przeciwko temu, żeby pomóc przy zmywaniu, prawda? - Chciała uchronić Polly przed dobrodusznymi przytykami babci Fletcher.

W tej właśnie chwili w drzwiach salonu pojawiła się niewysoka, zażywna postać.

- A niech mnie, jeśli to nie cała rodzinka Bendallów! - W progu stała rozpromieniona ciocia Bett. Porwała w objęcia zawstydzonego Bartusia i zaczęła pokrywać jego oblaną ciemnym rumieńcem twarzyczkę wilgotnymi pocałunkami, które Bartuś czym prędzej ścierał z buzi.

Florencja obserwowała to w przerażeniu, po czym rzuciła się ku cioci Bett i szybko złożyła na jej pochylonej twarzy lekki pocałunek. W ten sposób mogła przynajmniej szybko odskoczyć z powrotem!

Znając upodobania cioci Bett, Marta pozwoliła jej na wylewne czułości, hojnie odwzajemniając energiczne uściski i pocałunki. Po chwili dzieci zostały ponownie zagonione do stołu, co wywołało od razu grymasy niezadowolenia i salwy protestów.

- Poczęstujemy ciocię Bett i wszyscy dotrzymamy jej przy stole towarzystwa! - oświadczyła babcia Fletcher. - Nie wypada, żeby gość jadł posiłek w samotności!

Jęki przekształciły się w wiwaty, gdy ciocia Bett gorąco zaprotestowała:

- A dajże spokój, Florencjo Fletcher! Za kogo mnie bierzesz? Nie mam zamiaru pałaszować waszych babeczek na oczach wszystkich! - I zwracając się do dzieci, zarządziła: - Idźcie się pobawić na świeże powietrze! No dalej, migiem! - Pośród chichotów i pisków dzieci zaczęła je dla żartu gonić po salonie.

Została tylko Polly, która z żalosną miną ruszyła do kuchni. Marta poszła za nią, i widząc, że dziewczynka zabiera się za zmywanie, powiedziała czule:

- Nie, kochanie, idź, posiedź sobie na dworze. Ja się tym zajmę.

Polly odwróciła się ku niej bez słowa i Marta dojrzała w spojrzeniu córki lęk, niewątpliwie związany z czekającym ją pobytem w szpitalu.

- No idź, kochanie - zachęciła ją Marta, schylając się, żeby pocałować córkę.

- Niedługo będziemy wracać do domu.

Później, gdy już wszyscy zegnali się serdecznie, Marta poczuła, jak wiele dała jej ta wizyta. Zresztą każde spotkanie z matką bardzo podnosiło Martę na duchu. Teraz ponaglała już dzieci do wyjścia:

- No chodźcie już, chodźcie. Nie ociągajcie się! - Wiedziała, że jeśli Barty Bendall po powrocie do domu nie zastanie gotowej kolacji, znowu będzie awantura. A poza tym musi przecież zniszczyć list Curta.

- Odprowadzę was kawałek - powiedziała ciocia Bett ruszając energicznie ku drzwiom, a Marta kątem oka zauważyła, jak jej matka posyła ciotce ostrzegawcze spojrzenie.

Gdy dzieci pobiegły przodem, Marta i ciocia Bett zagłębiły się w rozmowie. Mówiły o śmierci Ady Humble, o stanie zdrowia Polly oraz o innych, codziennych, mniej ważnych sprawach. Przez cały czas Marta miała jednak nieodparte wrażenie, że ciocia Bett szykuje się do powiedzenia jej czegoś ważnego. W końcu, nie mogąc już wytrzymać napięcia, sama zapytała:

- Czy miałaś jakieś wieści od Curta? - Zadała to pytanie z wahaniem i takim tonem, jakby wyrzucała samej sobie, że mimo tylu innych ważnych spraw nadal nie może uwolnić się od myśli o Curcie.

Ciocia Bett zatrzymała się, bo doszły do miejsca, gdzie musiała się już od nich odłączyć. Marta zobaczyła na jej twarzy wyraz serdecznej troski, a także ulgę, że to nie ona pierwsza poruszyła ten temat.

- Mało brakowało, a zachowałabym to dla siebie, Marto - powiedziała przyciszonym głosem, wskazując ruchem swojej głowy dzieci. - Ale sama wiesz, jaką sympatię żywię do Curta, a któż mógłby mieć większe od ciebie prawo usłyszeć, co się z nim dzieje! Czy wiedziałaś, że nie było go tu od paru tygodni, bo szukał pracy i sposobności, żeby znów jakoś się urządzić? - Nie czekając na odpowiedź, ciągnęła dalej: - No więc wrócił! I jestem przekonana, że wkrótce możesz się od niego spodziewać jakichś wiadomości. Więc zastanów się dobrze nad tym wszystkim, kochanie, i niech Bog pomoże ci podjąć właściwą decyzję. - Potrząsnęła energicznie głową i kładąc dłoń na rękę Marty, dodała: - Wiesz, kochana, czasem lepiej jest postąpić wbrew wszelkim zakazom i

nakazom. Życie jest zbyt krótkie i cenne, żeby je w ten sposób marnować. Więc zastanów się dobrze nad tym, co zrobić!

Gdy Marta weszła do salonu, od razu poczuła, że coś jest nie tak. Różne rzeczy były poprzestawiane, krzesła nie stały na swoich zwykłych miejscach, i coś dziwnego i nieokreślonego wisiało w powietrzu. Zadrżała i jej wzrok od razu powędrował ku miejscu, w którym schowała list Curta.

- Co się stało, mamó? - Polly, której rodzeństwo bawiło się jeszcze na chodniku, weszła do domu wraz z Martą i od razu dostrzegła bladość na jej twarzy.

Thumiąc ogarniający ją lęk, Marta zmusiła się do uśmiechu.

- Nic się nie stało, dziecko - powiedziała i kładąc dłonie na ramionach Polly, odwróciła ją w kierunku drzwi. - Idź i zawołaj maluchy, dobrze, kochanie?

Po chwili była już na drugim końcu pokoju, gdzie opadła na kolana obok miejsca, w którym ukryła list Curta. Podniosła brzeg wykładziny i wsunęła głębiej rękę, mając nikłą nadzieję, że może kartka przez przypadek przesunęła się dalej. Gdy przekonała się, że pod spodem są tylko gołe deski, serce zamarło jej w piersi.

Nie było go! List, w którym Curt przekonywał ją o swojej miłości, zniknął, a z nim wszelkie jej nadzieje na jakiegokolwiek polepszenie własnego losu.

Marta, ogarnięta strasznymi przeczuciami, szybko położyła wykładzinę z powrotem na swoim miejscu i postawiła na niej krzesło, cały czas wyrzucając sobie, że od razu nie zniszczyła listu. Teraz dopiero zdała sobie sprawę, jakie to było nieroztropne i niebezpieczne, choć przedtem tak wielką pociechę czerpała ze świadomości jego istnienia. Bała się pomyśleć, jakie mogą być konsekwencje jego zniknięcia.

Jakiś czas później, gdy dzieci po myciu leżały już w łóżkach i nawet Polly zapadła w głęboki sen, Marta siedziała nadal w salonie, nie mogąc się jakoś zmusić do pójścia na górę do sypialni. Nie mogła wręcz usiedzieć na miejscu i parokrotnie zrywała się z twardego krzesła, by szybkim, niespokojnym krokiem przemierzyć wzdłuż i wszerz niewielki pokój. Sece biło jej jak szalone, czuła bowiem, że dziś wieczór może stać się coś strasznego. Barty Bendall nie przyszedł na kolację o zwykłej porze, a na zewnątrz już zapadał zmrok. Marta wyobrażała sobie, jak siedzi gdzieś w jakimś ciemnym kącie, w jednym z uczęszczanych przez siebie pubów, i duma nad listem Curta, a czarne, złe myśli coraz bardziej wypełniają mu umysł. Kolejne kufle piwa niewątpliwie powodowały, że jeszcze bardziej pogrążał się w uczuciach nienawiści i zazdrości, które niemal od samego początku ciążyły nad ich małżeństwem.

Marta zastanawiała się, czy nie zabrać dzieci z powrotem do babci Fletcher, ale dwie rzeczy odwiodły ją od tego pomysłu. Po pierwsze, знаła nieprzejednany stosunek jej matki do Curta Rathetera, a wiedziała, że nie obejdzie się bez poruszenia sprawy jego listu. Poza tym uważała, że skoro sama napotykała sobie biedy, musi teraz stawić czoło konsekwencjom swojej lekkomyślności najlepiej jak potrafi, mimo iż ta perspektywa przejmowała ją dreszczem przerażenia!

Na zewnątrz było już zupełnie ciemno i zegar z obramowania kominka wybił najpierw pierwszą, a potem drugą w nocy, a Marta nadal siedziała skulona na krześle, drżąc i starając się za wszelką cenę opanować narastającą senność. Gdy zegar wybił trzecią, zmusiła się do wyjścia na zewnątrz, żeby rozejrzeć się po okolicy, ale Barty'ego nadal nie było. Gdy wybiła czwarta i nad dachami zaczęły się pojawiać pierwsze promienie świtu, Marta uległa ogarniającej ją nieubłaganej fali senności. Zwinęta na kanapie, przykryta płaszczem, pogrążyła się w niespokojnym śnie.

Wyrwana nagle ze snu, który pozwolił jej trochę podreperować nadszarpnięte siły, Marta zmrużyła oczy w oślepiającym świetle padającym z nagiej żarówki u sufitu. Podniosła się, nie całkiem jeszcze rozbudzona, i rozejrzała się niepewnie po pokoju. Gdy ujrzała Barty'ego Bendalla, natychmiast ogarnęła ją fala paniki.

- Powiedziałem, wstawaj! Wstawaj, bo jak ci przyłożę pasem, do diabła, to popamiętasz! - Wydawało się, że od jego krzyków dom trzęsie się w posadach. Kiedy Marta wreszcie stanęła na nogi, podszedł do schodów i wrzasnął: - Złażcie tu, cholerne bachory! I to już!

Trójka dzieci natychmiast pojawiła się na półpiętrze.

Widząc je, Barry Bendall wrócił do salonu, przygważdżając Martę wściekłym spojrzeniem zielonych oczu.

- Nie ruszaj się stąd ani na krok! - warknął. Wyglądał wyjątkowo odpychająco - dolną część twarzy pokrywał mu szorstki, rudawy zarost, a tęczęwki ginęły w przekrwionych białkach oczu. Włosy miał rozczochrane. Duża, ciemna plama na przodzie rozchełstanej koszuli oraz niepewny krok sugerowały, że całą noc dodawał sobie animuszu kolejnymi kuflami piwa. W potężnej kanciastej pięści ścisnął kartkę, której Marta bezowocnie dzisiaj szukała i na widok której boleśnie ścisnęło jej się serce - list Curta!

Widząc Barty'ego Bendalla, dzieci zawahały się przy drzwiach do salonu, odruchowo tuląc się do siebie. Bartuś i Florencja utkwili w ojcu przestraszone spojrzenia, Polly natomiast, jak zwykle przekorna, spoglądała na niego wyzywająco.

- No, ruszać się! Wchodźcie tu, szybciej! - Barty Bendall zrobił krok do przodu i mały Bartuś natychmiast puścił się pędem w kierunku wyciągniętych ku niemu ramion Marty, siedzącej na krześle obok drzwi do kuchni. Florencja chciała pójść w ślady brata, ale Barty Bendall zastąpił jej drogę.

- Nie! - ryknął. - Ty stań tam! Niecierpliwym gestem wskazał pokryty końskim włosiem fotel, po czym z groźną miną wykonał niepewny krok w kierunku Polly i odezwał się do niej zachrypniętym, bełkotliwym głosem:

- A ty... ty mała gnido, zostań tam, gdzie jesteś! Im dalej ode mnie, tym lepiej dla nas wszystkich.

Marta obserwowała całą tę scenę, w każdej chwili gotowa do interwencji. Polly wyprostowała wątle ramiona, zadarła brodę i spojrzała Barty'emu Bendallowi odważnie prosto w oczy. Marta poznała po nierównym oddechu córki, że pod jej pozornie buńczuczną postawą kryje się lęk. Widok Barty'ego Bendalla podczas jednego z jego napadów wściekłości mógł każdego przyprawić o drżenie serca, ale niech no tylko spróbuje tknąć któreś z dzieci, pomyślała.

Nagle Barty Bendall odwrócił się w jej stronę, obrzucając ją wyzwiskami.

- Do cholery, moja własna żona!... Moja własna żona spiskuje za moimi plecami! - Podetknął jej pod nos list Curta. - Ty cholerna ladacznico! Powinienem machnąć na to wszystko ręką i posłać was do diabła, ale Bóg mi świadkiem, że nie potrafię! - Głos mu się załamał i Marta skorzystała z tej okazji, aby podjąć próbę załagodzenia sytuacji. Miękkim głosem zawołała go po imieniu, ale wydawało się, że rozjuszyła go tym jeszcze bardziej.

- Zamknij tę wredną, kłamliwą jadaczkę! Oszukiwałaś mnie od samego początku! - Odwrócił się do Florencji, która po raz pierwszy, od kiedy Marta sięgała pamięcią, sprawiała wrażenie autentycznie przerażonej zachowaniem człowieka, którego uważała za swojego ojca. Jego zaciśnięta pięść opadła z trzaskiem na blat stołu. - A ty, ty mała suko, wiedziałaś o tym! Wszyscy o tym wiedzieliście! - Obrócił się gwałtownie na pięcie, złapał za koniec serwety leżącej na gzymsie kominka i jednym szarpnięciem zrzucił na podłogę wszystkie stojące na niej ozdoby i zegar. Naprężony serwetę pomiędzy wyciągniętymi przed siebie ramionami, potykając się ruszył w kierunku Polly. W tej samej chwili Marta wstała z krzesła, gotowa do natychmiastowej interwencji.

Polly nie cofnęła się nawet o krok w obliczu tego zagrożenia. Gdy jego głos zniżył się do ochryplego, ledwie słyszalnego dla pozostałych syku, a zielone oczy zwężyły się do wąskich szparek, Polly ani drgnęła. Stała nieruchomo patrząc mu prosto w twarz.

- Nigdy mnie nie lubiłaś, nigdy mnie nie chciałaś! Zupełnie jak ukochana mamusia, prawda? Nie możesz o nim zapomnieć, co? - Dopiero przy tych słowach Polly oderwała od niego oczy, rzucając niepewne spojrzenie na Martę. Barty wykrzywił szyderczo wargi, pokazując drobne, równe zęby. - Patrzenie na nią nic ci nie pomoże! Ha! Mógłbym cię teraz tak urządzić! I żadne modlitwy by ci nie pomogły! - Jeszcze raz z głuchym pomrukiem naprężył przed sobą trzymaną w zaciśniętych pięściach serwetę.

- Barty! - rozległ się przejmujący, błagalny krzyk Marty, sadzającej Bartusia na krześle. - Daj jej spokój! Ona nie ma z tym nic wspólnego! Pozostałe dzieci też nie. Pozwól im wrócić do łóżek. Proszę cię! Zrobię, co zechcesz, tylko proszę - zostaw dzieci w spokoju! - Podeszła do niego i wtedy Barty Bendall zamachnął się, żeby ją uderzyć. Wyzwoliło to w niej zbyt długo już powstrzymywaną furję. Rzuciła się na niego i nozdrza wypełnił jej stęchły odór alkoholu, co wzmogło jeszcze obrzydzenie, jakie czuła. Kiedy rycząc niczym niedźwiedź zaczął okładać ją pięściami, Marta walczyła jak lwica, przekonana, że walczy o życie Polly!

Zaciekły atak Marty, która targała go za włosy, drapała, biła po twarzy i robiła wszystko, aby odciągnąć go od Polly, podniecał i rozjuszał go jeszcze bardziej.

Okrutne, miazdzące ciosy dosięgnęły jej głowy i ciała, i po chwili ogarnęła ją bolesna fala ciemności. Osuwając się bezwładnie na podłogę pod strasznymi razami, Marta resztką świadomości modliła się, aby oszczędził przynajmniej jej dzieci.

Głuchą ciszę, jaka zaległa, gdy Barty Bendall stanął nad skulonym na podłodze, nieruchomym ciałem Marty, przerwał dopiero odgłos cichego szlochu Bartusia, szybko narastającego do głośnego, spazmatycznego płaczu.

- Wynoście się stąd! Wynoście się stąd wszyscy! - ryknął Barty Bendall.

Błada jak ściana Florencja szybko chwyciła za rękę zanoszącego się płaczem chłopca i wyciągnęła go na korytarz. Próbując go uspokoić, sama zaczęła bezradnie płakać.

Polly, która do tej pory stała w zupełnym bezruchu, zbliżyła się teraz do Barty'ego Bendalla.

- Nienawidzę cię! - wyrzuciła z siebie strasznym głosem, posyłając mu spojrzenie pełne takiego obrzydzenia i miazdzącej pogardy, że na chwilę zaniemówił ze zdumienia. Po chwili rzucił się na nią, podnosząc rękę z zamiarem wymierzenia jej na odlew potężnego uderzenia w twarz. Polly była jednak na to przygotowana. Robiąc zręczny unik, dała nura pod jego ramieniem i chwyciła go od tyłu w pasie. Rycząc z wściekłości, Barty Bendall zaczął

zataczać się po pokoju, okładając ją po plecach pięściami i starając się za wszelką cenę zrzucić ją z siebie. Gdy mu się to wreszcie udało, rzucił nią z rozmachem o kredens i Polly z głuchym odgłosem uderzyła głową o ostry kant. Po tym strasznym ciosie opadła bez życia na podłogę, a strużka krwi z głębokiej rany szybko utworzyła obok jej ciała ciemną plamę. Na widok tej drobnej, nieruchomej postaci w szeroko rozwartych oczach Barty'ego Bendalla pojawił się wyraz najwyższego przerażenia.

Rozglądając się w popłochu jak osaczone dzikie zwierzę, wydał z siebie przeraźliwy okrzyk i na oślep rzucił się w kierunku drzwi, wpadając po drodze prosto w ramiona krzepkiego sąsiada.

- Mam cię, gagatku! - krzyknął mężczyzna, starając się go zatrzymać. - Za chwilę będzie tu policja! - Nie docenił jednak desperacji Barty'ego, który bez namysłu wymierzył mu mocne uderzenie w krocze, wypadł na korytarz, przedarł się przez zgromadzonych sąsiadów i wypadł na zewnątrz.

Pani Atkinson przepchnęła się do salonu, gdzie Florencja i Bartuś, rozdygotani, w osłupieniu chłonęli przerażający widok.

Wstrząśnięta kobieta przygarnęła ich do siebie, a zgromadzonych w korytarzu ludzi dobiegł jej szept:

- O mój Boże! Zabił obie!

Rozdział dwudziesty pierwszy

Babcia Fletcher hałaśliwie wciągnęła do nosa szczyptę tabaki i zaniósła się od kaszlu.

- No, kochanie, przestań marudzić i wypij wreszcie tę herbatę.

- Wcale nie marudzę, babciu! Tylko już mam dość tego czekania! - Florencja kołysała się tam i z powrotem na wysłużonym fotelu na biegunach. - Już całe wieki jej nie ma! - powiedziała z wyrzutem.

- Nie, kochanie. Tylko ci się tak wydaje.

- I dlaczego Bartuś mógł pójść, a ja nie? Jestem od niego starsza. - Florencja nie dawała się udobruchać.

- Bo byłaś tam zeszłym razem! A teraz bądź grzeczna.

- Hej - odezwał się dziadek Fletcher wytykając znad gazety sumiaste wąsy. - Może chciałabyś pójść ze mną i z Paddym na spacer? Jest piękne wiosenne słońce.

- Nie, dziadku. Chcę, żeby wróciła już mama!

- No cóż. - Ponownie schował się za rozłożoną gazetę, zza której zaczęły się unosić kłęby gęstego fajczanego dymu, aż w końcu nawet dziadek Fletcher

musiał zaczerpnąć świeżego powietrza. Rozganiając dym złożoną gazetą, wstał z fotela. - W każdym razie ja i Paddy idziemy na spacer. - I z figlarnym błyskiem w oku, dodał: - Do tego pobliskiego sklepu z cukierkami.

Już po chwili Florencja zsunęła się ze swojego krzesła i podeszła do dziadka.

- No dobrze, dziadku. Ale to nie potrwa długo, dobrze?

- To zależy od tego, jak szybko się zdecydujesz. W tym sklepie są setki słoików wypełnionych po brzegi cukierkami! - Jeszcze z korytarza, zanim zamknęły się za nimi drzwi, dobiegał babcinę Fletcher głos dziadka, opisujący niezliczone rodzaje łakoci, jakie zastaną na miejscu.

Starsza pani rada była, że ma dla siebie parę spokojnych chwil. W zamyśleniu zapatrzyła się w żywe płomienie buchające w kominku. Co jakiś czas z jej piersi wydobywało się ciężkie westchnienie. Po chwili podniosła się, zebrała dłońmi fałdy obszernej, sięgającej kostek spódnicy i owinąwszy szczelniej pulchne ramiona popielatym szalem, podeszła do wiszącego na przeciwległej ścianie lekko przekrzywionego obrazka. Był to oprawiony w ramki wizerunek Chrystusa. Ale nawet wielka mądrość bijąca ze spoglądającego z obrazka oblicza nie nasuwała żadnej odpowiedzi na nurtujące ją pytania.

- A co Ty o tym wszystkim sądzisz? Co tu robić? - zapytała. Kiwając siwą głową, westchnęła z rezygnacją i wzięła się do sprzątanania ze stołu, pomrukując przy tym bez przerwy: - A to niezła kabała! Tak, bez dwóch zdań - niezła kabała! - Jej ciche pomruki zlały się ze stłumionym brzękiem naczyń, szorowanych może trochę zbyt energicznie ze względu na zamęt w głowie babci Fletcher, przypominającej sobie po kolei wszystkie ostatnie wydarzenia.

Od czasu pamiętnych wydarzeń w domu Bendallów minęły już cztery tygodnie. Po tym jak Martę i będącą w ciężkim stanie Polly odwieziono do szpitala, dom został zamknięty i według relacji sąsiadów nikt nie próbował się tam od tamtego czasu dostać.

Dziadek Fletcher stwierdził autorytatywnie, że Florencja i Bartuś powinni zamieszkać u nich, a gdy dwa tygodnie później, drugiego kwietnia tysiąc dziewięćset trzydziestego ósmego roku zwolniono ze szpitala Martę, było oczywiste, że ona również dołączy do dzieci.

- Do licha, kto to może być? - Babcia Fletcher wytarła ręce o fartuch i pośpieszyła do drzwi frontowych. Gdy otworzyła, na jej zatroskanej twarzy pojawił się wyraz ulgi. - O, to ty, kochanie!

- Przepraszam, mamó! - Widać było, że Marta jest blada i znużona. - Nie chciałam wchodzić od tyłu, bo obawiałam się, że znów będzie tam ta pani Forester. Za każdym razem mnie zatrzymuje.

- Wszystko w porządku, moja droga. Ona rzeczywiście jest niezwykle wścibska, choć przypuszczam, że ma jak najlepsze intencje. Już jej mówiłam, żeby cię nie zagadywała!

Marta skinęła głową, puszczając przed sobą Bartusia.

- On miał straszne mdłości, mamó.

- Och, biedaczek! - Babcia Fletcher spojrzała na szczupłą, wymizerowaną twarz malca. Serce zawrzało jej oburzeniem na Barty'ego Bendalla za to, że naraził chłopca na takie koszmarnie przeżycia. - No cóż - powiedziała chytrze - w takim razie pewnie nie będziesz miał ochoty na rumiane jabłuszko, które dla ciebie mam.

Bartuś objął mocno nogi babci, która nachyliła się, żeby go podnieść, i spytała: - Czy mam je dać pieskowi sąsiadów? Bo on przepada za dużymi, rumianymi jabłuszkami.

- Nie, babciu! Ono jest moje! - Twarzyczka rozjaśniła mu się uśmiechem i od razu lekki rumieniec zabarwił blade policzki dziecka.

- No dobrze, w takim razie powiem temu zuchwałemu kundlowi, że nic z tego.

- Gdzie Florencja, mamó? - Martę dręczyły wyrzuty sumienia, że czuwając niemal bezustannie przy Polly, zaniedbuje dwoje pozostałych dzieci. Było jednak coś, co powodowało, że jej utrudzone serce wypełniała wdzięczność. Bała się nawet pomyśleć, jak dałaby sobie radę, gdyby nie siła Curta i pociecha jego stałej obecności przy łóżku córki. Wiedziała też dobrze, że to nie może tak dalej trwać. Będzie musiała powiedzieć o wszystkim matce!

Babcia Fletcher postawiła Bartusia na ziemi i szepnęła mu do ucha:

- Znajdziesz je w mojej puszcze z szyciem. - I gdy wszyscy ruszyli korytarzem do tylnego salonu, odpowiedziała Marcie: - Florencja poszła z dziadkiem do sklepu z cukierkami.

Upewniwszy się, że Bartuś, pogryzając jabłko, spokojnie siedzi przy jakimś postrzępionym komiksie, Marta zawiesiła ich płaszcze na kuchennych drzwiach, wróciła i siadła przy kominku. W świetle ognia widać było wyraźnie, że ostatnie bolesne wydarzenia wyryły na jej pięknej, choć zmęczonej twarzy mocne piętno.

- Proszę, kochanie - powiedziała babcia Fletcher, wręczając Marcie wielki, półlitrowy kubek herbaty - dobrze ci to zrobi. - Marta z wdzięcznością przyjęła od niej kubek, uśmiechając się lekko na widok jego rozmiarów. - No więc mów, co z naszą biedną Polunią?

Spojrzała na matkę ze smutkiem i powiedziała:

- Och, mamu - boję się nawet o tym myśleć. - Niedobrze mi się robi, kiedy sobie pomyślę, co zrobiłam.

Słyszając te słowa, babcia Fletcher odparła bez namysłu:

- Nie wolno ci tak mówić! Nie masz absolutnie żadnych powodów ku temu, żeby tak się obwiniać! - I kontynuowała łagodniejszym już tonem: - Polly to dzielna dziewczynka. Z bożą pomocą wróci do zdrowia i nie wolno ci mówić, że to twoja wina! Zrobiłaś, co mogłaś. Och, wiem, że źle postąpiłaś z tym listem od Curta Rathetera! Ale z tego, co mi opowiadałaś, wynika jasno, że z Bartym Bendallem już od dłuższego czasu było coś nie w porządku. - W geście pocieszenia wyciągnęła ku Marcie pulchną dłoń. - Moja droga, teraz nie powinnaś sobie zaprzętać głowy niczym innym poza zdrowiem Polly. Bóg da, ani się obejrzymy, jak wyzdrowieje i będzie w pełni sił!

Ciemne, udreżone oczy Marty gorliwie chłonęły wszelkie słowa otuchy.

- Och, mamusiu, gdybym tylko mogła mieć pewność, że tak będzie. - Choć Marta modliła się ostatnio tak żarliwie, jak nigdy przedtem, jakoś trudno jej było uwierzyć w ziszczenie się jej najgorętszych próśb. Polly była chora - ciężko chora, i nawet lekarze nie dawali dużych szans na wyzdrowienie. - Gdybym tylko mogła mieć pewność - wyszeptała ponownie.

- Ależ możesz, kochanie! No więc, jak ona się dzisiaj miewa? Długo cię nie było. - Głos babci Fletcher po raz pierwszy się załamał i udając, że chce wytrzeć nos, wyciągnęła chusteczkę, aby ukradkiem obetrzeć łzy. - Nie było cię cztery godziny, kochanie. Nie wiedziałam, co się dzieje.

- Przepraszam, mamu. Zostawiłam Bartusia u pani

Atkinson. Właściwie nie chciałam, żeby zobaczył Polly - jeszcze na to chyba za wcześnie. - Zaciśnęła usta, starając się powstrzymać szloch. - Och, mamu, ona jest taka chora. Wygląda okropnie, po prostu nie potrafiłam od niej odejść. - Przed oczami miała drobną, bladą twarzyczkę Polly. - Nie wiem nawet, czy ona zdaje sobie sprawę, że ja tam jestem! Leży zupełnie bezwładnie i nie otwiera oczu.

- Co mówi lekarz?

- Długo ze mną rozmawiał, ale prawdę mówiąc, mamu, nie rozumiem tych wszystkich skomplikowanych słów, których oni używają. Spytałam go po swojemu i z tego, co usłyszałam, wywnioskowałam, że ten guz sięgał głębiej, niż sądzili. Widzisz, oni jeszcze bardzo niewiele wiedzą o takich chorobach i o tym, jak je leczyć, chociaż uważają, że operacja raczej się udała. W każdym razie nie ma już bezpośredniego zagrożenia. Jest jednak jeszcze bardzo chora i przenieśli ją do małej separatu.

- Och, całe szczęście. Ale dlaczego jeszcze się nie obudziła?

- Doktor Tomlinson twierdzi, że się obudziła, ale nie zawsze jest przytomna.
- Głos Marty przycichł, tak jakby zapomniała o obecności babci Fletcher i mówiła tylko do siebie. - Wygląda jak śmierć - w takim bezruchu. - Babcia Fletcher wyteńczyła słuch, żeby dosłyszeć mamrotanie Marty, po czym uznała, że lepiej chyba będzie zostawić ją na parę minut samą.

Nagle odezwała się kołatka u drzwi.

- To pewnie ojciec - westchnęła babcia Fletcher. Poklepała Martę po ramieniu i powiedziała, siląc się na dziarski ton: - Nie zamartwiaj się, kochanie. Teraz pozostaje nam już tylko się modlić. - I pośpieszyła, żeby otworzyć drzwi.

Marta, nie przekonana słowami matki, uśmiechnęła się smutno i wpatrując się w płomienie, mruknęła do siebie:

- Jak się nad tym dobrze zastanowić, zdaje się, że same modlitwy tu nie wystarczą! - Jednocześnie zdała sobie sprawę, że właściwie tylko to jej pozostało. Nie była przecież lekarzem! Nie potrafiła usunąć złośliwego guza, który wżerał się w biedny, udręczony mózg Polly. Nie była nawet w stanie podtrzymać córki na duchu ani ofiarować jej miłości, która przepelniała jej serce, bowiem choć siedziała godzinami przy łóżku Polly, czule szepcząc słowa pocieszenia, dziewczynka pogrążona była w letargu i wyglądało na to, że nic nie dociera do jej świadomości. I choć lekarze zapewniali Martę, że stan Polly zdecydowanie się polepsza, Marta nie dostrzegała żadnych tego oznak. Co gorsza, jej intuicja również nie potwierdzała tej diagnozy.

Dziękowała Bogu, że zesłał jej Curta, który wiernie towarzyszył jej w czuwaniu przy Polly, choć wiedziała, że jej matka miałaby na ten temat inne zdanie. Do tej pory Marta nie mówiła matce nic o Curcie. Teraz nie miała innego wyjścia, jak to zrobić.

Przez wszystkie te długie dni, kiedy Marta sama leżała w szpitalu, obolała z powodu połamanych w wyniku pobicia przez Barty'ego Bendalla żeber, i z twarzą tak opuchniętą, że niemal nie mogła otworzyć oczu ani nic przełknąć, miała dużo czasu, żeby zastanowić się nad postępowaniem Barty'ego Bendalla. Co mogło być powodem tego, że mężczyzna do tego stopnia tracił nad sobą panowanie? Tak bardzo starała się go nienawidzić za to, co zrobił Polly. Zamiast nienawiści czuła jednak litość. Zastanawiała się, czy ona sama nie ponosi w jakimś stopniu winy za to, co się stało. Może fakt, że nad jej związkiem z Bartym Bendallem od samego początku ciążyła jej miłość do Curta, sprawił, że mężowi pomieszało się w głowie?

Już nigdy nie dowie się pewnie, jak było naprawdę. Może szaleństwo już wcześniej tkwiło w Bartym Bendallu. Pomimo szczerego przekonania, że zrobiła wszystko, co było w jej mocy, aby ich małżeństwo było udane,

zastanawiała się jednak, czy mogła uczynić coś jeszcze. Ciekawa też była, gdzie on jest teraz, i jej serce wypełniało poczucie winy.

Na szczęście powrót Florencji przerwał te niewesołe rozmyślania.

- Będziesz już teraz w domu, mamó? - Florencja rzuciła się w jej objęcia i popatrzyła na nią błagalnie. Marta zdawała sobie sprawę, jak trudny był ten okres dla jej dzieci i spojrzała na córkę ze współczuciem.

- Tak, kochanie, ale po kolacji znowu pójdę do szpitala. - Marcie zrobiło się przykro, gdy Florencja odęła wargi i odsunęła się od niej. Przypomniała sobie, że Florencja ani razu nie zapytała o siostrę - tak jakby nie potrafiła zmusić się do wymówienia jej imienia.

- Och! Długo cię nie będzie?

- Nie, kochanie, szybko wrócę. W szpitalu nie lubią, gdy odwiedzający zostają wieczorem zbyt długo przy chorych. - Z zadowoleniem przyjęła spontaniczny pocałunek, który Florencja złożyła na jej policzku.

- O, to dobrze - powiedziała szybko córka i zaczęła dzielić się swoimi cukierkami z Bartusiem, który siedział na podłodze układając karty, gotów do rozpoczęcia gry z siostrą.

- Mamó! - zawołała Marta, i z kuchni wyłoniła się babcia Fletcher - przygotowywała knedle z boczkiem i cebulą.

- Tak, kochanie?

- Przyszło mi do głowy, że może ty i dziadek chcielibyście dziś wieczorem pójść zobaczyć Polly. - Do tej pory tylko Marcie i Curtowi pozwolono odwiedzać córkę.

Babcia Fletcher odniosła się do tej propozycji z niekłamany entuzjazmem:

- Och, moja droga, szalenie chcielibyśmy tam pójść, ale czy rozmawiałaś o tym z doktorem?

- Tak. Powiedział, że nie ma nic przeciwko temu, pod warunkiem, że do pokoju Polly nie wejdą więcej niż dwie osoby... Możecie wejść we dwoje z tatą, a potem się wymienimy. Pani Atkinson już się zgodziła zostać z dziećmi.

Marta spytała ojca, czy chciałby pójść w odwiedzinach do Polly. Nie była zaskoczona, gdy odparł cicho:

- Nie, kochanie. Wolałbym tam nie chodzić. Zostanę w domu z malcami. - Wszyscy dobrze znali jego niechęć do szpitali i Marta nie miała mu tego za złe.

- Powiedz Polly, że przyjdę ją odwiedzić, gdy już będzie gotowa do wyjścia ze szpitala, dobrze? - dodał i wyglądało na to, że z ulgą przyjął fakt, iż nikt nie stara się namawiać go do tych odwiedzin.

Marta czuła się wyczerpana, głowa pulsowała jej boleśnie i wiele by dała, żeby móc się trochę przespać.

- Mogę pójść na górę i położyć się na chwilę, mamó? - zapytała.

- Oczywiście, kochanie, idź i odpocznij trochę. Słyszałam, jak w nocy, zamiast spać, chodziłaś w tę i z powrotem po pokoju - odparła matka.

Marta schroniła się w zaciszu małej sypialni i rozciągnęła się na dużym starym łóżku babci Fletcher. Zamknęła z ulgą oczy i odmówiła gorącą modlitwę. Pomimo całej pomocy, jaką otrzymała od rodziców w tych dniach niedoli, czuła się rozpaczliwie samotna. Miłość i wsparcie Curta stanowiły dla niej ogromną pociechę, ale wiedziała, że dopóki Polly leży pomiędzy życiem a śmiercią, a Barty Bendall ukrywa się przed policją, nie zazna spokoju. Zastanawiała się nawet, czy kiedykolwiek taka chwila nadejdzie. Gdy pomyślała o tym, że Curt również w tej właśnie chwili jest w szpitalu, zrobiło jej się jednak lżej na sercu. Był dla niej niezawodną ostoją. To on nalegał, żeby wróciła do domu przynajmniej na dwie godziny, aby nieco wypocząć.

Na dole babcia Fletcher z troską wyrażała swoje obawy:

- No, nie wiem, nie wiem! Jeśli dziewczyna nie będzie na siebie uważać, może się doprowadzić do jakiejś choroby!

- Święta racja! - zgodził się z nią dziadek Fletcher. - To dla niej trudny okres - Polly u progu śmierci, Barty Bendall gdzieś się ukrywa...

- Hej! - zgromiła go ostro babcia Fletcher, rzucając mu ostrzegawcze spojrzenie i wskazując ruchem głowy bawiące się nie opodal dzieci. - Rozumu nie masz?

Skonsternowany dziadek Fletcher zaczerwienił się, i nasunął czapkę na oczy, chrząknął i wygramolił się z fotela.

- Chyba pójdę naprzeciwko i zamienię parę słów z Tomem.

- I pewnie bez jakiegoś piwka się nie obejdzie, co?

- Daj spokój, kobieto! - zganiał ją, śpiesząc do drzwi, jakby bał się, że będzie go próbowała zatrzymać. - Nie będzie przecież ryzykował utraty koncesji!

- Wróć tylko do domu na kolację! - rzuciła jeszcze babcia Fletcher podniesionym głosem, słusznie wątpiąc, czy jej słowa dotrą do adresata, bowiem dziadek był już na ulicy.

Wrócił dopiero o wpół do szóstej i wchodząc tylnymi drzwiami natknął się na Martę, która chowała już ostatnie rzeczy po kolacji. Jej błyszczące, promienne oczy świadczyły o tym, że drzemka bardzo jej pomogła.

- O, jesteś, tato. Mama zostawiła ci kolację na kuchni. Właśnie się szykuje do wyjścia. - Marta zmarszczyła brwi. - Chciałabym wrócić do Polly - powiedziała cicho.

- Ależ oczywiście, moja droga. Idźcie już. Damy sobie tu radę sami.

Marta cmoknęła go w policzek.

- Dzięki, tato. Powiedziałam im, że mają pójść do łóżek nie później niż o ósmej - przypomniała.

- Och, nie marudź! Mówię ci, że dam sobie z nimi radę. Posłuchamy radia, zobaczymy, co zamyśla znowu ten cholerny Hitler! - W jego głosie zabrzmiała nuta niepokoju. - Austria anektowana, niepokoje w całej Europie i jeszcze te pogłoski u nas o obronie krajowej i środkach ostrożności w przypadku nalotów... Trudno się dziwić, że ludzie są zdezorientowani i rozdrażnieni!

- Przestań straszyć dzieci! - napomniała go babcia Fletcher, która stanęła w drzwiach do kuchni. Na ramionach miała już swój gruby szal. - Wkładaj płaszcz, kochanie - zwróciła się do Marty. - Powinnyśmy już wychodzić!

Marta uściskała i ucałowała Bartusia i Florencję, mówiąc:

- Dziadek obiecał, że jak będziecie grzeczni, pozwoli wam posłuchać radia.

Wydawało się, że dzieci uznały to za wystarczającą rekompensatę za nieobecność mamy. Bartuś objął ją i zapytał cicho:

- Mamusiu, czy Polly będzie niedługo zdrowa?

Marta nie spodziewała się ze strony Bartusia tak bezpośredniego pytania i w jej oczach pojawiły się łzy.

- Och, Barty, mam nadzieję, że tak - szepnęła drżącym głosem. I opanowując się, dodała już pewniejszym tonem: - Oczywiście, że będzie zdrowa. Ucałuję ją od ciebie.

Wyszły na ulicę. Blask latarni gazowych i światło padające z okien pubu rozświetlały ten chłodny wiosenny wieczór. Wyszły w samą porę - na przystanku czekał właśnie tramwaj i zawiózł je prawie pod sam szpital.

Gdy wysiadły niedaleko starego, szarego budynku, Marta zawahała się i coraz wolniej zdążyła do głównego wejścia.

- O co chodzi, kochanie? - spytała babcia Fletcher. Marta przez chwilę szukała właściwych słów, po czym odpowiedziała cicho:

- Mamo, nie przestrasz się na widok Polly. Kiedy ją po raz pierwszy zobaczyłam, nie mogłam się pozbierać. Teraz już się przyzwyczaiłam. Przygotuj się, dobrze?

Starsza pani ścisnęła rękę Marty.

- Hej! Z niejednego pieca chleb jadłam, moja droga, i nie tak łatwo mną wstrząsnąć. Niech tylko wyzdrowieje i wróci do domu - to jest najważniejsze.

Marta przytaknęła, ale nie ruszyła się z miejsca.

- Mamo - powiedziała, ujmując ramię matki - jest jeszcze jedna rzecz, o której powinnaś wiedzieć.

- Tak? - Babci Fletcher jakoś nie spodobał się ton głosu Marty. - Jeszcze coś? - popatrzyła na córkę dziwnym wzrokiem. Zupełnie jakby się domyślała, o co chodzi, przyszło do głowy Marcie.

- Jest tu Curt. - No! Wreszcie wydusiła to z siebie. Sądząc po wyrazie zaskoczenia, jaki odmalował się na twarzy babci Fletcher, ta wiadomość była dla niej zupełną niespodzianką.

- Curt Ratheter! - wykrzyknęła. - Chcesz mi powiedzieć, że on jest tu, z Polly? - Ton głosu i zaciśnięte zęby dobitnie świadczyły o jej dezaprobachie.

- Tak. Każdą wolną chwilę spędza przy Polly. Strasznie to przeżywa. Mamo! Polly jest jego córką, a Barty Bendall prawie ją zabił!

- Och, wiem, co zrobił Barty Bendall, kochanie. Doskonale zdaję sobie z tego sprawę i kara boska go za to nie ominie, ale to ten guz prawie ją zabił, a nie Barty Bendall.

- Tak, mamo, to prawda, ale to przez Barty'ego Bendalla guz się uaktywnił. Curt przetrząsnął całą okolicę, żeby go znaleźć. - Babcia Fletcher była najwyraźniej zaskoczona tonem wrogości, jaki pobrzmiwał w głosie Marty. - Mówiłam Curtowi, żeby go nie szukał. Ale prawdę mówiąc, mamo, po rym, co zrobił Polly, wcale bym się nie zmartwiła, gdyby znaleziono go martwego w jakimś rynsztoku. - Marta zdała sobie sprawę, że pomimo pewnego poczucia winy, nigdy mężowi nie przebaczy.

- Och, kochana, niech ci Bóg wybaczy! - powiedziała wyraźnie strapiona starsza pani.

- Nie, mamo. To Barty Bendall potrzebuje przebaczenia, lecz ode mnie go nie uzyska, to pewne!

Babcia Fletcher złapała Martę za ramię i pociągnęła ją w kierunku wejścia.

- Chodź, moja droga. Z takiego myślenia nic dobrego nie wyniknie! Nie, nic dobrego...

Gdy Marta otworzyła ciężkie drzwi, od razu owionął je charakterystyczny szpitalny zapach. Panowała tu atmosfera powagi i skupienia. Po korytarzach przemykali zaafelowani, odziani w białe fartuchy lekarze oraz „dzierlatki”, jak babcia Fletcher uparcie nazywała pielęgniarki, i wszyscy sprawiali wrażenie niezwykle zaabsorbowanych swoimi zadaniami. Marta i babcia Fletcher, której chodaki stukały o kamienne podłogi rozbrzmiewając echem w szpitalnych korytarzach, ruszyły przed siebie.

- Nigdy nie lubiłam tego zapachu - głośnym szeptem zwierzyła się babcia Fletcher, starając się nadażyć za córką.

Marta gwałtownie zatrzymała się przy szerokich, przeszkłonych drzwiach prowadzących do separatek.

- To tutaj, mamó. Poczekaj tu, ja zaraz przyjdę. - Spojrzała w kierunku pokoju pielęgniarek. - Lepiej najpierw się upewnię, czy możemy wejść.

Babcia Fletcher obserwowała uważnie, jak Marta odeszła szybkim krokiem i po chwili rozmawiała już z dobrotliwie wyglądającą pielęgniarką dyżurną. Po krótkiej wymianie zdań Marta z uśmiechem pośpieszyła z powrotem do matki.

- Możemy wejść - stwierdziła, dodając ostrzegawczo: - W środku jest Curt. Był tu cały dzień. - Otworzyła drzwi i poczekała, aż babcia Fletcher zbliży się do niej. - Pamiętaj, co ci mówiłam. Nie przeraż się.

Na razie z dobrotliwego oblicza babci Fletcher trudno było wyczytać oznaki dręczących ją obaw.

- No, dalej, kochanie. Czas, żebym wreszcie zobaczyła swoją wnuczkę - oświadczyła najbardziej zdecydowanym głosem, na jaki było ją stać.

Głęboka miłość, jaką obie kobiety darzyły leżące tu dziecko, napełniała ich serca serdeczną troską. Gdy zamknęły się za nimi szerokie, przeszklone drzwi, znalazły się w małym korytarzyku. Po lewej stronie trzy pary drzwi prowadziły do malutkich separarek. Marta szybko podeszła do środkowych drzwi, gdzie zapach środków antyseptycznych najbardziej drażnił nozdrza, i sięgnęła do klamki.

- Polly leży tutaj, mamó. - To dziwne, przemknęło jej przez myśl, jak posępna cisza tego miejsca zmusza ludzi do zniżania głosu do szeptu.

Gdy wkroczyły do pokoiku, jasne światło wypełniające korytarz ustąpiło miejsca łagodnemu półmrokowi. Było jednak na tyle jasno, że Marta zauważyła chłodny wyraz twarzy babci Fletcher, gdy Curt Ratheter podniósł się, żeby je przywitać. Pomimo lat spędzonych w więzieniu zachował swoje męskie, szlachetne rysy, które teraz zaostrzyły się z braku snu i zgryzoty.

Podsunał do łóżka dwa krzesła i gestem wskazał babci Fletcher jedno z nich.

Całkowicie go ignorując, babcia Fletcher obeszła łóżko i ujęła w swoją silną, spracowaną dłoń drobną rączkę Polly. Marta przypatrywała jej się bez przerwy, z bólem serca uświadamiając sobie, że kochana, energiczna staruszka tak samo jak ona była przerażona widokiem drobnej, bezwładnej postaci.

Marta ujęła wyciągniętą rękę Curta i gdy ich przepelnione miłością i rozpaczą oczy spotkały się, ojciec Polly powiedział łagodnie:

- Lepiej wyjdę na chwilę. Zejdę na dół sprawdzić, czy dostanę gdzieś filiżankę herbaty. - I odwracając się ze smutnym wyrazem twarzy w kierunku pochylonej nad łóżkiem starszej pani, mruknął: - Ona mi chyba już nigdy nie przebaczy...

Marta nie odezwała się. Ścisnęła tylko jego rękę w geście pocieszenia i podeszła do łóżka. Gdy babcia Fletcher podniosła oczy, Marcie ścisnęło się

serce na widok bólu rysującego się na twarzy matki. Starsza pani zwróciła się do Marty drżącym, nabrzmiętym łzami głosem:

- Och, Marto! Marto, kochanie! - Sięgnęła po chusteczkę i otarła niezgrabnie łzy, starając się nie pokazać po sobie, jak bardzo jest wstrząśnięta. Następnie, nie spuszczać nawet na chwilę wypełnionych łzami oczu z nieruchomej figurki Polly, obeszła łóżko, otuliła się szczelnie szalem i cicho usiadła na jednym z przygotowanych krzeseł.

Marta zbliżyła się do córki i ujęła jej spoczywającą na kołdrze rączkę. Opadła na krzesło i podsunęła je jak najbliżej łóżka, tak że jej głowa niemal dotykała głowy Polly. Jej oczy badały bez ustanku twarz córki, szukając oznak życia - drgnienia powieki, ruchu ust. Ale twarz dziecka nadal przypominała jakąś straszną maskę, w której wręcz trudno było rozpoznać znajome, ukochane rysy. Straszne szramy zniekształcały nos i delikatne czoło. Były to ślady po głębokich cięciach skalpela, którym chirurg starał się usunąć rozrastający się guz. Piękne, długie włosy, ścięte przez jedną z pielęgniarek, pokryte były białym bandażem.

Mijały minuty; w mrocznym zaciszu izolátky po twarzy Marty spływały łzy rozpacz. Wciąż od nowa powtarzała sobie, że leży przed nią Polly, której nigdy nie dane było zaznać nawet chwili spokoju. Czy to moja wina? - pytała samą siebie Marta. Ponownie, jak robiła to już wielokrotnie, zaczęła analizować każdy swój uczynek, każdą decyzję. Czy Polly urodziła się tylko po to, żeby dźwigać ciężar grzechu popełnionego z miłości i niewiedzy? To dziecko zostało poczęte w najgłębszej miłości, jaka mogła łączyć dwoje ludzi, nie będących mężem i żoną! Martę nękało poczucie winy, choć w głębi duszy wiedziała, że jest ono bezpodstawne. I pośród tych pełnych udręki rozważań zrodziło się w Marcie mocne wewnętrzne przeświadczenie, że nie miała i nie ma żadnego wpływu na los Polly, bowiem zależy on od czynnika o wiele potężniejszego - od przeznaczenia.

- O Boże - szeptała Marta, dając upust rozpacz, która targała jej sercem. - Czy ona nie dość się już nacierpiła? Przecież nie jest jeszcze kobietą. Pozwól jej żyć!

Widząc rozpacz Marty, babcia Fletcher podeszła i pomogła jej wstać.

- Marto, kochanie, ja tu chwilę posiedzę. Zejdź na dół i poszukaj Curta. - Widząc, że niełatwo będzie nakłonić córkę, żeby odeszła od łóżka Polly, powtórzyła z naciskiem: - Idź, kochanie. Ja tu z nią zostanę.

Na dole, w ramionach Curta, Marta w końcu dała upust całej swej rozpacz. Z mokrą od łez twarzą zasypała go pytaniami:

- Dlaczego, Curt, dlaczego? Za co ona jest tak strasznie karana? Na miłość boską, powiedz mi! Czy płaci za nasze błędy? - Była rozdarta pomiędzy rozpaczliwą miłością do Curta a głębokim poczuciem winy, od którego nie potrafiła się uwolnić.

- Marto, nie ma tu żadnej winy ani grzechu, za który trzeba by było pokutować. - Curt był spokojny i stanowczy. Zwrócił ku sobie jej głowę. - Nie powinnaś się tak zadreć. A Polly jest bardziej odporna, niż ci się wydaje. Będzie po tym wszystkim silniejsza od każdego z nas, zobaczysz. - Oczy zamglił mu smutek. - Musimy w to wierzyć, najdroższa.

Napotkała jego zdecydowane spojrzenie i uwierzyła mu. Chciwie chłonęła każde słowo otuchy, czerpiąc z nich wiarę w powrót córki do zdrowia.

- Mam nadzieję, że masz rację - powiedziała. - Modlę się o to.

Curt przytulił ją mocniej do siebie.

- Uwierz mi, kochanie, Polly jest bardziej odporna i ma w sobie więcej życia, niż sobie wyobrażamy. Obserwowałem ją przez te ostatnie tygodnie. Siedząc tu, w półmroku, czułem namacalnie, jaka potężna wola życia wypełnia ten pokój swoim potężnym tchnieniem, jak żywa istota. - Pochylił się, by ją pocałować. - Nasza córka ma walkę we krwi! - powiedział. - Nie podda się tak łatwo!

Siedzieli jeszcze przez chwilę razem w milczeniu, czerpiąc siłę ze swojej bliskości, aż w końcu Marta powiedziała:

- Muszę wracać do Polly.

Curt podniósł jej głowę, a gdy na niego spojrzała, i wyszeptał:

- Tak bardzo cię kocham, Marto. - I pochylając się, dotknął wargami jej ust, scałowując słone łzy, które zaschły jej na wargach. - Wracaj teraz do Polly, kochanie. Przypatrz jej się dokładnie, a na pewno wyczujesz, jaka jest silna. Niech ci to doda odwagi i nadziei, najdroższa. - Stał nad nią, prostując długie nogi, zdrętwiałe od niestrudzonego czuwania przy łóżku Polly. Gdy Marta omiotła wzrokiem jego wysoką, szczupłą postać, jej serce otworzyło się na każde wypowiedziane przez niego słowo i powiedziała sobie w duchu, że tylko on może stać się podporą i ratunkiem dla niej i dla Polly. Muszą teraz liczyć tylko na niego i czerpać siłę z jego miłości. Gdy Curt pomógł jej wstać, poczuła w głębi duszy dziwny spokój i ukojenie.

- Wrócę później - powiedział, po czym pocałował ją jeszcze raz i wyszedł z pokoju.

Marta westchnęła głęboko i pośpieszyła na górę, do małej separatki, gdzie leżała Polly. Gdy tylko weszła do pokoiku, od razu poczuła, że coś się wydarzyło. Babcia Fletcher stała przy łóżku.

- Spójrz! - szepnęła z przejęciem. - Bóg się nad nami ulitował, kochanie. Dziecko się obudziło.

Marcie zamarło serce, gdy pochyliła się nad łóżkiem. W tej samej chwili ręka Polly podniosła się z trudem i lekko, lecz zdecydowanie chwyciła palce Marty. Gdy poczuła uścisk tych małych, ciepłych palców, łzy wdzięczności potoczyły się jej po twarzy.

- Polly, och, Polly! Dzięki Bogu, dzięki Bogu - szlochała, trzymając dłoń Polly i obsypując pocałunkami jej biedną, spuchniętą twarzyczkę. Odwracając się, by uścisnąć babcię Fletcher, wykrzyknęła: - Och, mammo! Będzie zdrowa, Bogu dzięki!

Babcia Fletcher podniosła rękę i wierzchem dłoni, zawstydzona, otarła łzy. Pociągając nosem, spojrzała w utkwione w niej oczy Polly.

- Tak, kochanie - potwierdziła ze wzruszeniem. - Bogu dzięki. - I jakby chcąc ostrzec nie posiadającą się ze szczęścia Martę, dodała: - Tylko ostrożnie, kochanie. To dopiero początek.

Rozdział dwudziesty drugi

Całe Blackburn wrzało od plotek o rodzinie Bendallów - o tym, że pan domu się ukrywa, a władze szukają go, gdzie tylko mogą. Nikt nie widział go od czasu tego wstrząsającego wydarzenia, kiedy zupełnie oszalał i z taką nienawiścią zaatakował żonę i córkę, że jedna długo leżała w szpitalu, a druga nadal walczyła o życie. Wszyscy byli zgodni co do tego, że przez ostatnich parę lat Barty Bendall staczał się coraz niżej. Najpierw było pijaństwo i hazard, potem nagle coś mu padło na mózg i zaczął przesiadywać w kącie w pubie „Lord Nelson” z taką ponurą miną, że wręcz strach było na niego spojrzeć.

Wszyscy pytali Jima Rawlinsona, który znał Barty'ego Bendalla lepiej niż większość pozostałych:

- Odbiło mu, Jim, no nie?

- Myślę, że były po temu jakieś powody! - odpowiadał. Wiedząc, że jego stary kompan od kieliszka miał żonę, która pragnęła innego, Jim wcale się nie dziwił, że mu „odbiło”, ale niechętnie wypowiadał się na ten temat, bo sam trochę zawinił w tej sprawie. O nie! Jim

Rawlinson wykombinował, że najlepsze, co może zrobić, to zamknąć teraz gębę i siedzieć cicho.

Kroki Barty'ego Bendalla rozbrzmiewały echem w piwnicy opuszczonego domu na ulicy Regent. Miotając się gorączkowo po małym pomieszczeniu, rzucał na wszystkie strony błędne spojrzenia zielonych oczu. Gdy wszedł w promień sączącego się przez zakurzone piwniczne okienko światła latarni, w jego rękę błysnęło ostrze noża. Mamrocząc coś niezrozumiale w przenikniętej wilgocią i zapachem stęchlizny ciemności, wsunął nóż do długiej kieszeni swego starego płaszcza i odwróciwszy się gwałtownie w kierunku wąskich schodów prowadzących na zewnątrz, wypadł na cichą, pustą już ulicę. Jeszcze przez jakiś czas słychać było skrzypienie wąskich piwnicznych drzwi kołyszących się w lekkim wieczornym powiewie. Tej posępnej nocy w oszalałym umyśle Barty'ego Bendalla zrodził się pomysł czynu jeszcze bardziej mrocznego i strasznego.

Teren szpitala był prawie wyludniony. Panujący tu spokój zakłócała z rzadka jedynie obecność jakiegoś późnego gościa. Niewielka, okryta czarnym płaszczem postać Barty'ego Bendalla nie zwróciła niczyjej uwagi, gdy mijając główne wejście dostał się do środka. Pielęgniarka dyżurna od razu przypomniała sobie nazwisko „Polly Bendall” i wskazała drogę mężczyźnie, który przyszedł, aby odwiedzić swoją córkę.

- Ale pamięta pan, że wizyta nie powinna być zbyt długa? - upewniła się. - I że naraz może wejść tylko dwóch odwiedzających? - Gdy przytaknął, dodała: - To dobrze! Wie pan, stan pańskiej córki bardzo się polepszył. Pan doktor jest bardzo zadowolony.

Kierując się uzyskanymi informacjami, Barty Bendall bez przeszkód dotarł do miejsca, gdzie leżała Polly. Prawą ręką przytrzymując ukryty w kieszeni nóż, nacisnął klamkę i wszedł do małego korytarzyka. Pierwsza separotka okazała się pusta i gdy wślizgnął się do drugiej, z początku nie był pewien, czy drobna postać otulona kołdrą to rzeczywiście Polly. Podszedł na palcach bliżej, pochylił się, aby spojrzeć na twarz leżącej i w gardle uwiązał mu okrzyk przerażenia. Wstrząśnięty, zacisnął rękę na trzymanym w kieszeni nożu i odruchowo postąpił krok wstecz.

Gdy tak stał, spoglądając na spuchniętą twarz, ciszę przerwał stłumiony jęk. Polly otworzyła powoli oczy i, zaskoczona widokiem, jaki zobaczyła, zmrużyła powieki starając się skupić wzrok na twarzy Barty'ego Bendalla.

Po pierwszej reakcji, jaką był strach, w jej oczach, błędzących po twarzy mężczyzny, pojawił się wyraz zdziwienia i współczucia.

Barty Bendall utkwiał w jej twarzy zalane łzami zielone oczy. Wreszcie z okrzykiem udręki wymknął się z pokoju, nie rozluźniając uchwytu na trzymanym w kieszeni nożu.

Na zewnątrz, czekając w ukryciu, Barty Bendall obserwował okolicę, aż w końcu dostrzegł tramwaj, który zatrzymał się ze zgrzytem po drugiej stronie.

Curt wyskoczył zwinnie z wagonu, odwrócił się i podał Marcie rękę, żeby pomóc jej zejść po stromych stopniach. Zmartwienia i choroba wycisnęły swe piętno na pięknej twarzy Marty i Barty Bendall wstrząśnięty wpatrywał się w jej zaostrome, wymizerowane rysy.

Gdy przeniósł wzrok na przystojną, szczupłą twarz Curta Rathetera, wydał cichy pomruk, a w jego oczach pojawiła się gwałtowna nienawiść. Kiedy Marta i Curt zbliżyli się do głównego wejścia, dobiegły go ich głosy.

- Nie martw się o przyszłość - mówił Curt. - Zaopiekuję się wami. - Gdy Marta zauważyła, że jeszcze za wcześnie na takie konkretne plany, dodał szybko: - To nie chodzi tylko o nas. Przecież Polly, Florencja i Bartuś również zasługują na lepsze życie. - Przyciągnął do siebie Martę. - Ale masz oczywiście rację, że jeszcze za wcześnie o tym mówić. - W ciemności objął Martę i złożył na jej ustach długi, czuły pocałunek.

Cofnął głowę, aby spojrzeć na śliczną, ukochaną twarz, a Marta popatrzyła mu z uśmiechem w oczy, czując, jak miłość przepelnia jej serce. Nagle kątem oka dostrzegła w pobliżu jakiś gwałtowny ruch. W jednej chwili zdała sobie sprawę z niebezpieczeństwa i zdążyła tylko krzyknąć „Barty!”, nim z ciemności rzuciła się w ich kierunku ciemna postać.

Ukazała się ogarnięta szaleństwem twarz Barty'ego Bendalla i pośród krzyków przerażenia Marty rozległy się głuchoe odgłosy uderzeń połyskującego ostrza, wymierzonych w Curta. Barty Bendall zwrócił się w stronę Marty i w tej chwili była pewna, że za chwilę umrze. On jednak nagle ponownie uniósł śmiertelne narzędzie i zatopił ostrze prosto we własnym udreńczonym sercu.

Gdy osunął się na ziemię, ze szpitala wysypała się gromada zaalarmowanych krzykami Marty pielęgniarek. Część z nich ruszyła na pomoc Curtowi, część rzuciła się w kierunku zwiniętego na ziemi ciała Barty'ego.

Oszołomiona i drżąca, Marta patrzyła, jak układają Barty'ego na nosze, po czym, słysząc, że ktoś coś do niej mówi, ruszyła za dwoma pielęgniarkami, którzy zajęli się Curtem. Weszłyby razem z nimi do małego pomieszczenia, gdzie zajmowano się nagłymi przypadkami, gdyby nie powstrzymała jej jedna z pielęgniarek, mówiąc:

- Nie, moja droga, chodź lepiej ze mną, jesteś jeszcze w szoku.

Marta nie stawiała oporu. Czowała się wyczerpana wszystkimi ostatnimi wydarzeniami i dostała teraz gwałtownych dreszczy. Oblewały ją na zmianę fale gorąca i dojmującego chłodu. Serce zamierało jej w piersi, gdy wciąż na nowo odtwarzała w pamięci niedawną straszną scenę, mamrocząc raz po raz:

- Nie żyją! Obaj nie żyją! - Narastająca histeria została jednak szybko zażegnana przez pielęgniarkę, która wstrzyknęła Marcie środek uspokajający, co rychło przyniosło ukojenie.

Marcie wydawało się, że minęła zaledwie minuta, choć w rzeczywistości ocknęła się dopiero po jakimś czasie.

- Curt? - To była pierwsza myśl, jaka pojawiła się w jej umyśle.

- Wszystko w porządku, moja droga, usiądź sobie teraz, a ja przyniosę ci coś gorącego do picia!

Marta chwyciła za rękę odchodzącą pielęgniarkę.

- Nie! - zaprotestowała. - Nie chcę nic do picia. - Wstała z leżanki, ale zakręciło jej się w głowie i musiała przytrzymać się oparcia. - Co z Curtem i Bartym? - Z przerażeniem czekała, jaką usłyszy odpowiedź.

- Pójdę po doktora. Poczekaj tu chwilę spokojnie. Marta utkwiała przejmujący wzrok w oddalającej się postaci pielęgniarki.

- Bardzo proszę, pani Bendall, nie powinna się pani denerwować. - Lekarz już po chwili był przy boku Marty. - Jak się pani czuje?

- Mnie nic nie jest, ale chce zobaczyć Curta... i Barty'ego. - Jak on mógł zachować taki spokój, kiedy stała się taka straszna rzecz, pomyślała. - Proszę! - błagała. - Muszę ich zobaczyć! - Usiłowała wstać, choć silny środek, który dostała, jeszcze działał na jej zmysły.

- Pan Ratheter jest przytomny. Nic mu nie będzie - zapewnił ją doktor - ale będzie musiał zostać przez parę dni w szpitalu. - Na te słowa serce Marty skoczyło z radości, ale zamarło, gdy doktor ciągnął dalej: - Pan Bendall to pani mąż, prawda? - Gdy potwierdziła, wyraz twarzy doktora powiedział jej wszystko. - Przykro mi - dodał łagodnie. - Zrobiliśmy, co było w naszej mocy.

- Czy on?... - nie dokończyła, bojąc się wymówić ostatnie słowo.

- Nie, ale to tylko kwestia czasu.

Słyszając to, Marta wstała i starając się zapanować nad zawrotem głowy, powiedziała:

- Muszę go zobaczyć! Proszę, niech mnie pan do niego zaprowadzi. - Doktor skinął głową do pielęgniarki i po chwili Marta szła już za nią długim, wąskim korytarzem. Niedługo weszły do jasno oświetlonego pomieszczenia i pielęgniarka cofnęła się, wskazując Marcie stojące pod oknem łóżko.

Marta spojrzała na przedwcześnie postarzałą twarz Barty'ego Bendalla i ogarnęły ją wyrzuty sumienia. Teraz, kiedy jego życie i jego udręka zbliżały się ku końcowi, rysy jego zawziętej twarzy wygładziły się.

- Przykro mi, Barty - szepnęła i rozplakała się. - Och, jak strasznie mi przykro!

Nagłym ruchem ręki przerwał jej i z wysiłkiem pokazał, żeby się nad nim nachyliła. Gdy to zrobiła, z jego ust wydobył się słaby, ledwo słyszalny, przerywany szept:

- Marto... to nie twoja wina... tylko moja. Kochałem w swoim życiu tylko dwoje ludzi - ciągnął - ojca... i ciebie! - Złowroga mgła zaczęła zasnuwać mu oczy. - Zawsze nienawidziłem Polly - powiedział słabnącym głosem. - Polly... nigdy moja... zawsze jego! - Głos mu się załamał i gdy zwrócił ku Marcie swe zielone oczy, dostrzegła w nich taką czułość, jakiej nie widziała nigdy przedtem. - Polly... Ona... nie umrze, prawda?

Uspokajającym gestem kładąc dłoń na jego bladej ręce, której dotyk nawet teraz przejmował ją dreszczem, Marta szepnęła łagodnie:

- Nie, Barty, z bożą pomocą będzie zdrowa.

Poczuła, jak jego dłoń wiotczeje i gdy jego oczy zaczęły gasnąć, ostatnim tchnieniem wyrzucił z siebie błagalne słowa:

- Marto, przebacz mi.

Pielęgniarka odprowadziła Martę do drzwi ze słowami:

- Już nic nie da się zrobić, moja droga, chodźmy. Przy drzwiach Marta odwróciła się, żeby spojrzeć na niego po raz ostatni i drżącym głosem wyszeptała:

- Przebaczyć? Czyż wszyscy nie potrzebujemy przebaczenia, Barty?

Niedługo po tym Marcie pozwolono zobaczyć się z Curtem. Według lekarza rany szyi i klatki piersiowej, jakie odniósł Curt, nie były zbyt groźne. Gdy otworzyła drzwi, zapytał natychmiast:

- Barty? Nie żyje... tak?

Odpowiedź była wypisana na mokrej od łez twarzy Marty. Podeszła do łóżka i usiadła obok Curta, a on z westchnieniem smutku przytulił ją do siebie. Nie musieli nic mówić.

W milczeniu trzymali się w objęciach, zbyt przygniecenii natłokiem uczuć, by móc rozmawiać. W końcu pojawiła się pielęgniarka i oznajmiła, że Marta będzie już musiała opuścić pokój Curta. Wychodząc, Marta czuła się o wiele silniejsza niż przedtem.

Idąc pustym korytarzem w stronę separatki Polly, zadawała sobie w duchu wiele pytań. Czy mogła temu wszystkiemu zapobiec? Ile w tym, co się stało, było jej winy? Czy kiedykolwiek uwolni się od tego wszystkiego? Ale żadne odpowiedzi nie przychodziły jej do głowy.

Rozdział dwudziesty trzeci

Barty Bendall został pochowany na małym cmentarzyku niedaleko domu babci Fletcher. Marta wybrała ustronny zakątek obok wysokiego, rozłożystego cedru, niedaleko miejsca, gdzie spoczywała stara Connie Bendall.

Na pogrzeb przyszło wiele osób. Wielcy, krzepcy robotnicy szczerze opłakiwali swojego kompana, a rosły Jim Rawlinson nie potrafił spojrzeć Marcie w oczy.

Mały domek na ulicy Regent był zamknięty na cztery spusty i otwarta trumna z ciałem Barty'ego Bendalla nie została wystawiona na noc w salonie, jak każe zwyczaj. Zamiast tego przez całą noc przed pogrzebem otwarta była kaplica, gdzie pod krucyfiksem wystawiono wyposażoną w mosiężne uchwyty trumnę. Znajomi, głównie kompani z pubu i koledzy z pracy, przybywali tam, aby złożyć wyrazy szacunku i po raz ostatni spojrzeć na człowieka, na którego twarzy, choć tak często wyrażała gniew, zagościł w końcu wieczny spokój.

Marta i babcia Fletcher stały z przodu jako najbliższa rodzina Barty'ego Bendalla. Dziadek Fletcher został w domu z dziećmi. Uznano też, że nie wypada, aby Curt Ratheter brał udział w pogrzebie.

Curt szybko doszedł do zdrowia i od paru tygodni zajęty był przygotowaniami do nowego życia, jakie zdecydowali się rozpocząć razem z Martą. Udało mu się w końcu znaleźć pracę w dużej firmie budowlanej, około dwustu mil na południe. Wraz z posadą oferowano domek na pobliskim osiedlu.

Polly z dnia na dzień przybywało sił i już po upływie miesiąca od trudnej, nowatorskiej operacji, mającej na celu powstrzymanie rozwoju guza, siedziała w łóżku, podniecona perspektywą nowego życia w nowym miejscu. Ani razu nie wspomniała Barty'ego Bendalla.

Martę niepokoiły opory, z jakimi Polly przyjmowała starania Curta o zaprzyjaźnienie się z nią. Dziewczynka zachowywała się uprzejmie, ale ostrożnie i z rezerwą. W spokojniejszych chwilach Marta często dostrzegała w niej dawną Polly, próbującą dojść do ładu ze wszystkimi zmianami, jakie zaszły w jej krótkim, lecz burzliwym życiu. Marta wiedziała, że niedawne bolesne wydarzenia bardzo głęboko zapadły Polly w duszę, toteż swych najgorętszych modlitwach błagała:

- Pozwól jej zapomnieć, dobry Boże. Proszę, pozwól jej zapomnieć.

Gdy Polly wreszcie wróciła do domu, wiosna właśnie zaczęła ustępować miejsca latu. Czas litościwie leczył bolesne wspomnienia i z gorzkich doświadczeń przeszłości zaczął się powoli wyłaniać kruchy jeszcze spokój - coś, na czym można było zacząć budować nowe życie. Stopniowo Marta zaczęła spoglądać w przyszłość z ostrożnym optymizmem. Wdzięczna losowi, czuła, jak z upływem miesięcy tego brzemiennego w wydarzenia roku rośnie w niej nowa wiara i nadzieja. Wiedziała jednak, że Polly jest o wiele trudniej otrząsnąć się z koszmarów przeszłości, przez które jeszcze teraz budziła się w nocy z okrzykiem przerażenia.

Wśród dobytku babci Fletcher jednym z najbardziej cenionych przez nią przedmiotów było wysokie wiktoriańskie lustro. Dostała je kiedyś od jakiegoś dalekiego krewnego. Ponieważ było stare, a jego poprzedni właściciele nie obchodzili się z nim zbyt dobrze, odbicie, jakie można było w nim dojrzeć, było zniekształcone i zamglone. Polly uwielbiała jednak godzinami podziwiać w nim swoją sylwetkę.

Teraz, wyższa i szczuplejsza, przyglądała się swojemu nagiemu odbiciu, zniekształconemu przez irytujące, drobne pęknięcia i rysy, które pokrywały powierzchnię lustra.

- Mamo - odezwała się Polly do ubierającej się obok Marty - czy ja jestem piękna?

- Oczywiście, że jesteś piękna, Poluniu. - Marta zauważyła, jak bardzo Polly zaczęła zwracać uwagę na swój wygląd. Pod uspokajającym uśmiechem, który rozświetlił od razu twarz Marty, kryły się jednak głębokie obawy, w dalszym ciągu nie dające jej spokoju. Przypomniała sobie poważną przestrożę lekarza, która zamąciła radość jej i Curta z tego, że Polly odzyskuje swoją dawną żywotność. Powiedział im, że guz jest złośliwy i sięga głęboko, i że Polly będzie musiała być pod stałą kontrolą lekarzy. Zawsze może się też okazać, że konieczna jest następna operacja.

Ta tragiczna wiadomość była dla Marty ciężkim ciosem. Świadomość, że pomimo całej swojej wprawy chirurg nie był w stanie całkowicie usunąć guza, kładła się cieniem na cudownej, na nowo rozkwitającej miłości pomiędzy nią i Curtem.

Ta część duszy Marty, która została uwolniona od brzemienia, jaką stanowiło poprzednie, skazane na klęskę małżeństwo z Bartym Bendallem, wrywała się ku obietnicy nowego, lepszego życia. Tak bardzo kochała Curta, który nigdy nie zachwiał się w swej miłości i oddaniu wobec niej i dzieci, który był mężczyzną jej snów i, podobnie jak ona sama i Barty, doznał udręki z powodu siły ich miłości.

Jak jednak mogła korzystać z tego wyśnionego szczęścia, skoro wydawało się, że Polly skazana jest na życie omroczone wieczną groźbą nawrotu strasznej choroby? Spojrzała w bok na Polly i po raz kolejny uderzyły ją zmiany, jakie zaszły w córce. Nie miała rumieńców na twarzy, ale przecież - przypomniawszy sobie sama - nigdy ich nie miała. Widać było u niej jednak ledwo uchwytny, choć wyraźny znak świadczący o budzącej się w niej kobiecości, i Marcie zdawało się, że to przeczy jakimkolwiek zagrożeniu życia dziecka. Przemknęło jej przez głowę, że może lekarze się mylą, choć w głębi duszy wiedziała, iż nie może być mowy o żadnej pomyłce.

Oboje z Curtem zdecydowali, że będzie lepiej, jeśli Polly dowie się o stanie swojego zdrowia tylko tyle, żeby rozumiała konieczność chodzenia na regularne wizyty kontrolne. Z czasem Polly przyzwyczaiła się do tych rutynowych badań. Po początkowym okresie rozterek i obaw Marta nauczyła się żyć z dnia na dzień i z wdzięcznością przyjmowała wszystko, co niosło nowe życie. Nadal jednak niepokoiły ją nawiedzające Polly koszmary oraz pojawiające się od czasu do czasu u córki okresy ponurego nastroju i czarnej melancholii - wszystko to nieodmiennie kojarzyło się Marcie z małym domkiem na ulicy Regent w Blackburn i z Bartym Bendallem!

W głosie Polly zabrzmiała gorzkość.

- Żeby tylko te włosy prędeż mi rosły! - powiedziała, targając proste, wiotkie kosmyki złocistych włosów, pomiędzy którymi widniały brzydkie gołe placki. - Czuję się jak sparszywiały osioł, mamó! - poskarżyła się. Jednak pomimo poszarpanej, pokrytej meszkiem nowych włosów blizny, Polly wyrastała na małą piękność.

- Zdecydowanie wolałabym, żebyś została tu z babcią - powiedziała Marta, zmieniając temat rozmowy.

- Nie! Idę z tobą, mamó! - Polly podeszła do dużego mosiężnego łóżka babci Fletcher i sięgnęła po przygotowane tam wcześniej ubranie. - Chcę pójść z tobą!

Marta z westchnieniem zaczęła schodzić na dół.

- No dobrze, ale pośpiesz się. Mamy dziś rano dużo do zrobienia.

Gdy Polly weszła do salonu, babcia Fletcher nie oparła się pokusie wtrącenia swoich trzech groszy:

- No, gotowa już? Najwyższy czas, moja droga! Założę się, że znowu paradowałaś przed moim lustrem! - Nie wiedziała nic o rzeczywistym stanie zdrowia Polly. Curt i Marta uważali, że nie ma potrzeby obciążać jej takimi wiadomościami.

Polly podbiegła do staruszki, zarzuciła jej rękę na szyję i oświadczyła, lekko tylko zawstydzona prowokacyjną uwagą:

- No, a jeśli nawet, to co?

- Hola, moja droga! Myślisz, że pozwolę na to, aby moje lustro jeszcze bardziej popękało? - Gdy zobaczyła, jak Polly udaje przerażenie, rozjaśniła swą mądrą, starą twarz uśmiechem, po czym dodała: - No, ale pewnie ktoś powinien go używać, skoro ja sama, do licha, już się w nie nie mieszczę! Jest wysokie, ale za wąskie! - Słyszac te słowa, Florencja i Bartuś zaczęli pokładać się ze śmiechu. - Hej! - zapewniła ich z pełną powagą babcia Fletcher. - To nie żarty! - I mrugnęła porozumiewawczo do Marty.

Marta z uśmiechem ucałowała Florencję i Bartusia.

- Niedługo wrócimy - oświadczyła, po czym odwróciła się do babci Fletcher i dodała: - Mamó, Curt przyjdzie później, żeby uzgodnić datę z urzędnikiem stanu cywilnego. Przyprowdzi ze sobą ciocię Bett.

Babcia Fletcher zacisnęła usta i spojrzała surowo na Martę.

- Nie podoba mi się ten pomysł z urzędem cywilnym! Dla mnie to nie jest żaden ślub! - Widząc, że dzieci słyszą to, co mówi, szybko zmieniła ton: - No tak, dużo jest tych wszystkich przygotowań, to fakt! Ale nie śpiesz się za bardzo, żeby tu wrócić, kochanie! Upewnij się, żeby na ulicy Regent wszystko

było załatwione jak należy, żebyśmy nie musieli już sobie tą sprawą zaprzętać głowy, kiedy oddamy klucze.

Dom na ulicy Regent stał zamknięty już od dłuższego czasu i prawdę mówiąc Marta nie kwapiła się wcale, żeby tam zaglądać. Trzeba było jednak zabrać stamtąd meble, a poza tym chciała tam przy okazji dopilnować jednej konkretnej sprawy, aby na dobre zamknąć ten rozdział swojego życia. Zerknęła na bladą twarz Polly i dostrzegając na niej jakby cień obawy, spytała:

- Polly, jesteś pewna, że nie chcesz zostać tu z babcią?

- Tak, mam! - Polly ruszyła pierwsza ku drzwiom, jakby chcąc przekonać tym Martę, że naprawdę nie ma zamiaru zostawać. - Chodźmy - ponagliła - bo spóźnimy się na ten wczesny tramwaj. - Marta podążyła za nią. Pomyślała, że może Polly też czuje potrzebę przegnania raz na zawsze zmór przeszłości. Gdy już były na zewnątrz, Marta, zachęcona ciepłem igrających na jej policzkach promieni słońca oraz zapachem Polly i podniecona cudowną perspektywą wieczornego spotkania z Curtem, poczuła, że stopniowo odzyskuje dobry humor.

- No to ruszajmy! - ze śmiechem powiedziała do Polly.

Uwaga na plecy! Uwaga na plecy! - Przenikliwy głos konduktora świdrował uszy Marty, gdy szła za Polly, żeby zająć obok niej miejsce na ławce. Ledwo usiadły, konduktor już był przy nich, niecierpliwie potrząsnął ciężką metalową maszynką do wydawania biletów, wiszącą na jego szyi na wytartym skórzanym pasku i krzyknął: - Bilety, proszę! Bilety proszę! - Jego irytujący zwyczaj powtarzania wszystkiego dwa razy działał na nerwy. Marta nie mogła jednak powstrzymać się od uśmiechu, gdy Polly szepnęła do niej cicho:

- Mógłby przestać tak wrzeszczeć, mam!

Wyciągając z portmonetki cztery pensy, Marta poprosiła o dwa powrotne bilety na ulicę Regent w Blackburn. Skrzywiła się, gdy konduktor powtórzył pełnym głosem jej prośbę:

- Dwa powrotne na ulicę Regent - bardzo proszę, moja droga.

Marta podziękowała mu za bilety i z uśmiechem zwróciła się do Polly:

- Przypuszczam, że rankiem na ogół nikt by go nie usłyszał, gdyby nie krzyczał. - Rozejrzała się dokoła, zaskoczona dużą liczbą pasażerów, było bowiem zbyt późno na podróż do pracy w przedzalni, a zbyt wcześnie na zakupy.

Tramwaj toczył się posłusznie swoją trasą i Marta zamilkła. Im bardziej zbliżali się do ulicy Regent, tym bardziej pograżała się w zadumie. Od tego straszego dnia jej noga nie postąpiła w domu Barty'ego Bendalla i teraz również jechała tam bardzo niechętnie.

Obserwowały znajomą trasę i obie z ulgą myślały o tym, że przemierzają ją po raz ostatni. Marta rozmyślała o stosunku Polly do Curta. To dziwne, jak sama obecność mężczyzny, i to każdego mężczyzny, wydawała się onieśmielać Polly. Mała nie wiedziała jeszcze, że Curt jest jej prawdziwym ojcem. Curt i Marta uznali, że jeszcze zbyt mało czasu upłynęło od operacji, aby można było przekazać Polly taką rewelację. Wydawało się, że podobnie jak pozostałe dzieci, Polly z entuzjazmem odnosi się do zbliżającego się ślubu matki z Curtem, ale Marta zauważyła że, kiedy Curt bardziej zbliżał się do Polly, dziewczynka zamykała się w sobie i odsuwała na bezpieczną odległość. Marta uświadomiła sobie, że nie chodziło wyłącznie o Curta - to samo dotyczyło dziadka Fletchera i każdego innego mężczyzny, który zbliżył się do Polly. W pewnym sensie Marta rozumiała, co mogło być tego przyczyną. Biorąc pod uwagę okropne doświadczenia z Bartym Bendallem oraz późniejsze, również nieprzyjemne, w szpitalu, trudno było się dziwić, że Polly tak nerwowo reagowała na każdego mężczyznę. Martę bardzo to niepokoiło, doszła bowiem do wniosku, że dusza Polly została jeszcze bardziej zraniona niż jej ciało. Teraz była niezadowolona, że pozwoliła córce towarzyszyć sobie w tej porannej wyprawie.

- Nie musisz nawet wchodzić do środka - zasugerowała. - Pewnie zanim tam dotrzemy, pan Grady będzie już ze wszystkim gotów. Muszę tylko odebrać od niego pieniądze, sprawdzić, czy po jego pobycie w domu jest względny porządek i zamknąć wszystkie drzwi. - Marta z nadzieją czekała na odpowiedź córki. Naprawdę wołałaby, aby Polly posiedziała u panny Atkinson do czasu, aż będzie po wszystkim.

- Nie, mamu. Chcę wejść z tobą. - Polly nie dała się przekonać.

Przed domem stał koń zaprzęgnięty do wozu pana Grady'ego, a wokół uganiały się tabuny podekscytowanych dzieci. Łóżka zostały już załadowane i teraz pan Grady i jego rosły syn zmagali się przy drzwiach z solidnym ciężarem kredensu. Marta i Polly stanęły w bezpiecznej odległości, podczas gdy dwaj mężczyźni, z wysiłkiem znieśli nieporęczny mebel po kamiennych 'j schodkach i załadowali go na wóz.

- Do diabła! - Twarz pana Grady'ego, gdy odwrócił się do nich, żeby się przywitać, była czerwona i nadal brzmiała od wysiłku. - Ten kredens waży chyba z tonę!

- Poprawił czapkę na głowie i dodał: - Już prawie skończyliśmy, pani Bendall. Właściwie zostały już tylko drobiazgi. Z większych rzeczy jest jeszcze tylko kanapa i fotele. - Marta podążyła za nim do środka.

Polly ruszyła tuż za nią i gdy już były w środku, poszła do kuchni, podczas gdy Marta, zostawiając posapującego pana Grady'ego, udała się pustym korytarzem i dalej schodami na górę, do frontowej sypialni, zajmowanej niegdyś przez nią i Barty'ego Bendalla. Teraz ziała ona pustką i stęchlizną, i panował tu taki przenikliwy chłód, że Marta musiała szczelniej otulić się płaszczem. Na podłodze, w miejscu, gdzie była jej strona łóżka, widniał niewielki naciek wosku od świecy, stwardniały i podobny do małej, zamrożonej piramidy. Na ścianie wokół okna widać było wielką plamę wilgoci, która rozchodząc się na boki zaczęła już sięgać swoimi łapczywymi, ciemnymi mackami przyległych ścian.

Stojąc tam i drżąc z zimna, Marta wsłuchiwała się w ciszę, jakby spodziewała się odnaleźć tu jeszcze jakieś ślady obecności Barty'ego Bendalla. Ale nic po nim nie pozostało i, co dziwne, znikła również panująca tu zawsze atmosfera lęku i nienawiści. Była tylko wionąca chłodem pustka, więc Marta odwróciła się i szybko wyszła z pokoju.

- Już prawie koniec, pani Bendall. - Pan Grady zbierał teraz wszystkie przedmioty z półek w kuchni, kładąc je do pojemnego pomarańczowego pudła. Wzrok Marty padł na oprawne w srebro fotografie rodziców Barty'ego Bendalla. Gdy im się przyglądała, przypomniała sobie jego ostatnie słowa: „Kochałem w swoim życiu tylko dwoje ludzi - swojego tatę i ciebie.” To wspomnienie przepełniło ją współczuciem. Sięgnęła na półkę i z czcią wzięła ramkę do ręki.

- To prawdziwe srebro, dostanie się za to parę szylingów - odezwał się pan Grady.

- Nie, panie Grady, to nie jest na sprzedaż. Pan Bendall nie życzyłby sobie, żeby to dostało się w jakieś obce ręce - odparła z uśmiechem. Nie wdając się w dyskusję, zabrała ramkę ze zdjęciami do frontowego salonu, gdzie zapatrzyła się w okno na ulicę Regent w oczekiwaniu, aż pan Grady skończy wynoszenie rzeczy.

Wkrótce gdy pan Grady wręczył jej już trzy funty, siedem szylingów i cztery pensy, Marta stała na ulicy spoglądając, jak koń i wóz powoli oddalają się, aż w końcu zniknęły jej z oczu. Potem, biorąc ze sobą zdjęcie, przeszła przez kuchnię i zeszła po schodkach na podwórko, i dalej w dół do piwnicy. W drugim końcu piwnicy stał stary mosiężny kocioł, który zasłaniał ukrytą za nim niszę w murze. Marta odsunęła kocioł od ściany i wepchnęła srebrną ramkę głęboko w czarny otwór, po czym ustawiła kocioł z powrotem na swoim miejscu i wróciła do domu z poczuciem, że w końcu przegnała wszystkie duchy przeszłości.

Po dokładnym zamknięciu mieszkania Marta udała się do domu panny Atkinson. Zapukała do drzwi i czekając, aż ktoś jej otworzy, zaczęła niespokojnie rozglądać się po ulicy Regent, spodziewając się dojrzeć gdzieś Polly, która jakiś czas temu wyszła z domu mówiąc, że wychodzi, aby „ostatni raz rozejrzeć się po okolicy”. Ale chociaż Marta ostrzegła ją, żeby nie oddalała się na długo, nigdzie jej nie widziała.

- Witaj, Martuniu! - pozdrowiła ją panna Atkinson, której szeroka, brzydka twarz wychyliła się zza drzwi.

- Pomyślałam sobie, że lepiej nie będę się plątać pod nogami podczas wnoszenia wszystkiego - wyjaśniła.

- O, widzę, że przyniosłaś klucz - dodała.

- Bardzo jestem pani wdzięczna, panno Atkinson, że zgodziła się pani oddać klucz poborcy czynszu - powiedziała z uśmiechem Marta. - Dzięki pani nie muszę jechać do administracji.

- Wejdiesz na chwilę? - panna Atkinson szerzej otworzyła drzwi.

- Nie, bardzo dziękuję. - Zaczynała się niepokoić o Polly, która powinna była już wrócić pod dom. - Polly gdzieś się zawieruszyła, więc lepiej pójdę jej poszukać.

Panna Atkinson miała jednak ochotę porozmawiać.

- Słyszałam, że na nowo urządzasz sobie życie gdzieś w Londynie. Czy to prawda? Świetnie... No, no, kto by pomyślał - Londyn!

Marta uśmiechnęła się uprzejmie.

- Nie, panno Atkinson, nie Londyn. To mała miejscowość zwana Ridgmont, położona około czterdzieści mil na północ od Londynu.

- Ach, Ridgmont, tak? No, to też brzmi zachęcająco.

- Przybrała poważną minę. - No, w każdym razie miejmy nadzieję, że wszystko dobrze się ułoży. Pojęcia nie mam, jak wytrzymałaś przez wszystkie te lata - cmoknęła z dezaprobatą.

- Tu jest książeczka czynszowa i pięć szylingów za zaległy czynsz - przerwała szybko Marta, wskazując na kopertę w ręku panny Atkinson. - Ja muszę pójść poszukać Polly. - Ruszyła w kierunku strumienia Blakewater, bowiem obie z Polly miały miłe wspomnienia z tego oryginalnego miejsca.

- Tak, tak, idź, moja droga - zawołała panna Atkinson. - I daj ci Boże zdrowie!

Marta nie obejrzała się. Oddalając się szybkim krokiem, pomachała tylko ręką w podziękowaniu, zaprzątnięta już myślą, czy uda im się zdążyć na tramwaj o dwunastej.

Nad strumieniem nie było nikogo! Marta parę razy przeszła wzdłuż brzegów, aż w końcu zrozumiała, że w jakiś sposób musiała minąć się z Polly.

- Pozostaje tylko - mruknęła poirytowana - wrócić na ulicę Regent. Może tam czeka na mnie. - Zła była na Polly, że gdzieś się zawieruszyła, ale gdzieś w głębi serca czaił się też lęk.

Na ulicy Regent również nie było ani śladu. Mając nadzieję, że znajdzie ją albo u panny Atkinson, albo w sklepie na rogu, Marta sprawdziła oba te miejsca, ale bez rezultatu. Nie wiedząc, co począć, dezorientowana stała na ulicy przed panną Atkinson i obie rozglądały się na wszystkie strony.

- A co z domem małej Bridget - zasugerowała panna Atkinson - może tam się zabląkała?

- Nie, byłam tam, zaglądałam we wszystkie okna - odparła Marta.

- No, a może weszła z powrotem do waszego domu? Albo była jeszcze w środku, kiedy stamtąd wychodziłaś? Może jest na górze?

Dobry Boże, pomyślała Marta, prosząc pannę Atkinson o klucz. To było bardzo prawdopodobne! Dziewczynka, dręczona wspomnieniami, mogła zapuścić się gdzieś do piwnicy albo do sypialni.

Znalazła Polly klęczącą na podłodze w tylnym salonie i od razu zorientowała się, że dziewczynka płakała.

- Och, kochanie - powiedziała z nieśmiałym uśmiechem, czując wielką ulgę, że wreszcie ją odnalazła - nie powinnaś być tu sama! - Klęcząc obok drobnej, zgiętej w pół postaci, wzięła Polly w objęcia. - O co chodzi, kochanie? Powiesz mamusi? - spytała, głaszcząc zmierzwioną główkę. Gdy nie usłyszała żadnej odpowiedzi, odwróciła ku sobie głowę Polly i z bólem serca dostrzegła, że jasne, błękitne oczy wypełnione są łzami.

- Czy byłam dla niego okropna, mamó? - spytała Polly nabrzmiałym łzami głosem. - Czy to moja wina, że Barty Bendall oszalał? - Zaczęła drżeć i po chwili zaniósła się rozdzierającym szlochem.

- Och, kochanie, kochanie moje! - Marta przycisnęła ją do siebie i kołyszając córkę w ramionach przekonywała ją, że to, co się stało, nie było niczyją winą, a już na pewno nie jej. Starła się na wszelkie sposoby uspokoić rozpaczającą dziewczynkę, ale bez skutku. Marta zdała sobie sprawę, że Polly zadręcza się tak samo jak i ona do niedawna. Nie pomagały żadne perswazje - Polly szlochała nadal tak żałośnie, jakby jej serce pękało, aż Marta zaczęła podejrzewać, że chodzi o coś więcej niż tylko złe wspomnienia. Z przerażeniem zdała sobie sprawę, że Polly mogła przez przypadek usłyszeć jakąś rozmowę jej z Curtem, i w ten sposób dowiedzieć się, jak poważnie jest chora.

- Chodź, kochanie - powiedziała, pomagając szlochającej dziewczynce podnieść się z podłogi i ruszając w kierunku drzwi. - Posiedzimy chwilę u panny Atkinson. Jest jeszcze dużo tramwajów, złapiemy jakiś późniejszy. - Obawiała się bardzo, żeby Polly nie wpadła w histerię.

I właśnie wtedy gdy Marta zbliżała się do otwartych drzwi, Polly zawisła bezwładnie w jej ramionach, wydając przy tym dziwny jęk.

- Polly! - Marta przycisnęła do siebie dziewczynkę, potrząsając nią lekko. Sama ledwo powstrzymała łzy.

Zdjęta trwogą Marta zadrżała na całym ciele, pochyliła się nad dzieckiem i wyrzuciła z siebie błagalnie:

- Polly, spróbuj objąć mnie za szyję. Musimy dojść do domu panny Atkinson. - Łzy ścisnęły jej gardło i zalewały oczy. Gdy spojrzała na twarz Polly i zobaczyła cienką strużkę krwi ciekącą z kącika ust, zamarło jej serce. Zbierając wszystkie siły, podniosła Polly z ziemi. Niosąc ja na rękach, modliła się tak, jak nigdy dotąd. Już wtedy, gdy Polly przyszła na świat, wiadomo było, że może nadejść taka straszna chwila jak obecna. Marta zdawała sobie z tego sprawę, ale nigdy nie mogła się z tym pogodzić. Jej ukochana Polly będzie zdrowa! Będzie zdrowa! Będzie zdrowa! Marta nie przestawała na głos powtarzać tych słów.

Panna Atkinson odebrała z jej rąk Polly i ostrożnie położyła dziewczynkę na kanapie, po czym, po raz pierwszy w życiu, puściła się biegiem do sklepu, skąd wezwano ambulans za pomocą „jednego z tych urządzeń telefonicznych”.

Ambulans przybył bardzo szybko i zabrał nieprzytomną Polly wraz z Martą do szpitala. Mknęli wąskimi ulicami, a Marta siedząc na noszach tuliła do piersi Polly, nie odrywając nawet na chwilę oczu od drobnej, delikatnej twarzy, i czując, jak jakiś straszny chłód przenika jej duszę.

Nagle błękitne oczy, które tak często uszczęśliwiały Martę bijącą z nich radością, i równie często wprawiały w desperację swoimi przekornymi błyskami, otworzyły się i napotkały spojrzenie matki.

- Och, kochanie moje - wyszeptała Marta, głaszcząc wysokie, blade czoło Polly. - Leż spokojnie, wszystko będzie dobrze.

- Ja umieram, prawda, mamusiu... jak Barty Bendall? - wyszeptała Polly.

- Nie, kochanie - Marta mówiła cichym, stanowczym głosem, ale nie potrafiła powstrzymać łez. - Nie umierasz!

Polly uśmiechnęła się słabo.

- To nic, mamusiu. Mnie już wszystko jedno...

- Sza, dziecko - słowa więzły Marcie w gardle. - Nie wolno ci tak mówić!

Polly wydała stłumiony, przypominający śmiech odgłos.

- Będę aniołem, mamusiu - wyszeptała, zaciskając palce na dłoni Marty - a anioły nie płaczą, prawda?

W tej chwili Marta wiedziała już, że Polly odchodzi. Zbierając całą odwagę, jaką potrafiła w sobie odnaleźć, przytuliła do siebie dziecko tak mocno, jakby chciała je zatrzymać przy sobie na zawsze. Ale pomimo całego ogromu swojej miłości i całej swojej odwagi, nie potrafiła ochronić wątłego płomyczka życia, który zadrżał w jej ramionach i zgasł na wieki. Przez długą jak wieczność, wypełnioną niewysłowioną boleścią chwilę Marta nie potrafiła spojrzeć w twarz córki. Gdy w końcu zdobyła się na to, łzy rozpaczcy potokami trysnęły z jej oczu.

- Och, moje kochanie, moja dziecina ukochana! łkała, czując, jak z każdym słowem jej serce przeszywa rozdzierający żal. Podniosła drobne, bezwładne ciało, przytuliła do siebie bladą, delikatną główkę i cały jej umysł, całe jej serce i cała dusza pogrążyły się w bezdennej, nieutulonej rozpaczcy.

Marta i Polly razem dotarły do bram nieskończoności, ale powróciła stamtąd tylko Marta. Tego pięknego, słonecznego popołudnia, kiedy umarła Polly, jakaś część Marty odeszła wraz z nią na zawsze.

CZEŚĆ TRZECIA

1938 Ostatnia miłość Marty

Rozdział dwudziesty czwarty

Był piękny lipcowy dzień. Wiosna ustąpiła w końcu pola gorącemu, promiennemu latu i w powietrzu rozbrzmiewał harmonijny śpiew ptaków, radośnie witających nowy dzień. Było jeszcze wcześniej i cicho. Jedynie łagodne dźwięki organów, dobiegające z pobliskiego kościoła, docierały do uszu małej grupki stojącej przy starannie utrzymanym grobie.

- Brakuje mi naszej Polly, mamó - powiedziała Florencja, tuląc się do mamy.

- Czy ona już nigdy nie wróci, mamusiu? - Pytanie Bartusia i niepewność rysująca się na jego twarzy sprawiły, że Marta przytuliła go do siebie. Obejmując czule dzieci, spojrzała na świeżo zagrabioną ziemię, gdzie pochowana była Polly.

- Nie, kochanie - odparła łagodnie. - Ona już nie wróci. - W głębi duszy wiedziała jednak, że Polly - to biedne, nieszczęśliwe dziecko - nigdy jej nie opuściło i nigdy tak naprawdę jej nie opuści.

Nagle na wiązance kwiatów, którą Marta położyła na pobliskiej ławce, usiadła mała samiczka mysikrólika, a Bartuś z beztróską młodości szybko odgonił ją i wręczył mamie mały bukietek.

- Mamo, czy mogę pójść do kościoła i posłuchać organów? - spytał.

- Tylko jeśli obiecasz, że będziesz się zachowywał bardzo cicho - odparła Marta i odwracając się do Florencji, która nadal stała wpatrzona w zamyśleniu w niewielki grób, powiedziała: - Idź z nim, kochanie. Ja zaraz przyjdę.

Gdy została sama, uklękła blisko grobu, trzymając w dłoniach kolorową wiązankę. Trwała tak przez dłuższą chwilę, budząc w pamięci wspomnienie jasnych, błękitnych oczu Polly - nie tych smutnych, wypełnionych bólem, ale oczu noworodka, niemowlęcia, małego dziecka... Pod ich spojrzeniem jej zbolełe serce wypełniał spokój. Napłynęły do niej teraz łagodne, kojące fale pięknej organowej muzyki i gdy przeniknęły do jej świadomości, Marta rozpoznała znaną jej melodię. Była to piosenka, którą zawsze lubiła. W odruchu równie naturalnym, jak naturalny jest oddech, Marta pozwoliła, by jej cudowny głos zespolił się z dźwiękami organów, odtwarzających pieśń Stary krzyż. Gdy zaczęła śpiewać, dziwne uczucie ukojenia, które łagodziło jej ból, nadało głosowi niemal nieziemskie brzmienie. Piękne tony rozbrzmiewały wokół, przyćmiewając odgłosy organów, a nawet słodki świergot ptaków.

Stąpając ostrożnie po trawie Curt zbliżył się do Marty i oczarowany dźwiękiem jej głosu przystanął pod rozłożystymi konarami rosnącego w pobliżu głogu.

- Miłować będę krzyż stary, surowy, i przy nim złożę wszystko, co zdobędę... - Marta uklękła i dotknęła palcami ziemi. - A przy tym krzyżu tak długo trwać będę, aż się w koronę zmienią me okowy. Do swego domu weźmie mnie bezpiecznie, choć niespodzianie, daleko, w świat nowy... Tam będę dzielić jego chwałę wiecznie...

Subtelne dźwięki wywabiły z kościoła paru wiernych, którzy stanęli pod wielkim łukiem wieńczącym bramę, słuchając w nabożnym skupieniu. Florencja i Bartuś chcieli podejść do matki, ale Curt zastąpił im drogę, pokazując, aby poczekać. Stał razem z dziećmi, a jego błyszczące oczy wypełniła duma i miłość. Uczucie, jakie żywił do klęczącej kobiety, wzmocniło jeszcze jego silne postanowienie, aby dać jej szczęście, aby zapewnić jej przyszłość tak pogodną i bezpieczną, by wynagrodziło jej to całe cierpienie, którego do tej pory doświadczyła.

Gdy Marta skończyła śpiewać, poczuła, że wstąpił w nią nowy duch i siła. Wzięła do ręki przyniesioną na cmentarz wiązaną kwiatów, wybrała część z nich i starannie ułożyła je w granitowym wazonie. Przypomniałszy sobie ostatnie słowa Polly, szepnęła cicho, tak że nikt inny nie dosłyszał jej słów:

- Mylisz się, Poluniu, bo anioły też czasem płaczą. Curt podał Marcie rękę, aby pomóc jej wstać.

- Och, Marto. - Potrząsnął tylko ciemną głową, najwidoczniej nie potrafiąc powiedzieć nic więcej. Wobec siły łączącego ich uczucia żadne słowa nie były potrzebne. Curt przyciągnął ją do siebie i przytulił na chwilę w gorącym uścisku.

- Curt - odezwała się Marta po chwili, wyswobadzając się z jego objęć i wskazując na Florencję i Bartusia, którzy z zapalem biegali wkoło, płosząc ptaki. - Może byś już zaczął powoli wracać z dziećmi. - Podniosła resztę kwiatów. - Muszę jeszcze zanieść ten bukiet. To tylko chwila. - Dogonię was, dobrze? - Podniosła głowę i musnęła wargami jego usta. Gdy spojrział na jej promienną twarz, Martę uderzyło, jak bardzo jego męskie, tchnące siłą rysy różnią się od rysów dawnego Curta - naznaczonych udręką i cierpieniem. Nic dziwnego, skoro wyzwolił się z podwójnego więzienia - tego, w którym spędził sześć lat, i tego, które sam dla siebie stworzył!

- Poczekamy na ciebie przy bramie, kochanie - zgodził się.

Gdy Marta odchodziła, chwycił ją za serce widok jego schylonej nad grobem Polly głowy i odgłos cicho szeptanej modlitwy.

Zmierzając po trawie w stronę wysypanej żwirem ścieżki, Marta zadumała się nad wydarzeniami ostatnich paru miesięcy. Nie potrafiła wymazać z pamięci wstrząsu, jakim była śmierć Polly, nie spodziewała się też, że kiedykolwiek o tym zapomni. Czas jednak stopniowo zablizniał rany i łagodził ból. Curt był jej podporą i starał się robić wszystko, aby ulżyć jej cierpieniu i uczynić ją szczęśliwą.

Od dwóch tygodni byli małżeństwem. Ceremonia była skromna i wzięli w niej udział tylko najbliżsi przyjaciele. Ponieważ babcia Fletcher nadal nie potrafiła przekonać się do Curta, a trzeba było podjąć jakąś decyzję odnośnie do możliwości pracy na południu, Curt zajął się urządzaniem ich nowego życia. Skorzystał z tego, że mimo zwłoki życzliwi właściciele cegielni czekali na jego przybycie. Spędził tydzień na południu, gdzie meblował nowy dom i czynił ostatnie przygotowania do przeprowadzki, która miała nastąpić właśnie dzisiaj. Ostatnie dni po powrocie spędził w domu cioci Bett.

Marta przyszła dziś na cmentarz, aby się pożegnać, choć nawet teraz nie była w pełni przekonana, czy podjęli słuszną decyzję. Jednak intuicyjnie czuła, że

była to jedyna decyzja, jaką mogli podjąć. Wąska, wysypana żwirem ścieżka, ocieniona szpalerem wielkich drzew iglastych, wyprowadziła ją na otwartą przestrzeń wypełnioną równymi, starannie utrzymanymi alejkami pełnymi grobów.

Grób Barty'ego Bendalla nietrudno było zauważyć. Olbrzymie konary cedru wisiały nad nim jak opiekuńcze skrzydła i gdy Marta podeszła bliżej, na chwilę oślepiły ją jasne promienie słońca, przedzierające się gdzieniegdzie przez gąszcz gałęzi. Osłaniając oczy, obeszła grób, aby światło padało na nią od tyłu. Na wprost niej widniała nad grobem mała marmurowa tablica z wyrytym napisem:

BARTY BENDALL 1901 - 1938

Marta położyła kwiaty i odeszła, stając parę kroków dalej. Było jej przykro, że nawet teraz czuje się nieswojo w jego obecności.

A więc ten rozdział jej życia wreszcie został zamknięty, pomyślała. Nigdy już nie będzie rozpamiętywać spraw, które przyniosły jej tyle bólu. Wiedziała, że życie nie zawsze będzie układało się w sposób logiczny i zgodnie z przewidywaniami, oraz że nie zawsze przetrwają najsilniejsi. Często przeżywali po prostu ci, którzy okazywali się bardziej elastyczni i łatwiej przystosowywali się do warunków, w jakich żyli i których byli wytworem. Na twarzy Marty pojawił się uśmiech pełen zadumy - któż lepiej od niej poznał tę prawdę?

Gdy oczy Marty zatrzymały się na wyrytym w zimnym kamieniu napisie, ogarnęło ją jakieś niewytłumaczalne, dręczące uczucie. Przypomniała sobie wczesny okres ich małżeństwa, kiedy Barty Bendall kochał ją do tego stopnia, że zaopiekował się nią i jej dziećmi, choć wiedział, że ona nadal kocha ojca dziewczynek. Przypomniała sobie, jak wydał wszystkie pieniądze, żeby odzyskać zastawioną przez nią w lombardzie ślubną obrączkę i włożyć ją z powrotem na jej palec. Tyle natarczywych wspomnień napłynęło do niej w tej chwili, że zaczęła się zastanawiać, jaki był jej własny udział w tym, co się wydarzyło. Nie mogła oderwać oczu od nagrobka tej biednej, porażonej obłędem istoty, która ofiarowała jej swoją miłość i przyjaźń wtedy, kiedy potrzebowała tego najbardziej. Nie zapomni o tym nigdy, pomimo innych, bolesnych wspomnień, które paliły jeszcze jej duszę. W jej łagodnych, ciemnych oczach pojawił się wyraz wdzięczności i szepnęła:

- Obyś odnalazł spokój, Barty.

Nagle poczuła, że ktoś ciągnie ją za poję płaszcza i spoglądając w dół zobaczyła znajomą zmierzwioną czuprynę.

- Chodź już, mam! Mam dość czekania! - Bartuś nawet nie spojrzał na grób ojca.

Marta ze śmiechem chwyciła go w ramiona.

- Dobrze, urwisie! - powiedziała.

Oto moja przyszłość i mój oraz Curta cel w życiu, pomyślała. Trzymając się za rękę, ruszyli w kierunku bramy, gdzie czekali Curt i Florencja.

Marta przystanęła jeszcze tylko raz, aby rzucić okiem na miejsce, gdzie w spokoju spoczywali Barty Bendall oraz jej ukochana Polly. Gdy odchodziła, przytulona do Curta, oglądała się jeszcze za siebie aż do chwili, gdy stare wiązły znikły jej z oczu.

Rozdział dwudziesty piąty

Marta uniosła ciężką żelazną kołatkę i zastukała nią parę razy w metalową płytkę, aż w końcu rozległ się znajomy, podniesiony głos babci Fletcher:

- Otwarte! Wystarczy popchnąć!

Marta wpuściła dzieci, po czym weszli z Curtem i zamknęli za sobą drzwi na zamek.

- Mamo! - z wyrzutem powiedziała Marta. - Mówiłam ci, żebyś nie zostawiała otwartych drzwi! Byle kto może tu wejść.

Słyszając te słowa, babcia Fletcher podniosła ubrudzony mąką fartuch, energicznie wytarła o niego ręce i stwierdziła z powagą:

- Nie, kochanie, te drzwi są otwarte od trzydziestu lat i każdy, kto przestąpi mój próg, będzie mile widziany!

- Piękne słowa, mamo, ale to nierozsądne.

- Być może! Ale co by ludzie powiedzieli, gdyby nagle zastali u nas zamknięte drzwi, co? - spytała. - Usiądź, kochanie. Właśnie zaparzyłam herbatę.

Marta nauczyła się już nie reagować na bezceremonialny sposób, w jaki jej matka traktowała Curta. Babcia Fletcher była kobietą z charakterem, hołdującą niewzruszonym, surowym zasadom moralnym i zdecydowanym poglądom na temat świętości małżeństwa. Marta wiedziała, że po tym, co stało się parę lat temu, a także z innych, tylko babci Fletcher znanych powodów, jeszcze dużo czasu upłynie, zanim Curt ponownie odzyska zaufanie i szacunek jej matki. Odwróciła się i zobaczyła, że mąż przesuwa spakowane walizki bliżej drzwi. Rozbrajający uśmiech, który jej posłał, rozproszył zupełnie jej obawy, iż czuje się urażony jawną niechęcią, jaką okazuje mu jej matka.

Babcia Fletcher pogoniła zamyśloną Florencję do kuchni.

- No dalej, dziecko! Nalej nam herbaty! - Poczekała, aż Marta zdejmie chustkę i płaszcz, po czym spytała cicho: - Wszystko w porządku, kochanie? - Gdy córka przytaknęła, babcia Fletcher kiwnęła głową: - Ja się wszystkim zajmę, jak należy... Na cmentarzu i w ogóle, wiesz...

- Wiem, mamo. Bardzo ci dziękuję. - W tym momencie Florencja wróciła z herbatą, a Curt podszedł i stanął za Martą. Babcia Fletcher kręciła się niecierpliwie, najwyraźniej zbита czymś z tropu.

- Gdzie ta ciocia Bett? - spytała ostro. - Nie przyjdzie, żeby się z wami pożegnać? Mówiła, że przyjdzie!

- Nie - odparł Curt przyjaźnie. - W ostatniej chwili zmieniła zdanie.

Nagle babcia Fletcher złapała Florencję za ramię i poprowadziła do frontowego salonu:

- Hej! Chcę, żebyś dla mnie coś zrobiła...

- Mamo! - Marta zdała sobie sprawę, że zostało im już niewiele czasu. - Musimy zdażyć na pociąg! - Babcia Fletcher wróciła z szerokim, promiennym uśmiechem na twarzy i ku zdumieniu Curta nawet on znalazł się w jego zasięgu.

Wyczuwając, że jej mamie znowu w głowie jakieś figle, Marta spytała podejrzliwie:

- Co ty kombinujesz, mamo? Gdzie posłałaś Florencję?

- Wysłałam ją do pubu po dwa dzbanki piwa. Marta z niepokojem zauważyła, że od czasu śmierci

Polly babcia Fletcher coraz częściej pociesza się piwem.

- Och, mamo! - powiedziała z troską.

- Żadnych „och, mamoo”! - zareplikowała matka. - Są na tym świecie gorsze rzeczy niż kapka dobrego piwa!

- Ale przecież jest dopiero wpół do jedenastej! Nic jej nie sprzedadzą!

- I tu właśnie się mylisz, bo kazałam jej powiedzieć, że to z okazji małego święta - nowa praca Curta i w ogóle.

W pokoju rozległ się śmiech Curta, który wesoło mrugnął do Marty.

- Ależ sprytna ta twoja mama! Ja też nie miałbym nic przeciwko łykowi piwa - powiedział.

Babcia Fletcher wydawała się mile zaskoczona tym, że Curt się za nią ujął.

- A niech to! - oświadczyła, mierząc go wzrokiem, w którym można było dostrzec coś na kształt cienia aprobaty. - Zdaje się, że z tego chłopaka mogą jeszcze być ludzie. - Szybko usiadła na krześle obok kominka i poklepała Martę po kolanie. Oczy jej się zaszklily. - Kiedy już będziecie w tym nowym domu, a Curt rozpocznie nową pracę, wszystko się wspaniale ułoży. - Chwyciła róg fartucha i otarła nim łzy, ciągnąc dalej: - Nie musisz się martwić o mnie i tatę! Zobaczysz, kochanie. Przecież zasługujesz na odrobinę szczęścia.

- Ocierając pulchną ręką nos, roześmiała się głośno i wyciągnęła spod swojego krzesła Bartusia, wyskubującego włókna z kokosowej maty. - Hej! Bartuś! Skocz do kuchni i przynieś babci świeżej herbaty. Umoczyłam w swoim kubku zabrudzony mąką fartuch!

Marta uśmiechnęła się, widząc, że Barty spokojnie kontynuuje swoje absorbujące zajęcie.

- No dobrze, smyku - powiedziała. - Ja to zrobię. Gdy wróciła, Florencja siedziała obok babci Hetcher,

która widocznie opowiadała jakieś zabawne historyjki, sądząc po salwach śmiechu rozbrzmiewających w salonie.

Curt po cichu zbliżył się do Marty, objął ją mocno i pociągnął delikatnie w kierunku pustej kuchni, gdzie złożył na jej ustach czuły pocałunek.

- Och, Marto - pomyśl tylko! Jutro o tej porze będziemy już w naszym nowym domu - jako mąż i żona!

- Jego oczy zamglily się, gdy oświadczył z mocą: - Już nigdy nie pozwolę, żeby spotkała cię jakakolwiek krzywdą! Nigdy!

Marta wiedziała, że może ufać jego słowom. To dziwne - nawet życie bez Polly wydawało jej się już możliwe. Miała też nadzieję, że nie będzie bardzo tęskniła za tym pełnym starych przedziałni miasteczkiem. Uspokojona w silnych ramionach Curta, powiedziała cicho:

- Tak cię kocham, Curt. Oby Bóg dał nam szczęście. Przytulił ją mocniej.

- Już ja się o to postaram - zapewnił. - Wynagrodzę ci to wszystko, co musiałaś wycierpieć. - Ich usta spotkały się znowu, pieczętując wzajemną miłość i oddanie.

- Hej! Wy tam! - rozległ się nagle głos babci Fletcher.

- Chodźcie, mamy tu małą uroczystość!

Marta nie dała się zwieść wesołości babci Fletcher.

Wiedziała, że pod jej pozorną beztroską kryje się rozpacz po utracie Polly. Oboje z Curtem przyłączyli się jednak do zabawy i gdy wyszli z kuchni, ich oczom ukazała się babcia Fletcher z wysoko podkasaną spódnicą, tańcząca kankana wokół stołu. Bartuś i Florencja pokładali się ze śmiechu na widok jej ekscesów, a dziadek Fletcher wsadził głębiej nos w gazetę, mrużąc coś o „żłopiących piwo babach”. Marta usiłowała opanować wzbierające w niej łyzy radości i żalu. Curt wyczuł, co dzieje się w jej duszy i ścisnąwszy jej rękę, wyciągnął na środek Bartusia, gdzie przyłączyli się do małego tańca wojennego babci Fletcher. Idąc śladem Bartusia, Florencja też rychło dołączyła do pływającej trójki. Mijając dziadka Fletchera, Curt i jego wciągnął do wspólnej zabawy. Widok całej rodziny, pokrzykującej i podrygującej wokół stołu, pokrzepił Martę i wypełnił ją spokojem. Terrier Paddy, podniecony całym tym zamieszaniem, obszczekiwał ich zawzięcie ze swej kryjówki za kanapą.

- Och... Och, moje serce! Moje stare, biedne serce! - Krztusząc się ze śmiechu, babcia Fletcher rzuciła się bez tchu na wielki stary fotel, który aż jęknął pod nagłym brzemieniem. - Od lat tak dobrze się nie bawiłam! - Patrząc, jak pozostali również padają wyczerpani na krzesła, i głośno łapiąc oddech podeszła do stołu z nagle posmutniałą, poważną miną. Zdjęła serwetę z dwóch dzbanków wypełnionych po brzegi piwem i poinstruowała Florencję, aby przyniosła z serwantki filiżanki i kubki. Bartuś został wysłany do kuchni po brązowy dzbanek.

W brązowym dzbanku była pyszna sarsaparylla domowej roboty, którą babcia Fletcher rozlała do dwóch wysokich, wąskich kubków, jeden zapełniając tylko do połowy.

- Florencjo - powiedziała stanowczym głosem - ponieważ widać, że już nie jesteś dzieckiem, ale też nie jesteś jeszcze kobietą, dostaniesz piwa zmieszanego pół na pół z sarsaparyllą. - Mrugnęła do Florencji. - Może być?

- Jasne - przytaknęła Florencja, której bardzo spodobał się ten pomysł.

- Świetnie. - Rozdzieliwszy resztę piwa, babcia Fletcher kazała im wszystkim wziąć do rąk swoje kubki. Następnie, pośród śmiechu i docinków na temat wielkości jej porcji, podniosła do góry kubek i powiedziała: - Wzniesmy toast!

Wszyscy przycichli, wzruszeni tą propozycją, i babcia Fletcher ściszoną głosem ciągnęła dalej: - Toast ku czci naszej rodziny - tych, którzy odjeżdżają, i tych, którzy nie mogą być tu z nami. - Pociągnęła mocno nosem i gdy po jej policzkach potoczyły się łzy, ogarnęła wzrokiem Martę i Curta. - Życzymy wam wiele szczęścia i radości. Będziemy was z tatą odwiedzać, ale cokolwiek się stanie, wiedźcie, że sercem zawsze będziemy z wami. Niech was Bóg ma w swojej opiece! - Podnosząc fartuch otarła oczy i nos, po czym, zdobywając się na uśmiech, krzyknęła: - Zdrowie! - i pociągnęła tęgi łyk rozgrzewającego piwa.

Podnosząc do góry kufel, Marta otarła ukradkiem łzy, ze zdumieniem widząc, że dziadek Fletcher robi to samo. Gdy zauważył, że Marta na niego patrzy, zawstydził się nieco i w końcu oboje wybuchnęli śmiechem.

- Zdrowie! - powtórzyli wszyscy i wypili zawartość swoich kubków.

- Wielkie nieba! Spójrzcie, która godzina - krzyknęła Marta - już piętnaście po dwunastej! - Głośno postawiła swój kubek na stole, gdy dotarło do niej, że do odjazdu pociągu została niecała godzina. - Szybko! - ponagliła Florencję i Bartusia. - Idźcie do ubikacji. Pewnie wypiliście całą tę sarsaparyllę!

- Przyniosę kanapki, Marto - powiedziała babcia Fletcher ruszając do kuchni. - Wszyscy powinniście zjeść coś porządnego, zanim wyruszyacie!

- Kanapki wystarczą, mamó. Później coś dokupimy, jeśli będzie trzeba.

Gdy w końcu zamieszanie ustało, wszyscy zgromadzili się przy drzwiach. Dziadek Fletcher ścisnął ramię Marty.

- Jesteście pewni, że nie chcecie, abyśmy was odprowadzili na stację? - Zaległa cisza, w której każdy stał ze ściśniętym gardłem i ciężkim sercem, patrząc na pozostałych, aż w końcu wszyscy rzucili się sobie w objęcia, nie bacząc już na płynące z oczu gorące łzy.

- Uważajcie na siebie - rzuciła za nimi babcia Fletcher, gdy Curt i Marta, oglądając się, poprowadzili przed sobą dzieci.

- Napiszemy, mamó... napiszemy niedługo - obiecała Marta.

Gdy postacie jej rodziców coraz bardziej się oddalały, Martę ogarnęła fala żalu. Otoczyła Florencję ramieniem i powiedziała:

- Nie martw się, kochanie. Jak tylko się urządzimy, przyjadą nas odwiedzić. Chcesz pobiec i jeszcze raz ją uściskać?

Na co oboje - Florencja i Bartuś - krzyknęli zgodnym chórem:

- Tak! Tak! - I puścili się pędem z powrotem w kierunku kochanej staruszki.

Babcia Fletcher obserwowała, jak dzieci pędzą ulicą w jej stronę. Zostawiając męża na progu, wybiegła im na spotkanie. Gdy padli sobie w objęcia, ledwo potrafiła coś z siebie wykrztusić.

- Niech was Bóg prowadzi! - krzyknęła, nie potrafiąc powstrzymać drżenia głosu.

Bartuś objął mocno szeroką talię babci, a bardziej powściągliwa Florencja przytuliła się na chwilę, obiecując:

- Będziemy pisać, babciu. I musicie nas odwiedzić. Przyjedziecie, prawda?

Babcia Fletcher przycisnęła ich oboje do piersi.

- Niech mnie kto spróbuje zatrzymać, kochanie! - szlochała i śmiała się na przemian. - Niech no spróbuje! - Pociągając mocno nosem, ucałowała ich po raz ostatni i dodała swoim stanowczym głosem: - Dobrze się sprawujcie! I opiekujcie się swoją mamą! - Dziwny smutek zamglił jej oczy i szepnęła, bardziej do siebie niż do nich: - Jakoś mi się zdaje, że będzie was bardzo potrzebować.

Machając na pożegnanie rodzicom, aż zniknęli jej z oczu, Marta przysłuchiwała się, jak Curt opisuje nowy dom, odpowiadając na pytania podnieconych, ciekawych wszystkiego dzieci. Wreszcie, pomyślała, wreszcie spełniają się jej marzenia!

Idąc na pociąg z podekscytowanymi, szczęśliwymi dziećmi i swoim ukochanym Curtem, Marta zadumała się nad tkwiącymi gdzieś na dnie swojej duszy uczuciami, które sprawiały, że jakoś nie potrafiła bez reszty cieszyć się tym cudownym dniem. Pomyślała o tym, co zostawiła za sobą, i nie mogła oprzeć się jakiemuś dziwnemu, niepokojącemu wrażeniu, że jest obca samej sobie i że jest zupełnie inną osobą niż kobieta, która tyle lat temu poślubiła Curta.

Chłodny podmuch powietrza od wjeżdżającego na stację pociągu uderzył ją w twarz, przejmując ją dreszczem. Curt szybko załadował bagaż i pomógł wsiąść dzieciom, po czym odwrócił się do niej i objąwszy ją silnymi ramionami, powiedział:

- Chodź, kochanie, tam czeka na nas zupełnie nowe życie. - Nie zważając na czekających pasażerów, pochylił się i musnął ustami wargi Marty. - Kocham cię - szepnął, uniósł ją w powietrze i postawił w wagonie.

Gdy pociąg ruszył, Marta pomyślała o wszystkich swoich powodach do szczęścia. Miała swoje dzieci - nawet Polly, która nigdy jej nie opuści - i miała swojego mężczyznę. O cóż więcej mogłaby prosić kobieta? Spojrzała na Curta, zajętego usadawianiem dzieci. Curt Ratheter! Teraz już jej prawdziwy mąż. Był jej pierwszą miłością i będzie też ostatnią.